



DENIS DIDEROT

---

**Kubuś Fatalista  
i jego pan**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

DENIS DIDEROT

# *Kubuś fatalista i jego pan*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# Spis treści

Od tłumacza . . . . .	4
Kubuś fatalista i jego pan . . . . .	8

## OD TŁUMACZA

Odczytałem jeszcze raz *Neveu de Rameau*. „Cóż za człowiek, ten Diderot! Cóż za rzeka, jak mówi Mercier! I Wolter jest nieśmiertelny, a Diderot tylko sławny. Dlaczego? Wolter pogrzebał poemat epiczny, bajkę, epigram, tragedię. Diderot dał początek nowoczesnej powieści, dramatowi i krytyce artystycznej. Jeden jest ostatnim umysłem dawnej Francji, drugi pierwszym geniuszem Francji nowej”.

Tak piszą w *Dzienniku* swoim w r. 1858 niepospolici znawcy epoki, bracia Goncourt. Nic naturalniejszego jak tego rodzaju rewizje i ewolucje pojęć, a bardziej jeszcze niż gdziekolwiek tutaj, w ocenie literatury XVIII wieku, w której działalność polityczna i publicystyczna tak ściśle splata się z tworzeniem artystycznym, a w znacznej części zgola je pokrywa. W olbrzymim dziele stawania się nowożytnego społeczeństwa — *stawania się* w świecie pojęć, zanim rewolucja przystąpi do urzeczywistnienia ich w czynie — literatura XVIII w. oddaje się cała służbom i potrzebom chwili. Podczas gdy w wieku siedemnastym, oparta o nietykalne podstawy tronu i religii, za cel swój miała własną doskonałość, tu wszystkie oczy zwracają się ku niej, nie aby podziwiać i rozkoszować się, lecz raczej z pytaniem i niepokojem, z gorączką nowych haseł i dążeń. W zapalczym poszukiwaniu nowych rozwiązań wielkiego zagadnienia: *co jest człowiek? co świat? co społeczeństwo?* literatura przyswaja sobie wszystkie działy budzącej się z powijaków nowożytnej nauki, rzuca pomiędzy nimi pomosty, krząta się, pośredniczy, popularyzuje; wchłania w siebie wszystkie krążące idee wieku, aby, oddając je z powrotem spotężniałe, bardziej uorganizowane i świadome, tym mocniej utrwalić je w umysłach, gdzie majaczyły wprzód niewyraźnie. W tym jej siła i w tym słabość; w miejsce umiejętnie ograniczonej klasycznej doskonałości, mgławica elementów o wartości bardzo nierównej, pośpiech popularyzacji zarywającej o dyletantyzm *ad usum* salonów lub nawet buduarów, katechizm filozoficzny trącający dziecinną czasem symplifikacją zjawisk — ale równocześnie kipienie wdzierającego się życia, szalone tempo, swoboda, gorączka myśli żadna ogarnąć cały świat i wszystkie światy i od czasu do czasu rzucać w tym pośpiechu błyski genialnych improwizacji. Wielkie umysły tego wieku to jedna armia krocząca — mimo iż odmiennymi drogami — zwartą kolumną ku nowemu porządkowi rzeczy; każdy utwór — czy nim będzie ulotny epigram, czy dzieło o astronomii — to nowa szczyrbka w murach warowni przesądu i cegielka przyczyniona do wznoszącego się gmachu przyszłego „królestwa rozumu”. Pisarz XVIII wieku to przede wszystkim *filozof*, który w działalności swej ma za cel doraźne, niecierpliwe uszczęśliwienie ludzkości, i co najważniejsze posiada do tego celu mniej lub więcej niezawodne recepty.

*Filozofem* przede wszystkim był dla swoich współczesnych Diderot: tym mianem krótko nazywano go w Paryżu i każdy wiedział, o kim mowa. Rzutkość jego umysłu, rozległa wiedza ogarniająca niemal wszystkie działy nauki, olbrzymia pracowitość i osobiste zalety charakteru czyniły zeń idealnego pół-wodza, pół-impresaria falangi duchów gromadzących się pod wspólnym sztandarem około *Encyklopedii*. Popularność jego, nie tylko we Francji, ale w całej Europie, była olbrzymia. Jak każdy prawdziwy filozof XVIII w. miał i Diderot swoje koronowane głowy, które go obsypywały czułymi słówkami, z którymi korespondował i którym udzielał rad (niesłuchanych zresztą zazwyczaj) co do sztuki władania ludźmi<sup>1</sup>. To wszystko byłoby aż nadto, aby ozdobić ulice Paryża i rodzinnego Langres<sup>2</sup> jego pomnikami, ale nie dosyć zapewne, aby dziś, gdy najśmielsze nowatorstwa XVIII w. dawno zostały przez życie przelicytowane, skłonić czytelnika do wzięcia w rękę jednego z kilkudziesięciu tomów dzieł niezmordowanego pracownika. Jednakże na szczęście wśród swych poważnych zajęć i prac kapitałnych zdarzało się Diderotowi strzep-

<sup>1</sup>udzielał rad (...) co do sztuki władania ludźmi — w czasie kilkumiesięcznego pobytu jego w Petersburgu Katarzyna II dużo i chętnie rozmawia z Diderotem; skarży się jedynie w liście do pani Geoffrin, iż „uda ma zupełnie obolale i czarne od sińców” nabitych jej przez filozofa, równie bezceremonialnego w obejściu jak żywego w gestykulacji; w końcu jednak zniecierpliwiona nieco jego teoriami rzekła: „Panie Diderot, wysłuchałam z prawdziwą przyjemnością wszystkiego, co panu dyktuje jego świetny umysł; ale we wszystkich swoich planach reform zapomina pan o różnicy naszej obustronnej pozycji: pan pracujesz jeno na papierze równym i gładkim, który zniesie wszystko; podczas gdy ja, biedna cesarzowa, pracuję na skórze ludzkiej, materiale trochę bardziej drażliwym i laskotliwym” (Pamiętnik księcia de Ligne). [przypis tłumacza]

<sup>2</sup>rodzinnie Langres — urodził się w r. 1713 jako syn nożownika, z dynastii zacnych rzemieślników poważanych w miasteczku i okolicy. [przypis tłumacza]

nać z pióra jakąś błahostkę, niemal że nieznaną współczesnym i najbliższej potomości: i oto dziwną igraszką losu tych kilka książeczek stanowi dziś najtrwalszy jego pomnik w piśmiennictwie francuskim. „Nie istnieje może — pisze jego biograf — w żadnej historii literatury bardziej osobliwy fenomen: Diderot nappełnił epokę całą rozgłosem swych walk, a prawie wszystkie jego arcydzieła ukazały się w druku dopiero w długi czas po jego śmierci... Klasyczne *habent sua fata libelli* nigdy nie było tak prawdziwe, jak w odniesieniu do dzieł Diderota. *Encyklopedia* utonęła w falach Rewolucji; z książek, jakie wydał za życia, zaledwie da się przeczytać jaką setkę stronic. Przeciwnie, rękopisy, którym pozwolił drzemać w szufladach stolika lub które trwożliwie krążyły po świecie w nielicznych kopiach, często niezbyt poprawnych, wszystko to, co mniemał, iż rzuca na wiatr lub też, co grzebał w zakątkach swego gabinetu, obudziło się kolejno nasilonym życiem i to, co tworzy dziś chwałę filozofa, było nieznane lub prawie że nieznane jego epoce<sup>3</sup>”.

Fakt jeszcze osobliwszy: niektóre z najślawniejszych (dzisiaj) jego dzieł ukazały się po raz pierwszy w języku francuskim jako przekład z niemieckiego przekładu!... Tak było z utworem *Neveu de Rameau*, którego rękopis (jedyne) Goethe, fanatyczny wielbiciel Diderota<sup>4</sup>, otrzymał od Schillera, przełożył „całą duszą” i opatrzywszy własnymi ciekawymi notami, wydał w r. 1805, w 45 lat po stworzeniu tego niepospolitego dialogu; w kilkanaście lat później dwóch rzeźmieszków literackich wydało po francusku przekład z przekładu niemieckiego jako rzekomy oryginał Diderota.

Dlaczego Diderot był tak oględny czy nieśmiały w wypuszczaniu na świat rękopisów? Czyżby z obawy represji osobistych? Ależ represje te — zwłaszcza wobec słabości rządu i przesiąknięcia najwyższych sfer i osobistości nowymi doktrynami — nie były zbyt srogie i były czymś bardzo powszechnym w życiu ówczesnego pisarza i „filozofa”. Wydawało się książkę, broszurę czy pamflet bezimiennie, najczęściej za granicą; w razie sądowego dochodzenia zapierało się solennie autorstwa, w ostateczności odsiadywało parę miesięcy w wieży lub uciekało za granicę, skąd padały niebawem nowe zatrute strzały w „tyrانیę” i „przesady”. Wolter przesiedział kilka miesięcy w Bastylii, co jego biograf uważa za wdzięczny sposób zdobycia rozgłosu lekkim kosztem. Kolejno przebywa w Anglii, w Prusach, w Szwajcarii; zaś na ostatnie dwadzieścia lat życia rozwiązuje tę kwestię z bajecznym komfortem: buduje wspaniałą rezydencję — na ziemi francuskiej wprawdzie, ale na samej granicy, o pół godziny od Genewy; tu, w swoim Ferney, może do syta grywać w domu teatr, który w czasie pobytu w Szwajcarii był kamieniem obrazy dla surowego protestantyzmu mieszkańców; w razie zaś oznak niezadowolenia z jego pism i osoby u rządu francuskiego, wystarcza mu zaprząć konie do pojazdu, aby za chwilę znaleźć się na wolnej ziemi Helwetów. Mniej praktyczny i mniej szczęśliwy od Woltera Rousseau lata całe spędza na wygnaniu, skąd brzmieniem swego głosu nappełnia Europę. Ale Diderot obciążony był przez kilkadziesiąt lat swej twórczości balastem, który nie tylko był mu przeszkodą w dłuższej odmianie miejsca pobytu, ale nadto dawał w rękę sferom rządzącym najpewniejszy fant „prowadzenia się” filozofa. Była nim *Encyklopedia*. Przedsięwzięcie to, zrazu zakreślone przez księgarza w dość skromnych rozmiarach jako przekład angielskiego *Słownika* i podjęte przez Diderota bez zapału, głównie dla zapewnienia na szereg lat ubożego, lecz pewnego bytu rodzinie, niebawem ożywione duchem tego wielkiego *pan-tofila*, jak go nazywał Wolter, chciwego poznania i ogarnięcia wszystkiego, co ludzkie, przekształca się w dzieło jedno z najrozleglejszych, na jakie do owego czasu ważył się duch ludzki, i niemal na całe życie przykuwa swego twórcę do taczki. Otóż niebawem po rozpoczęciu tego przedsięwzięcia ogłosił Diderot rozprawę pt. *Lettre sur les aveugles*; tę (z ubocznych przyczyn, w których draśnięta próżność przyjaciółki ministra miała odgrywać główną rolę) przypłacił kilkutygodniowym więzieniem w turmie w Vincennes. *Larum*, jakie podnieśli księgarze i wydawcy *Encyklopedii*, nieskończone trudności z prowadzeniem redakcji dzieła, porozumiewaniem się z współpracownikami, rewizją plansz etc., nauczyły Diderota cenić wolność osobistą więcej, niż by to może uczynił wzgląd na własną skórę. Niebawem sfery rządzące, a bardziej jeszcze jezuita, spostrzegli się, jak potężną

<sup>3</sup>biograf — Reinach, *Diderot*. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup>Goethe, fanatyczny wielbiciel Diderota — „Diderot ist Diderot, ein einzig Individuum; wer an ihm oder seinen Schriften mäkel, ist ein Philister, und deren sind Legionen. Wissen doch die Menschen weder von Gott, noch von der Natur, noch von ihrgleichen dankbar zu empfangen, was unschätzbar ist” (Goethe do Zeltera, 9 marca 1831). [przypis tłumacza]

bronią w szerzeniu nowej doktryny stała się Encyklopedia, w której pod skorupą naukowej informacji z każdym słowem wciskały się w społeczeństwo idee rewolucji. Cudów zręczności, wytrwałości było trzeba ze strony Diderota, aby przez dziesiątki lat prowadzić dzieło to, niejednokrotnie zawieszane, dławione, to znów wskrzeszane dzięki umiejętnym zabiegom. Stało się ono umiłowaniem dzieckiem jego życia, jego dumą, przy tym było olbrzymim przedsięwzięciem finansowym<sup>5</sup>, angażującym niemal na miliony wydawców i zapewniającym byt szeregowi pracowników. Każda nieostrożność, każde zuchwalstwo Diderota groziło Encyklopedii; dlatego to, być może, wciął on w szufladach najlepsze utwory, dlatego godził się niejednokrotnie, z większym pewnie jeszcze bólem, myśl swą przykrawać, łagodzić i wypaczać w szczegółach, aby ocalić całość. Dla innej natury byłoby to może nie do zniesienia: Diderotowi czynił lżejszymi te przykrości zupełny niemal brak próżności autorskiej i niebywała zaiste rozrzutność myśli i talentu. Potrzebował wydzielić z siebie nadmiar kipiącego wrzasku: czy się to stało w rozmowie, której bogactwo sławia współcześni jednym głosem, czy w pomysłach, które rozdawał na prawo i lewo, ciesząc się, gdy je odnajdywał w pismach przyjaciół, czy w tomach całych, które oddawał im do rozporządzenia, pozwalając drukować pod ich nazwiskiem, czy w listach, w których rzucał garściami najświetniejsze myśli — to było dlań rzeczą podrzędną wagi. Najtypowszy<sup>6</sup> w tym jako pisarz XVIII wieku, większą czuł potrzebę swoim słowem *działać*, niżeli skupić je w *dzieło*.

Podczas gdy w Niemczech wpływ Diderota, poczynając od Goethego, Schillera, a zwłaszcza Lessinga, był w pewnej epoce bardzo żywy, w Polsce śladów jego nie spotykamy niemal zupełnie. Dramat *Père de famille*, przyswojony dla sceny przez Wojciecha Bogusławskiego pt. *Ojciec rodziny*<sup>7</sup>, oto wszystko. We Francji sztuka ta, sama przez się bardzo słaba, odegrała rolę „programową” jako zwiastowanie nowożytnego dramatu mieszczańskiego oraz pierwsze dążenie do „realizmu” na scenie. W ostatnich czasach wreszcie ukazał się po polsku w bibliotece „Symposionu” dialog *Neveu de Rameau*<sup>8</sup>.

*Jacques le fataliste et son maître* napisany został w roku 1773 (Diderot liczył wówczas 61-szy rok życia), podczas pobytu lub zaraz po powrocie z Rosji i Holandii. Podobnie jak wiele innych utworów pozostał w tece autora, lecz musiał w odpisach przedostać się za granicę, gdyż w r. 1785 (w rok po śmierci pisarza) Schiller ogłosił po raz pierwszy w dzienniku *Thalie* przekład opowiadania o zemście pani de La Pommeraye<sup>9</sup>, które znowuż z powrotem przełożono na francuski pt. *Exemple singulier de la vengeance d'une femme*. Mylius w r. 1792 przetłumaczył całą książkę. „Jest to — powiada — jedno z najcenniejszych dzieł niedrukowanej spuścizny literackiej Diderota. Ta mała powiastka niełatwo będzie mogła być ogłoszona drukiem w języku ojczystym autora. Istnieje w Niemczech jakie dwadzieścia jej kopii, ale pod ścisłą dyskrecją. Mają być przechowane poufnie i nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Jednej z kopii zechciano użyć tłumaczowi pod uroczystym przyrzeczeniem, iż tekst francuski nie będzie oddany do druku”. W języku francuskim ukazał się *Jacques* w r. 1796; w szeregu następnych lat doczekał się licznych wydań, a w roku 1826 konfiskaty, ogłoszonej w „Monitorze”. Dzisiejszemu czytelnikowi wydać się może niepojęte, w jaki sposób ta niewinna książeczka mogła się stać tak ciężkim kamieniem obrazy i budzić podobne obawy i ostrożności. Inaczej przedstawia się rzecz, skoro bodaj trochę wżyjemy się w atmosferę współczesną jej powstaniu. Wówczas odczujemy, w ilu szczegółach jej lekkiej budowy tkwi krytyka dogorywającej epoki, ile rysów jej prześwieśla swym blaskiem bliska rewolucja. Najpierw — co może mniejszą stanowiłoby troskę dla świeckich i duchownych rządów — rewolucja literacka. „Wielką wartością (notuje w r. 1886 Edmund de Goncourt), wielką oryginalnością Diderota — nikt tego nie zauważył — jest to, iż wprowadził w poważną i porządną prozę książki żywość, werwę, błyskotliwość,

<sup>5</sup>było olbrzymim przedsięwzięciem finansowym — subskrypcja na egzemplarz *Encyklopedii* wynosiła tysiąc franków, co Wolterowi, zasypującemu Francję ulotnymi tanimi broszurkami, dało temat do konceptu, że „gdyby Ewangelia kosztowała 1200 sesterceji, chrześcijaństwo nigdy nie byłoby się rozpowszechniło”. Mimo to ilość subskrybujących *Encyklopedię* przenosiła 4000 osób. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>najtypowszy — dziś popr.: najbardziej typowy. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Ojciec rodziny — wyszedł w druku w zbiorowym wydaniu dzieł Bogusławskiego, Berlin 1841. [przypis tłumacza]

<sup>8</sup>Neveu de Rameau — *Kuzynek mistrza Rameau*, przekład L. Staffa, Lwów 1910. [przypis tłumacza]

<sup>9</sup>opowiadanie o zemście pani de La Pommeraye — Opowiadanie to bardzo traci zbite w nowelę i kiedy się zeń wyrzuci przemiłe „interludium” szampańskiego wina zacnej gospodyni. [przypis tłumacza]

beźład nieco szalony, zgiełk, gorączkowe życie *rozmowy*: rozmowy artystów, z którymi pierwszy z pomiędzy pisarzy francuskich przestawał w poufalej zażyłości”.

„Jak się spotkali? Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali? Na co wam ta wiadomość? Skąd przybywali? Z najbliższego miejsca. Dokąd dążyli? Alboż kto wie, dokąd dąży? Co mówili? Pan nic. Kubuś zaś, iż jego kapitan mawiał, że wszystko, co nas spotyka na świecie dobrego i złego zapisane jest w górze.

PAN: Oto mi wielkie słowo.

KUBUŚ: Mówił jeszcze, iż każda kula, która wylatuje na świat z rusznicy ma swój adres.

PAN: I miał słuszność...”

Oto wprowadzenie w materię, a ten kaprys, pod którego znakiem rozpoczyna się utwór, towarzyszyć mu będzie aż do ostatniej karty. Pan ze swoim sługą człapią, nie spiesząc się, konno; dla skrócenia nudów drogi sługa, niezmordowany gawędziarz, opowiada historię „swoich amorów”. Historia ta ciągnie się aż do ostatniej stronicy, przerywana tysiącnymi dygresjami, anegdotami, wypadkami. Autor niby zongler cyrkowy podrzuca swój temat na rakięcie, aż ginie gdzieś pod stropem, chwytając go i podbija znów nosem, głową, nogą: już, zdawałoby się, pada i znowu wlatuje w górę wyżej jeszcze niż wpródy. Jakżeśmy daleko odbiegli od współczesnych utworów! Sam Wolter w swoich powiastkach, lekki, kapryśny, ironiczny Wolter, stanowi w porównaniu z *Kubusiem* klasyczny wzór ładu i ciągłości. Diderot jak cały wiek XVIII *filozofuje* pod wszelką postacią, ale w tej filozofii ileż jest życia, jak nic jej nie czuć atramentem! W abstrakcyjnej precyzji i symetrii współczesnej psychologii Diderot przedstawia inwazję niezwyklej świeżości i bogactwa elementów. A w samym tekście książki ileż rysów mimochodem rzuconej krytyki literackiej: persyflażu owych modnych romansów epoki, opartych na błahym wikłaniu nieskończonych spotkań i przygód, drewnianej alegorii, pedantycznych „portretów”, które z taką słusznością niecierpliwą Kubusia, komicznego baroku mów pochwalnych etc. etc. Trudno wyliczać wszystkie szczegóły, które dla nas są zużyte, a które dla swej epoki były czymś zupełnie nowym. Jestem przekonany, iż w stosunku do wielu czytelników *Kubuś fatalista* wyda się w fakturze i dziś jeszcze raczej nadto śmiałym.

Ale w *Kubusiu Fataliście* mieszczą się i elementy innej, prawdziwej rewolucji, która niebawem miała we Francji zwalić stary porządek rzeczy. Szeroki powiew demokratyczny tej książeczki, brak poszanowania dla wszelkiego autorytetu, obok silnej dążności do wartości moralnych, nieraz przechodzącej aż w czułośćkowość, wszystko to na tle wrodzonej prawości, pogody i dzielności charakteru Kubusia, czyni zeń, może bez intencji autora, symbol rodzącej się Francji ludowej; symbol szlachetniejszy może i pełniejszy niż młodszy jego kolega po fachu, Figaro, który niebawem przez trzy lata będzie kołatać próżno do sceny francuskiej. Pan Kubusia ziewa, zażywa tabakę, zadaje pytania; Kubuś go bawi, za niego myśli, administruje jego mieszkaniem, za niego nadstawia karku; czyż to nie rola szlachty i ludu w XVIII wieku we Francji? A czy może być silniejszy kontrast niż niewinne i uczciwe „amory” Kubusia i Dyzi a brzydka przygoda jego pana, w której ten, mimo iż wcale nie najostatniejszy okaz z ostatnich *petit-mâitre’ów*, przedstawia się po trosze jako łajdak i głupiec w dodatku? Wystarczy, aby na tę świadomość, głęboko wnikającą w naród, padła iskra namiętności, a pokolenie Kubusiów jednym zamachem zmiecie z powierzchni ziemi rasę swoich Panów wraz z ich zegarkiem, tabakierką i sympatią dla filozofii. Refleksje Kubusia nad tym, komu pisana jest przepowiednia katowskiego konia, nabierają mimo woli autora oświeceniowej szczególności *macabre* wobec bliskich wypadków przyszłości. „Tak było napinane w górze”, powiedział sobie zapewne pan Kubusia, wstępując na gilotynę, o ile skorzystał z nauk swego dobrego sługi.

Goethe powiada o tej powiastce<sup>10</sup>, iż jest to „potrawa ze wszech miar wyborna i podana z cudownym zrozumieniem sztuki kuchmistrza i *maître d’hôtel*”. Zapewne smak naszych podniebień jest dzisiaj, nie powiem wykwintniejszy, ale inny; jednakże dobrze jest czasem dla odmiany skosztować coś z owych przysmaków, które stanowiły delikacje naszych prapradziadów. W tym rozumieniu puszczam w świat niniejszą książeczkę, mimo iż pora nie jest zbyt pomyślna dla oglądania się w przeszłość i gustów „klasycznych”.

<sup>10</sup>Goethe (...) o tej powiastce — list do Mercka z 7 kwietnia r. 1780. [przypis tłumacza]

Praca ta była miłym wytchnieniem wśród innych, smutnych nieraz, obowiązków, jakie nałożyła mi chwila bieżąca.

Boy.

Kraków, w czerwcu 1915.

## KUBUŚ FATALISTA I JEGO PAN

Jak się spotkali? Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali? Na co wam ta wiadomość? Skąd przybywali? Z najbliższego miejsca. Dokąd dążyli? Alboż kto wie, dokąd dąży? Co mówili? Pan nic, Kubuś zaś, iż jego kapitan mawiał, że wszystko, co nas spotyka na świecie dobrego i złego zapisane jest w górze.

PAN: Oto mi wielkie słowo!

KUBUŚ: Mówił jeszcze, iż każda kula, która wylatuje na świat z rusznicy, ma swój adres<sup>11</sup>.

PAN: I miał słuszność...

Po krótkiej pauzie Kubuś zakrzyknął: „Niech diabeł porwie szynkarza i jego gospodę!”.

PAN: Dlaczego wysłać do diabła bliźniego swego? To nie po chrześcijańsku.

KUBUŚ: Ano bo tak: zalałem pałkę lichym wińskim, zapomniałem napić konie. Ojciec widzi to i wpada w złość. Ja wzruszam ramionami; on bierze kij i naciera mi nieco przytwardo plecy. Jakiś pułk przechodzi właśnie przez wieś, śpiesząc pod Fontenoy<sup>12</sup>; ze złości zaciągam się w rekruty. Przybywamy; zaczyna się bitwa...

PAN: I dostajesz kulę pod swoim adresem.

KUBUŚ: Zgadł pan; postrzał w kolano; Bogu tylko wiadomo, co za dobre i złe przyniesie; sprowadził na mnie ten postrzał. Trzymają się jedna drugiej ni mniej ni więcej jak ogniwa łańcuszka. Ot, gdyby nie ten postrzał, sądzę, że nigdy w życiu nie byłbym ani zakochany, ani kulawy.

PAN: Byłeś tedy zakochany?

KUBUŚ: Czy byłem! dobre pytanie!

PAN: Z powodu postrzału?

KUBUŚ: Z powodu postrzału.

PAN: Nigdyś mi o tym nie rzekł ni słowa.

KUBUŚ: Myślę sobie.

PAN: I dlaczego?

KUBUŚ: Dlatego, iż to słowo nie mogło paść ani wcześniej, ani później.

PAN: I chwila opowiedzenia twoich amorów nadeszła?

KUBUŚ: Kto to wie?

PAN: Na wszelki wypadek, zaczynaj...

Kubuś rozpoczął historię swoich amorów. Było to po obiedzie; czas był parny; pan zdrzemnął się. Noc zaskoczyła ich w polu; zbłądzili. I oto pan wpada w straszliwy gniew i nie szczędzi tęgich razów słudze, nieborak zaś powtarza za każdym ciosem: „I ten musiał być widocznie zapisany w górze”...

Widzisz, czytelniku, że jestem na ładnej drodze i że ode mnie by tylko zależało kazać ci czekać rok, dwa, trzy lata na opowieść o amorach Kubusia, rozłączając go z panem

<sup>11</sup>Mówił jeszcze, iż każda kula (...) ma swój adres — uwaga ta, stanowiąca punkt wyjścia gawędy Kubusia i jego pana, znajduje się w tym samym brzmieniu u Sterne'a (*Życie i mniemania Tristrama Shandy*, ks. VIII, rozdz. CCLXIII). Na ogół naśladownictwo Sterna, z którego nieraz czyniono zarzut tej powiastce, ogranicza się do paru szczegółów zaczerpniętych zeń tak jawnie i niemal dosłownie, iż trzeba w tych analogiach z modną naówczas we Francji powieścią angielskiego pisarza widzieć raczej świadomą zabawkę autora zgodną ze stylem całego opowiadania. [przypis tłumacza]

<sup>12</sup>pod Fontenoy — zwycięska bitwa pod Fontenoy pod wodzą Maurycego Saskiego w r. 1745. [przypis tłumacza]

Los

Syn, Ojciec, Żołnierz,  
Wojna

Pan, Sługa

Literat, Twórczość



i każąc każdemu z osobna wędrować poprzez wszystkie przygody, jakie by mi się spodobało wyroić. Cóż by mi przeszkodziło ożenić pana i przyprawić mu rogi? wyprawić Kubusia na dalekie wyspy? zapędzić tam jego pana? sprowadzić obu z powrotem do Francji na jednym statku? Cóż łatwiejszego jak klecić powieści! Ale tym razem wykpią się oba ze sprawy jedną niezbyt mile spędzoną nocą, a wy tym małym opóźnieniem.

Zaczęło świtać; nasi podróżni dosiedli koni i ruszyli swoją drogą. — A dokąd jechali? — Już drugi raz zadajecie to pytanie i drugi raz odpowiadam: na co wam wiedzieć? Skoro raz tknę się przedmiotu ich podróży, bywajcie zdrowe, miłośki Kubusia... Wędrowali jakiś czas w milczeniu. Gdy każdy otrząsnął się nieco ze swego zmartwienia, pan rzekł: „I cóż, Kubusiu, gdzieśmy utknęli w twoich amorach?”

KUBUŚ: Utknęliśmy, o ile mi się zdaje, na porażce nieprzyjacielskiej armii. Jedni uciekają, drudzy gonią, każdy myśli o sobie. Zostaję na polu bitwy zagrzebany pod mnogością zabitych i rannych, zaiste niezliczoną. Nazajutrz rzucono mnie wraz z tuzinem innych na wóz, aby nas zawieźć do szpitala. Och! panie, nie sądzę, aby istniało w świecie coś okrutniejszego niż rana w kolano.

PAN: Żartujesz chyba, Kubusiu.

KUBUŚ: Nie, panie, dalibóg nie żartuję! Jest tam nie wiem ile kości, ścięgien i innych rzeczy poprzezywanych sam nie wiem jak...

Jakiś człowiek, który człapał za nimi na koniu, wioząc za sobą oklep młodą dziewczynę, usłyszał te słowa i rzekł: „Pan ma słuszość”...

Nie wiadomo było, do kogo się odnosi to „pan”, ale spotkało się zarówno u Kubusia, jak i jego pana, z nieszczególnym przyjęciem; Kubuś zaś rzekł do natręta: „Czego ty nos wściubiasz?”

— Wściubiam nos do mego rzemiosła; jestem chirurg do usług pańskich, wykażę...

Kobieta, którą wiozł za sobą, rzekła: „Panie doktorze, jedźmy swoją drogą i zostawmy tych panów, którzy nie lubią, aby im wykazywać...”

— Nie — odparł chirurg — chcę wykazać i wykażę...

I odwracając się, aby wykazać, popycha towarzyszkę, pozbawia ją równowagi i strąca na ziemię z jedną nogą zaczepioną o poły jego ubrania i spódnicami zawiniętymi na głowę. Kubuś schodzi z konia, uwalnia nogę biednej istoty i obciąga spódnice: nie wiem, czy zaczął od uwolnienia nogi, czy od obciążenia spódnic; ale o ile by się sądziło o stanie tej kobiety z jej krzyków, musiała snadź ulec dotkliwemu zranieniu. Zaś pan Kubusia rzekł do chirurga: „Oto co znaczy wykazywać”.

A chirurg: „Oto co znaczy nie chcieć komuś pozwolić wykazać”...

A Kubuś do kobiety leżącej, czy też pozbieranej z ziemi: „Pociesz się, dobra duszo, to ani twoja wina, ani pana doktora, ani moja, ani też mego pana: było napisane w górze, iż dzisiaj na tym gościńcu, o tej właśnie godzinie, pan doktor będzie gadułą, że mój pan i ja będziemy parą mruków, że ty nabijesz sobie sińca na głowie i że ujrzymy u ciebie odwrotną stronę medalu...”

W cóż by nie urosła ta przygoda w moim ręku, gdyby mi przyszła fantazja znęcać się nad wami! Uczyniłbym z tej kobiety jakąś ważną osobę; poruszyłbym kmiotków z całej parafii, wzniciłbym boje i miłości; trzeba bowiem przyznać, iż ta córa wsi kryła rzadkie uroki pod swoją parcianką. Kubuś i jego pan zauważyli to; toć nieraz ani tyle nie było potrzeba, aby rozniecić miłość. Dlaczego Kubuś nie miałby się zakochać po raz drugi? dlaczego by po raz drugi nie miał stać się rywalem, ba, zwycięskim rywalem swego pana? — A czy już zaszło kiedy coś podobnego? — Ciągłe pytania! Nie chcecie tedy, aby Kubuś wiódł dalej historię swoich amorów? Porozumiejmyż się wreszcie, raz na zawsze: chcecie, czy nie? Jeżeli tak, w takim razie posadźmy wieśniaczkę z powrotem na siodło przewodnika, pozwólmy im jechać dalej i wróćmy do naszych podróży. Tym razem Kubuś zabrał głos i rzekł:

— Oto sądy ludzkie: pan, który nie był zraniony w swoim życiu i nie wiesz, co to postrzał z rusznicy w kolano, utrzymujesz w żywe oczy mnie, który miałem kolano strzaskane i kuleję od dwudziestu lat...

PAN: Może i masz słuszość. Ale ten zatracony chirurg jest przyczyną, iż jeszcze otgniesz się na wózku z kompanami daleko od szpitala, daleko od wyleczenia i daleko od zakochania się.

Lekarz, Słowo, Ciało

Literat, Twórczość, Słowo

KUBUŚ: Co bądź się panu podoba o tym rozumieć, ból, jakiego doznawałem w kolanach był nie do zniesienia; a potęgował się jeszcze od niewygód wehikułu, nierówności drogi, tak iż za każdym wstrząśnięciem wydawałem przeraźliwe krzyki.

PAN: Ponieważ było napisane w górze, iż będziesz krzyczał?

KUBUŚ: Z pewnością! Krew uchodziła ciurkiem i byłbym niechybnie wyzionął ducha, gdyby nasz wózek, ostatni ze sznura ciągnących wozów, nie zatrzymał się przed jakąś chałupą. Zacząłem się domagać, aby mnie zasadzono; ułożono mnie na ziemi. Młoda kobieta stojąca w progu weszła do chaty i wnet ukazała się ze szklanką i butelką wina. Wypilem pospiesznie parę łyków. Wózki jadące przed naszym ruszyły. Już miano mnie rzucić z powrotem między towarzyszy niedoli, kiedy uczepiwszy się mocno sukien tej kobiety, zakląłem się, że nie wsiądę z powrotem i że jeśli mam umierać, wolę już skończyć tu, na miejscu, niż o dwie mile dalej. Domawiając ostatnich słów, omdlałem. Ocknąłem się w łóżku, w niewielkiej izdebce; koło mnie stał jakiś wieśniak, widocznie gospodarz domu, jego żona (ta sama, która udzieliła mi pomocy) i kilkoro drobnych dzieci. Kobieta umaczała róg fartucha w occie i nacierała mi czoło i skronie.

PAN: A, łotrze! a, zdrajco!... Widzę już, hultaju, dokąd zmierzasz.

KUBUŚ: A ja sędzę, że pan nic nie widzi.

PAN: Nie w tej oto kobiecie gotujesz się zakochać?

KUBUŚ: A gdyby i tak było, cóż by można na to powiedzieć? Czy człowiek ma władzę zakochania się lub niezakochania? A kiedy jest zakochany, czy może postępować tak, jakby nim nie był? Gdyby tak było zapisane w górze, byłbym sobie sam powiedział wszystko, co pan masz zamiar mi powiedzieć; byłbym się wypoliczkował; tłukłbym głową o mur; wydzierał sobie włosy; wszystko to nie posunęłoby sprawy ani w tył, ani naprzód i mój dobroczyńca byłby rogalem.

PAN: Ale rozumując na twój sposób, nie ma zbrodni, której by nie można popełnić bez wyrzutów sumienia.

KUBUŚ: To, co pan mi zarzuca, niejednokrotnie trapiło moją mózgowicę; mimo wszystko, powracam zawsze do poglądów mego kapitana: wszystko, co nam się trafia dobrego lub złego na ziemi, jest zapisane w górze. Czy zna pan jaki sposób, aby wymazać to pismo? Czy mogę nie być sobą? A będąc sobą, czy mogę postępować inaczej od siebie? Czy mogę być sobą i kim innym? I od czasu, jak jestem na świecie, czy była bodaj jedna chwila, w której by to nie było prawdą? Wyróżnij pan kazań, ile się panu spodoba, pańskie racje mogą być doskonałe; ale jeśli jest napisane we mnie albo tam w górze, iż mnie nie trafią do smaku, cóż ja mogę na to poradzić?

PAN: Dumam nad jedną rzeczą: mianowicie czy ty przyprawileś rogi swemu dobroczyńcy, ponieważ to było napisane w górze, lub też czy to było napisane w górze, ponieważ miałeś przyprawić rogi swemu dobroczyńcy?

KUBUŚ: I jedno, i drugie było napisane obok siebie. Wszystko było napisane od razu. To niby wielka wstęga, która rozwija się po troszeczkę...

Rozumiesz, czytelniku, dokąd mógłbym prowadzić tę rozmowę, na której temat tyle się już nagadano, tyle napisano od dwóch tysięcy lat, nie posunąwszy rzeczy ani o krok naprzód. Jeśli nie czujesz dla mnie nieco wdzięczności za to, co mówię, powinienesz jej mieć sporo za to, czego ci oszczędzam.

Podczas gdy nasi dwaj teologowie dysputowali, nie mogąc dojść do porozumienia, jak się to czasem zdarza w teologii, zbliżała się noc. Jechali okolicą niezbyt pewną w każdym czasie, a jeszcze o wiele mniej w owym, gdy zła administracja i nędza pomnożyły bez liku ilość złoczyńców. Zatrzymali się w bardzo nędznej gospodzie. Ustawiono im dwa składane łóżka w klitce wpół otwartej na wsze strony. Zażądali wieszaków. Przyniesiono wody z kałuży, czarnego chleba i skwaśniałego wina. Gospodarz, gospodyni, dzieci, służba, wszystko miało wygląd podejrzany. Słyszeli przez ścianę nieumiarkowane śmiechy i hałaśliwą wesołość kilku opryszków, którzy przybyli wcześniej i sprzątnęli im sprzed nosa wszystkie zapasy. Kubuś był dość spokojny; panu wiele brakowało do tego stanu. Przechadzał się zafrasowany wzdłuż i w szerz, podczas gdy sługa pochłaniał spore kęsy

Los, Kondycja ludzka

czarnego chleba i krzywiąc się, łykał jedną i drugą szklankę lichego wina. Gdy się tak zabawiali, usłyszeli pukanie do drzwi; był to służący. Owi zuchwali i niebezpieczni sąsiedzi zmusili go, aby zaniósł naszym podróżnym brudny talerz, na którym złożyli kości z drobiu pochłoniętego na wieczerzę. Kubuś oburzony chwyta pistolety.

— Gdzie idziesz?

— Niech mnie pan puści.

— Gdzie idziesz, powiadam.

— Nauczyć rozumu tę kanalię.

— Czy wiesz, że ich jest z jaki tuzin?

— Choćby było stu, liczba nic nie znaczy, jeśli jest napisane w górze, że nie będzie wystarczająca.

— Niechże cię diabeł porwie z twoim niedorzecznym przysłowiem!...

Kubuś wyrwa się z rąk pana, wchodzi do izby rzezimieszków, trzymając w każdej ręce nabity pistolet. „Prędko, kłaść mi się zaraz — rzecze — pierwszemu, który się ruszy, pałę w łeb”... Mina i ton Kubusia były tak wymowne, iż hultaje, którzy cenili życie nie gorzej od każdego uczciwego człowieka, wstali od stołu, nie pisnąwszy słówka, rozebrali się i położyli. Pan Kubusia, niepewny w jaki sposób skończy się przygoda, czekał nań cały drżący. Kubuś powrócił obładowany odzieniem tych ludzi; zabrał je z sobą, aby im nie przyszła pokusa wstać z łóżek; zgasił światło i zamknął drzwi na dwa spusty, trzymając klucz w dłoni wraz z jednym z pistoletów. „A teraz, panie — rzekł do chlebobdawcy — wystarczy zabarykadować się, przysuwając łóżka do drzwi, i możemy spać spokojnie...” I wraz zabrał się do przesuwania łóżek, opowiadając zwięźle i sucho szczegóły wyprawy.

PAN: Ej, Kubusiu, co z ciebie za człowiek! Więc ty wierzysz...

KUBUŚ: Nic nie wierzę, ani nie niewierzę.

PAN: A gdyby się wzdragali położyć?

KUBUŚ: Ty było niemożliwe.

PAN: Dlaczego?

KUBUŚ: Ponieważ tego nie uczynili.

PAN: A gdyby wstali?

KUBUŚ: Tym gorzej lub tym lepiej.

PAN: Gdyby... gdyby... gdyby... i...

KUBUŚ: Gdyby... gdyby morze zaczęło wrzeć, siła ryb by się ugotowało, jak powiadają. Cóż u diaska przed chwilą myślał pan, iż ja narażam się na wielkie niebezpieczeństwo: wierutny fałsz; teraz wyobrażasz sobie, iż sam jesteś w wielkim niebezpieczeństwie; być może hipoteza równie fałszywa. Wszyscy w tym domu boimy się jedni drugich; co dowodzi, że wszyscy jesteśmy głupcy...

Tak rozprawiając, rozebrał się, ułożył i zasnął. Pan, zjadając z kolei kawałek czarnego chleba i wychylając łyk kwaśnego wina, nadsluchiwał dokoła i patrząc na chrapiącego Kubusia, myślał: „Cóż za człowiek!...”. W końcu za przykładem służi wyciągnął się również na pryczy, ale nie usnął ani na chwilę. Z pierwszym brzaskiem Kubuś uczył, że ktoś trąca; była to dłoń pana, który wołał po cichu: „Kubuś! Kubuś!”.

KUBUŚ: Co takiego?

PAN: Dnieje.

KUBUŚ: Być może.

PAN: Wstawaj.

KUBUŚ: Po co?

PAN: Po to, aby się stąd wynieść jak najprędzej.

KUBUŚ: Po co?

PAN: Bośmy źle trafili.

KUBUŚ: Kto to wie; jak również, czy lepiej trafimy gdzie indziej?

PAN: Kubuś?

KUBUŚ: I cóż, Kubuś, Kubuś! Co z pana za człowiek!

PAN: Co z ciebie za człowiek! Kubuś, mój złoty, proszę cię.

Kubuś przetarł oczy, ziewnął na kilka zawodów, przeciągnął się, wstał, ubrał się bez pośpiechu, odsunął łóżko, wyszedł z izby, zeszedł na dół, udał się do stajni, osiodłał konie, założył im uzdę, obudził śpiącego jeszcze gospodarza, zapłacił należność, zatrzymał klucze od obu pokoi i podróżni ruszyli w drogę.

Pan chciał wypuścić galopa, Kubuś chciał jechać stępo, zawsze w myśl swej zasady. Gdy już byli o spory kawał drogi od żalostnego noclegu, pan, słysząc iż coś podzwania w kieszeni Kubusia, zapytał, co to takiego; na co Kubuś odparł, iż to klucze od pokoi.

Czas, Kondycja ludzka

PAN: Dlaczegoż ich nie oddałeś?

KUBUŚ: Bo w ten sposób trzeba będzie wywazać dwoje drzwi: naszych sąsiadów, aby wydobyć ich z uwięzienia, i nasze, aby odzyskać ich odzież; dzięki temu zyskamy na czasie.

PAN: Wybornie, Kubusiu! Ale dlaczego chcesz zyskać na czasie?

KUBUŚ: Dlaczego? Na honor, sam nie wiem.

PAN: I jeżeli chcesz zyskać na czasie, dlaczego jedziemy tym wolniutkim truchtem?

KUBUŚ: Dlatego iż, nie wiedząc, co jest napisane tam w górze, człowiek nie wie, ani czego chce, ani co czyni; idzie za swoim urojeniem, które nazywa się rozumem, albo za swoim rozumem, który często jest jeno niebezpiecznym urojeniem obracającym się czasem na dobre, czasem na złe.

PAN: Czy mógłbyś mi powiedzieć, co to wariat, a co człowiek rozumny?

KUBUŚ: Czemu nie?... wariat... zaczekaj pan... to człowiek nieszczęśliwy; a za tym idzie, iż człowiek szczęśliwy jest rozumny.

PAN: A co to jest człowiek szczęśliwy lub nieszczęśliwy?

KUBUŚ: Co to, to bardzo łatwe. Człowiek szczęśliwy to ten, którego szczęście zapisane jest w górze; tym samym ten, którego nieszczęście zapisane jest w górze, jest człowiekiem nieszczęśliwym.

PAN: A któż jest ten, kto pisze tam w górze szczęście i nieszczęście?

KUBUŚ: A kto jest ten, kto uczynił ów wielki zwój, gdzie wszystko jest zapisane? Pewien kapitan, przyjaciel mego kapitana, chętnie byłby dał bitego talara, aby to wiedzieć; kapitan sam nie dałby ani szeląga, ani ja też nie; na co by mi się to zdało? Czy uniknąłbym przez to dziury, w której mam kark skręcić?

PAN: Myślę, że tak.

KUBUŚ: Ja myślę że nie; musiałyby bowiem być jakaś kreska fałszywa w wielkim zwoju, który zawiera prawdę, samą prawdę i całą prawdę. Byłoby napisane na wielkim zwoju: „Kubuś skręci kark tego a tego dnia” i Kubuś nie skręciłby karku? Czy wyobraża pan sobie, że to możliwe bez względu na to, komu przypiszemy autorstwo wielkiego zwoju?

PAN: Wiele by rzeczy można powiedzieć w tej kwestii...

KUBUŚ: Mój kapitan mniemał, iż roztropność jest to przypuszczenie, w którym doświadczenie upoważnia nas do patrzenia na dane okoliczności jako na przyczyny pewnych skutków, jakich możemy się spodziewać lub obawiać na przyszłość.

PAN: I ty co z tego rozumiesz?

KUBUŚ: Zapewne; stopniowo włożyłem się do jego języka. Ale, powiadał, kto może się chlubić, iż ma dosyć doświadczenia? Ten, który sobie pochlebiał, iż najlepiej jest w nie zaopatrzoney, czy nigdy się nie oszukał? A potem, czy istnieje człowiek zdolny trafnie ocenić okoliczności, w jakich się znajduje? Rachunek, jaki czynimy w naszych głowach, a ten, który zapisany jest w rejestrach tam w górze, to dwie rzeczy bardzo różne. Zali<sup>13</sup> to my kierujemy losem albo też los kieruje nami? Ileż zamysłów roztropnie wykonanych chybiło i jeszcze chybi! Ile niedorzecznych zamysłów powiodło się i ile się powiedzie! Oto

Obraz świata, Kondycja  
ludzka, Rozum, Szaleństwo,  
Szczęście, Los, Bóg

<sup>13</sup>zali (daw.) — czyż. [przypis edytorski]

co mi powtarzał kapitan po wzięciu Berg-op-Zoom i Port Mahon; dodawał, że przezorność nie daje pewności dobrego wyniku, ale daje pociechę i usprawiedliwienie w złym: dlatego też w wilię bitwy spał w namiocie tak spokojnie, jak u siebie w alkierzu i szedł w ogień jak do tańca. O nim to dopiero byłbyś pan wykrzyknął: „Cóż to za człowiek!”...

W tym punkcie rozmowy usłyszeli w niejakim oddaleniu za sobą hałas i krzyki; odwrócili głowy i ujrzeli zgraję ludzi uzbrojonych w drągi i widły, którzy zbliżali się pośpiesznym krokiem. Gotowicie myśleć, iż to będą mieszkańcy oberży, służba i opryszki, o których była mowa. Gotowicie myśleć, że rankiem w braku kluczy wywalono drzwi, zaczem bandyci wyobrazili sobie, że dwaj podróżni znikli, unosząc z sobą ich odzież. Tak myślał Kubuś i mruczał między zębami: „Przeklęte niech będą klucze i urojenie czy racja, która mi je kazała zabierać! Przeklęta przezorność!” etc<sup>14</sup>, etc. Gotowicie myśleć, iż mały hufczyk wpadnie na Kubusia i jego pana, że wywiąże się krwawa bitwa, razy i wystrzały; jakoż zależałoby tylko ode mnie, aby to wszystko w istocie miało miejsce; ale wówczas bywaj, zdrowa prawdo, bywajcie, zdrowe amory Kubusia. Faktem jest, iż podróżnych nikt nie ściagał i że nie wiem, co zaszło w gospodzie po ich wyjeździe. Jechali dalej swoją drogą, ciągle nie wiedząc, dokąd jadą, mimo iż wiedzieli mniej więcej, dokąd by chcieli jechać; jechali, oszukując nudę i zmęczenie milczeniem i gawędą, jak to jest zwyczajem ludzi odbywających podróż, a niekiedy także i siedzących na miejscu.

Jest bardzo oczywistym, że nie piszę tutaj powieści, skoro gardzę wszystkim, czym powieściopisarz nie omieszkałby się posłużyć. Ten, kto by wziął to, co piszę, za prawdę, byłby może w mniejszym błędzie niż ktoś, kto by to wziął za bajkę.

Tym razem pan przemówił pierwszy, przy czym rozpoczął od zwyczajnej przyśpiewki: „No i cóż, Kubusiu, historia twoich amorów?”

KUBUŚ: Nie wiem, na czym stanąłem. Tak często musiałem przerywać, iż na jedno by wyszło zacząć od początku.

PAN: Nie, nie. Ocknąwszy się z omdlenia na progu chaty, znalazłeś się w łóżku, otoczony przez jej mieszkańców.

KUBUŚ: Doskonale! Otóż najpilniejszą rzeczą było sprowadzić chirurga, nie było zaś takowego na milę wokoło. Poczciwiec kazał wsiąść na koń jednemu z synów i wysłał go do najbliższego miasteczka. Tymczasem dobra kobieta zagrzała garnek cienkiego wina, podarła starą koszulę i oto wnet obmyto, obłożono i zawinięto w płótno moje biedne kolano. Paroma kawałkami cukru niedojedzonego przez muchy osłodzili zacni ludzie resztkę wina, które służyło do opatrunku, i dali mi się napić: po czym zachęcili mnie, abym miał cierpliwość. Było późno; mieszkańcy chaty zasiedli do stołu, aby wieczerzać. Wieczera się skończyła: chłopca i chirurga ani śladu. Ojciec zaczął się złościć. Był to człowiek z natury zgryźliwy; gderał wciąż na żonę i nic mu nie było do smaku. Przepędził surowo dzieci spać. Żona usiadła na ławce i wzięła kądziel. On chodził tam i z powrotem, szukając raz po razu zwady ze swą połowicą. „Gdybyś była poszła do młyna jak ci mówiłem...” mruczał i kończył zdanie wymownym potrząśnięciem głowy w moją stronę.

— Pójdę jutro.

— Właśnie dziś trzeba było iść, jak mówiłem... A cóż z resztkami słomy, które są w stodole? Na cóż czekasz, aby je zebrać?

— Zbierze się jutro.

— Tylko patrzeć, jak braknie; byłoby lepiej, gdybyś zebrała dziś, jak ci mówiłem... A kupa jęczmienia, która pleśnieje na strychu; założyłbym się, nie pomyślałaś o tym, aby ją przetrząsnąć.

— Chłopcy to już zrobili.

— Trzeba było zrobić samej. Gdybyś siedziała na strychu, nie byłabyś wystawała w drzwiach...

Tymczasem zjawił się chirurg, potem drugi, potem trzeci wraz z synkiem gospodarza.

PAN: Otoś bogaty w chirurgów jak święty Roch w kapelusze<sup>15</sup>.

KUBUŚ: Pierwszego nie było w domu, gdy chłopczek przybył go szukać; żona jego dała znać drugiemu, trzeci zaś pospieszył wraz z chłopcem. „Dobry wieczór panom kolegom; i wyście tutaj?” — rzekł pierwszy... Śpieszyli się, ile mogli, zgrzali się, pić im

<sup>14</sup>etc. (łac. *et caetera*) — skrót od: i tak dalej (a.: i inne). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>bogaty (...) jak święty Roch w kapelusze — św. Roch wedle legendy miał trzy kapelusze. [przypis tłumacza]

się chciało. Zasedli dokoła stołu, z którego nie zdjęto jeszcze obrusa. Kobieta schodzi do piwnicy i wraca z butelką. Mąż mruczy między zębami: „Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!”. Popijają, rozmowa toczy się o chorobach w okolicy; zaczynają wyliczać pacjentów. Skarżę się na ból, powiadają: „W tej chwili jesteśmy do usług”. Po tej butelce zażądali drugiej na rachunek kuracji; potem trzeciej, czwartej, ciągle na rachunek kuracji; za każdą zaś butelką, mąż ponawia swój wykrzyknik: „Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!”.

Czegóż by nie wydobył kto inny z owych trzech chirurgów, z ich rozmowy przy czwartej butelce, z obfitości ich cudownych kuracji, z niecierpliwości Kubusia, złego humoru gospodarza, z rozpraw naszych wioskowych eskulapów dokoła uszkodzonego kolana, z rozbieżności ich zdań: jeden utrzymywałby uparcie, że pacjent jest stracony, jeśli mu się co rychlej nie odejmie nogi; drugi zaś, iż trzeba wyjąć kulę i część ubrania, jaka się z nią dostała do kolana i darować nieborakowi jego odnóże. Wśród tego można by pokazać Kubusia, jak siedzi na łóżku, patrząc litościwie na swą nogę i przesyłając jej ostatnie pożegnania. Trzeci chirurg baraszkowałby sobie, póki by się nie wszczęła kłótnia, w której od słów przeszliby do gestów.

Daruję wam te wszystkie szczegóły, których pełno znajdziecie w powieściach, w dawnej komedii i w życiu. Skoro usłyszałem gospodarza, jak wykrzyknął po raz dziesiąty: „Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!”, przypomniałem sobie Molierowskiego Harpagona<sup>16</sup>, gdy powiada o synu: *Po kiegoż diabła laził na ten statek?* I pojąłem, że nie tylko chodzi o to, aby być prawdziwym, ale że trzeba też być zabawnym; i to jest przyczyna, dla której po wiek wieków powtarzać będą: *Po kiegoż diabła laził na ten statek?*, odezwanie zaś mego wieśniaka: *Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!* — nie przejdzie nigdy w przysłowie.

Kubus nie zachował wobec pana względów, jakich ja przestrzegam wobec ciebie, czytelniku: nie opuścił najmniejszego szczegółu, narażając go zgoła na niebezpieczeństwo powtórnego zaśnięcia. Skończyło się na tym, iż jeżeli nie najrzęczniejszy, to w każdym razie najsilniejszy z chirurgów utrzymał się przy pacjencie.

Czy może (powiecie) masz zamiar oglądać w naszych oczach lancety, wrzynać je w ciało, wypuszczać krew i kazać nam oglądać operację? Czy może, pańskim zdaniem, byłoby to dziełem arcy-dobrego smaku?... Dobrze więc, daruję wam ostatecznie operację; ale pozwólcie przynajmniej Kubusowi powiedzieć swemu panu: „Ach, panie, to są straszliwe rzeczy naprawianie strzaskanego kolana!”... Panu zaś odpowiedzieć jak wprzód: „Ech, Kubusiu, żartujesz chyba”... Czego zaś za wszystkie skarby świata nie zgodziłbym się zataić, to tego, iż zaledwie pan Kubusia rzucił tę niedbałą odpowiedź, nagle własny jego koń potyka się i pada, kolano pana wchodzi w bliską styczność ze spiczastym kamieniem, jego zaś właściciel krzyczy wniebogłosy: „Jezus Maria! moje kolano!”...

Kubus, najlepszy w świecie chłopak, jakiego sobie można wyobrazić, tkliwie przywiązany był do pana; mimo to chciałbym wiedzieć, co się działo w głębi jego duszy (jeżeli nie w pierwszej chwili, to przynajmniej skoro się upewnił dostatecznie, iż upadek ten nie będzie miał przykrzych następstw) i czy mógł sobie odmówić lekkiego drgnienia tajemnej radości z powodu przygody, która miała pouczyć tegoż pana, jak smakuje zranienie w kolano. Druga rzecz, czytelniku, co do której rad bym, abyś mnie objaśnił, to, czy jego pan nie byłby wolał zranić się, bodaj nieco ciężiej, gdzie indziej niż w kolano, i czy nie bardziej dopiekało mu zawstydzenie od bólu.

Skoro pan ocknął się nieco z upadku i przerażenia, wdrapał się na siodło i dał parę ostróg koniowi, który pomknął jak błyskawica; toż samo uczyniła kobyła Kubusiowa, pomiędzy bowiem dwójgiem bydłatek panowała ta sama poufalość, co między ich panami: były to dwie pary przyjaciół.

Gdy wreszcie konie, zdyszane, wróciły do zwyczajnego kroku, Kubus rzekł: „No i cóż, co pan o tym sądzi?”.

PAN: O czym?

<sup>16</sup>*Harpagon (...) powiada (...) Po kiegoż diabła laził na ten statek?* — omyłka ze strony Diderota. Nie Harpagon, ale Geront w *Szelmowskich sztukach Skapena* (Akt II, scena II). [przypis tłumacza]

KUBUŚ: O ranie w kolano.

PAN: Jestem twego zdania; to jedna z najokrutniejszych.

KUBUŚ: W pańskie kolano?

PAN: Nie, nie, w twoje, w moje, we wszystkie kolana w świecie.

KUBUŚ: Panie, panie, nie zastanowił się pan dobrze; wierz mi pan, żałujemy zawsze jeno siebie.

PAN: Cóż za szaleństwo!

KUBUŚ: Ach, gdybym umiał mówić tak, jak umiem myśleć! — Ale było napisane w górze, iż będę miał różne rzeczy w głowie, a nie będę umiał znaleźć wyrazów.

Tutaj Kubuś zapuścił się w metafizykę bardzo subtelną i może bardzo prawdziwą. Starał się wytłumaczyć panu, iż słowo *ból* jest samo w sobie bez treści i zaczyna coś znaczyć dopiero wówczas, gdy przywodzi na pamięć wrażenie, któregośmy sami doznali. Pan zapytał, czy zdarzyło mu się kiedy rodzić.

— Nie — odparł Kubuś.

— A czy myślisz, że to wielki ból?

— Oczywiście!

— Litujesz się nad kobietą w boleściach rodzenia?

— Bardzo.

— Zdarza ci się tedy litować nad kim innym niż sobą.

— Litość budzi we mnie istota, która załamuje ręce, wrywa sobie włosy, wydaje krzyki, ponieważ wiem z doświadczenia, iż nie czyni się tego bez bólu; ale co się tyczy cierpienia właściwych kobiecie rodzącej nie lituję się ich: nie wiem, co to jest, Bogu dzięki! Ale, aby wrócić do niedoli, którą znamy obaj, do historii mego kolana, które stało się pańskim wskutek pańskiego upadku...

PAN: Nie, Kubusiu, do historii twojej miłości, która stała się moją wskutek moich minionych utrapień...

KUBUŚ: Oto więc leżę w łóżku, czując po opatrunku odrobinę ulgi; chirurg odjechał, gospodarstwo ułożyli się do spoczynku. Izba ich oddzielona była od mojej jeno rzadkim przepierzeniem z desek oklejonych szarym papierem z kolorowymi obrazkami. Leżałem, nie mogąc usnąć; wśród tego słyszałem głos żony mówiącej do męża: „Daj mi pokój, nie mam ochoty do figłów. Biedny nieszczęśnik, który omal nie skonał pod naszym progim!”...

— Kobieto, opowiesz mi to później.

— Nie, nie chcę. Jeśli mnie nie zostawisz, wstaję z łóżka. Chcesz, abym miała głowę do tego, po takim zmartwieniu!

— Jeśli się będziesz tak drożyć, możesz się załapać.

— To nie dlatego, żeby się drożyć, ale naprawdę ty bywasz niekiedy tak uparty!... tak uparty!... bo to... bo to...

Po dosyć krótkiej pauzie mąż podjął rozmowę i rzekł:

— No, kobieto, przynajże teraz, iż niewczesnym współczuciem wpakowałaś nas w kłopot, z którego diabli wiedzą, jak się wyplątać. Rok jest lichey; zaledwie będziemy mogli nastarczyć potrzebom naszym i dzieci. Zboże wprost na wagę złota! Wina na lekarstwo! Gdyby jeszcze znaleźć jakąś pracę; ale bogaci się kurczą, biedacy nie mają zarobku; na jeden dzień zatrudniony, cztery traci się darmo. Nikt nie płaci tego, co winien; wierzyciele ścigają z nieubłaganą zjadłością; i ty właśnie wybierasz tę chwilę, aby ściągnąć tu jakiegoś przybłądę, obcego człowieka, który będzie siedział nam na karku, póki się spodoba Bogu i chirurgowi niekwapiącemu się go uleczyć; wiadomo bowiem, iż każdy chirurg stara się przeciągać chorobę, ile tylko może; przybłądę, powiadam, który nie śmierdzi ani szelągami i który w dwój- i w trójnasób pomnoży nam wydatki. Kobieto, kobieto, jakże ty się pozbędziesz teraz tego czleka? Mówże co, żono, dajże jakąś rację.

— Czyż z tobą można mówić?

— Powiadasz, że jestem wściekły, że gderam; ciekawym, kto by nie był wściekły? kto by nie gderał? Było jeszcze w piwnicy trochę wina: zobaczysz, czy długo się uchowa!

Cierpienie, Współczucie,  
Pamięć, Kondycja ludzka,  
Kobieta

Małżeństwo, Żona, Seks,  
Dziecko, Bieda, Chłop

Panowie chirurdzy wypili wczoraj przez wieczór więcej niż my i dzieci przez cały tydzień. A chirurg też nie będzie przychodził darmo, możesz sobie wyobrazić: któż go zapłaci?

— Tak, bardzo rozumnie mówisz i dlatego że taka bieda, czynisz co możesz, aby postarać się o nowe dziecko, jak gdyby ich nie było dość.

— Ale nie!

— Ale tak; jestem pewna, że zastąpię.

— Za każdym razem to powtarzasz.

— I nigdy nie chybiło, zwłaszcza kiedy ucho mnie swędziało, a czuję swędzenie jak nigdy.

— Et, ucho...

— Nie dotykaj! zostaw moje ucho! zostawże, człowieku, czyż oszalał? pożałujesz!

— Aha! toć poszczę już od wilił św. Jana.

— Póty będziesz wojował, aż... a potem za miesiąc będziesz się wykrzywił, jakby to było z mojej winy.

— Nie, nie.

— A za dziewięć miesięcy jeszcze gorzej.

— Nie, nie.

— Zatem sam chcesz?

— Tak, tak.

— Będziesz pamiętał? nie powiesz jak za każdym razem?

— Tak, tak...

I oto pomału z *nie, nie do tak, tak* ów człowiek wściekły na żonę, iż dała się zmiękczyć uczuciu ludzkości...

PAN: Właśnie sobie czyniłem tę uwagę.

KUBUŚ: To pewna, iż ów mąż nie był zbyt konsekwentny; ale był młody, a żona ładna. Nigdy nie robi się tyle dzieci co w czasach nędzy.

PAN: Nic się tak nie mnoży jak biedacy.

KUBUŚ: Jedno dziecko więcej, to nic dla takich ludzi; miłosierdzie boskie je wyżywi. A potem, to jedyna przyjemność, która nic nie kosztuje; człowiek pociesza się tanim kosztem w nocy po utrapieniach dnia... Z tym wszystkim uwagi gospodarza nie były bez słuszności. Podczas gdy sam to sobie mówiłem, uczułem gwałtowny ból w kolanie i wykrzyknąłem: „Au! kolano!”. A mąż na to: „Och! żono!”... A żona: „Och! mężu! ależ... ależ... ten człowiek tam jest!”.

— No więc cóż ten człowiek?

— Może słyszał.

— A niechby słyszał.

— Nie będę mu śmiała jutro w oczy spojrzeć.

— A to czemu? Czy nie jesteś moją żoną, czy nie jestem twoim mężem? Czy mąż ma żonę, a żona męża na darmo?

— Och, och!

— Cóż takiego?

— Ucho!...

— Cóż, ucho?

— Gorzej niż kiedy.

— Śpij, to przejdzie.

— Nie potrafię. Och, ucho! ucho!

— Ucho, ucho, łatwo to mówić...

Nie umiem wam powiedzieć, co zaszło; ale kobieta powtórzywszy kilka razy *ucho*, *ucho* głosem cichym i przyspieszonym, zaczęła wreszcie bełkotać przerywanymi głoskami *u... cho... u... c h o...*, a potem w następstwie tego *u... cha...* sam nie wiem, co jeszcze; wszystko razem w połączeniu z milczeniem, jakie zaległo potem, pozwoliło wnosić, iż swędzenie ucha uśmierzyło się w ten lub ów sposób, mniejsza o to, jak: co mi zrobiło szczerą przyjemność. No, a dopiero jej!

PAN: Kubusiu, połóż rękę na sumieniu i przysięgnij, że nie w tej kobiecie się zacho-  
chałeś.

KUBUŚ: Przysięgam.

Kobieta



PAN: Tym gorzej dla ciebie.

KUBUŚ: Gorzej lub lepiej. Myśli pan zapewne, iż kobiety, które są takiej przyrody co ona, chętnie użyczają ucha?

PAN: Myślę, iż tak jest napisane w górze.

KUBUŚ: Ja myślę, iż w dalszym ciągu napisane jest, że nie długo słuchają jednego i tego samego osobnika i bywają co nieco skłonne użyczać ucha postronnym.

PAN: Możliwe.

I oto zapuścili się w nieskończoną sprzeczkę o kobietach. Jeden twierdził, iż są dobre, drugi, że złe: i obaj mieli słusność; jeden, że głupie, drugi, że pełne sprytu: i obaj mieli słusność; jeden, że fałszywe, drugi, że szczerze: i obaj mieli słusność; jeden, że skąpe, drugi, że rozrzutne: i obaj mieli słusność; jeden, że ładne, drugi, że szpetne: i obaj mieli słusność; jeden, że gadatliwe, drugi, że skryte; jeden, że szczerze, drugi, że obłudne; jeden, że ciemne, drugi, że oświecone; jeden, że stateczne, drugi, że wyuzdane; jeden, że postrzelone, drugi, że roztropne; jeden, że duże, drugi, że małe: i obaj mieli słusność.

Wśród tej dysputy, podczas której mogli byli objechać dookoła ziemię nie przerywając ani na chwilę i nie doszedłszy do porozumienia, zaskoczyła ich burza, która zmusiła ich skierować się... — Gdzie? — Gdzie? Czytelniku, ciekawość twoja zaczyna być bardzo niewygodna! Cóż ci u diaska na tym zależy? Kiedy powiem, że do Pacanowa, do Mościsk lub do Ryczywołu, czy dużo cię to posunie naprzód? Jeżeli będziesz nalegał, powiem, iż skierowali się do... owszem, dlaczego nie?... do ogromnego zamku, nad którego bramą znajdował się ten napis: „Należę do nikogo i do wszystkich. Byliście tu, nimeście weszli, i będziecie jeszcze, skoro wyjdziecie”. — Czy weszli do tego zamku? — Nie, bowiem albo napis był fałszywy, albo byli już w zamku zanim doń weszli. — Ale przynajmniej wyszli stamtąd? — Nie, bowiem albo napis był fałszywy, albo byli tam jeszcze, skoro zeń wyszli. — I cóż tam robili? — Kubuś powiadał, iż to, co było napisane w górze; pan, iż to, co chciał: i obaj mieli słusność. Jakie towarzystwo zastali? — Mieszane. — Co mówiono? — Nieco prawdy i wiele kłamstw. — Czy byli tam ludzie dorzeczni? — Gdzież ich nie ma? A także i przekłęci zadawacze pytań, których unika się jak zarazy. A co najwięcej raziło Kubusia i pana przez cały czas, gdy się przechadzali... — Więc się przechadzali? — Bez ustanku, o ile tylko nie siedzieli lub nie leżeli... Najwięcej raziło ich to, iż zastali z jakich dwudziestu śmiałków, którzy zagarnęli sobie najwspanialsze apartamenty, gdzie po największej części było im jeszcze ciasno. Zuchwalcy ci utrzymywali wbrew powszechnemu prawu i istotnemu znaczeniu napisu, iż zamek przekazano im na pełną własność; i przy pomocy garści płatnych hultai wparli to przekonanie w znaczną liczbę również płatnych przez siebie hultai gotowych za drobną sztukę monety powiesić lub zamordować pierwszego, który by się ośmielił sprzeciwić: wszelako za czasu Kubusia i jego pana bywały wypadki takiej śmiałości. — Czy uchodziły bezkarnie? — To względne.

Powiecie mi, iż czynię sobie zabawkę i że, nie wiedząc, co począć z mymi podróżnymi, rzucam się w alegorię, pospolity ratunek jałowych umysłów. Daruję wam moją alegorię i wszystkie bogactwa, jakie mógłbym z niej wydobyć; przyznam, co wam się spodoba, ale pod warunkiem, iż nie będziecie mnie nękać w kwestii ostatniego noclegu Kubusia i jego pana; czy to dobili do jakiegoś miasta i nocowali u dziewcząt; czy że spędzili noc u starego przyjaciela, który podjął ich, jak mógł najlepiej; czy że szukali schronienia u mnichów zakonu żebrzącego, gdzie dla miłości Bożej dano im zły nocleg i lichą strawę; czy znaleźli gościnę w domu możnego pana, gdzie im brakło wszystkiego, co potrzebne, pośród obfitości wszystkiego, co zbyteczne; lub też opuścili rankiem wielce pańską gospodę, gdzie im kazano zapłacić bardzo drogo za lichą wieczerzę podaną na srebrnych półmiskach i noc spędzoną pod kotarami z adamaszku w wilgotnych i nieświeżych prześcieradłach; lub że przyjęli gościnność wiejskiego wikarego, który pospieszył na wieś obłożyć dziesięciną kurniki parafian, aby zdobyć dla gości omlet i potrawkę z kurczęcia; albo też podpili sobie przednim winkiem, podjedli suto i zyskali dobrze zapracowaną niestrawność w bogatym opactwie bernardynów; mimo bowiem, że to wszystko zdaje się jednakże możliwe, Kubuś nie był tego zdania; istotnie możliwą z tych możliwości była tylko ta, która była zapisana w górze. Co natomiast jest prawdą, to iż z jakiego bądź miejsca podoba się wam, aby wyruszyli w drogę, nie ujechali jeszcze dwudziestu kroków, kiedy pan rzekł do Kubusia, zacerpnąwszy poprzednio wedle zwyczaju spory niuch w tabakierce: „No i cóż, Kubu-

siu, historia twoich amorów?” Zamiast odpowiedzieć, Kubuś wykrzyknął: „Do diabła z historiami moich amorów! A toć ja, dalibóg, zostawiłem”...

PAN: Cóżżeś zostawił?

Zamiast odpowiedzieć Kubuś wywracał wszystkie kieszenie i przeszukiwał nadaremnie. Zostawił pod poduszką miszek podróżny z pieniędzmi, ale ledwie zdążył uczynić panu to przykre zwierzenie, ów zakrzyknął: „Do diabła z historiami twoich amorów! Toć mój zegarek został na kominku!”.

Kubuś nie dał się prosić; natychmiast zatoczył koniem i poczłapał z powrotem wolnym truchtem, nigdy bowiem nie było mu spieszno... — Do ogromnego zamku? — Nie, nie. Spośród rozmaitych możliwych noclegów wybierzcie ten, który najlepiej odpowiada okolicznościom.

Tymczasem pan jechał ciągle naprzód: oto więc pan i sługa rozdzielili się i nie wiem, któremu z nich towarzyszyć. Jeśli chcecie udać się za Kubusiem, miejcie się na baczności: poszukiwanie sakiewki i zegarka może być tak długie i zawikłane, iż nieprędko uda się słudze połączyć ze swym panem, jedynym powiernikiem jego amorów, a wtedy bywajcie zdrowe, amory Kubusia. Jeśli wysławszy go samego na poszukiwanie zegarka i sakiewki, zechcecie dotrzymać kompanii panu, będzie to z waszej strony wielka uprzejmość, ale przypłacicie ją potężną nudą: nie znacie jeszcze ludzi tego gatunku. Myśli w głowie ma jak na lekarstwo: jeśli mu się zdarzy powiedzieć coś do rzeczy, to chyba coś zasłyszanego albo też przypadkiem. Ma oczy jak wy i ja: ale przeważnie nie wiadomo, czy patrzy. Nie śpi, a także nie czuwa: pozwala służyć życiu: to jego zwykłe zatrudnienie. Automat ów wędrował przed siebie, oglądając się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy Kubuś nie wraca; schodził z konia i szedł piechotą; wsiadał z powrotem, jechał ćwierć mili, znów zląził i siadał na ziemi, okręciwszy uzdę dokoła garści i wsparłszy głowę na rękach. Kiedy znużył się tą postawą, wstawał i patrzył z daleka, czy nie widać Kubusia. Ani śladu! Wówczas niecierpliwiał się, raz po raz mruczał bez myśli: „Hycel! pies! łajdak! gdzie on siedzi? co on robi? Czy potrzeba tyle czasu, aby odnaleźć sakiewkę i zegarek? Kości mu pogruchoć! to go nie minie; och, kości pogruchoć!”. Następnie szukał zegarka w kieszonce, gdzie go nie było, i popadał stopniowo w ostateczną rozpacz, nie wiedział bowiem, co począć bez zegarka, tabakierki i Kubusia; były to trzy wielkie pociechy jego życia, które służyły na zażywaniu tabaki, spoglądaniu na godzinę i zadawaniu pytań Kubusowi: a to we wszystkich możliwych kombinacjach. Pozbawiony zegarka, musiał się tedy ograniczyć do samej tabakierki, którą otwierał i zamykał co minuta, ot, jak i ja czynię, kiedy się nudzę. Wieczorna pozostałość tabaki w mojej tabakierce stoi w stosunku prostym do zabawy lub odwrotnym do nudy w ciągu dnia. Błagam cię, czytelniku, abyś się oswoił z tym sposobem mówienia zapożyczonym z geometrii, podoba mi się bowiem jego ścisłość i będę się nim nieraz posługiwał.

No i cóż? masz już dosyć pana; a że sługi coś długo nie widać, czy chcesz, abyśmy podążyli ku niemu? Biedny Kubuś! W chwili, gdy o nim mówimy, wykrzyknął boleśnie: „Było tedy napisane w górze, iż jednego i tego samego dnia przytrzymają mnie jako złodzieja i bandytę, zaprowadzą do więzienia i w dodatku obwiną o uwiedzenie dziewczyny!”.

Gdy wolnym truchcikiem zbliżał się do zamku... nie... do miejsca ostatniego noclegu, minął go jeden z owych wędrownych kramarzy kupujących wszelkim towarem i krzyknął: „Panie szlachcicu, mam podwiązki, paski, łańcuszki do zegarków, tabakierki najnowszej mody, dewizki, pierścionki, pieczętki. Oto zegarek: złoty, cyzelowany, z podwójną kopertą, jak nowy”... Kubuś odparł: „Szukam właśnie zegarka, ale to nie ten”... i dalej człapał drogą, ciągle wolnym truchcikiem. Gdy tak jechał, nagle zdało mu się, iż widzi napisane w górze, że zegarek ofiarowany przez tego człowieka jest tożsamym z zegarkiem jego pana. Nawraca tedy i rzecze: „Pokaż no, przyjacielu, ów zegarek w złotej oprawie, mam jakieś przeczucie, że mi się nada”.

— Na honor — odparł przekupień — nie dziwiłbym się: piękna, bardzo piękna sztuka, prawdziwy Julian Le Roi<sup>17</sup>. Ledwo parę chwil, jak go mam w posiadaniu; nabyłem go ot, za bezcen, ustąpię też niedrogo. Lubię zysk mały a częsty; ale teraz lichey czas na

Pan, Sługa, Nuda

<sup>17</sup>Julian Le Roi — słynny zegarmistrz współczesny. [przypis tłumacza]

interesa: mogę ze trzy miesiące czekać na podobną gratkę. Wyglądasz na poczciwego człowieka; wolę, abys pan skorzystał niż kto inny...

Tak gwarząc, przekupień ułożył kramik na ziemi, otworzył go i wydobyl zegarek, który Kubuś poznał natychmiast i bez zdziwienia; o ile bowiem nigdy się nie śpieszył, o tyle dziwił się rzadko. Obejrzał dobrze zegarek: „Tak, powiedział sobie w duchu, to ten”... Do przekupnia zaś: „Masz pan słuszność, ładny, bardzo ładny i wiem, że chodzi doskonale”... Następnie wpuszczając go do kieszonki, rzekł: „Przyjacielu, ślicznie dziękuję!”.

— Jak to, ślicznie dziękuję?

— Tak, to zegarek mego pana.

— Nie znam żadnego pana, zegarek jest mój, kupiłem go i zapłaciłem w gotowiźnie...

I chwytając Kubusia za kołnierz, zaczął się z nim szamotać. Kubuś rzuca się do konia, chwytając pistolet z olstrów i przykładając do piersi kramarza, woła: „Umykaj albo zginiesz”. Kramarz przerażony porzuca zdobycz. Kubuś siada z powrotem na konia i rusza truchcikiem ku miastu, mówiąc w duchu: „Otóż byłby zegarek, pomyślmy teraz o sakiewce”... Kramarz zamyka w pośpiechu walizkę, bierze ją z powrotem na plecy i śpieszy za Kubusiem, wołając: „Złodziej! złodziej, morderca! na pomoc! do mnie! do mnie!”.. Było to w porze zbiorów: w polu było pełno pracowników. Wszyscy porzucają sierpy, gromadzą się koło przekupnia i pytają, gdzie złodziej, gdzie morderca.

— O ten, oto jedzie.

— Jak to! ten tam, który wędruje truchtem ku bramom miasta?

— Ten sam.

— Idźcież człowieku, źle macie w głowie, toć złodziej nie jedzie takim krokiem.

— Złodziej, powiadam wam, złodziej: wydarł mi przemocą złoty zegarek...

Ludzie nie wiedzieli, komu wierzyć, krzykom przekupnia czy spokojnemu truchtowi Kubusia. „Słuchajcie, dobrzy ludzie — krzyczał ciągle kramarz — zarżnięty jestem, jeśli mi nie pomożecie; wart był trzydzieści ludwików jak grosz. Ratujcie mnie, toć on uwozi moje mienie: jeśli mu przyjdzie ochota puścić się galopa, mogę się pożegnać z zegarkiem”...

Kubuś, o ile nie był w możności słyszenia krzyków, mógł łatwo widzieć zbiegowisko: wszelako nie przyspieszył kroku. Wreszcie nadzieją nagrody udało się kramarzowi zachęcić chłopków do pogoni. I oto gromada mężczyzn, kobiet i dzieci puszcza się za Kubusiem i krzyczy: „Złodziej! złodziej! morderca!”, kramarz zaś kuśtyka za nimi tak chyżo, jak tylko pozwala mu jego tobolek i krzyczy: „Złodziej! złodziej! morderca!”

Wkroczyli tak do miasta, w owym to bowiem mieście Kubuś i jego pan spędzili ostatni nocleg; przypominam sobie w tej chwili. Mieszkańcy wylegają z domów, przyłączają się do chłopków i kramarza i krzyczą w zgodnym chórze: „Złodziej! złodziej! morderca!”... Wszyscy dopadli Kubusia niemal równocześnie. Skoro kramarz rzucił się na niego, Kubuś wymierzył mu kulakiem cios, który go obalił na ziemię, ale jeszcze w tej pozycji krzyczał nieustannie: „Łotrze, łajdaku, zbrodniarzu, oddaj zegarek; oddasz, obwiesiu, a mimo to będziesz dyndał”... Kubuś, zachowując zimną krew, zwrócił się do tłumu, który wzrastał z każdą chwilą i rzekł: „Musi tu być komisarz policji, proszę zaprowadzić mnie do niego: tam postaram się udowodnić, że nie jestem łajdakiem, natomiast ten człowiek może się nim łatwo okazać. Wziąłem mu zegarek, to prawda; ale zegarek jest własnością mego pana. Nie jestem zupełnie obcy w tym mieście: przedwczoraj wieczór przybyliśmy tu z panem i zatrzymaliśmy się u pana naczelnika sądu, jego dawnego przyjaciela”. Jeśli wam nie mówiłem poprzednio, że Kubuś i jego pan przejeżdżali przez Conches i stanęli gospodą u naczelnika tamecznego sądu, to dlatego iż nie nadarzyła się sposobność. „Proszę mnie zaprowadzić do pana naczelnika”, powtarzał Kubuś i równocześnie zsiadł z konia. W samym środku orszaku paradowali Kubuś, jego koń i przekupień. Przybywają do domu naczelnika. Kubuś, koń i kramarz wchodzą do środka, przy czym Kubuś i kramarz trzymają się wzajem za dziurki u surduta. Tłum został na zewnątrz.

Cóż począł tymczasem pan Kubusia? Zdrzemnął się na kraju gościńca z uzdą okręconą koło garści, przy czym zwierzę skubało trawę w podległym śpiącego, o ile pozwalała na to długość uzdy.

Skoro tylko pan naczelnik ujrzał Kubusia, wykrzyknął: „Ej, tyżeś to, dobry Kubusiu! Cóż cię sprowadza samego z powrotem?”.

— Zegarek mego pana: wyjeżdżając, zostawił go na kominku, ja zaś znalazłem go w walizce tego człowieka; dalej sakiewka zapomniana w węzłowiach łóżka, która też się odnajdzie, jeżeli pan rozkaże.

— I jeżeli tak jest zapisane w górze... — dodał dygnitarz.

Natychmiast kazał zwołać swoich ludzi; kramarz zaś, wskazując wysokiego draba o dość podejrzanej minie, niedawno przyjętego do domu, rzekł: „Oto ten człowiek sprzedał mi zegarek”.

Urzędnik, przybierając groźne oblicze, rzekł do kramarza i do służącego: „Zasługivalibyście obaj na galery; ty, iż sprzedałeś zegarek, ty, że kupiłeś”... Do lokaja: „Oddaj temu człowiekowi pieniądze i ściągaj natychmiast liberię”... Do kramarza: „Czym prędzej wynoś się z okolicy, jeśli nie chcesz, aby cię w niej przygwożdżono na zawsze. Obaj bawicie się rzemiosłem, które nie wyjdzie wam na dobre”... Teraz, Kubusiu, zajmijmy się sakiewką. Osoba, która ją sobie przywłaszczyła, stawiała się bez zawezwania; była to pięknie wyrosnięta dziewczyna, zbudowana na schwał. „To ja, panie, mam tę sakiewkę — rzekła do pryncypała — ale nie ukradłam; dał mi ją sam”.

— Ja ci dałem sakiewkę?

— Tak.

— Możliwe, ale niech mnie diabli porwą, jeżeli sobie przypominam...

Urzędnik rzekł do Kubusia: „No, no, Kubusiu, nie wyjaśnijmy dalej”.

— Panie...

— Wedle tego, co widzę, jest ładna i niedzika.

— Panie, przysięgam...

— Ileż było w sakiewce?

— Około dziewięćset siedemnastu funtów.

— Och, Joasiu, dziewięćset siedemnaście funtów za jedną noc to o wiele za dużo jak na was oboje. Daj mi tę sakiewkę...

Dziewucha podała sakiewkę panu, który dobył podwójnego talara: „Masz — rzekł — oto zapłata za twoje usługi; warta jesteś więcej, ale dla kogo innego niż Kubuś. Życzę ci dwa razy tyle każdego dnia, ale nie w moim domu: rozumiesz? A ty, Kubusiu, siadaj co żywo na koń i wracaj do pana”.

Kubuś skłonił się urzędnikowi i oddalił bez odpowiedzi, ale mówił sobie w duchu: „A, szelma! a, łajdaczka! było tedy napisane w górze, że kto inny się z nią prześpi, a Kubuś zapłaci!... Ech, pociesz się, Kubusiu, czy nie dosyć szczęścia, że odnalazłeś swoją sakiewkę i pański zegarek, i że cię to kosztowało tak niewiele?”.

Kubuś wsiada na konia i rozpięra ciżbę, jaka się uczyniła pod domem; ale ponieważ ciężko mu było przenieść, iżby tylu ludzi miało go brać za hultaja, powoli i rozmyślnie wydobył z kieszeni zegarek i popatrzył na godzinę; następnie dał ostrogę koniowi, który, nie będąc do tego przyzwyczajony, pognął z kopyta. Zwyczajem Kubusia było pozwalać mu iść krokiem, jaki sam koń uznał za właściwy: równie bowiem niewczesnym zdawało mu się zatrzymywać go, kiedy galopował, jak popędzać, kiedy szedł powoli. Zdaje się nam, że prowadzimy los, podczas gdy w istocie on zawsze nas prowadzi: losem zaś mienił Kubuś wszystko, co napotykał na drodze, konia, własnego pana, mnicha, psa, kobietę, muła, wronę. Konik niósł go tedy całym pędem ku panu, który zdrzemnął się był na kraju gościńca z uzdą okręconą koło garści, jak wspomniałem. Wszelako gdy Kubuś zastał pana w tej pozycji, uzda znajdowała się na swoim miejscu, ale konia nie było. Widocznie jakiś hultaj zakradł się ku śpiącemu, obciął uzdę i uprowadził bydłatko. Na tętent Kubusiowego konia pan zbudził się; pierwszym jego słowem było: „Chodź no, chodź, gałganie! ja cię”... Tutaj zaczął poziewać na łokieć szeroko.

— Ziewaj pan, ziewaj do syta — rzekł Kubuś — ale gdzie się podziewa pański koń?

— Mój koń?

— Tak, koń...

Pan, spostrzegłszy w tej chwili, iż skradziono mu konia, gotował się już wpaść na Kubusia zamachując się resztkami uzdy; ale ten rzekł: „Powoli, panie, nie jestem dziś w usposobieniu, żeby się dać grzmocić; uderzy mnie pan raz, ale przysięgam, że za następnym spinam konia i zostawiam pana, jak pan stoi”...

Groźba Kubusia ostudziła natychmiast gniew pana, który rzekł już znacznie łagodniej: „A zegarek?”

Pieniądz, Kobieta,  
Mężczyzna

Koń, Los

Pan, Sługa

- Oto jest.
- A sakiewka?
- Oto jest.
- Długo siedziałeś.

— Niezbyt długo, jak na to, com zdziałał. Posłuchaj pan. Przybyłem na miejsce, wdałem się w bójkę, poruszyłem całą wieś przeciw sobie, wzięto mnie za opryszka i złodzieja, zaprowadzono do sędziego, przeszedłem podwójne śledztwo, omal nie wysłałem dwóch ludzi na szubienicę, przyprawiłem lokaja o wygnanie z domu, pokojówkę o utratę miejsca, przekonano mnie, iż spędziłem noc w łóżku osoby, której nigdy nie widziałem, a której mimo wszystko zapłaciłem za to; i jestem z powrotem.

— A ja, czekając na ciebie...

— Czekając na mnie, było napisane w górze, iż się pan zdrzemnie i że panu ukradną konia. Ha, cóż! nie myślmy o tym dłużej! niewielkie rzeczy, jeden koń stracony, a być może jest napisane w górze, że się odnajdzie.

— Mój koń! mój biedny koń!

— Choćbyś pan lamentował bodaj do jutra rana, nic to nie pomoże ani nie odmieni.

— Cóż teraz poczniemy?

— Wezmę pana z tyłu oklep, albo też, jeżeli pan woli, zdejmemy buty, przytroczymy je do siodła i będziemy dalej iść piechotą.

— Mój koń, mój biedny koń!

Postanowili raczej wędrować piechotą, przy czym pan wykrzykiwał od czasu do czasu: „Mój koń! mój biedny koń!”, Kubuś zaś rozwijał obszerniej streszczenie swych przygód. Skoro doszedł do punktu oskarżenia owej dziewczyny, pan rzekł:

— Naprawdę, Kubusiu, nie spałeś z tą dziewczyną?

KUBUŚ: Nie, panie.

PAN: I zapłaciłeś?

KUBUŚ: Tak się widzi.

PAN: Raz w życiu zdarzyło mi się większe nieszczęście niż twoje.

KUBUŚ: Zapłaciłeś pan, przespawszy się poprzednio?

PAN: Tyś rzekł.

KUBUŚ: Nie opowie mi pan tego?

PAN: Nim zapuścimy się w historię moich amorów, trzeba wprzód wybrnąć z twoich. No! Kubusiu, dzieje twojej miłości, którą przyjmuję jako pierwszą i jedyną twego życia, mimo przygody ze służącą w Conches; gdybyś bowiem nawet się z nią przespał, nie znaczy, abyś był zakochany. Codziennie niemal człowiek sypia z kobietami, których nie kocha, a nie sypia z kobietami, które kocha. Ale...

Kobieta, Miłość, Seks

KUBUŚ: Cóż, ale...? Co panu?

PAN: Mój koń!... Kubusiu, serce, nie gniewaj się: postaw się na miejscu mego konia, wyobraź sobie, że ciebie straciłem, i powiedz, czy nie cenilibyś mnie tym więcej, słysząc jak wykrzykuję: „mój biedny Kubuś!”?

Pan, Koń, Sługa

Kubuś uśmiechnął się i rzekł: „Stanęliśmy, o ile pamiętam, na rozmowie gospodarza z żoną, w ową noc po pierwszym opatrunku. Zasnąłem trochę. Gospodarz i jego małżonka wstali nieco później niż zwykle”.

PAN: Bardzo wierzę.

KUBUŚ: Obudziwszy się, rozsunałem pomału firanki i ujrzałem gospodarza, żonę i chirurga w tajemniczej konferencji na progu. Po tym, co słyszałem w ciągu nocy, nie trudno było domyślić się treści. Chrząknąłem. Chirurg rzekł: „Obudził się; zejdźcie no, kumie, do piwnicy, golniemy hyczek; to daje dziwną pewność ręki. Zdejmę następnie opatrunek i pogadamy o reszcie”.

Lekarz, Kaleka, Alkohol

Skoro przyniesiono i wypróżniono butelkę, bowiem wedle terminów sztuki *golnąć hyczek* znaczy wypróżnić co najmniej jedną butelkę, chirurg zbliżył się do łóżka i rzekł: „Jakąż mieliśmy noc?”

— Niezłą.

— Proszę rękę... Dobrze, dobrze, puls wcale niezgorszy, gorączki prawie że już nie ma. Trzeba zobaczyć kolano... Dalej, gosposiu — rzekł do gospodyni, która stała w nogach łóżka za firanką — pomóżcie nam... — Gospodyni zawołała na któreś z dzieci. — Nie

dziecko nam tutaj potrzebne, ale wy sami; jeden fałszywy ruch przysporzyłby roboty na miesiąc. Zbliźcie się, pani kumo. — Gospodyni zbliżyła się ze spuszczonej oczyma. — Weźcie nogę, tę zdrową, ja biorę na siebie drugą. Powoli, powoli... Tak, ku mnie, jeszcze troszeczkę ku mnie... Mój przyjacielu, wykręć no troszeczkę na prawo... o tak... jesteśmy w domu...

Trzymałem się oburącz siennika, zgrzytałem zębami, pot ściekał mi po twarzy.

— Mój przyjacielu, to nie zabawa.

— Czuję to.

— Doskonale! Pani kumo, puśćcie nogę, weźcie poduszkę i przysuńcie krzesło i połóżcie poduszkę na nie... Za blisko... trochę dalej... Mój przyjacielu, podaj mi rękę... ściśnij mocno. Pani kumo, obejdźcie no łóżko i chwycicie go pod ramię... Wyśmienicie... Mój kumie, nie zostało tam co w butelce?

— Nie.

— Stańcie tu na miejsce żony, a ona niech pójdzie poszukać drugiej... Dobrze, dobrze, lejcie pełno... kobieto, zostawcie męża i chodźcie tu do mnie... — Gospodyni zawołała jeszcze raz któreś z dzieci. — Ech, do stu czartów, już wam powiedziałem, że dziecko na nic się tu nie zda. Klęknijże pani sobie, podłóż rękę, tu, pod łydkę... Ech, kumo, co wy tak drżycie, jakby was nieszczęście miało trafić; no, śmiało... Lewą podłóż pod udo, tu, wyżej bandażu... Doskonale... — W mig przeciął nitki, odwinął bandaże, zdjął opatrunek i obnażył ranę. Chirurg obmacuje z góry, z dołu, z boku i ilekroć mnie dotknie powiada — Ignorant! osio! cymbał! takiemu bawić się w chirurga! Taką nogę ucinąć! Będziesz nią chodził nie gorzej niż tamtą, ja ci zaręczam.

— Wyleczę się?

— Nie takich wyleczyłem.

— Będę chodził?

— Będziesz.

— Nie kulejąc?

— To znowuż co innego; u diaska, mój przyjacielu, co ty masz za pretensję! Czy nie dosyć, że ci ocaliłem nogę? A zresztą, choćbyś nawet i kulał, to drobnostka. Czy lubisz tańczyć?

— Bardzo.

— Jeżeli będziesz chodził trochę gorzej, tańczyć za to będzie ci się tym lepiej... Pani kumo, wina ciepłego tutaj... Nie, wprzód tamtego, do gęby: jeszcze jedną szklaneczkę, to opatrunkowi tylko wyjdzie na zdrowie.

Wychylił szklankę: przyniesiono gorącego wina, obmyto ranę, ukończono opatrunek, ułożono mnie w łóżku, upomniano, abym spał, jeśli zdołam, zasunięto firanki, dokończono nadpoczętej butelki, przyniesiono drugą i rozpoczęła się narada między chirurgiem, gospodarzem i gospodynią.

GOSPODARZ: Słuchajcie, kumie, czy to potrwa długo?

CHIRURG: Bardzo długo... W wasze ręce.

GOSPODARZ: Ile? Miesiąc?

CHIRURG: Miesiąc! Powiedźcie dwa, trzy, cztery, któż może wiedzieć? Rotula nadwerżona, femur, tibia... W wasze, pani kumo.

GOSPODARZ: Cztery miesiące! Jezu miłosierny! Po co go było przyjmować? diabliz ją wynieśli na ten próg przeklęty!

CHIRURG: W moje ręce: napracowałem się tego.

GOSPODYNI: Znowu pan mąż zaczyna swoją śpiewkę. Co innego przyrzekałeś dziś w nocy; ale cierpliwości, przyjdzie koza do woza.

GOSPODARZ: Ale, powiedz mi, co począć z tym człowiekiem? Gdybyż bodaj rok nie był taki lichy!

GOSPODYNI: Jeżeli chcesz, pójdę do proboszcza.

GOSPODARZ: Jeśli nogą tam stąpisz, kości ci połamię.

CHIRURG: Czemu, kumie? toć moja tam zachodzi.

GOSPODARZ: To wasza sprawa.

CHIRURG: Zdrowie mojej chrześniaczki; jakżeż się ona miewa?

GOSPODARZ: Bardzo dobrze.

CHIRURG: No, kumie, zdrowie naszych żon: dzielne kobiety.

GOSPODARZ: Wasza ma więcej oleju w głowie; nie byłaby tak głupia, aby...

GOSPODYNI: Ależ, panie kumie, może by siostry szarytki...

CHIRURG: Och, pani kumo! mężczyzna, mężczyzna, u sióstr! A przy tym jest pewna mała trudność, troszkę większa niżeli palec... Pijmy na zdrowie sióstr, to dobre dziewczęta...

GOSPODYNI: A jaka trudność?

CHIRURG: Wasz mąż nie chce, abyście szli do proboszcza, a moja żona nie chce, bym chodził do sióstr... Ejże, kumie, jeszcze szklaneczkę, to nam może rozjaśni w głowie. Wzięliście już na spytki tego człowieka? Nie jest może bez środków.

GOSPODARZ: Żołnierz!

CHIRURG: Żołnierz ma ojca, matkę, braci, siostry, krewnych, przyjaciół, kogoś pod słońcem... Napijmyz się jeszcze ten lyczek, oddalcie się i pozwólcie mi działać.

Taka była rozmowa chirurga, gospodarza i gospodyni: ale jakież inne barwy było w mej mocy nadać jej, wprowadzając jakiegoś zbrodniarza między tych pocziwych ludzi? Kubuś ujrzałby się lub wy byście ujrzeli Kubusia wywleczonym z łóżka, porzuconym na gościńcu albo w jakiej rozpadlinie. — Czemuż nie zabitym? — Zabitym nie. Umiałbym w potrzebie przywołać kogoś na pomoc; ten *ktos* mógłby to być żołnierz z jego kompanii: ale to by cuchnęło *Kleweilandem* aż do obrzydliwości. Prawdy! prawdy! — Prawda, powiecie mi, jest często sucha, pospolita i płaska; na przykład ta ostatnia opowieść o opatrunku Kubusia jest prawdziwa, ale co w niej zajmującego? Nic. — Przyznaję. — Jeśli być prawdziwym, to tak jak Molier, Regnard<sup>18</sup>, Richardson<sup>19</sup>, Sedaine<sup>20</sup>; prawda ma swoje strony uderzające, które się chwytają, jeśli się ma talent. — Tak, kiedy się ma talent; ale gdy go ktoś nie ma? — Gdy nie ma, nie powinien pisać. — A gdyby, przypadkiem, podobny był do pewnego poety, którego swego czasu wyprawiłem do Pondichéry? — Cóż to za poeta? — Ów poeta... Ale jeśli będziesz przerywał, czytelniku, i jeśli ja sam będę sobie przerywał co chwilę, co się stanie z miłością Kubusia? Wierzaj mi, dajmy pokój poecie... Gospodarz i gospodyni oddalili się... — Nie, nie, historię poety z Pondichéry. — Chirurg zbliżył się do łóżka... — Historię poety z Pondichéry, historię poety z Pondichéry. — Jednego dnia przyszedł do mnie młody poeta, tak jak przychodzi ich codziennie... Ale, czytelniku, co to ma za związek z podróżą Kubusia Fatalisty i jego pana?... — Historię poety z Pondichéry. — Po zwyczajnych oświadczeniach na temat mego talentu, geniuszu, smaku, dobroczynności i innych grzecznościach, którym nie wierzę ani słówka, mimo iż będzie już z dwadzieścia lat, jak mi je powtarzają, może i z dobrą wiarą, młody poeta wyciągnął papier z kieszeni: „To wiersze”, powiada. — Wiersze! — Tak, panie i mam nadzieję, że będziesz pan tak łaskaw wyrazić mi o nich swe zdanie. — Czy pan lubi prawdę? — Tak, panie, i proszę o nią. — Będziesz ją miał. — Jak to? — rzecze czytelnik — jesteś dość ograniczony, aby wierzyć, iż poeta przychodzi szukać u ciebie prawdy? — Tak. — I dość naiwny, aby mu ją powiedzieć? — Z pewnością! — Bez ogródek? — Oczywiście: oględność, choćby najlepiej upozorowana, byłaby jeno grubą obrazą. Ściśle przetłumaczona znaczyłaby: jesteś pan lichym poetą; a ponieważ nie przypisują panu dość rozumu, abyś był zdolny usłyszeć szczerą prawdę, jesteś tym samym i marnym człowiekiem. — I szczerść taka zawsze ci się powiodła? — Prawie zawsze... Czytam tedy wiersze młodego poety i mówię: „Nie tylko pańskie wiersze są lichy, ale jest dla mnie niezbitym pewnikiem, że nigdy nie będziesz pisał dobrych”. — Nie pozostaje mi tedy nic innego, jak pisać nadal złe, nie mógłbym bowiem przemóc na sobie, aby w ogóle nie pisać. — Oto straszliwe przekleństwo! Czy zdajesz pan sobie sprawę z nędznego losu, jaki cię czeka? Ani bogowie, ani ludzie, ani kolumny<sup>21</sup> nie darowały mierności poetom: Horacy to powiedział. — Wiem o tym. — Jesteś bogaty? — Nie. — Biedny? — Bardzo biedny. — I do ubóstwa chcesz dołączyć śmieszność lichego poety; zmarnujesz życie, zestarzejesz się. Stary, biedny i lichy poeta,

Poeta, Interes

<sup>18</sup>Regnard — wybitny komediopisarz epoki pomolierowskiej (1655–1709). [przypis tłumacza]

<sup>19</sup>Richardson — głośny współczesnie powieściopisarz angielski (1689–1761). [przypis tłumacza]

<sup>20</sup>Sedaine — współczesny Diderotowi komediopisarz francuski (1719–1797). [przypis tłumacza]

<sup>21</sup>kolumny — kolumny, na których księgarz ogłaszał tytuły dzieł; *mediocribus esse poetis/ Non homines, non Di, non concessere columnae*. (Horat. *De Art. Poet.* v. 373). [przypis tłumacza]

ach, panie! cóż za rola! — Pojmuję to, ale coś ciągnie mnie pomimo woli... (Tutaj Kubuś byłby powiedział: Ale tak było zapisane w górze). — Czy masz rodziców? — Mam. — Czymże się trudnią? — Złotnictwem. — Czy uczyniliby coś dla pana? — Być może. — No, zatem! idź pan do rodziców, poddaj im, aby ci zakredytowali ładunek towaru. Wsiadaj na okręt, który odpływa do Pondichéry, w drodze będziesz robił liche wiersze, przybywszy na miejsce zrobisz majątek. Zrobiwszy majątek, wrócisz, aby znów pisać liche wiersze, ile ci się tylko spodoba, byleby ci się nie zachciało drukować, po cóż bowiem rujnować biednego drukarza... Upłynęło z jakie dwanaście lat, jak dałem młodemu człowiekowi tę radę, kiedy ujrzałem go znowu: nie poznałem go. — To ja, panie — rzekł — ten sam, którego wysłałeś do Pondichéry. Byłem, zebrałem z jakie sto tysięcy franków, wróciłem, zacząłem na nowo pisać wiersze i oto przynoszę je panu... Czy zawsze są liche? — Zawsze, ale skoro pański los jest zapewniony, nie mam nic przeciwko temu, abyś nadal pisał liche wiersze. — Mam też ten zamiar...

Skoro chirurg zbliżył się do łóżka Kubusia, ten nie czekał na to, co mu powie. „Słyszałem wszystko”, rzekł... Następnie zwracając się do pana, dodał... Miał dodać, gdy go pan zatrzymał. Znużył się długim marszem; przysiadł na kraju drogi, z głową zwróconą w stronę, z której zbliżał się ku nim jakiś wędrowiec piechotą, prowadząc konia za uzdę.

Pomyślił czytelniku, że będzie to właśnie ów koń, którego skradziono Kubusiuwemu panu: i omylił się. Tak zdarzyłoby się może w romansie, nieco wcześniej lub później, w ten lub w inny sposób: ale to nie jest romans, powiedziałem już, o ile mi się zdaje, i jeszcze raz powtarzam. Pan rzekł:

— Widzisz człowieka, który tu idzie ku nam?

KUBUŚ: Widzę.

PAN: Koń wydaje mi się niezły.

KUBUŚ: Służyłem w piechocie, nie znam się na tym.

PAN: A ja dowodziłem w kawalerii i znam się.

KUBUŚ: Cóż dalej?

PAN: Co dalej? Pójdiesz zapytać, czy by go nam nie ustąpił, rozumie się za zapłatę.

KUBUŚ: To szaleństwo, ale idę. Ile pan gotów ofiarować?

PAN: Do stu talarów...

Kubuś, zaleciwszy panu, aby znów nie usnął, idzie na spotkanie wędrowca, ofiaruje kupno, płaci i zabiera konia z sobą. — I cóż, Kubusiu — rzecze pan — jeżeli ty masz przecucia, widzisz, że i ja mam swoje. Konik piękny, kupiec przysięgł ci z pewnością, że jest bez wady; ale gdy chodzi o konia, każdy człowiek jest podejrzany.

KUBUŚ: A kiedyż nim nie jest?

PAN: Siądziesz nań tedy i ustąpisz mi swego.

KUBUŚ: Zgoda.

I oto obaj znaleźli się na siodle, a Kubuś rozpoczął:

„Kiedy opuszczałem dom, ojciec, matka, ojciec chrzestny, każdy wcisnął mi coś w rękę, wedle swoich skromnych środków; prócz tego miałem w zapasie pięć ludwików, które Jaś, mój starszy brat, darował mi, gdy się puszczał w nieszczęśliwą podróż do Lizbony... (Tutaj Kubuś zaczął płakać, pan zaś przedkładać mu, że tak było napisane w górze). Prawda, panie; powtarzałem to sobie sto razy, a mimo wszystko, nie mogę wstrzymać się od płaczu”...

I oto Kubuś zaczyna szlochać i beczeć w najlepsze; pan zaś pociąga niuch tabaki i spogląda na zegarek. Wziąwszy uzdę w zęby i wytarłszy oczy obiema garściami, Kubuś ciągnął dalej:

„Z pięciu ludwików Jasia, z rekruckiego zadatku oraz z podarków krewnych i przyjaciół, złożyłem sobie skarbczyk, z którego do tej pory nie ruszyłem ani obola. Przygodził mi się ten zapasik w dobrą chwilę; jak się panu wydaje?”

PAN: Niepodobieństwem było dłużej zostać w chacie.

KUBUŚ: Nawet za zapłatą.

PAN: Ale kiego licha twój brat szukał w tej Lizbonie?



KUBUŚ: Można by myśleć, że pan poprzysiął sobie sprowadzać mnie z drogi. Z pańskimi pytaniami możemy świat objechać dokoła, zanim dojdziemy do końca moich amarów.

PAN: O cóż chodzi, byleś ty gadał i byłem ja cię słuchał? Czy nie są to dwa punkty zasadnicze? Łajesz mnie, podczas gdy powinieneś mi dziękować.

KUBUŚ: Otóż brat szukał w Lizbonie spokoju. Jasiiek, mój brat, był to chłopak z głową i to mu przyniosło nieszczęście; byłoby lepiej dla niego, gdyby był ciemięgą jak ja; ale tak było napisane w górze. Było napisane, iż braciszek kwestarny, karmelita, który zjawiał się we wsi żebrać jajek, wełny, konopi, owocu i wina, wedle pory roku, będzie mieszkał u mego ojca, że zbałamuci Jaśka, mego brata, i że Jasiiek, mój brat, przywdzieje habit mnicha.

PAN: Jasiiek, twój brat, był karmelitą?

KUBUŚ: Tak, panie, i to karmelitą bosym. Z natury obrotny i przemyślny, był on adwokatem i doradcą całej wsi. Umiał czytać i pisać i od młodu bawił się odcyfrowywaniem i kopiowaniem starych pergaminów. Przeszedł wszystkie godności zakonu, był kolejno furtianem, szafarzem, ogrodnikiem, zakrystianem, pomocnikiem gwardiana i skarbnikiem; idąc tą koleją, byłby zapewnił los nam wszystkim. Wydał za żonę, i dobrze wydał, dwie siostry i jeszcze kilka dziewcząt we wsi. Nie mógł przejść przez ulicę, aby ojcowie, matki i dzieci nie biegli ku niemu i nie wołali: „Dzień dobry, bracie Janie; jak się miewacie, bracie Janie?”. To pewna, iż kiedy wchodził w dom, wchodziło wraz z nim błogosławieństwo Boże: jeśli była w domu dziewczyna, w dwa miesiące potem była zamężna. Biedny brat Jan! ambicja go zgubiła. Gwardian, któremu go przydano za pomocnika, był stary. Mnichy posadziły Jasia, iż ułożył sobie plan zajęcia tego stanowiska po jego śmierci, że w tym celu przewrócił do góry nogami całe archiwum, spalił dawne rejestry i sporządził nowe w ten sposób, iżby po śmierci starego gwardiana sam diabeł nie wyznał się w aktach klasztoru. Potrzeba było jakiego dokumentu? Trzeba było strawić trzy miesiące na odszukanie go; a i tak często nie zdołano odnaleźć. Ojcowie przewąchali podstęp brata Jana i jego zamiar: wzięli rzecz poważnie i brat Jan zamiast zostać gwardianem, jak sobie roił, znalazł się w komórcie o chlebie i wodzie, póty próbowany dyscypliną, póki nie zwierzył klucza swoich rejestrów. Mnichy są nieubłagane. Kiedy wyciągnęli z brata Jana wyjaśnienia, jakie im były potrzebne, uczynili zeń parobka do noszenia węgla w laboratorium, gdzie destyluje się *krople karmelitańskie*. Brat Jan, wprzód podskarbi zakonu i pomocnik gwardiana, obecnie węglarzem! Brat Jan miał ambicję; nie mógł znieść upadku swej powagi i blasku i czekał jeno sposobności, aby się umknąć temu upokorzeniu.

Wówczas to przybył do tegoż klasztoru młody ojczyk, który uchodził za cud świata w konfesjonale i na kazalnicy; nazywał się ojciec Anioł. Miał piękne oczy, gładkie lica, ramiona i ręce tylko rzeźbić! Dopieroż ojciec Anioł każe i każe, spowiada i spowiada; wszystkie pobożne duszyczki czepiają się habitu Ojca Anioła; w wigilie niedziel i świąt uroczystych sklepik ojca Anioła obłożony od baranów i owieczek, podczas gdy starzy Ojcowie daremnie czekają na klientelę w swych opustoszałych kramikach: co ich wielce martwiło... Ale, panie, gdybym dał pokój historii brata Jana, a wrócił do historii moich amarów, to by może było weselsze.

PAN: Nie, nie; zażyjmy niuch tabaki, zobaczmy, która godzina i jedź dalej.

KUBUŚ: Niech i tak będzie, skoro pan sobie życzy.

Ale koń Kubusia był odmiennego zdania; nagle dał susa i skoczył w jar. Daremnie Kubus ściska go kolanami i ściąga wędzidło, uparte zwierzę rzuca się i zaczyna całym pędem wdrapywać się na jakiś wzgórek; tu zatrzymuje się jak wryte, Kubus zaś, powiódłszy wzrokiem dokoła, ujrzał się między widłami szubienicy.

Kto inny niż ja, miły czytelniku, nie omieszkałby przystroić owej szubienicy nadobnym wisielcem i zgotować Kubusowi przykrą niespodziankę. Uwierzylibyście może, bywają bowiem przypadki i bardziej osobliwe, ale niemniej nie byłoby to prawdą: szubienica była próżna.

Kubus dał wydychać koniowi, który sam z siebie zszedł z pagórka, przebiegł z powrotem jar i przywiódł Kubusia ku panu, ten zaś rzekł: „Och, serdeńko, jakżeś mnie przestraszył! Myślałem że już po tobie. Ale tyś, widzę, zadumany: o czym dumasz?”

KUBUŚ: O tym, co ujrzałem.

PAN: Cóżżeś ujrzał?

KUBUŚ: Szubienicę.

PAN: O, do diaska! niedobry znak; ale przypomnij sobie swoje nauki. Jeśli to jest zapisane w górze, nic nie poradzisz, będziesz wisiał, drogi przyjacielu; jeśli nie jest zapisane, w takim razie koń po prostu zełgał. O ile to zwierzę nie jest jasnovidzące, podlega istotnie przykrym urojeniom; trzeba mieć na nie oko...

Po chwili milczenia Kubuś przetarł czoło, otrząsnął się, jak się czyni, aby odsunąć przykrą myśl, i zaczął nagle:

„Stare mnichy naradziły się między sobą i postanowiły za jaką bądź cenę i jakim bądź sposobem pozbyć się młokosa, który był dla nich takim upokorzeniem. Wie pan co uczynili?... Ale panie, pan nie słucha”.

PAN: Słucham, słucham, jedź dalej.

KUBUŚ: Przekupili furtiana, starego hultaja jak oni. Stary hultaj oskarżył młodego ojczyka, iż nieco poufale zachował się z jedną z owieczek w rozmównicy; stwierdził przysięgą, iż widział to na własne oczy. Może była to prawda, może fałsz: któż dojdzie? Najzabawniejsze, iż nazajutrz po tym oskarżeniu przeor klasztoru otrzymał od chirurga pozew o należność za lekarstwa, których ten dostarczył i zabiegi, jakich udzielił łajdakowi furtianowi w ciągu jego sekretnej choroby... Ale panie, pan nie słucha i wiem, co pana zaprzęta: założyłbym się, że ta szubienica.

PAN: Nie mogę przeczyść.

KUBUŚ: Widzę, że oczy pańskie błędzą uparcie po mej twarzy; czy mina wydaje się panu podejrzaną?

PAN: Nie, nie.

KUBUŚ: To znaczy: tak, tak. Ha, cóż! jeżeli pana przyprawiam o niepokój, nic prostszego, jak się rozłączyć.

Pan: Dajże spokój, Kubusiu, rozum tracisz; nie czujesz się pewny siebie?

KUBUŚ: Nie, panie; któż może być pewny siebie?

PAN: Każdy porządny człowiek. Czy Kubuś, poczciwy Kubuś, nie czuje tu, w sercu, odrazy do wszelkiej zbrodni...? Ech, Kubusiu, skończmy tę rozprawę i opowiadaj dalej.

KUBUŚ: W następstwie potwarzy czy też tylko niedyskrecji furtiana mnichy uczyły się w prawie uprzykrzać na tysiąc sposobów życie biednemu ojcu Aniołowi, któremu wreszcie w głowie poczęło się mącić. Wówczas zawołano lekarza, przekupionego z góry, i ten zaświadczył, że zakonnik cierpi na obłąd i że zdałoby mu się odetchnąć rodzinnym powietrzem. Gdyby chodziło tylko o to, aby oddalić lub zamknąć ojca Anioła, rzecz byłaby rychło załatwiona; ale między nabożniami, których był oczkiem w głowie, znajdowały się wielkie panie, zbyt niebezpieczne, aby je wyzywać do otwartej walki. Tym mówiło się o świętym spowiedniku z obłudnym współczuciem: „Niestety! biedny ojciec Anioł, cóż za szkoda! to był orzeł naszego zakonu”. — Cóż mu się takiego stało? Na to pytanie odpowiadano jeno głębokim westchnieniem i wzniesieniem oczu ku niebu; jeśli pytający nalegał, spuszczano głowę w milczeniu. Niekiedy jeszcze: „O, Boże!... cóż to za klęska!... Miewa i dziś jeszcze chwile zdumiewające... błyski geniuszu... Może to jeszcze wróci, ale mało nadziei... Cóż za strata dla religii!...” Wśród tego udręczenia i dokuczliwości szły zdwojonym trybem; nie było rzeczy, której by nie próbowano, aby w istocie doprowadzić ojca Anioła do stanu, w jakim rzekomo się znajdował; i byłoby się to powiodło, gdyby brat Jan nie ulitował się nad nim. Cóż powiem więcej? Jednego wieczora, kiedyśmy wszyscy już spali, usłyszeliśmy pukanie do drzwi; wstajemy, otwieramy oczy i widzimy przed sobą ojca Anioła i brata, obu przebranych. Spędzili cały dzień ukryci w domu; nazajutrz zaś z pierwszym brzaskiem ulotnili się. Odchodzili wcale nieźle zaopatrzeni na drogę; Jasiiek bowiem, ściskając mnie, rzekł: „Wydalem za mąż siostry; gdybym był został jeszcze ze dwa lata w klasztorze na stanowisku, stałbyś się jednym z najgrubszych gospodarzy w okolicy; ale wszystko się zmieniło. Oto wszystko, co mogę uczynić dla ciebie. Bądź zdrów, Kubusiu; jeżeli nam się powiedzie, pierwszy się o tym dowiesz”... zaczem wciśnął mi w rękę owe pięć ludwików, o których mówiłem, wraz z pięcioma innymi dla jednej z dziewcząt we wsi, którą wydał ostatnio za mąż i która powiła tegiego chłopaka, podobnego do brata Jana jak dwie krople wody.

Książ, Ambicja,  
Szaleństwo, Religia

PAN, *otwarty tabakierkę i włożywszy zegarek na swoje miejsce*: I cóż oni zamierzali czynić w Lizbonie?

KUBUŚ: Szukać trzęsienia ziemi, które nie mogło odbyć się bez nich; dać mu się zgnieść, spalić, pochłonać; jak było zapisane w górze.

PAN: O, mnichy! mnichy!

KUBUŚ: Najlepszy niewart szeląga.

PAN: Wiem to lepiej od ciebie.

KUBUŚ: Czy i pan dostał się kiedyś w ich ręce?

PAN: Opowiem ci innym razem.

KUBUŚ: Ale dlaczego oni tacy źli?

PAN: Sądzę, że dlatego, iż są mnichami... A teraz, wróćmy do twoich amorów.

KUBUŚ: Nie, panie, nie wracajmy.

PAN: Czy nie chcesz, abym się o nich dowiedział?

KUBUŚ: Ja chcę, owszem; ale los nie chce. Czyż pan nie widzi, że ile razy tylko gębę otworzę, diabeł się w to wdaje i zawsze zdarza się jakiś wypadek, który mi przerwie w pół słowa? Nie skończę tej historii, powiadam panu: tak jest napisane w górze.

PAN: Spróbuj, serce.

KUBUŚ: Ale gdyby pan rozpoczął historię swoich amorów, może by to przerwało te czary i później moje poszłyby już gładziej. Tak mi się coś widzi, że jedno zależy od drugiego; tak, panie, niekiedy mam uczucie, że sam los szepce mi do ucha...

PAN: I dobrze wychodzisz na tym, jeśli go posłuchasz?

KUBUŚ: Z pewnością: świadkiem ów dzień, kiedy mi szepnął, że pański zegarek znajduje się na grzbiecie wędrownego kramarza...

Pan zaczął ziewać; ziewając, bębnił palcami w tabakierkę, patrzył w przestrzeń i patrząc w przestrzeń, rzekł do Kubusia: „Czy nie spostrzegasz czegoś po lewej ręce?”

KUBUŚ: Owszem, i założyłbym się, że to jest coś, co nie zechce, abym wiódł dalej moją historię, ani też, aby pan rozpoczął swoją...

Kubus miał słusność. Ponieważ rzecz, którą widzieli, zbliżała się ku nim, oni zaś zbliżali się ku niej, dwa te ruchy odbywające się w przeciwnym kierunku, skróciły odległość. Niebawem ujrzeni wóz obity czarno, zaprzężony w cztery kare konie przybrane w czarne czapraki, które im otulały głowy i spadały aż do nóg; z tyłu dwaj lokaje na czarno; za nimi dwaj inni również przystrojony czarno, każdy na karym koniu przybranym w rząd cały czarny; na koźle czarny woźnica w kapeluszu z opuszczoną krezą, obwiązany długą krepą, która sphywała po lewym ramieniu. Woźnica siedział z pochyloną głową, puścił wolno cugle i nie tyle powodował końmi, ile dał się im prowadzić. I oto nasi podróżni zrównali się z żalobnym wozem. Nagle Kubus wydaje krzyk, osuwa się raczej niż zsiada z konia, wydziera sobie włosy i tarza się po ziemi, krzycząc: „Mój kapitan! mój biedny kapitan! to on, nie ma wątpliwości, to jego herby!”... Istotnie na wozie mieściła się długa trumna przykryta całunem, na całunie szpada wraz z wstęgą orderową, a obok trumny ksiądz trzymający w ręku brewiarz i zawodzący psalmy. Wóz jechał ciągle dalej, Kubus szedł za nim rozpaczając, słudzy zaś przyświadczyli Kubusiowi, że to był w istocie kondukt kapitana zmarłego w sąsiednim mieście, skąd przewożono go do rodzinnego grobu. Od czasu, jak ów rycerz postradał, wskutek śmierci kolegi i przyjaciela, kapitana w tym samym pułku, przyjemność pojedynkowania się przynajmniej raz na tydzień, popadł w melancholię, która w ciągu kilku miesięcy doprowadziła go do zgonu. Kubus, splaciwszy kapitanowi daninę pochwał, żalów i łez, jaką mu był dłużny, przeprosił pana, dosiadł z powrotem konia i ruszyli w milczeniu.

Ale na miłość boską, mości autorze (powiecie), dokąd oni dążą...? Ale na miłość boską, mości czytelniku, odpowiem, alboż ktokolwiek w świecie wie, dokąd dąży? A wy sami dokąd dązycie? Trzebaż, abym wam przypomniał zdarzenie Ezopa? Pan jego, Xantypus, rzekł mu pewnego wieczora, letniego lub zimowego, Grecy bowiem kąpali się o każdej porze roku: — Ezopie, idź zajrzeć do łaźni; jeżeli nie ma zbyt wielkiego ścisku, będziemy się kąpać... Ezop rusza. Po drodze spotyka patrol ateński. — Dokąd idziesz? — Dokąd? — odparł Ezop — nie wiem. — Nie wiesz? Chodź bratku do więzienia. — Ano widzicie — odparł Ezop — czy nie słusznie powiedziałem, że nie wiem, dokąd idę;

Kondycja ludzka, Podróż,  
Życie jako wędrówka, Los,  
Pan, Sługa

chciałem iść do łaźni i oto idę do więzienia... Kubuś szedł za swoim panem jak wy za waszym; jego pan za swoim, jak Kubuś za nim. — A kto był panem Kubusiowego pana? — Ba, alboż brak jest panów na tym świecie? Pan Kubusia miał nie jednego, ale stu jak i wy. Ale wśród tych panów Kubusiowego pana musiało nie być ani jednego, który by był coś wart, każdego bowiem dnia ich odmieniał. — Był człowiekiem. Człowiekiem z namiętnościami jak ty, czytelniku; człowiekiem ciekawym jak ty, czytelniku; uprzykrzonym jak ty, czytelniku; natrętnie pytającym jak ty, czytelniku. — A dlaczegoż tak pytał? — Ładne pytanie! Pytał, aby dowiedzieć się i aby podawać dalej, jak ty, czytelniku...

Pan rzekł do Kubusia: „Nie zdajesz mi się usposobionym, aby podjąć opowiadanie o swoich amorach”.

KUBUŚ: Biedny kapitan! oto wędruje tam, dokąd wędrujemy wszyscy, i dziw tylko, iż nie zawędrował tam dużo wcześniej. Och!... Och!...

PAN: Ależ Kubusiu, ty płaczesz, o ile mi się zdaje? „Pozwól łzom płynąć bez tamy, wolno im bowiem płynąć bez wstydu; śmierć zwalnia cię od skrupułów przystojności, które pętały cię za jego życia. Nie masz tych samych przyczyn do ukrywania swej boleści, jakie kazały ci wprzódy ukrywać szczęście; nikt nie poważy się wyprowadzać z twoich łez wniosków, jakie wysnuwałby z twojej radości. Wiele przebacza się nieszczęściu. A wreszcie, w takiej chwili trzebaż okazać się tkliwym lub niewdzięcznym: wszystko wzięwszy na szalę, lepiej zdradzić się ze słabością charakteru, niż dać się posądzić o jego szpetotę. Niechaj twa skarga płynie swobodnie, iżby się stała mniej bolesną; niechaj będzie gwałtowną, iżby się stała mniej uporczywą. Rozpamiętuj sobie, przeceniaj nawet wszystko, czym był: bystrość jego w zgłębianiu przedmiotów najbardziej przepaścistych; subtelność w omawianiu najbardziej delikatnych; poważny smak, który pociągał go ku najdonioślejszym; żywotność, jaką umiał tchnąć w najbardziej jałowe; wysoką sztukę, z jaką bronił oskarżonych. Wyrozumiałość wlewała w jego umysł tysiąc razy więcej skarbów dowcipu, niżeli interes lub miłość własna użyczała ich winnemu; surowość znał jeno wobec samego siebie. Daleki od szukania wymówek dla lekkich błędów, jakie mu się przygodziły, wkładał całą zajadłość wroga w to, aby je spotęgować w swoich oczach, i całą przenikliwość zazdrośnika, aby obniżyć wartość swych cnót przez ściśle zgłębianie przyczyn, które być może powodowały nim bez jego wiedzy. Nie naznaczaj żalobie swej innego kresu, jak tylko ten, który sam czas jej nakreśli. Poddajmy się powszechnemu porządkowi, kiedy tracimy przyjaciół, tak jak poddamy się, kiedy mu się spodoba rozrządzić nami samymi; wyrok losu, który nam ich wydziera, przyjmijmy bez rozpacz, jak przyjmujemy bez oporu ów, który wcześniej lub później ugodzi w nasze głowy. Obowiązki pogrzebu nie są ostatnimi obowiązkami duszy. Ziemia, którą porusza się w tej chwili, stężeje na grobie twego kochanka; ale dusza twoja zachowa całą tkliwość”.

KUBUŚ: Mój panie, to wszystko bardzo piękne, ale na kiego licha się to zdało? Straciłem mego kapitana, jestem zrozpaczony, a pan mi tu odstawiasz jak papuga strzępy pociechy jakiegoś mężczyzny czy też kobiety, pod adresem drugiej kobiety, która straciła kochanka.

PAN: Myślę, że to mówi kobieta.

KUBUŚ: A ja, że mężczyzna. Ale, mężczyzna czy kobieta, jeszcze raz pytam, na kiego diaska się to zdało? Czy pan mnie bierzesz za kochankę kapitana? Mój kapitan, panie, to był zacny człowiek; a ja, ja byłem zawsze uczciwym chłopakiem.

PAN: Kubusiu, któż ci przeczy?

KUBUŚ: Więc na kiego licha zdała się tu pańska pociecha mężczyzny czy kobiety wystosowana do drugiej kobiety? Póty będę pytał, aż mi pan może wytłumaczy.

PAN: Nie, Kubusiu, trzeba, abys doszedł sam.

KUBUŚ: Mógłbym przemyśleć resztę życia i nie zgadłbym; starczyłoby mi tematu aż do ostatecznego sądu.

PAN: Kubusiu, zdawało mi się, że tego, co ci czytałem, słuchałeś z niejaką uwagą.

KUBUŚ: Czyż można nie słuchać z uwagą czegoś, co jest śmieszne?

PAN: Doskonale!

KUBUŚ: Omal że nie parsknąłem śmiechem przy „skrupułach przystojności”, które mnie pętały za życia kapitana, a z których wyzwoliła mnie jego śmierć.

PAN: Doskonale, Kubusiu! Osiągnąłem tedy, co zamierzyłem. Powiedz, czy można było wziąć się lepiej do tego, aby cię pocieszyć? Plakałeś: gdybym się był wdał z tobą w rozmowę o przedmiocie twej boleści, co byłoby wynikiło? Iżbyś płakał o wiele mocniej i doprowadził się do zupełnej rozpacz. Zmieniłem bieg twych myśli przez komizm mojej mówki pogrzebowej oraz małą sprzeczkę, jaka stąd wynikła. Przyznaj teraz, iż myśl o kapitanie jest równie daleką od ciebie jak wóz żałobny, który go wiezie na miejsce ostatniego spoczynku. Co za tym idzie, myślę, iż możesz podjąć historię swoich amorów.

KUBUŚ: I ja tak myślę.

Doktorze, rzekłem do chirurga, czy pan daleko mieszka?

— Co najmniej o dobre ćwierć mili.

— Czy masz wygodne pomieszkanie?

— Dostyc wygodne.

— Czy mógłbyś mieć do rozporządzenia łóżko?

— Nie.

— Jak to! nawet za zapłatą, za dobrą zapłatą!

— Och, za zapłatą i za dobrą zapłatą, to znowuż, co innego. Ale, mój przyjacielu, nie bardzo mi się wydaje, abyś był w możności zapłacić, a tym mniej dobrze zapłacić.

— To moja rzecz. A czy znalazłbym u pana nieco opieki?

— Wyborną opiekę. Mam żonę, która całe życie pielęgnowała chorych; mam starszą córkę, która goli jak z nut i umie zdjąć i założyć opatrunek nie gorzej ode mnie.

— Ileż byś pan policzył za mieszkanie, życie i starania?

Chirurg mruknął, skrobiąc się za ucho: „Mieszkanie... życie... starania... Ale któż mi da pewność zapłaty?”

— Będę płacił każdego dnia z góry.

— Oto, co się nazywa mówić...

Ale, panie, zdaje mi się, że pan nie słucha.

PAN: Nie, Kubusiu, było napisane w górze, że tym razem, który nie będzie ostatnim, będziesz mówił, nie znajdując uszu do słuchania.

— Kiedy się nie słucha tego, co ktoś mówi, wówczas albo się nie myśli o niczym, albo się myśli o czym innym: która z tych dwu okoliczności zachodziła u pana?

PAN: Ta ostatnia. Myślałem o tym, co mówił jeden z czarnych lokai jadących za karawanem, a mianowicie iż przez śmierć przyjaciela kapitan twój postradał przyjemność pojedynkowania się przynajmniej raz na tydzień. Czy ty zrozumiałeś?

KUBUŚ: Oczywiście.

PAN: Jest to zagadka, za której rozwiązanie mocno ci będę wdzięczny.

KUBUŚ: Kiż diabeł zależy panu na tym?

PAN: Niewiele; ale kiedy mówisz, chcesz prawdopodobnie, aby cię słuchano?

KUBUŚ: Rozumie się samo przez się.

PAN: Otóż sumiennie wyznaję, nie umiałbym ci tego zaręczyć, dopóki to mgliste odezwanie będzie mi się kołatać po mózgownicy. Uwolń mnie od niego, proszę cię.

KUBUŚ: Niech i tak będzie! Ale przysięgnij pan bodaj, że nie będziesz przerywał.

PAN: Na wszelki wypadek przysięgam.

KUBUŚ: Otóż mój kapitan, człowiek dobry, człowiek dwornych obyczajów, człowiek wielkich zalet, jeden z najlepszych oficerów korpusu, ale zarazem nieco dziwak, zaprzyjaźnił się był z drugim oficerem tegoż samego korpusu, również człowiekiem dobrym, człowiekiem dwornych obyczajów, człowiekiem wielkich zalet i równie dobrym oficerem, ale równie wielkim dziwakiem jak on...

Kubus miał właśnie rozpocząć historię kapitana, kiedy przerwał mu nowy zgiełk: znowuż ujrzeli gromadę ludzi i koni doganiającą ich z tyłu. Był to ten sam karawan, jadący z powrotem. Otaczali go... strażnicy celni? — Nie. — Żandarmi konni? — Być może. Jak bądź się rzeczy miały, na czele orszaku jechał ksiądz w sutannie i komży, z rękami związanymi na plecach, czarny woźnica z rękami związanymi na plecach i dwaj czarni

lokaje z rękami związanymi na plecach. Któż opisze zdumienie Kubusia! Śmiał się i wykrzykiwał jak najęty: „Kapitan, biedny kapitan nie umarł! I Bogu niech będzie chwała!”... Następnie obraca konia na miejscu, spina ostrogami i pędzi cwałem naprzeciw mniemanego konduktu. Ledwie zbliżył się na jakie trzydzieści kroków, kiedy strażnicy celni (lub też konni żandarmi) zwracają wprost na niego lufy muszkietów i krzyczą: „Stój, nawracaj natychmiast lub zginiesz!”... I Kubuś zatrzymał się w miejscu, zapytał w myśli swego losu; zdało mu się, że los powiada: „nawracaj”, co też uczynił. Pan rzekł: „No i co, Kubusiu, cóż tam takiego?”.

KUBUŚ: Na honor, nie wiem.

PAN: A dlaczego?

KUBUŚ: I tego też nie wiem.

PAN: Zobaczysz, że to przemytnicy, którzy napełnili trumnę zakazanym towarem, a których później ci sami hultaje, od których nabyli towar, zdradzili celnikom.

KUBUŚ: Ale skąd ten karawan z herbami kapitana?

PAN: Albo też jakie wykradzenie. Kto wie, może w trumnie była ukryta kobieta, panna albo zakonnica: kto leży pod całunem, nie musi być umarły.

KUBUŚ: Ale skąd ten karawan z herbami kapitana?

PAN: Skąd ci się podoba; ale dokończ historii o nim samym.

KUBUŚ: Zależy panu jeszcze na tej historii? A może on żyje?

PAN: A cóż to ma do rzeczy?

KUBUŚ: Nie lubię mówić o żyjących, raz po raz bowiem człowiek musi się rumienić za to, co o nich powie dobrego czy złego: dobrego, które popsują, lub złego, które naprawia.

PAN: Nie bądź ani mdłym chwalcą, ani zgryźliwym cenzorem; mów rzeczy, jak są.

KUBUŚ: To nie tak łatwo. Czyż człowiek nie ma swego charakteru, swoich interesów, gustów, namiętności, według których każdy przedmiot przesadza lub łagodzi? Mów rzeczy, jak są!... To może nie zdarza się ani dwa razy w ciągu dnia w całym dużym mieście. A ten, który słucha, czy pod tym względem w lepszym jest położeniu od tego, który mówi? Nie. Z czego niezbiec wynika, iż może ledwie dwa razy w ciągu dnia w całym wielkim mieście rozumie się czyjeś słowa długo tak, jak były mówione.

PAN: Cóż, u diabła. Kubusiu, toć to są maksymy zdolne obrzydzić ludziom użytek języka i uszu! To by nie można nic mówić, niczego słuchać i niczemu wierzyć! Na razie mów jako ty, ja będę słuchał jako ja i będę wierzył, ile potrafię.

KUBUŚ: Drogi panie, życie upływa na samych *qui pro quo*<sup>22</sup>. Są *qui pro quo* miłości, *qui pro quo* przyjaźni, *qui pro quo* polityki, finansów, kościoła, urzędu, handlu, żon, mężów...

PAN: Ech! dajże pokój tym *qui pro quo* i staraj się zrozumieć, że trudno o grubsze *qui pro quo*, niż puszczać się w dziedzinę moralu, wówczas gdy chodzi o fakt historyczny. A zatem, historia kapitana?...

KUBUŚ: Jeżeli prawie wszystkie słowa wasze wykładają ludzie fałszywie, gorzej jest, iż prawie wszystkie nasze uczynki sądzą też opacznie.

PAN: Nie ma chyba pod słońcem głowy, w której by się tłukło tyle paradoksów, co w twojej.

KUBUŚ: Cóż w tym złego? Paradoks nie zawsze jest fałszem.

PAN: To prawda.

KUBUŚ: Przejeżdżaliśmy przez Orlean: niby kapitan i ja. Całe miasto gada jeno o przygodzie, jaka świeżo zdarzyła się pewnemu obywatelowi nazwiskiem Le Pelletier. Był to człowiek przepelniony tak głębokim współczuciem dla nieszczęśliwych, iż przez nieumiarkowane jałmużny uszczupliwszy majątek swój, dość znaczny, do najskromniejszych resztek, chodził od drzwi do drzwi, szukając w cudzej sakiewce pomocy dla bliźnich, której nie był już zdolny zaczerpnąć we własnej.

PAN: I myślisz, że mogły być dwa zdania co do postępowania tego człowieka?

KUBUŚ: Pomiędzy biedakami nie; ale prawie wszyscy bogaci bez wyjątku uważali go za szaleńca; niewiele zaś brakło, by jego najbliżsi nie kazali go ubezwłasnowolnić

<sup>22</sup>*qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie; dosł. jeden zamiast drugiego, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

jako rozrzutnika. Podczas gdy pokrzepialiśmy się w gospodzie, tłum gapiów zgromadził się dokoła jakiegoś oratora, cyrulika z pobliskiej ulicy, i wołał: „Byliście przy tym, opowiedzcież, jak rzeczy się miały”.

— Bardzo chętnie — odpowiedział uliczny mówca, który niczego tak nie pragnął jak sposobności roztoczenia swady. — Pan Aubertot, jeden z moich klientów, którego dom znajduje się naprzeciw kościoła kapucynów, stał w progu; Le Pelletier przystępuje doń i mówi: „Panie Aubertot, czy nic mi pan nie dasz dla moich przyjaciół?”, jak wam bowiem wiadomo, ma zwyczaj nazywać biednych tym mianem.

— Nic jak na dzisiaj, mój dobry Le Pelletier.

Le Pelletier nalega. „Gdybyś pan wiedział, dla kogo żebrzę miłosierdzia! dla biednej kobiety, która właśnie urodziła i nie ma ani łachmana, aby owinąć niemowlę”.

— Nie mogę.

— Dla młodej i ładnej dziewczyny bez roboty i chleba, którą hojność pańska ocali może od występku.

— Nie mogę.

— Dla robotnika, który żył jeno z pracy i złamał nogę, spadając z rusztowania.

— Nie mogę.

— Ej, panie Aubertot, daj się zmiękczyć, bądź pewny, że nigdy nie nadarzy ci się sposobność spełnienia zaniejszego czynu.

— Nie mogę, nie mogę.

— Mój dobry, miłosierny panie Aubertot!...

— Mój le Pelletier, zostaw mnie w spokoju; kiedy mam ochotę dać, nie każę się prosić...

To rzekłszy, Aubertot odwraca się plecami i cofa się w głąb sklepu, dokąd pan Le Pelletier idzie za nim; idzie za nim ze sklepu do składu, ze składu do mieszkania; tam pan Aubertot zniecierpliwiony naleganiami pana Le Pelletier daje mu policzek...

Wówczas mój kapitan zrywa się gwałtownie i powiada do mówcy: „I on go nie zabił?”.

— Nie, panie: czyż to się tak zaraz zabija?

— Policzek, do kroćset! policzek! I cóż zrobił?

— Co zrobił, otrzymawszy policzek? Uśmiechnął się i rzekł do pana Aubertot: „To, to dla mnie; ale dla moich biedaków?”...

Na te słowa wszyscy słuchacze okrzyknęli się z podziwu, z wyjątkiem kapitana, który prawił: „Wasz Le Pelletier, panowie, jest ciemną, nędznikiem, tchórzem, podlecem, któremu wszelako ta szpada byłaby rychło wymierzyła sprawiedliwość, gdybym ja był przy tym; Aubertot zaś mógłby się uważać za bardzo szczęśliwego, gdyby go to kosztowało jedynie nos i parę uszu”.

Mówca odparł: „Widzę, panie, iż nie byłby pan zostawił temu porywczemu człowiekowi czasu na to, by uznał swój błąd, rzucił się do nóg pana Le Pelletier i ofiarował swą sakiewkę”.

— Pewnie, że nie!

— Pan jesteś żołnierzem, a pan Le Pelletier chrześcijaninem; zapatrywania wasze na policzek są różne.

— Twarz każdego człowieka honoru jest jednaka.

— Inaczej nieco mówi Ewangelia.

— Ewangelia jest w moim sercu i w mojej pochwie, nie znam innej.

— Pańska, mój dobry panie, jest nie wiem gdzie; moja jest zapisana w górze. Każdy ocenia zniewagę i dobrodziejstwo na swój sposób: być może że zresztą zmienia się nasz sąd o tym w różnych chwilach życia.

PAN: Dalej, przekłety gaduło, dalej...

Skoro pan Kubusia wpadł w zły humor, Kubuś milkł, zaczynał dumać i jedynie od czasu do czasu przerywał milczenie jakąś uwagą mającą snadź związek z jego myślami, ale tak oderwaną od rozmowy, jak wątek książki, której by się przeskoczyło kilka kartek. I teraz oto rzekł: „Mój drogi panie”...

PAN: Ach, wróciła ci wreszcie mowa. Cieszę się z tego dla nas obu, zaczynało mi się bowiem przykrzyć bez słuchania, a tobie bez mówienia. Mów tedy...

Kubuś miał rozpocząć historię kapitana, kiedy po raz drugi koń rzuca się gwałtownie w prawo, unosi go przez długą równinę dobre ćwierć mili i zatrzymuje się jak wryty

między widłami szubienicy! Między widłami szubienicy! W istocie, szczególny obyczaj, aby częstować tak uparcie swego jeźdźca postronkiem!... „Cóż to, u diaska, ma znaczyć? — myślał Kubuś. — Byłoby to ostrzeżenie losu?”

PAN: Mój przyjacielu, nie wątp o tym. Twój koń działa pod wpływem natchnienia; a co najprzykrzejsze, to iż wszystkie owe przepowiednie, natchnienia, ostrzeżenia z góry przez sny, zjawiska nie zdały się nigdy na nic: rzeczy mimo to idą swoim trybem. Drogi przyjacielu, radzę ci doprowadzić sumienie do przyzwoitego stanu, załatwić drobne sprawy i uporać się co najspieszniej z historią kapitana i twoich amatorów, bardzo bowiem byłoby mi przykro stracić cię, nie usłyszawszy końca. Choćbyś się martwił więcej jeszcze niż w tej chwili, co by to pomogło? Nic. Wyrok losu ogłoszony dwa razy przez twego konia spełni się. Zastanów się, czy nie jesteś komu dłużny jakiego zadośćuczynienia? Powierz mi swą ostatnią wolę i bądź pewien, że będzie ściśle wypełniona. Jeśli ci się zdarzyło coś mi ściągnąć, daję ci to na własność: prosz jedynie Boga o przebaczenie i przez czas mniej lub więcej krótki, jaki mamy żyć z sobą, nie kradnij więcej.

KUBUŚ: Daremnie sięgam wzrokiem w przeszłość, nie widzę, w czym bym zawinił przeciw sprawiedliwości ludzkiej. Nie zabiłem, nie ukradłem, nie zgwałciłem...

PAN: Tym gorzej; wszystko zważywszy, wołałbym, aby zbrodnia była już poza tobą: mam w tym swoje racje.

KUBUŚ: Hm, panie, a gdybym ja miał wisieć nie na swój, ale na cudzy rachunek?

PAN: To być może.

KUBUŚ: Może powiesz mi dopiero po śmierci.

PAN: I to być może.

KUBUŚ: Może mnie wcale nie powiesz.

PAN: Co to, to wątpię.

KUBUŚ: Jest może napisane w górze, iż będę obecny przy powieszeniu kogoś innego; a ten inny, kto wie, kto to? czy jest blisko, czy daleko?

PAN: Panie Jakubie, bądź wisielcem, skoro los tak każe i koń twój tak powiada, ale nie bądź bezczelnym: skończ z głupimi przypuszczeniami i opowiadaj historię kapitana.

KUBUŚ: Panie, niech się pan nie gniewa, toć bywało, iż wieszano bardzo uczciwych ludzi: *qui pro quo* sprawiedliwości.

PAN: Takie *qui pro quo* są bardzo niemiłe. Mówmy o czym innym.

Kubuś, nieco pokrzepiony rozmaitymi wykładami, jakie znalazł dla końskiego prognostyku, rzekł:

— Kiedy wstąpiłem do pułku, było w nim dwóch oficerów równych mniej więcej co do wieku, urodzenia, lat służby i zasług.

Jednym z nich był właśnie mój kapitan. Jedyna różnica, jaka zachodziła między nimi, to iż jeden był bogaty, a drugi nie. Mój kapitan był tym bogatym. Para takich ludzi musiała uczuć do siebie albo sympatię albo antypatię najwyższego stopnia: tu zachodziło i jedno, i drugie...

Tutaj Kubuś zatrzymał się, co przytrafi mu się wielekroć w ciągu opowiadania, mianowicie za każdym razem, gdy koń obróci głowę w prawo lub w lewo. Po każdej takiej przerwie podejmując na nowo, powtarzał ostatnie zdanie, jak człowiek dręczony czkawką.

— Zachodziło jedno i drugie. Były dni, w których byli najlepszymi przyjaciółmi w świecie, inne znów, w których czuli się śmiertelnymi wrogami. W dnie przyjaźni szukali się, ugaszczali, ściskali, dzielili każdą troską, radością, potrzebą; radzili się wzajem w kwestiach najbardziej poufnych, w sprawach domowych, w swoich nadziejach, obawach, widokach awansu. Spotkali się nazajutrz? Mijali się, nie patrząc na siebie, albo też patrzyli dumnie i chłodno, tytułowali się „panie”, rzucali ostre przycinki, dobywali szpady z pochew i bili się. Skoro zdarzyło się, iż jeden z nich odniósł ranę, drugi rzucił się na ciało towarzysza, płakał, rozpaczał, odwoził go do domu; dnie i noce spędzał koło jego łóżka, dopóki nie wyzdrowiał. W tydzień, dwa tygodnie, w miesiąc, wszystko powtarzało się na nowo. W ten sposób w periodycznych odstępach czasu dwóch dzielnych ludzi... dwóch dzielnych ludzi, dwóch szczerych przyjaciół, narażało się na to, iż jeden mógł zginąć z ręki drugiego; a nie ten pewnie, który by poległ byłby bardziej godnym współzucia z nich obu! Wykazywano im niejednokrotnie szaleństwo ich postępowania; ja sam (ile że kapitan pozwalał mi się odzywać swobodnie) mawiałem: „Ależ, panie, cóż będzie, gdyby

Przyjaźń, Pojedynek



go pan zabił?”. Na te słowa zaczynał płakać, zakrywał oczy rękami, biegał po mieszkaniu jak szaleniec. W dwie godziny później albo kolega odwoził go do domu rannego, albo też on oddawał mu tę samą przysługę. Ani moje przedstawienia... ani moje przedstawienia, ani perswazje innych osób nie zdołały nic osiągnąć: jedynym lekarstwem zdało się rozdzielić ich. Powiadomiono ministerstwo wojny o tej niebezpiecznej manii; i oto mój kapitan otrzymał nominację na komendanta pewnej twierdzy z wyraźnym rozkazem pospieszenia natychmiast na posterunek i zakazem opuszczania go; drugi dekret zabronił jego koledze wydalac się z pułku... Ten przeklęty koń doprowadzi mnie chyba do szaleństwa... Zaledwie przybyły rozkazy ministerstwa, kapitan pod pozorem podziękowania za zaszczyt, jakim go obdarzono, śpieszy na dwór, przedstawia, iż on jest bogaty, ubogi zaś jego kolega ma toż samo prawo do łaski królewskiej; że stanowisko, jakie oddano jemu, wynagrodziłoby godnie służby jego przyjaciela, wspomogłoby go w skromnych stosunkach majątkowych, jemu zaś samemu zamiana ta sprawiłaby największą radość. Ponieważ minister nie miał innego zamiaru, jak tylko rozdzielić parę dziwaków, szlachetne zaś postąpienie zawsze potrafi przemówić do duszy, postanowiono... Przeklęte bydlę, będziesz ty trzymać głowę prosto?... Postanowiono, że kapitan zostanie w pułku, jego zaś kolega obejmie dowództwo fortecy.

Zaledwie ich rozdzielono, uczyli, jak bardzo byli sobie potrzebni wzajem; popadli w głęboką melancholię. Kapitan zażądał półrocznego urlopu, aby odetchnąć rodzinnym powietrzem; ale ujechawszy dwie mile od garnizonu, sprzedaje konia, przebiera się za wieśniaka i śpieszy do miejsca, gdzie towarzysz jego był komendantem. Zdaje się, iż to było umówione między nimi. Przybywa... Gnajże, gdzie ci się podoba! Czy jest gdzie jeszcze jaka szubienica, którą masz ochotę odwiedzić?... Niech się pan śmieje zdrowo, w istocie, to bardzo zabawne... Przybywa; ale mimo całej ostrożności, z jaką starali się ukryć zadowolenie ze swego widoku, i mimo ścisłego przestrzegania zewnętrznych oznak uniżoności należnej ze strony prostego wieśniaka komendantowi fortecy, było zapisane w górze, iż niektórzy oficerowie obecni przypadkiem przy spotkaniu, a świadomi ich osobliwych dziejów, powezmą podejrzenie i pospieszą uwiadomić majora, komendanta placu.

Ów, człowiek bywały, uśmiechnął się z ostrzeżenia, nie zapoznając wszelako jego ważności. Otoczył komendanta fortecy szpiegami. Pierwszą relacją było, iż komendant wychodzi z domu niewiele, wieśniak zaś wcale. Nie było możebnym, aby ci dwaj ludzie przeżyli z sobą tydzień z rzędu, nie popadając w swój osobliwy nałóg; co też się stało.

Widzisz, czytelniku, do jakiego stopnia jestem uprzejmy: zależałoby jedynie ode mnie zaciąć batem konie zaprzężone do karawanu; u bram miejsca najbliższego noclegu zgromadzić Kubusia, jego pana, strażników czy też żandarmów wraz z resztą orszaku; przerwać historię Kubusiowego kapitana i wystawić waszą niecierpliwość na dowolne próby; ale na to trzeba by kłamać, a ja nie lubię kłamstwa, chyba że jest użyteczne i musowe. Faktem jest, iż Kubuś i jego pan nie ujrzeli już kirem odzianego wozu i że Kubuś, raz po raz niepokojony narowami swego konia, ciągnął dalej opowieść.

— Jednego dnia, szpiegowie<sup>23</sup> donieśli majorowi, iż zaszła bardzo żywa sprzeczka pomiędzy komendantem a wieśniakiem; iż następnie wyszli z domu, wieśniak przodem, komendant zaś jak gdyby z pewnym ociąganiem za nim i udali się do głównego bankiera w mieście.

Dowiedziano się później, iż nie mając już nadziei widywania się, postanowili bić się do upadłego i że mój kapitan, który, jak panu mówiłem, był bogaty, czuły na obowiązki przyjaźni nawet w chwili najniesłychańszego okrucieństwa... kapitan, który był bogaty, wymusił na koledze, aby przyjął oblig na dwadzieścia cztery tysiące funtów, mające mu zapewnić spokojny byt za granicą, w razie gdyby się stał zabójcą. Mój pan zarzekł się, iż nie będzie się bił bez tego upewnienia, tamten zaś odpowiadał na tę propozycję:

<sup>23</sup>szpiegowie — dziś popr. szpiedzy. [przypis edytorski]

„Czy myślisz, przyjacielu, że, gdyby mi się zdarzyło cię zabić, potrafiłbym cię przeżyć?”... Mam nadzieję, panie, że nie zechce mnie pan skazywać, bym odbył całą podróż na tym przeklętym zwierzęciu...

Wyszedszy od bankiera, zbliżali się ku bramom miasta, kiedy nagle ujrzeli majora i kilku oficerów. Mimo iż spotkanie miało charakter przypadkowego zbiegu okoliczności, nasi dwaj przyjaciele, dwaj nieprzyjaciele, jak się panu spodoba ich nazwać, poznali w lot, co się święci. Wieśniak przyznał się do swej prawdziwej postaci. Spędzono wspólnie noc w pobliskiej gospodzie. Nazajutrz o świcie kapitan, uściskawszy kilkakrotnie towarzysza, rozłączył się z nim, aby go nie ujrzyć więcej. Zaledwie przybył do swoich stron, umarł.

PAN: A któż ci powiadał, że umarł?

KUBUŚ: A ta trumna? a karawan z jego herbami? Biedny kapitan nie żyje; ani wątpię o tym.

PAN: A ksiądz z rękami związanymi na grzbiecie; a ludzie z rękami związanymi na grzbiecie; a owi celnicy albo też żandarmi; a powrót całego orszaku ku miastu? Kapitan żyje, ani wątpię o tym: ale czy nic ci nie wiadomo o jego koledze?

KUBUŚ: Historia jego kolegi to piękna stronica wielkiego zwoju lub też tego, co jest zapisane w górze.

PAN: Mam nadzieję...

Koń Kubusia nie pozwolił panu dokończyć; jak błyskawica, nie zbacząc na prawo ani na lewo, pomknął prościutko gościńcem. Kubuś znikł bez śladu, pan zaś, przekonany iż droga kończy się niechybnie u stóp szubienicy, trzymał się za boki od śmiechu. A ponieważ Kubuś i jego pan warci są coś jedynie razem, a nic rozdzieleni, tak samo jak Don Kichot bez Sanchy<sup>24</sup>, i Ryszardet bez Ferragusa<sup>25</sup>, czego nie zrozumiał dostatecznie spadkobierca Cervantesa i naśladowca Ariosta, monsignor Forti-Guerra, pogwarzmy sobie tedy, czytelniku, dopóki znów się nie połączą.

Gotów jesteś wziąć historię kapitana Kubusiowego za bajkę i będziesz w błędzie. Zaręczam ci, iż dosłownie tak, jak on opowiadał swemu panu, ja słyszałem ją, nie pomnę już którego roku, u Inwalidów w dzień świętego Ludwika, przy stole niejakiego pana Saint-Etienne, majora, komendanta zakładu. Opowiadający, który mówił w obecności wielu innych miejscowych oficerów świadomych owego zdarzenia, był osobistością poważną i nie wyglądał bynajmniej na żartownisia lub łgarza. Powtarzam tedy na ten raz i na przyszłość: bądźcie ostrożni, jeżeli w toku gawędy Kubusia i jego pana nie chcecie wziąć prawdy za zmyślenie i zmyślenia za prawdę. Ostrzegłem was wedle sumienia, a teraz umyvam ręce. — Oto, powiecie mi, dwóch tęgich oryginałów! — I to budzi waszą nieufność? Po pierwsze, natura jest tak rozmaita, zwłaszcza co się tyczy instynktów i charakterów, że nie urodzi się nic tak dziwaczego w fantazji poety, czego by wzoru doświadczenie i obserwacja nie odnalazły w naturze. Ja, który do was mówię, odnalazłem sobowtóra *Lekarza mimo woli*<sup>26</sup>, którego, do tego czasu uważałem za wymysł najbardziej szalonej i rozigranej pustoty. — Jak to? Sobowtóra owego męża, któremu żona mówi: „Mam troje dzieci na ręku”; on zaś odpowiada: „Postaw je na ziemi”... „Wołają o chleb!” — „Daj im kije!” — Właśnie. Oto jego rozmowa z moją żoną:

— To pan, panie Gousse?

— Tak, pani, nikt inny.

— Skąd pan przybywa?

— Stamtąd, gdzie byłem.

— Cóż pan porabiał?

— Naprawiałem młyn, który źle chodził.

— Czyżże był ten młyn?

— Nie wiem; nie wzywano mnie do naprawienia młynarza.

<sup>24</sup>*Don Kichot bez Sanchy* — *Avellaneda* ogłosił w r. 1614 mało wartościowy utwór zawierający dalszy ciąg przygód Don Kichota. [przypis tłumacza]

<sup>25</sup>*Ryszardet bez Ferragusa* — *Forti-Guerra* (1674–1735) napisał poemat pt. *Ricciardetto*, którego pierwszą pieśń ułożył w jednym dniu, mając tym pretensję dowieść, jak łatwo jest sięgnąć po laury Ariosta. Poemat ten doczekał się przekładu lub raczej naśladownictwa w języku francuskim ogłoszonego w r. 1766. [przypis tłumacza]

<sup>26</sup>*Lekarz mimo woli* — komedia Moliera (Akt I, scena I). [przypis tłumacza]

— Jest pan bardzo przyzwoicie odziany, wbrew swoim zwyczajom; tylko dlaczego pod tym ubraniem, bardzo schludnym, brudna koszula?

— Stąd, że mam tylko jedną.

— A dlaczego tylko jedną?

— Dlatego, że mam tylko jedno ciało naraz.

— Męża nie ma w domu, ale to nie przeszkadza, abys pan zjadł obiad.

— Juścić nie, skoro nie powierzyłem mu ani mego żołądka ani apetytu.

— Jak się miewa żona?

— Jak się jej podoba; to jej rzecz.

— A dzieci?

— Doskonale!

— A to małe, co ma takie ładne oczy, pulchniutki, rozkoszne?

— Najlepiej ze wszystkich; umarło.

— Czy uczy ich pan czego?

— Nie, pani.

— Jak to! ani czytać, ani pisać, ani katechizmu?

— Ani czytać, ani pisać, ani katechizmu.

— Dlaczego?

— Bo i mnie też niczego nie uczyli i wcale przez to nie czuję się głupszy. Jeśli mają głowę na karku, dadzą sobie rady jak ja; jeśli są osły, wszystko czego bym ich nauczył, pomnożyłoby tylko ich osielstwo...

Jeśli spotkacie kiedy tego oryginała, wiedźcie, iż nie potrzeba być mu znajomym, aby się wdać w gawędę. Zaciągnijcie go do szynku, powiedzcie, o co chodzi, każcie iść z sobą bodaj dwadzieścia mil: pójdzie; wykorzystawszy go, odprawcie bez grosza: wróci zadowolony.

Czy słyszeliście kiedy o niejakim Prémontvalu, który dawał w Paryżu publiczne lekcje matematyki? To jego przyjaciel... Ale Kubuś i jego pan może się już spotkali: chciecie, byśmy pospieszyli do nich, czy wolicie zostać ze mną?... Otóż, Gousse i Prémontval prowadzili wspólnie szkołę. Pomędzy uczniami, którzy cisnęli się tłumnie, znajdowała się młoda dziewczyna nazwiskiem panna Pigeon, córka owego zręcznego majstra, który zbudował dwie planisfery, przeniesione z czasem z Ogrodu Królewskiego do sal Akademii Umiejętności. Panna Pigeon spieszyła codziennie na lekcje z teczką pod pachą i puderkiem przyborów matematycznych w zarękawku. Jeden z nauczycieli, Prémontval<sup>27</sup>, zakochał się w uczennicy i pośród zawyłych wykładów o linii wpisanej w koło urodziło się dzieciątko. Ojciec Pigeon nie był człowiekiem, który by spokojnie ścierpiał pojętą w ten sposób operację matematyczną. Położenie kochanków stało się kłopotliwe; zastanawiają się, co począć; ale nie posiadając oboje nic, co się nazywa nic, cóż mogli mądrego wymyślić? Wzywają na pomoc przyjaciela Gousse. Ów nie mówiąc słowa, sprzedaje wszystko, co posiada, bieliznę, ubrania, przyrządy, meble, książki; zdobywa pewną sumkę, wsadza kochanków w dylizans pocztowy, odprowadza konno aż do Alp; tam opróżnia sakiewkę z resztki pozostałych pieniędzy, wręcza je wśród uścisków, życzy dobrej podróży i wraca piechotą o proszonym chlebie do Lyonu, gdzie malowaniem ścian w jakimś klasztorze zarobił tyle, iż mógł dobić do Paryża bez potrzeby żebrania po drodze. — To bardzo piękne. — Z pewnością! i sądząc z tego heroicznego czynu, przypuszczacie w panu Gousse silny grunt moralny? Zatem wyzbądźcie się błędu: nie miał go ani, o, tycio. — To niemożliwe. — Tak wszelako jest. Zatrudniłem go u siebie. Dałem mu czek na osiemdziesiąt funtów na mego mandanta; suma była wypisana w cyfrach: cóż czyni? dodaje zero i każe sobie wypłacić osiemset funtów. — Och! to haniebne! — Nie więcej jest nieuczciwym, kiedy kradnie, jak szlachetnym, kiedy się wyzuwa ze wszystkiego by wspomóc przyjaciela; jest to oryginał bez zasad; osiemdziesiąt franków nie wystarczało mu; jednym tedy pociągnięciem pióra przyczynił sobie siedemset dwadzieścia, których mu było potrzeba. A owe cenne książki, z których uczynił mi podarek! — Cóż to znów za książki?... — Ale Kubuś i jego pan? ale miłostki Kubusia? Ach, czytelniku, cierpliwość, z jaką mnie słuchasz, jest

<sup>27</sup> Prémontval — zarówno Prémontval, jak jego żona istnieli autentycznie; Prémontval, uprowadziwszy pannę Pigeon, żył jakiś czas w Szwajcarii, potem w Berlinie, gdzie mimo godności członka Akademii Królewskiej, wiódł życie skromne i ubogie. Umarł w r. 1764. Pani Prémontval była lektorką żony księcia Henryka pruskiego; umarła w r. 1767, więc również przed powstaniem tej opowieści. [przypis tłumacza]

Przyjaźń, Pieniądz,  
Kradzież, Własność, Książka

dowodem, jak mało zainteresowania budzą w tobie moi bohaterowie, i miałbym pokusę zostawić ich własnemu losowi... Potrzebowałem pewnej cennej książki, Gousse przynosi mi ją; za jakiś czas potrzebuję innej; przynosi znowu: chcę zwrócić koszt, nie chce przyjąć. Potrzebuję trzeciej rzadkiej książki. „Co tej — powiada — to panu nie dostarczę, za późno pan powiedział; znajomy mój, doktor Sorbony, umarł”.

— A cóż ma wspólnego śmierć doktora Sorbony z książką, której sobie życzę? Czyżbyś pan tamte dwie zaczerpnął z jego biblioteki?

— Naturalnie!

— Bez pozwolenia?

— Ech! na cóż mi było pozwolenia w tym akcie sprawiedliwego rozdziału dóbr? Dokołałem małego i najważniejszego w świecie obrotu, przenosząc książki z miejsca, gdzie stały daremnie, w inne, w którym miały posłużyć do dobrego użytku...

I sądzicie teraz o charakterach i postępkach ludzkich! Ale przewyborna jest historia owego Gousse z własną żoną... Rozumiem; macie już dość i bylibyście zdania, abyśmy odszukali naszych podróżnych. Czytelniku, obchodzisz się ze mną jak z automatem; to nieuprzejmie; Powiadać o miłostkach Kubusia, nie powiadać o miłostkach Kubusia; życzę sobie usłyszeć historię pana Gousse; mam już dosyć historii pana Gousse. Godzi się bez wątpienia, abym niekiedy szedł za twoim zachceniem; ale godzi się niekiedy również tobie iść za moim, nie mówiąc już o tym, iż wszelki słuchacz, który pozwolił rozpocząć opowiadanie, zobowiązuje się wysłuchać do końca.

Powiedziałem *po pierwsze*; otóż powiedzieć *po pierwsze* znaczy zapowiedzieć co najmniej *po drugie*. Po drugie tedy... Słuchajcie lub nie, będę mówił sam dla siebie... Kapitana Kubusiowego i jego przyjaciela mogła trawić namiętna i tajemna zawiść; jest to uczucie, które przyjaźń nie zawsze umie poskromić. Niczego równie trudno nie przebacza się komuś, co jego zalet. Czyż nie mogli obawiać się jakiegoś faworu, który by stał się jednaką zniewagą dla obu? Sami nie wiedząc o tym, starali się może zawczasu pozbyć niebezpiecznego współzawodnika, próbowali się na przyszłą sposobność. Ale jak można posądzać o coś podobnego kogoś, kto tak wspaniałomyślnie zrzeka się rangi komendanta twierdzy na rzecz bardziej potrzebującego kolegi? Zrzeka się, prawda; ale, gdyby go jej pozbawiono, upomniałby się może o to ostrzem szpady. Wszelki fawor, przeskok w awansie, o ile w świecie wojskowym nie przynosi zaszczytu temu, kto zeń korzysta, jest bądź co bądź hańbą dla jego rywala. Ale dajmy pokój temu wszystkiemu i powiedzmy, iż to była ich mania. Czyliż każdy nie ma swojej? Ta, której ulegli dwaj oficerowie, grasowała przez wiele wieków w całej Europie; nazywano ją duchem rycerstwa. Cała ta błyszcząca hałastrą uzbrojona od stóp do głowy, przystrojona rozmaitymi barwami kochanek, harcująca na rumakach, z lancą w garści, z podniesioną lub opuszczoną przyłbicą, spoglądająca dumnie na siebie, mierząca się wzrokiem, grożąca sobie, obalająca się w kurzawę, zasiewająca arenę popisu ułamkami strzaskanej broni, toć to nie kto inny, jeno przyjaciele zazdrośni wzajem o chwałę i zasługę. Owi przyjaciele, z chwilą gdy, każdy na jednym krańcu szranków, złożyli lance do natarcia i pociśnęli ostrogą brzuchy biegunów, stawali się najstraszliwymi wrogami; rzucali się na siebie wzajem z tą samą wściekłością, jaka ogarniała ich na polu bitwy. Więc cóż! nasi dwaj oficerowie byli jeno dwoma paladynami zrodzonymi za naszych dni z obyczajem dawniejszego czasu. Odwaga raz jest wyżej, raz znowu niżej w cenie: im jest pospolitsza, tym mniej się ludzie nią szczycą, tym mniej ją wysławiają. Przyjrzyjcie się różnym skłonnościom i ludziom: zauważycie między nimi takich, o których by można powiedzieć, iż przyszli na świat za późno; są z innego wieku. I cóż przeszkadzałoby mniemać, iż nasi dwaj rycerze wszczykali te codzienne i niebezpieczne walki przez samo jeno pragnienie znalezienia słabej strony przeciwnika i uzyskania przewagi? Pojedynki powtarzają się w społeczeństwie pod wszelką postacią; między księżmi, między urzędnikami, pisarzami, filozofami; każdy stan ma swoją lancę i swoich rycerzy, a nasze najbardziej czcigodne, najbardziej lube zebrania są jeno małymi turniejami, gdzie również nosi się niekiedy barwy miłości w sercu, jeżeli nie na ramieniu. Im więcej widzów, tym zapasy żywsze; obecność kobiet doprowadza zapał i zaciekłość do ostatecznych granic, a wstydu porażki poniesionej w ich obliczu niełatwo się zapomina.

A Kubuś?... Kubuś w pędzie przebył bramy miasta, przebiegł ulice przeprowadzony okrzykami dzieci i dotarł do przeciwległego przedmieścia. Tutaj koń rzucił się w małe, niskie wrota, przy czym pomiędzy obramieniem drzwi a głową Kubusia nastąpiło gwał-

Rycerz, Pojedynek

towne zderzenie, którego nieuniknionym następstwem musiało być albo ustąpienie belki albo też upadek Kubusia. Jak można się domyślić, nastąpiło to ostatnie: Kubuś runął wstecz z rozwaloną głową, bez przytomności. Podnoszą go, przywracają do życia, nacierają okowitą; nie obeszło się nawet pono bez puszczenia krwi, dokonanego ręką pana domu. — Był tedy chirurgiem? — Nie. Tymczasem nadjechał pan, rozpytując się o Kubusia ludzi spotkanych na drodze. „Czyście nie widzieli dużego, suchego człowieka, jadącego na srokatym koniu?”

— Właśnie przejechał; pędził jak gdyby go diabli ścigali i musiał udać się do swego pana.

— A któż jest jego panem?

— Kat

— Kat!

— Tak, to jego koń.

— Gdzież mieszka ów kat?

— Dosyć daleko, ale niech pan sobie nie zadaje trudu: oto właśnie jego ludzie niosą tego, którego pan szukasz, a którego wzięliśmy za jednego z jego parobków...

A kimże był ów człowiek, który rozmawiał z panem? Ten, u którego progu pan Kubusia się zatrzymał, był oberżystą, nie sposób się omylić: krótki i gruby jak beczka, z rękawami koszuli odwiniętymi po łokcie, z włóczkową czapeczką na głowie, opasany kuchennym fartuchem i z wielkim nożem wiszącym u boku. Prędko, prędko, łóżka dla tego nieszczęśliwca, rzekł pan; chirurga, doktora, aptekarza”... Wśród tego ułożono Kubusia u jego stóp, z ogromnym kompresem na czole i z zamkniętymi oczyma. „Kubusiu? Kubusiu?”

— Czy to pan?...

— Tak, to ja; popatrzcie na mnie.

— Nie mogę.

— Cóż ci się takiego stało?

— Ach, koń! przeklęty koń! opowiem to jutro, jeśli nie umrę w ciągu nocy.

Podczas gdy go przenoszono i układano w izbie, pan czuwał nad każdym krokiem i wołał: „Ostrożnie tylko, stąpacie powoli; powoli, do kroćset! urazicie go jeszcze. Ty tam, od nóg, bierz się na prawo; ty, od głowy, na lewo”. Kubuś zaś mówił po cichu: „Było tedy zapisane w górze!”...

Zaledwie Kubuś znalazł się w łóżku, zasnął głębokim snem. Pan spędził noc przy jego wezglowiu, macając puls i odwilżając kompresy. Kubuś, ocknąwszy się, ujrzał go przy tym zajęciu i rzekł: „Co pan tu robi?”

PAN: Czuwam nad tobą. Jesteś moim sługą, gdy jestem chory lub zdrow; ale ja twoim, kiedy tobie co dolega.

KUBUŚ: Bardzom rad widzieć, że pan jest człowiek ludzki; niezbyt częsty to przymiot u panów, gdy chodzi o sługę.

PAN: Jak się ma głowa?

KUBUŚ: Równie dobrze jak belka, z którą się potykała.

PAN: Weź prześcieradło w zęby i szarpnij mocno... Co czujesz?

KUBUŚ: Nic; garnek wydaje się cały.

PAN: Tym lepiej. Co! ty zabierasz się do wstawiania?

KUBUŚ: A cóż pan chce, abym tu robił?

PAN: Leżał spokojnie.

KUBUŚ: Moje zdanie jest, abyśmy zjedli śniadanie i ruszyli w drogę.

PAN: A koń?

KUBUŚ: Zostawiłem go u jego pana, uczciwego człowieka, godnego człowieka, który wziął go z powrotem za tyle, za ile go sprzedał.

PAN: A ten godny człowiek, ten uczciwy człowiek, czy wiesz, kto on zaczął?

KUBUŚ: Nie.

PAN: Powiem ci, gdy będziemy w drodze.

KUBUŚ: Czemuż nie zaraz? Cóż za tajemnica?

PAN: Tajemnica czy nie, co ci zależy, czy usłyszysz ją teraz, czy za chwilę?

KUBUŚ: Nic a nic.

PAN: Ale potrzeba ci konia.

KUBUŚ: Gospodarz oberży ustąpi z prawdziwą przyjemnością którego ze swoich.

PAN: Śpijże jeszcze chwilę, a ja się tym zajmę.

Pan Kubusia schodzi, zarządza śniadanie, kupuje konia, wraca i zastaje Kubusia ubranym. Pośniadali i ruszyli w drogę; przy czym Kubuś zarzekł się, iż niegrzecznie jest odjeżdżać, nie złożywszy uwagi obywatelowi, u którego wrót omal się nie zabił i który tak uprzejmie pospieszył mu z pomocą. Pan uspakajał jego skrupuły zapewnieniem, iż hojnie wynagrodził ludzi, którzy przynieśli Kubusia do gospody; Kubuś wszelako twierdził, iż pieniądze wręczone sługom nie zwalniały z powinności wobec gospodarza; że w ten sposób budzi się w ludziach żal i gorycz po spełnieniu dobrego uczynku i samemu sobie daje się pozór niewdzięcznika. „Tak, panie; słyszę wszystko, co ten człowiek powiada o mnie, sądząc z tego, co ja bym mówił, gdybym był na jego miejscu”...

Wyjeżdżali właśnie z miasta, kiedy spotkali wysokiego i krępkiego mężczyznę, z kapeluszem o szerokich krezach na głowie, w suto ugalonowanym ubraniu. Kroczył sam, jeżeli nie zechcemy liczyć za towarzystwo dwóch wielkich psów, które go poprzedzały. Zaledwie Kubuś go ujrzał, w jednej chwili zeskoczył z konia, wykrzyknął: „to on!” i rzucił mu się na szyję. Właściciel psów wydawał się bardzo zakłopotany czułościami Kubusia, odsuwał go łagodnie i mówił: „Panie, zbyt wiele mi pan wyświadcza zaszczytu”.

— Cóż znowu, winien panu jestem życie i nie mógłbym za nie dziękować zbyt czule.

— Nie wiesz, kto jestem.

— Czyż nie jesteś szlachetnym człowiekiem, który mi przyszedł z pomocą, puścił mi krew i opatrzył, wówczas kiedy koń...

— W istocie.

— Czyż nie jesteś uczciwym człowiekiem, który przyjął konia z powrotem za tą samą cenę, za jaką go sprzedałeś?

— Tak, jestem. I dalejże Kubuś zaczął wycalowywać go w oba policzki, pan uśmiechał się, psy zaś wyciągnęły się na łapach, węsząc nosem w powietrzu, jak gdyby oczarowane sceną, którą widziały po raz pierwszy. Kubuś, pomnożywszy objawy wdzięczności licznymi pokłonami, których dobroczyńca mu nie odwzajemnił, oraz mnóstwem życzeń przyjmowanych nader ozięble, wszedł z powrotem na konia i rzekł do pana: „Mam najgłębszą cześć dla tego człowieka, którego imię spodziewam się usłyszeć z ust pańskich”.

PAN: I czemuż to, Kubusiu, jest on tak czcigodny w twoich oczach?

KUBUŚ: Dlatego, iż człowiek, tak mało wagi przywiązujący do usług, które oddaje, musi być z natury uczynny i z dawna włożony do świadczenia dobrego.

PAN: Z czegoż to sądzisz?

KUBUŚ: Z obojętności i chłodu, z jakim przyjął moje dzięki: nie uklonił mi się, nie rzekł słowa, zdawał się nie widzieć mnie. Być może powiada teraz sam do siebie z uczuciem wzgardy: „Musi chyba szlachetność być czymś bardzo obcym temu podróżnemu, a świadczenie sprawiedliwości czymś bardzo uciążliwym, skoro tak jest wzruszony moim postępkami”... Cóż jest niedorzecznego w tym, co mówię, że pan śmiejesz się tak serdecznie!... Jak bądź się rzeczy mają, niech mi pan powie nazwisko tego człowieka, iżbym je zapisał w notatniku.

PAN: Bardzo chętnie; pisz.

KUBUŚ: Słucham.

PAN: Pisz: człowiek, dla którego żywię najgłębszą cześć...

KUBUŚ: Najgłębszą cześć...

PAN: Jest...

KUBUŚ: Jest...

PAN: Katem z miasta\*\*\*.

KUBUŚ: Katem!

PAN: Tak, tak, katem.

KUBUŚ: Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mieści się sól tego żarciku?

PAN: Ja nie żartuję. Przejdź kolejno ogniwa łańcuszka. Potrzebujesz konia, los nastrojczy podróżnego gotowego ci go odstąpić; i oto zdarza się, iż podróżnym tym jest kat. Koń ponosi cię dwa razy pod szubienicę; za trzecim razem wiedzie do domu kata; tam padasz bez życia i noszą cię gdzie? do gospody, do wspólnego legowiska, wspólnego schronienia. Kubusiu, czy znasz historię śmierci Sokratesa?

KUBUŚ: Nie.

PAN: Był to mędrzec w Atenach. Z dawna już niebezpieczna jest rola mędrca między szaleńcami. Współobywatele skazali go na wypicie cykuty. I cóż? Sokrates postąpił tak samo jak ty; z katem, który mu podał cykutę, zachował się równie dwornie. Kubusiu, przynajmniej, że z ciebie kawał filozofa. Wiem dobrze, że to jest rodzaj ludzi obmierzły możliwym, przed którymi nie zginają kolana; urzędnikom z urzędu swego ochronicielom przesądów, które oni tępią; księżom rzadko widującym ich u stóp ołtarzy; poetom, ludziom bez zasad i patrzącym bezrozumnie na filozofię jako na popychadło sztuk pięknych, nie mówiąc o tym, iż nawet ci, którzy ćwiczyli się w szpetnym rodzaju satyry byli jeno pochlebcami; ludom, odwiecznym niewolnikom tyranów, którzy je gniołają, hultajów, którzy je oszukują, i błaznów, którzy je bawią. Zatem, jak widzisz, znam całe niebezpieczeństwo twego rzemiosła i całą wagę wyznania, jakiego żądam od ciebie; ale nie nadużyję twojej tajemnicy. Kubusiu, mój przyjacielu, jesteś filozofem, boleję nad tym w twoim interesie. Jeżeli wolno jest w rzeczach obecnych czytać te, które mają kiedyś nastąpić, i jeśli to, co jest napisane w górze objawia się niekiedy ludziom na długi czas przed zniszczeniem, przewidując, iż śmierć twoja będzie pełna filozofii i że przyjmiesz stryzyk równie życzliwie, jak Sokrates kielich cykuty.

KUBUŚ: Panie, sam prorok nie powiedziałby tego lepiej; ale na szczęście...

PAN: Nie wierzysz temu zbyt: niewiara twoja tym więcej daje siły memu przecuciu.

KUBUŚ: A pan, czy pan w to wierzy?

PAN: Wierzę; ale choćbym i nie wierzył, to by nie miało znaczenia.

KUBUŚ: Dlaczego?

PAN: Niebezpieczeństwo bowiem istnieje tylko dla tych, co mówią, a ja milczę.

KUBUŚ: A w przecucia?

PAN: Śmieję się z nich, ale przyznaję, iż nieraz ze drżeniem. Zdarzają się przykłady tak bijące w oczy! Od tak wczesnej pory kołysano nas do snu tymi powiastkami! Jeśli sny sprawdziłyby ci się kilka razy i zdarzyłoby ci się śnić, że przyjaciel twój umarł, rankiem pospieszyłbyś co rychlej dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Ale już najtrudniej jest obronić się przecuciom, które nachodzą nas w chwili, gdy rzecz jakaś dzieje się z dala od nas, i mają charakter niejako symboliczny.

KUBUŚ: Jest pan niekiedy tak głęboki i wzniosły, że przestaję rozumieć. Nie mógłby mi pan rozjaśnić nieco tej rzeczy za pomocą przykładu?

PAN: Nic łatwiejszego. Pewna kobieta żyła na wsi z mężem, człowiekiem osiemdziesięcioletnim i cierpiącym na kamień. Mąż żegna się z żoną i jedzie do miasta poddać się operacji. W wilię operacji pisze do żony: „W chwili, gdy otrzymasz ten list, ja będę się znajdował pod nożem brata Kosmy”... Znasz owe pierścienie ślubne dające się rozłożyć na dwie części, na których wryte jest imię męża i żony. Otóż kobieta ta miała podobny pierścień na palcu w chwili, gdy otwierała list męża. Nagle dwie połowy pierścienia rozłączają się; ta, która nosiła jej imię, zostaje na palcu; druga, z imieniem męża, pada strzaskana na list, który właśnie czytała... Powiedz mi, Kubusiu, czy myślisz, że istnieje głowa dość mocna, dusza dość nieugięta, iżby nie wstrząsnął nią mniej lub więcej w podobnych okolicznościach podobny wypadek? Toteż kobieta omal nie przypłaciła tego życiem. Stan jej trwał aż do dnia następnej poczty, przez którą mąż uwiadomił ją, iż przebył szczęśliwie operację, znajduje się poza niebezpieczeństwem i ma nadzieję uściskać ją przed końcem miesiąca.

KUBUŚ: I tak się stało?

PAN: Tak.

Filozof, Śmierć

Przecucie, Los

KUBUŚ: Zadałem to pytanie, ponieważ zauważyłem niejednokrotnie, iż los lubi chodzić krętymi drogami. Obwinia się go w pierwszej chwili, że skłamał, w następnej zaś pokazuje się, że mówił prawdę. Zatem pan mniema, iż u mnie zachodzi wypadek przeczucia symbolicznego; i pomimo woli przypuszcza pan, iż zagraża mi śmierć owego filozofa?

PAN: Nie umiałbym ci tego taić; ale aby odsunąć tę smutną myśl, czy nie mógłbyś...?

KUBUŚ: Podjąć historii moich amorów...?

Kubuś podjął historię amorów. Zostawiliśmy go, o ile mi się zdaje, przy rozmowie z chirurgiem.

CHIRURG: Obawiam się, że z twoim kolaniem będzie roboty nie na dzień i nie na dwa.

KUBUŚ: Będzie ściśle na tyle, na ile zapisane jest w górze; cóż stąd?

CHIRURG: Licząc tyle a tyle dziennie za mieszkanie, życie i opiekę, to uczyni ładną sumkę.

KUBUŚ: Doktorze, nie chodzi o sumę za cały czas; tylko ile dziennie?

CHIRURG: Dwadzieścia pięć soldów; czy za dużo?

KUBUŚ: O wiele za dużo; ej, doktorze, ja jestem biedny chudzina: przepołówmy tę kwotę i staraj się pan jak najszybciej przenieść mnie do siebie.

CHIRURG: Dwanaście i pół solda to żadna rachuba; dajże bodaj trzynaście.

KUBUŚ: Dwanaście i pół, trzynaście... Dobra.

CHIRURG: Płatne każdego dnia.

KUBUŚ: I na to zgoda.

CHIRURG: Bo widzisz, ja mam żonę istną diablicę, która nie zna się na żartach.

KUBUŚ: Ech, doktorze, każże mnie co najprędzej zanieść do swojej diablicy.

CHIRURG: Miesiąc po trzynaście soldów dziennie, to czyni dziewiętnaście franków dziesięć soldów. Niech już będzie okrągłe, dwadzieścia.

KUBUŚ: Dwadzieścia franków, dobrze.

CHIRURG: Pragniesz być dobrze żywiony, dobrze pielęgnowany, szybko wyleczony. Poza żywieniem, pomieszkaniem i opieką, będą może lekarstwa, opatrunki, będzie...

KUBUŚ: No, i...?

CHIRURG: Na honor, jedno w drugie, to wyjdzie na dwadzieścia cztery franki miesięcznie.

KUBUŚ: Niechże już będzie dwadzieścia cztery; ale bez czuba.

CHIRURG: Miesiąc dwadzieścia cztery, franki, dwa miesiące czterdzieści osiem; trzy miesiące siedemdziesiąt i dwa. Ach, jakaż rada byłaby pani doktorowa, gdybyś wprowadzając się, mógł zaliczyć z góry połowę tych siedemdziesięciu dwu...?

KUBUŚ: Zgoda.

CHIRURG: Byłaby jeszcze bardziej rada...

KUBUŚ: Gdybym zapłacił cały kwartał? Zapłacę.

Chirurg (ciągnął Kubuś) poszedł odszukać gospodarzy, powiadomił ich o układzie i w chwilę potem mąż, żona i dzieci zgromadzili się dokoła łóżka z wypogodzoną twarzą; nie było końca dopytywaniom o zdrowie moje i mego kolana; dopiero pochwały dla chirurga, drogiego kuma i jego żony, dopiero niekończące się życzenia, najcieplejsza serdeczność, zajęcie się, gotowość do usług. Chirurg nie powiedział im wprawdzie, że mam pieniądze; ale znali swego kuma: brał mnie do domu! To wystarczyło. Zapłaciłem, co byłem winien, rozdałem dzieciom drobne upominki, których rodzice nie zostawili długo w ich rękach. Było to rano. Gospodarz wyszedł w pole, gospodyni wzięła na plecy kosz i również opuściła chatę; dzieci markotne i nierade, iż je obłupiono, znikły. Dość że, kiedy chodziło o to, aby mnie wydobyć z mego barłogu, ubrać i ułożyć na noszach, nie było nikogo prócz doktora, który zaczął nawoływać na całe gardło bez żadnego skutku.

PAN: A Kubuś, który lubi rozmawiać sam ze sobą, powiadał sobie zapewne: „Niech nigdy nie płaci z góry, kto chce być dobrze obsłużony”.

KUBUŚ: Nie, panie; nie był to czas roztrząsań moralnych, jeno czas klątw i niecierpliwości. Niecierpliwiłem się, kłamię, do dumań przeszedłem jedynie na końcu; podczas zaś gdy się w nich pograżyłem, doktor, który zostawił mnie samego, powrócił z dwoma



chłopcami najętymi na mój koszt, czego przede mną nie ukrywał. Dzięki ich pomocy znalazłem się niebawem na noszach sporządzonych z materaca rozpostartego na żerdziach.

PAN: Bogu niech będzie chwała! Jesteś tedy w domu chirurga, zakochany na śmierć w żonie lub córce doktora.

KUBUŚ: Zdaje mi się, że pan się myli.

PAN: I ty myślisz, że ja będę tkwił trzy miesiące w domu doktora, zanim usłyszę pierwsze słowo, o twoich amorach? O, Kubusiu, to być nie może. Darujże mi, błagam, opis domu i charakteru doktora i humorów doktorzyny, i postępów leczenia; przeskocz to wszystko. Do rzeczy! śpieszmy do rzeczy! Zatem, kolano na wpeł wyleczone, masz się niezgorzej i kochasz.

KUBUŚ: Kocham tedy, skoro panu tak pilno.

PAN: I kogóż kochasz?

KUBUŚ: Słuszną brunetkę lat osiemnastu, o kibici prześlicznie wykrojonej, wielkie czarne oczy, małe wiśniowe usta, piękne ramiona, ładne rączki... ba, te rączki...

PAN: Zdaje ci się, że jeszcze je trzymasz.

KUBUŚ: Bo też pan niejedną raz brał je i trzymał ukradkiem, i od nich jeno zależało, abyś pan z nimi zrobił wszystko co...

PAN: Na honor, Kubusiu, nie spodziewałem się tego zwrotu.

KUBUŚ: Ani ja.

PAN: Daremnie błędę myślą, nie przypominam sobie ani słuszej brunetki, ani ładnych rączek: staraj się tłumaczyć jaśniej.

KUBUŚ: Zgoda; ale pod warunkiem, że cofniemy się i wrócimy do domu chirurga.

PAN: Mniemasz, iż tak jest napisane w górze?

KUBUŚ: O tym pan mnie dopiero pouczy; ale jest napisane tu, w dole, że *chi va piano, va sano*.

PAN: I że *chi va sano, va lontano*; a ja chciałbym wreszcie zajść.

KUBUŚ: I cóż? Co pan postanowił?

PAN: Co zechcesz.

KUBUŚ: W takim razie jesteśmy z powrotem u chirurga; i było napisane w górze, iż tam powrócimy. Doktor, żona jego i dzieci zestroili się tak dobrze, aby wyczerpać mą sakiewkę wszelakiego rodzaju drobnymi rabunkami, iż niebawem osiągnęli swój cel. Wyleczenie kolana posuwało się po trosze, rana niemal się zasklepiała, mogłem chodzić przy pomocy kuli i zostało mi jeszcze osiemnaście franków. Nikt bardziej nie lubi mówić niż jąkały, nikt bardziej nie lubi chodzić niż chromi. Pewnego jesiennego południa, w śliczną pogodę umyśliłem daleką przechadzkę; z wioski, w której mieszkałem, były do sąsiedniej niespełna dwie mile.

PAN: A ta wioska, nazywała się...

KUBUŚ: Gdybym ją nazwał, wiedziałby pan wszystko. Przybywszy na miejsce, wstałem do karczmy, odsapnąłem, pokrzepiłem się. Dzień miał się ku schyłkowi i gotowałem się wrócić na swoje leże, kiedy usłyszałem przeraźliwe krzyki wychodzące z ust jakiejś kobiety. Wyszedłem; ujrzałem zbiegowisko. Leżała na ziemi, wydzierała sobie włosy, wołała, ukazując szczątki wielkiego dzbana: „Zgubiona, zrujnowana jestem na cały miesiąc; któż przez ten czas wyżywi moje biedne dzieci! Rządca, który ma duszę twardszą niżli kamień, nie daruje mi ani szeląga. Och, ja nieszczęśliwa! zgubiona jestem! zrujnowana!”... Wszyscy litowali się; słyszałem dokoła szepty: „biedna kobieta”, ale nikt nie sięgnął ręką do kieszeni. Zbliżyłem się i rzekłem: — Moja kobiecino, cóż się stało? — Co się stało! czy pan nie widzi? Posłano mnie abym kupiła dzban oliwy; potknęłam się, upadłam, garnek się stłukł i oto... W tej chwili podbiegły dzieci tej kobiety: były prawie nagie, a stan odzieży matki okazywał jawnie nędzę rodziny. Matka i dzieci poczęły chórem zawodzić. Tak jak mnie pan widzisz, dziesiąta część tego byłaby starczyła, aby mnie poruszyć; serce zadrgało we mnie ze współczucia, łzy napłynęły do oczu. Zdławionym głosem zapytałem kobiety, za ile mogło być oliwy w garnku. „Za ile? — odparła, wznosząc ręce w górę. — Za dziewięć franków, więcej niż jestem zdolna zapracować przez miesiąc”... Natychmiast rozwiązałem sakiewkę i wręczając dwa bite talary, rzekłem: „Bierzcie, kobiecino, macie tu dwanaście”... Po czym nie czekając podziękowań, skierowałem się ku wsi.

PAN: Kubusiu, zrobiłeś w tej chwili rzecz piękną.

Współczucie, Pieniądz,  
Kradzież, Przemoc, Cnota,  
Dobro, Zło

KUBUŚ: Zrobiłem głupstwo, jeżeli pan pozwoli. Nie uszedłem jeszcze stu kroków, kiedy sam to sobie powiedziałem; skoro byłem w połowie drogi, powiedziałem to sobie jeszcze lepiej; przybywszy zaś do domu chirurga z próżnym mieszkim uczulem to najdokładniej.

PAN: Być może, iż masz słuszość i że moja pochwała była równie nie na miejscu jak twoje współczucie... Nie, nie, Kubusiu, trwam w moim pierwotnym sądzie; właśnie zapomnienie własnych potrzeb stanowi główną zasługę twego czynu. Widzę jego następstwa: staniesz się ofiarą nieludzkiego postępowania chirurga i jego żony; wypędzą cię z domu; ale choćbyś miał zginąć pod progiem na kupie gnoju i na tej kupie gnoju będziesz czuł wewnętrzne zadowolenie.

KUBUŚ: Panie, nie dorosłem do tej mocy ducha. Wędrowałem tedy kuśtykając oraz, skoro mam być szczery, żałując swoich dwóch talarów, których to nie mogło wrócić, i psując jeno żalem czyn, który spełniłem. Byłem w połowie drogi; noc zapadła niemal zupełna. Naraz z zarośli okalających gościniec wynurzają się trzej bandyci, rzucają się na mnie, obalają na ziemię, plądrują i wyrażają gniewne zdziwienie znajdując przy mnie jeno drobną kwotę. Rachowali na lepszą zdobycz; będąc świadkami mej jałmużny, wyobrazili sobie, iż ktoś, kto może pozbyć się tak lekko pół ludwika, musi mieć ich w kieszeni przynajmniej dwadzieścia. Z wściekłości, iż nadzieje ich zawiodły i że narazili się na łamanie kołem dla garści miedziaków, w razie gdybym ich oskarżył i rozpoznał, wahali się przez chwilę, czy nie bezpieczniej byłoby mnie zamordować. Na szczęście usłyszeli jakiś szmer, uciekli: wykpiłem się ze sprawy paroma guzami. Skoro bandyci znikli, powlokłem się dalej i dobiełem, jak mogłem, do wsi. Przybyłem o drugiej w nocy, blade, obdarty, ze wzmożonym bólem w kolanie, silnie potłuczony. Doktor... Panie, co panu? Zaciskasz pan zęby, miotasz się jak gdybyś był w obliczu nieprzyjaciela.

PAN: I jestem w istocie; mam szpadę w dłoni, rzucam się na tych hultajów i mszczę się za ciebie. Powiedz, w jaki sposób ten, który zapisał ową wielką wstęgę, mógł być napisać, iż taką będzie nagroda szlachetnego czynu? Dlaczego ja, który jestem jeno lichym zlepkim przywar, śpieszę oto na twoją obronę, podczas gdy on patrzył spokojnie, jak cię napadają, obalają, katują, depcą nogami, on, którego mienią zbiorem wszelkiej doskonałości!...

KUBUŚ: Panie, spokojnie, spokojnie: to, co pan mówisz, diabelnie pachnie heretyckim chrustem.

PAN: Cóż ty się tak rozglądasz?

KUBUŚ: Patrzę, czy nie ma nikogo w pobliżu, kto by pana mógł słyszeć... Doktor zmacał mi puls i stwierdził gorączkę. Położyłem się nic nie mówiąc o całej przygodzie, mając na legowisku, niespokojny, stroskany, nie mając ani szeląga przy duszy, a zarazem żadnej wątpliwości, iż nazajutrz rano za przebudzeniem zażądam ode mnie umówionej dziennej opłaty.

W tym miejscu pan objął za szyję sługę, wołając: „Biedny Kubusiu, i co ty poczniesz? Co się z tobą stanie? Położenie twoje przeraża mnie”.

KUBUŚ: Panie, uspokój się pan, oto jestem.

PAN: Nie myślałem o tym; przeżywałem owo *nazajutrz* obok ciebie u doktora, w chwili gdy się budzisz i gdy przychodzą żądać od ciebie pieniędzy.

KUBUŚ: Mój panie, nie wiadomo, czym się należy cieszyć, a czym martwić w życiu. Dobre sprowadza złe, złe sprowadza dobre. Kroczymy w ciemnościach popod tym, co jest zapisane w górze, jednak bezrozumni w naszych pragnieniach, w radości i strapieniu. Kiedy płaczę, często zdarza mi się myśleć, że jestem głupcem.

PAN: A kiedy się śmiejesz?

KUBUŚ: Również myślę, że jestem głupcem; mimo to nie mogę się powstrzymać od płaczu i od śmiechu; to mnie doprowadza do wściekłości. Sto razy próbowałem... Nie zmrużyłem oka przez całą noc...

PAN: Nie, nie, powiedz, co próbowałeś.

KUBUŚ: Kpić sobie ze wszystkiego. Ach, gdybym potrafił!

PAN: Na cóż by się to zdało?

KUBUŚ: Aby mnie uwolnić od trosk, wyzuć z wszelkich potrzeb, uczynić w zupełności panem samego siebie i sprawić, bym się jednako dobrze czuł z głową opartą o kamień

przydrożny jak na puchowej poduszce. Taki bywam niekiedy; ale diabelstwo jest w tym, że to nie jest trwałe. W wielkich okazjach mogę być twardy i oporny jak skała, a zdarzy się często, że mała przeciwność, drobiazg, wyważy mnie z trybów; to można się po gębie bić ze złości! Dałem za wygraną; namyśliłem się zostać, jakim jestem, i przekonałem się, zastanawiając się trochę, że to wychodzi prawie na jedno, zwłaszcza jeżeli się doda: „Cóż na tym zależy, jakim jestem”. Jest to rezygnacja innego typu, łatwiejsza i wygodniejsza.

PAN: Że wygodniejsza, to pewna.

KUBUŚ: Wczesnym rankiem chirurg rozsunął firanki i rzekł:

— No, młody przyjacielu, pokaż kolano; trzeba mi bowiem w daleką drogę.

— Doktorze — rzekłem bolesciwym tonem — spać mi się chce.

— Tym lepiej! to dobry znak.

— Dajcie mi spać, daruję panu ten opatrunek.

— Ostatecznie, może i tak zostać, śpij tedy...

To rzekłszy, zasuwą firanki; a ja nie śpię. W godzinę potem doktorowa rozsuwa firanki i mówi: „Wstawaj, dziecko, czeka na ciebie potrawka na słodko”.

— Pani doktorowo — odparłem bolesciwym tonem — nie chce mi się jeść.

— Jedz, jedz, nie zapłacisz przez to ani więcej, ani mniej.

— Nie będę jadł.

— Tym lepiej! zostanie dla dzieci i dla mnie.

To rzekłszy, zasuwą firanki, woła dzieci i zasiadają z apetytem dokoła mojej potrawki.

Czytelniku, gdybym uczynił pauzę i podjął historię człowieka o jednej koszuli, ponieważ miał tylko jedno ciało naraz, rad bym wiedzieć, co byś o tym pomyślał? Że nie wiedząc, jak się wyplątać z historii, w jaką zabrnąłem, ratuję się bajeczką ukutą naprędce, aby zyskać na czasie i szukać jakiegoś sposobu wyłgania się z tej, którą rozpocząłem. Otóż, czytelniku, mylisz się pod każdym względem. Wiem, jak Kubuś wydobędzie się ze swej niedoli, a to, co wam opowiem o panu Gousse, człowieku o jednej koszuli, ponieważ miał tylko jedno ciało naraz, nie jest wcale bajką.

Otóż w dzień Zielonych Świątek rano otrzymałem bilecik od Gousse'a błagający, abym go odwiedził w więzieniu. Ubierając się, zastanawiałem się nad tym zdarzeniem przekonany, iż zapewne krawiec, piekarz, oberżysta lub gospodarz uzyskali i wprowadzili w czyn wyrok sądowy za jakąś dawną należność. Przybywam; zastaję go we wspólnej izdebce z paroma osobistościami o dość podejrzanym wyglądzie. Pytam, kto są ci ludzie.

— Ten stary, którego pan tu widzisz, w okularach na nosie, to bystry człowiek; znakomicie posiada sztukę rachunku i stara się oto właśnie pogodzić księgi handlowe ze swą kalkulacją. Rzecz niełatwa, rozmawialiśmy o tym, ale nie wątpię, że zdoła to osiągnąć.

— A ten drugi?

— To cymbał.

— Ale poza tym?

— Cymbał, który wynalazł maszynę do podrabiania biletów bankowych, lichą maszynę, niedokładną w dwudziestu może szczegółach.

— A ten trzeci, w ubraniu z galonami, który gra na wiolonczeli?

— Ten jest tutaj tylko przelotnie; dziś wieczór może albo jutro rano (sprawa jego bowiem to czysta błahostka) przeniosą go do Bicêtre.

— A pan?

— Ja? moja sprawa jest jeszcze większe nic.

Po tej odpowiedzi wstaje, rzuca czapkę na łóżko i w tej chwili trzej towarzysze więzienia znikają. Kiedym wchodził, zastałem Gousse'a w szlafroku; siedział przy stoliku i pracował równie spokojnie, jak u siebie w domu. Zostaliśmy sami. „No, a pan, cóż pan tu robisz?”

— Ja? Pracuję, jak pan widzi.

— Ale kto pana wsadził?

— Ja sam.

— Jak to pan sam?

- Tak, ja sam, do usług.
- W jaki sposób wziąłeś się do tego?
- Tak samo, jak bym się wziął z kim innym. Wytoczyłem samemu sobie proces; wygrałem i na skutek wyroku, jaki uzyskałem przeciw sobie oraz dekretu, który był jego następstwem, uwięziłem się i zaprowadziłem tutaj.
- Czyś pan oszalał?
- Nie, panie; mówię, jak było.
- Czy nie mógłbyś pan wytoczyć samemu sobie nowego procesu, wygrać go i w następstwie nowego wyroku i dekretu kazać się wypuścić na wolność?
- Nie, panie.

Gousse miał ładną pokojówkę, która służyła mu za połowicę częściej niżli jego własna. Ten nierówny podział zamącił spokój domowy. Mimo iż niełatwą było rzeczą zatruć życie temu człowiekowi, który najmniej na świecie wrażliwy był na krzyki i kłótnie, w końcu postanowił opuścić żonę i zamieszkać ze służącą. Ale cały jego majątek mieścił się w meblach, przyrządach, rysunkach, narzędziach i innych ruchomych sprzętach: że zaś wolał raczej zostawić żonę ogołoconą ze wszystkiego, niż wynieść się z próżnymi rękami, oto jaki powziął projekt. Wystawił weksle na imię służącej, ta miała je zaskarżyć, uzyskać zajęcie i sprzedaż ruchomości, które znów z kolei miały zawędrować z hali aukcyjnej do przyszłego mieszkania. Zachwycony tym pomysłem, wystawia weksle, skarży je, bierze dwóch adwokatów, biega od jednego do drugiego, ścigając samego siebie z całą zawziętością, nacierając żwawo, broniąc się lichem: uzyskuje wyrok skazujący go na zapłatę pod groźbą kar przewidzianych prawem; w myśli zagarnia już wszystko, co tylko dało się wyskrobać z domu: ale rezultat niezupełnie odpowiedział marzeniom. Miał do czynienia z hultajką kutą na cztery nogi, która zamiast patrzeć go na ruchomościach, wzięła się do osoby, kazała go ująć i osadzić w więzieniu; tak iż mimo wszelkich pozorów szaleństwa, jakie nosiły jego zagadkowe odpowiedzi, niemniej były one szczerą prawdą.

Podczas gdy wam opowiedziałem tę historię, którą weźmiecie za bajkę... — A historia człowieka z galonami, który dudlił na wiolonczeni? — Czytelniku, przyrzekam ci ją; na mą cześć, nie będziesz oszukany, ale pozwól mi na razie wrócić do Kubusia i jego pana. Kubuś i jego pan dobili do schronienia, w którym mieli zamiar przepędzić noc. Było późno, bramy miasta były zamknięte, musieli zatrzymać się w gospodzie na przedmieściu. Tam słyszę hałas... — Pan słyszysz! Przecież pana tam nie było; nie chodzi o pana. — Prawda. Zatem, Kubuś... pan... Słysząc straszliwy hałas. Widzę dwóch ludzi... — Nic nie widzisz; nie chodzi o pana, pana tam nie było. — To prawda. Siedziało tedy przy stole dwóch ludzi, rozmawiając dość spokojnie opodal drzwi prowadzących do ich pokoju; podczas gdy jakaś kobieta, wsparłszy się pod boki, rzygała na nich potokiem obelg. Kubuś starał się uspokoić tę niewiastę, która równie nie słuchała jego pokojowych przedstawień, jak owe dwie napastowane przez nią osobistości nie zwracały uwagi na jej wymysły. „Ech, paniusiu — mówił Kubuś — spokojnie, niechże się pani opamięta; pomału, o cóż chodzi? Ci panowie zdają mi się godnymi ludźmi”.

— Oni, godnymi ludźmi! To brutale, ludzie bez litości, bez serca, bez czucia. Cóż im zrobiła biedna Linka, żeby się tak znęcać nad nią? Zostanie kaleką na całe życie.

- Może nie jest tak źle jak pani myśli.
- Poturbowana strasznie, mówię panu, że zostanie kaleką.
- Trzeba zobaczyć; trzeba posłać po chirurga.
- Już posłano.
- Położyć do łóżka.
- Już leży i jęczy tak, że serce człowiekowi pęka. Biedna Linka...

Wśród tych lamentów rozlegał się dzwonek z jednej strony i wołanie: „Pani gospodni, wina”... Odpowiadała: „Idę, idę”. Dzwonek z drugiej strony i wołanie: „Pani gospodni, bielizna”. Odpowiadała: „Idę, idę”. — „Kotlety i kaczka”. — „Idę, idę”. — „Butelka, nocnik”. — „Idę, idę”. Z drugiego zaś kąta domu krzyczał ktoś jak opętany; „Przeklęty gaduło! opętany gaduło! czego, ty nos wściubiasz? Czy chcesz, abym tu czekał do jutra? Kubuś! Kubuś!”.

Gospodyni, oprzytomniawszy nieco z gniewu i żalości, rzekła do Kubusia: „Panie, niech się pan mną nie kłopoce, jest pan zbyt łaskaw”.

- Kubuś! Kubuś!

- Biegnij pan prędko. Ach gdyby pan znał wszystkie niedole tej biednej istoty!...
- Kubuś! Kubuś!
- Idźże pan, zdaje się że to pański pryncypał woła.
- Kubuś! Kubuś!

W istocie, był to pan, który rozebrał się sam, umierał z głodu i niecierpliwił się, iż nikt nic nie podaje. Kubuś pospieszył na górę, a w chwilę po Kubusiu gospodyni, z twarzą widocznie przygnębioną: „Panie — rzekła do Kubusiowego pryncypała — stokrotnie przepraszam; ale bo też istotnie zdarzają się rzeczy, które trudno strawić. Co pan sobie życzy? Mam kurczęta, gołąbki, wyborny comber zajęczy, króliki: okolica sławna jest z królików. A może pan woli kurkę wodną?”. Kubuś zamówił wieczerzę dla pana i dla siebie, wedle zwyczaju. Podano wreszcie i pożerając chciwie, pan rzekł: „Cóż ty, u diabła, robiłeś tak długo?”.

KUBUŚ: Może co dobrego, może co złego; kto to wie?

PAN: I cóż robiłeś złego czy dobrego?

KUBUŚ: Powściągałem gospodynię, narażającą się na oberwanie paru sińców od tych ludzi, którzy przetrącili co najmniej jedną rękę jej służącej.

PAN: A któż wie, czy by to nie było dobre dla niej oberwać parę sińców...

KUBUŚ: Z dziesięciu przyczyn, z których jedna lepsza od drugiej. Jedno z największych błogosławieństw, jakie zdarzyły mi się w życiu, jak tu stoję przed panem...

PAN: Było to, iż ci się zdarzyło oberwać?... Dolej no...

KUBUŚ: Tak, panie; oberwać guzy na gładkiej drodze, w ciemną noc; a to gdy wracał ze wsi, jak panu mówiłem, zrobiwszy wedle mnie głupstwo, wedle pana piękny uczynek, czyli oddawszy wszystkie pieniądze owej biednej kobiecie.

PAN: Przypominam sobie... Dolej no. A źródło kłótni, którą uśmierzałeś przed chwilą i powody złego obejścia z córką czy też służącą gospodyni?

KUBUŚ: Na honor, są mi nieznane.

PAN: Nie znasz tedy gruntu sprawy i mieszasz się do niej! Kubusiu, to nie jest ani wedle rozsądku, ani wedle sprawiedliwości, ani wedle zasad... Dolej no...

KUBUŚ: Nie wiem, co to zasady, chyba że tak nazwiemy prawidła, które przepisuje się innym, a nie sobie. Myślę *tak*, a nie umiałbym się powstrzymać od czynienia *inaczej*. Wszystkie kazania przypominają wstępy do edyktów królewskich; wszyscy kaznodzieje żądają, aby się wykonywało ich nauki, być może bowiem wyszłoby to nam na lepsze: ale, co do nich samych, to pewna... Cnota...

PAN: Cnota, Kubusiu, jest dobrą rzeczą; źli i dobrzy wyrażają się o niej jak najpochlebniej... Dolej no.

KUBUŚ: I jedni bowiem, i drudzy mają w tym swoje wyrachowanie.

PAN: I w jakim sposób stało się dla ciebie takim szczęściem oberwać guzy?

KUBUŚ: Jest późno, podjadł pan sobie dobrze i ja także; jesteśmy obaj zdrożeni; wierz mi pan, chodźmy spać.

PAN: To być nie może, toć od gospodyni coś się nam jeszcze należy. Nim się jej doczekamy, wróć no do historii twoich amarów.

KUBUŚ: Na czym ja stanąłem? Proszę bardzo, na ten raz i na wszystkie inne, zechciej mnie pan naprowadzić.

PAN: Najchętniej; aby wejść tedy w czynności suflera, powiadam ci, iż leżysz w łóżku, bez pieniędzy, wielce skłopotany swą osobą, podczas gdy doktorzyna i jej dzieci zajadają się potrawką na słodko.

KUBUŚ: Naraz daje się słyszeć turkot karocy, która zatrzymała się przed domem. Wchodzi lokaj i pyta: „Czy tu mieszka biedny człowiek, żołnierz o kulach, który wrócił wczoraj z sąsiedniej wioski?”.

— Tak — odparła doktorowa — czego pan sobie życzy?

— Mam polecione wsadzić go do karocy i zabrać z sobą.

— Leży oto w łóżku, rozsuń pan firanki i rozmów się.

W tym punkcie opowiadania weszła gospodyni i rzekła: „Co pan rozkaże na wety?”.

PAN: Co macie.

Cnota, Dobro, Zło

Gospodyni, nie zadając sobie trudu schodzenia z powrotem, krzyknęła z pokoju: „Magdusiu, przynieś owoce, biszkopty, konfitury...”

Słyszając to imię, Kubuś rzekł do siebie: „Ach, to widać córkę jej pobito, nie dziw, że się tak uniosła”...

Pan zaś do, gospodyni: „Byłaś pani wielce zgniewana przed chwilą?”

GOSPODYNI: A któż by się nie zgniewał? Biedne stworzenie nic im nie zawiniło; ledwie weszła do pokoju, słyszę wrzask, ale co za wrzask... Bogu dzięki, uspokoiłam się nieco; chirurg powiada, że nic jej nie będzie; ma wszelako dwa olbrzymie siniaki, jeden na głowie, drugi na barku.

PAN: Czy dawno jest u pani?

GOSPODYNI: Dwa tygodnie najwyżej. Porzucono ją na sąsiedniej stacji pocztowej.

PAN: Jak to porzucono?

GOSPODYNI: Ano, mój Boże, tak! Bywają ludzie, którzy mają serca twardsze niż kamienienie. Omal że się nie utopiła przedostając się przez rzeczkę płynącą opodal; dołwlokła się istnym cudem. Przygarnęłam ją z litości.

PAN: Ileż ma lat?

GOSPODYNI: Liczę ją przeszło na półtora roku...

Na te słowa Kubuś parska śmieciem i wykrzykuje: „To suczka!”

GOSPODYNI: Najładniejsze zwierzątko pod słońcem; nie oddałabym mojej Linki za dziesięć ludwików. Biedna Linka!

PAN: Pani ma tkliwe serce.

GOSPODYNI: Jakbyś pan wiedział, dbam o moje zwierzęta i o moich ludzi.

PAN: To bardzo ładnie. I któż to tak poturbował paniną Linkę?

GOSPODYNI: Dwaj obywatele z sąsiedniego miasta. Szepcą coś sobie bez ustanku do ucha; wyobrażają sobie, że nikt nie wie, o czym mówią i nie wie ich przygody. Nie ma trzech godzin jak tu bawią, a już znam całą historię do najmniejszego słóweczka. Zabawna jest w istocie: i jeżeli panom równie się nie spieszy do łóżka jak mnie, opowiedziałabym wam, tak jak ich służący opowiedział ją mojej pokojowej, która przypadkiem okazała się jego krajanką, ona zaś powtórzyła memu mężowi, który znowuż powtórzył mnie. Teściowa młodszego z tych panów przejeżdżała tędy przed niespełna trzema miesiącami; udawała się, niezupełnie z własnej ochoty, do klasztoru w okolicy: ale niedługo zagrzała miejsce. Umarła niebawem i oto dłaczego młodzi ludzie są w żalobie... Ale widzę, iż sama nie wiedząc kiedy, zaczynam historię... Dobrej nocy życzę; przyjemnych marzeń. Wino smakowało panom?

PAN: Bardzo smakowało.

GOSPODYNI: Z wieczerzy byli panowie zadowoleni?

PAN: Bardzo zadowoleni. Szpinak był odrobinę przesolony.

GOSPODYNI: Miewam niekiedy rękę trochę ciężką. Będzicie mieli dobre posłanie i prześcieradła świeżo z pralni; nie zdarza się u mnie, aby zostały z poprzedniego noclegu.

To rzekłszy, gospodyni opuściła pokój, a Kubuś i jego pan pokładli się do łóżek, śmiejąc się z *qui pro quo*, w którym suczkę wzięli za córkę lub też pokojówkę, jak również z przywiązania gospodyni dla porzuconej psiny bawiącej w domu ledwie od dwóch tygodni. Kubuś rzekł, obwiązując sobie głowę chustką: „Założyłbym się, że ze wszystkiego, co żywie w tej gospodzie, ta kobieta kocha jeno swoją Linkę”. Pan odpowiedział: „Możliwe, Kubusiu; ale śpijmy”.

Podczas gdy Kubuś i jego pan spoczywają, ja dopełnię zobowiązania, opowiadając historię człowieka dudłącego w więzieniu na wiononczeni lub raczej dając głos jego towarzyszowi, panu Gousse.

— Ów trzeci — rzekł — jest to intendent pewnego wielkiego domu. Zakochał się w cukiernikowej w ulicy Uniwersyteckiej. Cukiernik był to pocziwina, który pilniej wglądał w piec z ciastami niż w prowadzenie żony. Wszelako jeżeli nie jego zazdrość, to w każdym razie ciągła obecność była nie na rękę parze kochanków. Cóż uczynili, aby się uwolnić od tego skrępowania?

Intendent przedłożył swemu panu *placet* na piśmie, w którym przedstawiono cukiernika jako człowieka złych obyczajów, pijaka spędzającego dnie i noce w szynku, brutalna

Pies, Przemoc

Mąż, Żona, Kochanek,  
Podstęp, Więzienie, Kara

znęcającego się nad żoną, najuczciwszą i najniezwyklejszą kobietą pod słońcem. Na skutek jej prośby uzyskał tajny rozkaz uwięzienia; rozkaz ten, pozbawiający małżonka wolności, złożono w ręce komisarza policji z poleceniem bezzwłocznego wykonania. Zdarzyło się przypadkiem, iż komisarz był przyjacielem cukiernika. Zachodzili od czasu do czasu do gospody na wino; cukiernik dostarczał pieczywa, komisarz stawał buteleczkę. Uzbrojony w ów tajny rozkaz komisarz, przechodząc koło sklepu, daje kompanowi umówiony znak. Zasiadają tedy we dwójkę w gospodzie, chrupiąc paszteciki i zakrapiając winem; komisarz pyta przyjaciela, jak idą interesy.

— Bardzo dobrze.

— Nie masz żadnego kłopotu?

— Żadnego.

— Nie masz nieprzyjaciół?

— Nic mi przynajmniej o tym nie wiadomo.

— Jak żyjesz, z rodziną, z sąsiadami, żoną?

— W przyjaźni i zgodzie.

— Skąd może tedy pochodzić — rzecze komisarz — rozkaz, jaki dostałem, aby cię uwięzić? Gdybym chciał spełnić obowiązek, chwyciłbym cię w tej chwili za kołnierz, karoca czekałaby opodal i zawiózłbym cię w miejsce wskazane tym oto dekretem. Masz, czytaj.

Cukiernik przeczytał i zbladł.

Komisarz rzekł: — Uspokój się, zastanówmy się jeno razem, co czynić, abyśmy obaj wyszli cało. Kto bywa u ciebie w domu?

— Nikt.

— Twoja żona jest ładna i zalotna.

— Zostawiam jej swobodę.

— Czy nikt do niej nie smali cholewek?

— Na honor nie, chyba pewien intendent, który zachodzi niekiedy wyściskować jej ręce i pleść koszalki-opałki, ale dzieje się to w sklepie, na moich oczach, w obecności czeladzi i sądzę, iż nie ma między nimi nic, co by mnie mogło niepokoić.

— Dobra dusza z ciebie!

— Być może; ale najlepsze, co pozostaje człowiekowi, to wierzyć w uczciwość żony: tak też czynię.

— A ten intendent w czyjej jest służbie?

— Pana de Saint-Florentin<sup>28</sup>.

— A z jakiej kancelarii, jak mniemasz, podchodzi ów dekret?

— Hm, może z kancelarii pana de Saint-Florentin.

— Rzekłeś.

— Nie! zjadać moje paszteciki, wyściskować żonę i kazać mnie zamykać w więzieniu, to by była zbyt czarna niewdzięczność: nie mogę uwierzyć!

— Dobra z ciebie dusza! Jak ci się wydawała żona w ostatnich dniach?

— Raczej smutna niż wesoła.

— A intendenta od jak dawna nie widziałeś?

— Wczoraj, zdaje mi się; tak, wczoraj.

— Czy nic nie spostrzegłeś?

— Nie jestem w ogóle zbyt spostrzegawczy; ale zdawało mi się, iż żegnając się, dawali sobie jakieś znaki głową, jak gdyby jedno mówiło *tak*, a drugie *nie*.

— A która głowa mówiła *tak*?

— Intendenta.

— Są tedy niewinni albo też są współnikami. Słuchaj, przyjacielu, nie wracaj do domu, ukryj się w bezpiecznym miejscu, gdzie sam wolisz, a przez ten czas pozwól mi działać; pamiętaj zwłaszcza...

— Nie pokazywać się i milczeć.

— Otóż to właśnie.

<sup>28</sup> *Hrabia de Saint Florentin* — minister departamentu spraw duchownych w latach 1748–1787. [przypis tłumacza]

Od tej chwili dom cukiernika otoczono tajną strażą. Szpiegi pod rozmaitego rodzaju przebraniem zwracają się do cukiernikowej i pytają o męża: jednemu odpowiada, że chory, drugiemu, że wyjechał za interesami, trzeciemu, że na wesele. Kiedy wróci? Nie wiadomo.

Trzeciego dnia o drugiej nad ranem donoszą komisarzowi, iż jakiś mężczyzna z twarzą szczerlnie otuloną płaszczem otworzył po cichu drzwi od ulicy i równie cicho wśliznął się do domu. Natychmiast komisarz w towarzystwie oficera żandarmerii, ślusarza, dorożki i kilku żołnierzy śpieszy na wskazane miejsce. Ślusarz otwiera bramę, oficer i komisarz wchodzą stąpając na palcach. Pukają raz i drugi: żadnej odpowiedzi; za trzecim razem odzywa się głos z wewnątrz: „Kto tam?”

— Otwórzcie.

— Kto tam?

— Otwórzcie, w imię Jego Królewskiej Mości.

— Dobra! — rzekł intendent do cukiernikowej, z którą spoczywał w pierzynach — nie ma niebezpieczeństwa: to komisarz przybywa wypełnić rozkazy. Otwórzmy; powiem, kto jestem, zabierze się z powrotem i wszystko będzie skończone.

Cukiernikowa w koszuli otwiera i kładzie się do łóżka.

— Gdzie mąż?

CUKIERNIKOWA: Nie ma go.

KOMISARZ *rozsuwając firanki*: A któż to taki?

INTENDENT: To ja; jestem intendentem pana de Saint-Florentin.

KOMISARZ: Kłamiesz pan; jesteś cukiernikiem; cukiernik bowiem jest ten, który śpi z cukiernikową. Proszę wstawać, ubierać się i za mną.

Trzeba było usłuchać; doprowadzono go tutaj. Minister powiadomiony o niegodziwości intendenta pochwalił postępowanie komisarza, który dziś wieczorem o zachodzie słońca ma przyjść zabrać go z tego więzienia, aby przewieźć do Bicêtre. Tam dzięki oszczędności administratorów będzie spożywał ćwiartkę lichego chleba, uncję krowiego mięsa i będzie mógł dudlić na basach od rana do wieczora... A gdybym tak i ja przyłożył głowę do poduszki, czekając na przebudzenie Kubusia i jego pana; jak wam się zdaje?

Nazajutrz Kubuś zerwał się wczesnym rankiem, wystawił głowę przez okno, aby zobaczyć, jak jest na dworze, przekonał się, że szkaradnie, położył się z powrotem i pozwolił spać swemu panu i mnie, jak długo nam się spodoba.

Kubuś, pan i inni podróżni, którzy zatrzymali się w gospodzie, mieli nadzieję, iż niebo rozpogodzi się do południa. Stało się przeciwnie. Na dobitkę wskutek ulewy po burzy strumień dzielący przedmieście od miasta wezbrał do tego stopnia, iż niebezpiecznie byłoby przezeń się przeprawić; zaczęli wszyscy podróżni, których droga prowadziła w tę stronę, zgodzili się raczej stracić dzień i przeczekać. Jedni zaczęli rozmawiać, inni waleśać się tam i sam, zaglądać przez szpary w drzwiach, spojrzeć w niebo i, wracając do izby, kłać i tupać nogą; wielu zabawiało się polityką i butelką; niektórzy kartami, reszta paleniem, spaniem i próżnowaniem. Pan rzekł do Kubusia: „Mam nadzieję, że Kubuś podejmie opowieść o swoich amorach i że to niebo samo, zatrzymując nas tą niepogodą, chce, abym dożył satysfakcji usłyszenia ich końca”.

KUBUŚ: Niebo chce! Nigdy się nie wie, co niebo chce, a czego nie chce; ono samo może nie wie. Biedny kapitan, którego już nie ma, powtarzał mi to setki razy; a im dłużej żyję, tym bardziej przekonuję się, że miał słuszność... Czekam pana.

PAN: Rozumiem. Zatem, stanęliśmy przy karocy i służącym, któremu doktorowa poleciła odsunąć firanki i rozmówić się z tobą.

KUBUŚ: Służący zbliża się do łóżka i powiada: „Dalej, kamracie, wstawaj, ubieraj się i jedźmy”. Odpowiadam spod prześcieradeł i kołdry, którymi miałem głowę zawiniętą tak, iż nim ja jego, ani on mnie nie widział: „Kamracie, pozwól mi spać i jedź sam”. Odpowiada, że ma rozkaz od swego pana i musi go wypełnić.

— A czy twój pan, który rozkazuje człowiekowi, nie znając go, dał ci rozkaz zapłacenia, com winien?

— Rzecz załatwiona. Śpiesz się, czekają cię w zamku, gdzie, zaręczam, będzie ci lepiej niż tu, jeżeli dalszy ciąg odpowie ciekawości, z jaką wszyscy pragną cię oglądać.



Dają się namówić; wstaję, ubieram się, podejmują mnie pod ramiona. Pożegnałem się z doktorową i już miałem wsiadać do karocy, kiedy ta kobieta zbliżyła się do mnie, ciągnie za rękaw i prosi, abym się cofnął w głąb pokoju, ile że chce mi powiedzieć słoweczko. „Moje drogie dziecko — powiada — sądzę, iż nie masz powodu uskarżać się na nas; doktor uratował ci nogę, ja pielęgnowałam, jak mogłam; mam nadzieję, że będąc w zamku, nie zapomnisz o nas”.

— Cóż mogę uczynić dla państwa?

— Poproś, aby mąż jeździł cię nadal opatrywać; toć tam jest chmara ludzi! To najlepsza klientela w okolicy; pan zamku to człowiek wspaniały, pan całą głębą, płaci hojnie; od ciebie jedynie zależałoby postawić nas na nogi. Mąż próbował się tam wkręcić na kilka zawodów, ale na próżno.

— Ale, pani doktorowo, czyż w zamku nie ma chirurga?

— Oczywiście, że jest!

— A gdyby pani była jego żoną, czy byłabyś rada, gdyby mu ktoś podstawił nogę i wysadził go z miejsca?

— Temu chirurgowi nie jesteś nic winien, sądzę zaś, iż jesteś cośkolwiek winien mężowi: jeżeli chodzisz na dwóch nogach jak wprzód, to jego dzieło.

— I dlatego, że mąż pani wyświadczył mi dobro, ja mam świadczyć zło komu innemu? Rozumiem, gdyby miejsce było wolne...

Kubuś miał ciągnąć dalej, kiedy weszła gospodyni, trzymając na ręku Linkę obandażowaną, całując ją, pocieszając, pieszcząc, przemawiając jak do własnego dziecka: „Biedna Linka, nie przestała jęczeć przez całą noc. A wy, panowie, dobrzeście spali?”.

PAN: Bardzo dobrze.

GOSPODYNI: Zaciągnęło się z niepogodą na dłużej.

KUBUŚ: Bardzo nas to martwi.

GOSPODYNI: Panowie daleko jadą?

KUBUŚ: Nie wiadomo.

GOSPODYNI: Czy panowie śpieszą za kimś?

KUBUŚ: Za nikim.

GOSPODYNI: Jadą lub zatrzymują się wedle spraw, jakie mają w drodze?

KUBUŚ: Nie mamy żadnych.

GOSPODYNI: Panowie podróżują dla własnej przyjemności?

KUBUŚ: Albo przykrości.

GOSPODYNI: Życzę, aby zawsze było to pierwsze.

KUBUŚ: Pani życzenie nie zaważy w tym ani na łut; stanie się wedle tego, jak jest zapisane w górze.

GOSPODYNI: Ach, więc to chodzi o małżeństwo?

KUBUŚ: Może tak, może nie.

GOSPODYNI: Panowie, miejcie się na baczności. Człowiek, który zajmuje pomieszczenie na dole i który tak brutalnie obszedł się z biedną Linką, bardzo osobliwie wpadł w takim interesie... Chodź, biedne zwierzątko; chodź, niech cię uściskam; przyrzekam ci, że już się to nie powtórzy. Patrzcie, jak ona drży na całym ciele!

PAN: I w czymże jest tak osobliwe małżeństwo tego człowieka?

Na to pytanie Kubusiowego pryncypała gospodyni rzekła: „Słyszę hałas na dole, dam tylko rozkazy i wracam opowiedzieć panom całą historię”... Ale mąż gospodyni, znużony krzykiem: „Żono, żono”, wkracza na górę, a za nim jego kum. Gospodarz powiada do żony: „Ech, u stu diabłów, co ty robisz tutaj?”... Następnie obracając się i spostrzegając kuma: „Czy przynosicie pieniądze?”.

KUM: Nie, kumie, wiecie dobrze, że nie mam.

GOSPODARZ: Nie masz pieniędzy? Już ja potrafię je wycisnąć z twego pługa, twoich koni, wołów i z twego łóżka. Czekać, łajdaku!...

KUM: Nie jestem łajdakiem.

GOSPODARZ: A czymże jesteś? Byłeś w nędzy, nie wiedziałeś, skąd wziąć, aby obsiać swój kawałek gruntu; właściciel znużony wiecznym zaliczaniem z góry, nie chciał dać ani szeląga. Przychodzisz do mnie; ta kobieta wstawia się za tobą; przekłeta bajczara, która jest przyczyną wszystkich głupstw mego życia, nakłania mnie, bym ci pożyczył; pożyczam; obiecujesz oddać; robisz zawód dziesięć razy. Och! przyrzekam ci, ja ci nie zrobię zawodu. Wynos się...

Kubus i jego pan gotowali się przemówić za nieborakiem; ale gospodyni, kładąc palec na ustach, dała im znak milczenia.

GOSPODARZ: Wynos się stąd.

KUM: Kumie, wszystko, co mówisz jest prawdą; prawdą jest także, że w tej chwili komornicy są w moim domu i że za chwilę znajdę się z córką i synem o torbie żebraczej.

GOSPODARZ: Nie wart jesteś lepszego losu. Po cóżeś przyszedł tutaj dziś rano. Przerwywam butelkowanie, wychodzę z piwnicy i już cię nie zastaję. Ruszaj stąd, powiadam.

KUM: Kumie, przyszedłem; zląkłem się przyjęcia, jakie mnie zwykle spotyka od ciebie; wróciłem oto i znów odchodzę.

GOSPODARZ: I dobrze czynisz.

KUM: Och, moja biedna Małgosia, tak ładna i uczciwa, musi iść tedy na służbę do Paryża!

GOSPODARZ: Na służbę do Paryża! Chcesz zgubić dziewczynę?

KUM: Nie ja chcę tego: ale ów twardy człowiek, do którego mówię.

GOSPODARZ: Ja, twardy człowiek! Nie jestem twardy i nigdy nie byłem; wiesz to dobrze.

KUM: Nie mam z czego wyżywić córki ani syna; córka pójdzie w służbę, chłopak zaciągnie się do wojska.

GOSPODARZ: I to ja mam być przyczyną tego! Ani mowy. Jesteś człowiek bez serca; do śmierci będziesz się zęcał nade mną. Gadajże, co ci trzeba.

KUM: Nic mi nie trzeba. Dość mi już tej rozpaczki, iż jestem waszym dłużnikiem, i nie chcę nim być póki życia. Więcej złego czynicie zniewagami niż dobrego usługą. Gdybym miał pieniądze, rzuciłbym je wam w twarz; ale nie mam. Córka obróci się Bóg wie w co; chłopak da się zabić, skoro tak padło; ja pójdę z torbami żebraczej, ale z pewnością nie pod waszym progiem. Nie chcę, nie chcę nic więcej zawdzięczać człowiekowi tak niegodziwemu jak ty. Zgarnij co rychlej pieniądze za moje woły, konie i narzędzia; niech ci idą na zdrowie. Taki jak ty z każdego musi zrobić niewdzięcznika, a ja nim nie chcę być. Zostańcie z Bogiem.

GOSPODARZ: Żono, patrz: odchodzi, zatrzymajże go.

GOSPODYNI: Czekaćcież, kumie, pomyślmy o tym, jak by wam dopomóc.

KUM: Nie chcę jego pomocy, za drogo mnie kosztuje...

Gospodarz powtarzał po cichu do żony: „Nie puszczajże go. Córka do Paryża! Chłopak do wojska! On sam na żebrzy! Nie mógłbym patrzeć na to!”

Tymczasem żona dokładała bezużytecznych wysiłków: wieśniak, który miał ambicję, nie chciał nic przyjąć i ani dał przystąpić do siebie. Gospodarz ze łzami w oczach zwracał się do Kubusia i jego pana i mówił: „Panowie, spróbujcie go zmiękczyć”... Kubus i pan wtrącili swoje trzy grosze; wszyscy wraz zaczęli zaklinać kmiotka. Jeśli kiedy widziałem... — Jeśli pan kiedy widziałeś! Ależ pana tam nie było. Mów pan: jeśli kto kiedy widział... — Więc dobrze. Jeśli kto kiedy widział człowieka zawstydzonego odmową, niespokojnego czy raczej przyjął jego pieniądze, widział wierny obraz gospodarza: ścisnął żonę, ścisnął kuma, ścisnął Kubusia i pana, krzychał: „Niechże kto idzie czym prędzej wygonić z domu przeklętych komorników”.

KUM: Ale przyznajcie...

GOSPODARZ: Przyznaję, że wszystko muszę popsuć; ale, mój kumie, cóż chcecie? Jaki jestem, taki jestem. Natura stworzyła mnie człowiekiem najbardziej twardym i najbardziej tklwym; nie umiem ani dać, ani odmówić.

KUM: Nie mógłbyś spróbować być inny?

GOSPODARZ: Jestem w wieku, w którym się człowiek nie odmienia; ale gdyby pierwszy, z którym miałem sprawę, zmył mi głowę, jak ty uczyniłeś, może byłbym się stał lepszy. Kumie, dziękuję za lekcję, postaram się z niej skorzystać... No kobieto, chodźże prędko na dół i daj mu, co trzeba. Ech, u diabła, ruszże się, do kroćset, rusz się; co się tak

ślimaczysz!... Kobieto, proszę cię, śpiesz się trochę i nie każ mu czekać; wrócisz później szukać towarzystwa tych panów, które, o ile mi się zdaje, bardzo ci przypadło do smaku...

Żona i kum zeszli na dół; gospodarz został jeszcze chwilę; skoro odszedł, Kubuś rzekł: „Oto mi szczególny człowiek! Niebo, które zatrzymało nas tutaj i zesłało niepokodę umyślnie po to, abys pan usłyszał historię moich amarów, czegoż znów teraz sobie życzy?”.

Pan, wyciągając się w fotelu, ziewając, pukając w tabakierkę, odpowiedział: „Kubusiu, jeszcze niejeden dzień mamy przeżyć ze sobą, chyba że...”.

KUBUŚ: To znaczy, że na dzisiaj niebo chce, abym ja milczał lub też, aby gospodyni gadała; ta papla na to jak na lato; niechajże gada zatem.

PAN: O cóżes taki zły?

KUBUŚ: Bo i ja lubię gadać.

PAN: Przyjdzie na ciebie kolej.

KUBUŚ: Albo i nie przyjdzie.

Już cię słyszę, czytelniku: oto, powiadasz, właściwe rozwiązanie *Dobroczynnego gburra*<sup>29</sup>. Tak i mnie się zdaje. Gdybym ja był autorem sztuki, wprowadziłbym figurę, którą by wzięto za epizodyczną, a która by nią nie była zgoła. Człowiek ten ukazywałby się od czasu do czasu i zjawienie się jego byłoby zawsze usprawiedliwione. Pierwszy raz przyszedłby prosić zmiłowania; ale obawa złego przyjęcia kazałaby mu się cofnąć przed przybyciem Geronta. Nagłony obecnością komorników, zebrałby się po raz drugi na odwagę; ale Geront nie zechciałby go widzieć na oczy. Wreszcie wprowadziłby go przy końcu, gdzie odegrałby wiernie rolę owego chłopka z oberżystą; miałby jak ów wieśniak córkę, którą by zamierzał jakoby oddać do obowiązku w mieście, syna, którego trzeba mu odebrać ze szkół i przenieść do terminu; on sam wreszcie gotów iść o żebrany chleb, póki mu się życie nie uprzykrzy. Ujrzelibyście dobroczynnego gburu u stóp tego człowieka, usłyszeli byście dobroczynnego gburu wyłajanego, jak na to zasłużył. Zmuszony byłby wzywać na pomoc całą rodzinę zgromadzoną wokoło niego, aby zmiękczyć swego dłużnika i zmusić, by przyjął nową pomoc. Dobroczynny gbur, tak ukarany, przyrzekłby się poprawić; ale w teje samej chwili wróciłby do swego charakteru, wpadając gwałtownie na którąś z osób sztuki świadczących sobie przy pożegnaniu zbyt długie grzeczności; wykrzyknąłby szorstko: *Niech diabli porwą ceremo...* Ale zatrzymałby się w połowie słowa i rzekłby łagodnym tonem do siostrzenic: „Dalej, panny, podajcie mi rękę, i chodźmy”. — I, aby ta figura była związana z tłem, uczyniłbyś ją protegowanym Gerontowego siostrzeńca? — Doskonale! — I to na prośbę siostrzeńca wuj pożyczył owe pieniądze? — Wybornie! — I o tę właśnie pożyczkę wuj miałby pretensje do siostrzeńca? — Właśnie. A czy rozwiązanie tej ładnej sztuki nie byłoby rodzajem generalnej próby przy pełnym komplecie rodziny, rodzajem przeglądu wszystkiego, co uczynił wprzód z każdą z osób w szczególności? — Masz słusność. — I, jeżeli spotkam kiedy pana Goldoniego, opowiem mu dzisiejszą scenę. — Dobrze uczynisz; jest to człowiek dość utalentowany, aby z niej skorzystać.

Gospodyni wróciła na górę, ciągle z Linką na ręku, i rzekła: „Mam nadzieję, że będziecie panowie mieli dobry obiad; nasz raubszyzyc właśnie się zjawił; gajowy z zamku także nie omieszka”... Tak mówiąc, przysunęła krzesło i usiadła, gotowa rozpocząć opowiadanie.

GOSPODYNI: Trzeba się mieć na baczności przed służbą; panowie nie mają gorszych nieprzyjaciół.

KUBUŚ: Ot, nie powiadałabyś pani byle czego; bywają słudzy dobrzy, bywają źli; jedno w drugie, naliczyłoby się może więcej dobrych sług niż dobrych panów.

<sup>29</sup> *Dobroczynny gbur* — *Le bourru bienfaisant*, sztuka najwybitniejszego włoskiego komediopisarza, Goldoniego, grana była po raz pierwszy w Paryżu w r. 1771. W swoim czasie, kiedy Diderot wystawił swego *Ojca rodziny*, wiele mu nadokuczano zarzutami rzekomego plagiatu z Goldoniego. [przypis tłumacza]

PAN: Kubusiu, zapominasz się; dopuszczasz się w tej chwili tej samej niewłaściwości, która cię tak raziła.

KUBUŚ: Ale bo panowie...

PAN: Ale bo służy...

No i cóż, czytelniku, cóż by mi przeszkadzało wszcząć gwałtowną kłótnię między tymi trzema osobistościami? Kubuś pochwyciłby gospodynię za bary i wypchnął za drzwi; z kolei pan pochwyciłby za kark Kubusia i przepędził na cztery wiatry; jedno poszłoby w jedną stronę, drugie w drugą; i nie usłyszelibyście ani historii gospodyni, ani dalszego ciągu amorów Kubusia? Uspokójcie się, nie uczynię nic podobnego. Gospodyni podjęła tedy:

— Trzeba przyznać, że jeżeli bywają bardzo źli mężczyźni, zdarzają się też i bardzo złe kobiety.

KUBUŚ: I nie trzeba daleko wędrować, aby je spotkać.

GOSPODYNI: Czego ten tu nos wściubia? Ja jestem kobietą, mogę tedy mówić o kobietach, co mi się podoba; obejdę się bez twego przytakiwania.

KUBUŚ: Takie dobre moje przytakiwanie co i czyje inne.

GOSPODYNI: Widzę, że pański służący ma przewrócone w głowie i nie wie, jak się zachować przy panu. I ja mam też służących, ale chciałabym widzieć, aby się który ośmielił!...

PAN: Kubusiu, siedź cicho i pozwól pani mówić.

Gospodyni ośmielona odezwaniem się pana wstaje, podchodzi do Kubusia, wspiera się pod boki, zapomina, że trzyma Linkę na ręku, puszcza ją i oto Linka znajduje się na podłodze, rozszoszona, szamocąca się w powijakach i szczekająca na zabój. Krzyki gospodyni mieszają się ze szczekaniem Linki, Kubuś towarzyszy wybuchami śmiechu szczekaniom Linki i krzykom gospodyni, pan zaś otwiera tabakierkę, zażywa niuch tabaki i również nie może się wstrzymać od śmiechu. Wrzawa napelnia gospodę. „Magdusiu, Magdusiu, prędko, prędko, przynieś butelkę z okowitą... Biedna Linka nie żyje... Rozwiąż ją... Och, jaka żeś ty niezgrabna!”

— Robię, jak umiem.

— Jak ona krzyczy! Umykaj stąd, ja sama... Nie żyje!... Śmieję się, śmieję, drągalu, nicponiu; jest się z czego śmiać, w istocie... Biedna Linka nie żyje!

— Ale nie, proszę pani, nie, z pewnością przyjdzie do siebie; o, już się rusza.

To mówiąc, Magdusia naciera okowitą nos psiny i daje jej przelknąć co nieco; gospodyni lamentuje dalej i ciska gromy na zuchwalstwo lokai; Magdusia zaś powiada; „O, proszę pani, już otwiera oczy; widzi pani, jak na panią patrzy”.

— Biedne zwierzątko: jak ono mówi! któż by się nie wzruszył?

— Niechże ją pani popieści trochę; niechże jej pani co odpowie.

— Chodź, moja biedna Linko; płacz dziecko, płacz, jeśli ci to sprawia ulgę. Jest jakiś los dla zwierząt jak dla ludzi; zsyła wszystko dobre nicponiom swarliwym, pyskatym i żarłocznym, samo zaś nieszczęście najlepszemu stworzeniu pod słońcem.

— Pani ma wielką słuszność; nie ma na ziemi sprawiedliwości.

— Cicho siedź, rozwiń ją z powijaków, ulóż u mnie pod poduszką i pamiętaj, że za najmniejszym piśnięciem do ciebie się wezmę. Chodź, biedne zwierzątko, niech cię uściskam raz jeszcze, zanim cię zabiorą. Zbliźże się przecie, flądrowo... Te pieski, to takie pocziwe; to więcej warte...

KUBUŚ: Niż ojciec, matka, bracia, siostry, dzieci, służba, mąż...

GOSPODYNI: A tak; nie myśl, że sobie drwisz ze mnie; to bodaj jest niewinne, wierne, nie wyrządzi nigdy nic złego, podczas gdy reszta...

KUBUŚ: Niech żyją psy! Nie masz nic doskonalszego pod słońcem.

GOSPODYNI: Jeżeli jest co doskonalszego, to z pewnością nie człowiek. Chciałabym, żebyście znali pieska od młynarza: to narzeczony mojej Linki; ilu was jest, nie ma ani jednego między wami, który by się nie musiał przy nim rumienić ze wstydu. Z pierwszym brzaskiem przybiega więcej niż o milę; staje pod oknem; mówię wam, co za westchnienia!

Pan, Sługa

serce wprost boli słuchać. Jakakolwiek pogoda na dworze, on się nie ruszy; deszcz leje nań jak z cebra, ciało zapada mu się w piasku; ledwie widać uszy i koniec noska. Czy zrobiłby kto z was tyle dla kobiety, którą by najczulej kochał?

PAN: To bardzo po rycersku.

KUBUŚ: Ale też gdzie jest kobieta równie godna tych starań jak panina Linka?

Namiętność gospodyni do zwierząt nie była wszelako główną, jakby można mniemać: główną była namiętność do mówienia. Im więcej okazywało się zadowolenia i cierpliwości w słuchaniu, tym więcej miało się zasługi w jej oczach; toteż nie dała się prosić z podjęciem przerwanej historii osobliwego małżeństwa; postawiła jedynie za warunek, że Kubuś będzie milczał. Pan przyrzekł milczenie w imieniu Kubusia. Kubuś ułożył się niedbale w kącie z zamkniętymi oczami, czapką wciśniętą na uszy, plecami na wół odwrócony ku gospodyni. Pan kaszlnął, splunął, wytarł nos, dobył zegarka, spojrzął na godzinę, dobył tabakierki, puknął w denko, zażył niuch tabaki; i gospodyni zabrała się do smakowania nieopisanej rozkoszy własnego gadulstwa.

Gospodyni miała zacząć, kiedy usłyszała skomlenie suczki.

— Magdusiu, spojrzysz no tam na biedne stworzenie... To mi odrywa uwagę, nie wiem już, gdzie stanęłam.

KUBUŚ: Jeszcześ pani nic nie powiedziała.

GOSPODYNI: Owi dwaj ichmoście, z którymim się posprzeczała o biedną Linkę, wówczas właśnie, kiedy pan przybył...

KUBUŚ: Mów pani: panowie.

GOSPODYNI: A to dlaczego?

KUBUŚ: Dlatego, iż dotychczas odnoszono się do nas z tą uprzejmością i że do tego przywykłem. Pan mówi mi „Kubusiu”, inni „panie Jakubie”.

GOSPODYNI: Ja nie mówię ani Kubusiu, ani panie Jakubie, ja się do niego nie odzywam... (*Proszę pani? — Co tam? — Rachunek numeru piątego. — Poszukaj u mnie na kominku*). Owi dwaj ludzie to zamożni panowie, ze szlachty; przybywają z Paryża i udają się do majątku starszego z nich.

KUBUŚ: Któż to wie?

GOSPODYNI: Sami powiedzieli.

KUBUŚ: Dobra racja!...

Pan uczynił w stronę gospodyni znak, z którego zrozumiała, iż Kubuś ma mózg nieco zmącony. Odparła współczującym ruchem ramion i dodała: „W jego wieku! to bardzo smutne”.

KUBUŚ: Bardzo smutne nie wiedzieć nigdy, dokąd się wędruje.

GOSPODYNI: Starszy nazywa się margrabia des Arcis. Był to człowiek lubiący żyć, mający szalone szczęście do kobiet i mało wierzący w ich cnotę.

KUBUŚ: Miał słuszność.

GOSPODYNI: Panie Jakubie, przerywa pan.

KUBUŚ: Pani gospodyni *Wielkiego Jelenia*, nie mówię do pani.

GOSPODYNI: Znalazła się wszelako jedna, dość dziwaczna na to, aby się oprzeć panu margrabiemu. Nazywała się pani de la Pommeraye. Była to wdowa, szlacheckiego rodu, cnotliwa, bogata i dumna. Pan des Arcis zerwał wszystkie znajomości, poświęcił się jedynie pani de La Pommeraye, otoczył ją najtkliwszymi staraniami. Za pomocą wszelkich możliwych poświęceń usiłował dowiedzieć, że ją kocha, ofiarował nawet swą rękę; ale ta kobieta była tak nieszczęśliwa z pierwszym mężem, że... (*Proszę pani? — Co takiego? — Klucz od skrzyni z owsem? — Popatrz, czy nie wisi na gwoździu, a jeśli go tam nie ma, popatrz przy skrzyni*)... że wołałaby raczej wystawić się na wszelkiego rodzaju nieszczęścia niż na niebezpieczeństwo drugiego związku.

KUBUŚ: Och! gdyby było zapisane w górze!

GOSPODYNI: Pani ta prowadziła życie bardzo ciche. Margrabia był dawnym przyjacielem męża; przyjęła jego odwiedziny i pozwoliła odwiedzać się nadal. Jeżeli mu się wybaczy niepohamowaną pasję do miłostek, był to poza tym co się zowie godny człowiek. Wytrwale zaloty margrabięgo, poparte jego osobistymi przymiotami, młodością,

urodą, pozorami najszerszego przywiązania, samotnością powabnej wdowy, usposobieniem jej z natury skłonny do czułości, wszystkim, jednym słowem, co nas wydaje na pastwę męskiego uwodzicielstwa... (*Proszę pani! — Co takiego? — Kurier. — Umieść go w zielonym pokoju i zarządzaj wszystko jak zwykle*)... odniosły skutek. Pani de La Pommeraye po kilkumiesięcznej walce stoczonej przeciw margrabiemu, przeciwko samej sobie, zażądawszy wedle zwyczaju najuroczystszych przysięg, uszczęśliwiła margrabię, który byłby mógł cieszyć się losem najbardziej błogim, gdyby umiał zachować dla kochanki uczucia, jakie poprzysiął i jakie ona żyła dla niego. Tak, panie, tylko kobiety umieją kochać; mężczyźni nie mają o tym pojęcia... (*Proszę pani? — Co takiego? — Kwestarz. — Daj dwanaście soldów za tych panów, sześć za mnie i niech idzie do innych pokoi*)... Po upływie kilku lat, życie pani de La Pommeraye zaczęło się wydawać margrabiemu zbyt jednostajne. Poddał jej, aby się nieco zaczęła udzielać: zgodziła się; aby otworzyła dom dla kilku mężczyzn i kobiet: zgodziła się również; aby przeznaczyła jakiś stały dzień w tygodniu na uroczystszy obiad: przystała i na to. Pomału przywykł margrabia spędzać dzień, dwa dni bez widzenia swej pani; zaczął świecić nieobecnością na obiedzie, którego sam był inicjatorem; pomału skrócił swoje odwiedziny; miał pilne sprawy, które go odwoływały; skoro się zjawił, bąkał jakieś słówko, rozciągał się w fotelu, brał do ręki książkę, porzucał ją, rozmawiał z psem lub zasypiał. Wieczorem zdrowie jego, które nagle nad wyraz podupadło, wymagało, aby o wczesnej porze powracał do domu; takie było zdanie doktora Tronchin<sup>30</sup>. Tak, Tronchin to wielki człowiek! Na honor! nie wątpię o tym, że wyratuje z biedy naszą przyjaciółkę, o której inni zwątpili. Z tymi słowami, brał laskę i kapelusz i odchodził, zapominając niekiedy uściskać... (*Proszę pani? — Co takiego? — Bednarz. — Niech zejdzie do piwnicy i obejrzy te dwie beczki*). Pani de La Pommeraye przeczuwała, że miłość margrabię wygasła; trzeba było zyskać pewność i oto jak wzięła się do tego... (*Proszę pani? — Idę już, idę*).

Gospodyni zniecierpliwiona przerywaniami zeszła na dół i zarządziła prawdopodobnie, co trzeba, aby im położyć koniec.

GOSPODYNI: Jednego dnia po obiedzie rzekła do margrabię: „Mój przyjacielu, tyś jakiś zamyślony”.

— Ty także, margrabino.

— W istocie, i to dość smutno.

— Co tobie?

— Nic.

— To nieprawda. Ej, margrabino, powiedz, co masz na sercu; to cię rozerwie trochę i mnie także.

— Nudzisz się, margrabio?

— Nie; ale bywają dni...

— W których człowiek się nudzi.

— Mylisz się, droga przyjaciółko, przysięgam, że się mylisz; tylko w istocie bywają dni... Nie wiadomo, na czym to polega.

— Mój przyjacielu, od dawna już mam ochotę uczynić ci pewne zwierzenie, ale obawiam się zrobić ci przykrość.

— Ty mogłabyś mi zrobić przykrość? ty?

— Być może; ale niebo świadkiem mej niewinności... (*Proszę pani? proszę pani? proszę pani? — Dla kogo i czegokolwiek w świecie zabroniłam, aby wolano; zawołajcie męża. — Nie ma go w domu*). Panowie, chciejcie darować, za chwilę jestem na usługi.

Gospodyni schodzi na dół, powraca i podejmuje opowiadanie:

...Stało się to bez mego zezwolenia, bez mej wiedzy, przez jakieś przekleństwo, któremu cały rodzaj ludzki widocznie jest podległy, skoro ja, ja nawet, nie zdołałam go uniknąć.

— Ach, więc to o pani... I lękasz się!... O cóż chodzi?

— Margrabio, chodzi o... jestem w rozpacz; ciebie przywiodę do rozpacz... wszystko dobrze zważywszy, lepiej byłoby zamilczeć.

<sup>30</sup>Tronchin — słynny lekarz genewski (1709–1781). [przypis tłumacza]

— Nie, droga przyjaciółko, mów; czy na dnie serca miałabyś mieć dla mnie tajemnicę? Czyż nie było pierwszym z naszych układów, iż dusze nasze będą otwarte dla siebie bez zastrzeżeń?

— To prawda i oto, co mi ciąży; wyrzut ten pomnaża jeszcze ciężar innego, o wiele ważniejszego, jaki muszę sobie czynić. Czy nie spostrzegasz, margrabio, że gdzieś się podziła moja dawna wesołość? Straciłam apetyt; piję i jem jedynie z rozsądku; nie mogę sypiać. Nasze najbardziej poufne zabawy nie cieszą mnie. W nocy rozmawiam sama ze sobą, pytam siebie: Czyżby stał się mniej godnym uczucia? Nie. Czy masz mu do zarzucenia bodaj ślad niewierności? Nie. Czyżby czułość jego dla ciebie osłabła? Nie. Dlaczegoż tedy, skoro przyjaciel jest zawsze ten sam, serce twoje zmieniło się dla niego? Tak bowiem jest; nie sposób tego ukrywać przed sobą; nie oczekujesz go już z tą samą niecierpliwością; nie odczuwasz tej radości na jego widok; niepokoju, kiedy zbyt długo nie wraca; słodkiego wzruszenia na turkot jego pojazdu, kiedy go oznajmiano, kiedy wchodził w drzwi, tego już nie odczuwasz...

— Jak to, pani?

Pani de La Pommeraye zakryła oczy dłońmi, pochyliła głowę i zamilkła na chwilę, po czym dodała: „Margrabio, przygotowana byłam na twoje zdziwienie, na wszystkie gorzkie słowa, jakie usłyszę. Margrabio! oszczędź mnie... Nie, nie oszczędzaj, powiedz wszystko, wysłucham z poddaniem, zasłużyłam na to. Tak, drogi margrabio, to prawda... Tak, jestem... Ale czyż nie dość nieszczęścia, iż stała się rzecz sama, aby dorzucać jeszcze do niej wstyd, wzdargę dla własnego fałszu, gdybym udawała przed tobą? Ty jesteś ten sam, ale twoja przyjaciółka się odmieniła: poważa cię, szacuje tyleż, i więcej niż kiedykolwiek; ale... ale kobieta jak ona, przyzwyczajona badać ściśle wszystko, co się dzieje w najbardziej tajemnych zaułkach jej duszy i nie łudzić samej siebie w niczym, nie może ukryć przed sobą, że miłość uleciała. Odkrycie straszne, niemniej wszelako prawdziwe. Margrabina de La Pommeraye, ja, ja, niestała! płocha!... Markizie, wpadnij w gniew, szukaj nazw najbardziej zelżywych, sama już sobie je dałam; rzuć mi je w twarz, gotowa jestem przyjąć wszystkie... wszystkie, z wyjątkiem miana kobiety fałszywej; tego oszczędzisz mi, mam nadzieję, w istocie bowiem nie jestem nią... (*Zono? — Co takiego? — Nic. — Nie ma chwili spokoju w tym domu, nawet w dnie, gdy nie ma gości i gdy się zdaje, że nic nie będzie do roboty. Jakże litości godną jest kobieta mego fachu, zwłaszcza gdy ma skończonego tumana za męża!*) To rzekłszy, pani de La Pommeraye osunęła się na fotel i zaczęła szlochać. Margrabia rzucił się do jej kolan i rzekł: „Jesteś pani kobietą uroczą, godną uwielbienia, kobietą rzadką. Twoja szczerość, uczciwość, upokarza mnie: powinienem umrzeć ze wstydu. Ach! jaką wyższość daje ci ta chwila nade mną! Jaka mi się zdajesz wielka, a jakim ja sam sobie małym! ty, pani, obwiniłaś się pierwsza, podczas gdy ja pierwszy stałem się winny. Moja przyjaciółko, szczerość twoja porywa mnie za sobą; byłbym potworem, gdyby mnie nie porwała. Otóż wyznam ci, że historia twego serca jest słowo w słowo historią mego. Wszystko, co ty sobie mówiłaś, i ja sobie powiedziałem również; ale milczałem, cierpiałem i nie wiem, kiedy miałbym odwagę się odezwać”.

— Prawdę mówisz, margrabio?

— Najprawdziwszą; nie zostaje nam nic, jak tylko sobie powinszować wzajemnie, iż w jednym i tym samym czasie zgasło w nas krusze i zwodnicze uczucie, jakie nas łączyło.

— W istocie, cóż za nieszczęście, gdyby moja czułość miała przetrwać, wówczas gdy twoja minęła!

— Albo gdyby we mnie wygasła ona najpierw.

— Masz słuszność, czuję to.

— Nigdy mi się nie zdałaś równie uroczą, równie piękną, jak w tej chwili; i gdyby doświadczenie przeszłości nie uczyniło mnie oględnym, mniemałbym, iż kocham cię więcej niż kiedykolwiek”. I margrabia, mówiąc w ten sposób, ujął jej ręce i całował je... (*Zono? — Co tam? — Kupiec ze słomą — Zobacz w rejestrze. — A rejestr? ... zostań, zostań, mam już*). Pani de La Pommeraye, dławiąc śmiertelny żal, jaki targał jej serce, podjęła rozmowę i rzekła:

— Cóż tedy będzie z nami, margrabio?

— Nie zawiedliśmy wzajem swego zaufania; ty, pani, masz prawo do pełni mego szacunku; ja, mniemam, również niezupełnie straciłem prawa do twego: będziemy się widywać nadal; będziemy zażywać ufności płynącej z najtkliwszej przyjaźni. Oszczędzili-

śmy sobie wszystkich udręczeń, wszystkich drobnych oszukaństw, wymówek, kwasów, jakie towarzyszą zazwyczaj dogasającym namiętnościom; jesteśmy jedynym w swoim rodzaju przykładem. Pani odzyskasz zupełną wolność; wrócisz mi moją; będziemy bujać po świecie; ja będę powiernikiem twoich zdobyczy; nie będę przed tobą ukrywał moich, o ile mnie jakie czekają, o czym wątpię mocno, uczyniłaś mnie bowiem zbyt wymagającym. To będzie rozkoszne! Ty będziesz wspierać mnie swą radą, ja nie odmówię ci mojej, gdyby w jakiej drażliwej okoliczności wydała ci się potrzebną. Któż wie, co może się zdarzyć?

KUBUŚ: Nikt.

GOSPODYNI: „Jest bardzo prawdopodobne, że im więcej zdołam przeżyć, tym bardziej ty, pani, zyskasz na porównaniach, i że wrócę do ciebie bardziej płomienny, bardziej tkliwy, bardziej przekonany, że pani de La Pommeraye była jedyną kobietą stworzoną, aby dać mi szczęście; a wszystko przemawia za tym, że po takim powrocie zostaną już twoim na resztę życia”.

— A gdybyś przypadkiem miał mnie nie zastać za powrotem? ostatecznie bowiem, margrabio, człowiek nie zawsze powoduje się sprawiedliwością; i nie jest niemożliwe, abym powzięła kaprys, upodobanie, namiętność nawet dla kogoś mniej godnego od ciebie.

— Ha! byłbym zrozpaczony; ale nie miałbym prawa się skarżyć; miałbym żal jeno do losu, iż rozdzielił nas, gdy byliśmy złączeni, aby nas zbliżyć wówczas, gdy nam to będzie wzbронione...

Po tej rozmowie, zaczęli filozofować na temat niestałości ludzkiego serca, kruchości przysięg, więzów małżeństwa... (*Proszę pani? — Co tam? — Dylizans.*) Panowie — rzekła gospodyni — muszę panów opuścić. Dziś wieczorem, kiedy się już ze wszystkim załatwię, wrócę i dokończę, jeśliście ciekawi... (*Proszę pani?... Żono?... Pani gospodyni?... Dobrze już, dobrze. Idę...*)

Gospodyni odchodzi, a pan powiada do sługi: „Kubusiu, czy zauważyłeś jedną rzecz?”

KUBUŚ: Co takiego?

PAN: Że ta kobieta opowiada o wiele lepiej, niżby się można było spodziewać po właścicielce oberży.

KUBUŚ: To prawda. Te ciągle przerywania domowników niejedną raz wprawiały mnie w niecierpliwość.

PAN: I mnie także.

A ty, czytelniku, powiedz bez obłudy; widzisz bowiem, że weszliśmy na piękną drogę szczeroci; czy chcesz, abyśmy porzucili tutaj naszą wykwintną i hojnie szafującą słowami gospodynię i powrócili do miłostek Kubusia? Dla mnie to istna fraszka. Nasz gaduła Kubus z największą ochotą gotów jest objąć znów swą rolę i skoro gosposia powróci na górę, zamknąć jej po prostu drzwi przed nosem; ot, powie jej przez dziurkę od klucza: „Dobranoc pani, pan śpi, ja się kładę; dokończy pani, gdy będziemy przejeżdżać z powrotem”.

„Pierwsza przysięga, jaką uczyniły sobie istoty z krwi i ciała padła u stóp skały rozsypanyj się, w proch; na świadka własnej stałości wezwali niebo, które ani przez chwilę nie jest jednakowe; wszystko mijało w nich i koło nich, a oni mniemali, iż serca ich wolne są od tej skazy. O dzieci! wieczne dzieci!<sup>31</sup>...” Nie wiem, komu przynależy autorstwo tych dumań. Kubusiu, jego panu czy mnie; to pewna, że jednemu z nas trojga; a poprzedziło je i nastąpiło po nich wiele innych, które by nas doprowadziły, Kubusia, pana i mnie, aż do wieczery, aż do powieczery, aż do powrotu gospodyni, gdyby Kubus nie rzekł wreszcie: „Ot, panie, wszystkie te wielkie sentencje, które pan tu przypinasz niby kwiatek do kożucha, nie warte są starej gadki bajarzy z mojej wioski”.

PAN: Cóż to za gadka?

KUBUŚ: Bajka o Pochewce i Koziku. Jednego dnia Pochewka i Kozik zaczęli się sprzeczać; Kozik rzekł: „Pochewko, moja lubciu, jesteś szelma, raz po raz bowiem zdarza ci się dać schronienie innemu Kozikowi”... Pochewka odparła: „Mój drogi Koziku, jesteś

Przysięga, Wierność,  
Kobieta, Mężczyzna

<sup>31</sup>Pierwsza przysięga (...) dzieci — Diderot cytuje tu samego siebie (*Przyczynek do podróży Bongainville'a*). [przypis tłumacza]



lajdak, każdego dnia bowiem odmieniasz Pochewkę”... „Pochewko, co innego mi przysięgałaś”... „Koziku, ty pierwszy zawiodłeś moje zaufanie”... Kłótnia miała miejsce przy stole; owóz staruszek, który siedział pomiędzy Pochewką a Kozikiem, zabrał głos i rzekł co następuje: „I ty, Pochewko, i ty, Koziku, dobrze czyniliście szukając odmiany, skoro odmiana była wam przyjemna; ale popełniliście błąd, przyrzekając, iż się nie odmienicie. Koziku, czyż nie wiedziałeś, że Bóg cię stworzył tak, iżbyś się nadał dla różnych Pochewek, a ciebie, Pochewko, abyś mogła dać przytułek niejednemu Kozikowi? Uważaliście za szaleńców niektóre Koziki, które składały śluby, iż będą się w ogóle obchodzić bez Pochewki, i za szalone niektóre Pochewki, które ślubowały, iż zamkną się dla wszelkiego Kozika; a nie zastanowiliście się, iż byliście niemal tak samo szaleni, kiedyście przysięgali, ty, Pochewko, iż będziesz się trzymać jednego Kozika, a ty, Koziku, iż będziesz się trzymać jednej Pochewki”.

Tu pan rzekł do Kubusia: „Twoja gadka nie jest zbyt moralna; ale jest ucieszna. Nie wiesz, jaka szczególna myśl przeszła mi w tej chwili przez głowę. Żenię cię z naszą gospodynią; i zastanawiam się, co by uczynił mąż, który lubi mówić, przy żonie, której się gęba nie zamyka”.

KUBUŚ: To, co ja czyniłem przez dwanaście pierwszych lat życia spędzonych u babki i dziadka.

PAN: Jak się nazywali? czym się trudnili?

KUBUŚ: Tandeciarstwem. Mój dziadek Jazon miał sporą kupkę dzieci. Cała rodzina była poważna; wstawali, ubierali się, szli do swych interesów; wracali, jedli obiad, znowu wychodzili, nie mówiąc ani słowa. Wieczorem zasiadali na krzesłach; matka i córki przędły, szyły, robiły szydełkiem, nie mówiąc słowa; chłopcy wypoczywali; ojciec czytał Stary Testament.

PAN: A ty, co robiłeś?

KUBUŚ: Biegałem po pokoju z kneblem w gębie.

PAN: Z kneblem!

KUBUŚ: Tak, z kneblem; no i ów przeklęty knebel zaszczepił mi tę namiętność mówienia. Tydzień minął niekiedy, zanim ktoś otworzył usta w domu Jazonów. Przez całe swoje życie (a było długie), babka wyrzekła jeno *kapelusze do sprzedania*, a dziadek, siedzący cały dzień w sklepie, wyprostowany, z rękami wsuniętymi za klapy surduta, powiedział tylko: *dwa grosze!* Bywały dni, w których skłonny był przestać wierzyć w Biblię.

PAN: Dlaczegoż to?

KUBUŚ: Z przyczyny powtórzeń, które wydawały mu się gadulstwem niegodnym świętego Ducha. Powiadał, iż ludzie, którzy coś powtarzają dwa razy, to głupcy, i że biorą za głupców tych, którzy ich słuchają.

PAN: Kubusiu, a gdybyś, aby wynagrodzić sobie długie milczenie, jakie zachowałeś przez dziesięć lat knebla w domu dziadka i podczas opowiadania gospodyni...

KUBUŚ: Gdybym podjął historię swoich amarów?

PAN: Nie; ale inną, przy której mnie zostawiłeś; historię kolegi kapitana.

KUBUŚ: Och, panie, cóż pan ma za piekielną pamięć!

PAN: Kubusiu, Kubusieczku...

KUBUŚ: Z czego się pan śmieje?

PAN: Z tego, co mnie pobudzi do śmiechu jeszcze niejednym razem; z obrazu twojej młodości spędzonej z kneblem w zębach w domu dziadka.

KUBUŚ: Babka wyjmowała mi go, gdy nikogo nie było; kiedy dziadek to zauważył, bardzo był niezadowolony; rzekł: „Rób tak dalej, a ten chłopiec stanie się najstraszliwszym gadułą, jaki kiedykolwiek istniał na świecie”. Przepowiednia się spełniła.

PAN: No, Kubusiu, Kubusieczku, historię kolegi kapitana.

KUBUŚ: Stanie się, jak pan sobie życzy; ale pan w nią nie uwierzy.

PAN: Taka nadzwyczajna?

KUBUŚ: Nie; ale dlatego, iż trafiła się już komu innemu, mianowicie wojskowemu francuskiemu, nazwiskiem, zdaje mi się, pan de Guerchy<sup>32</sup>.

<sup>32</sup>*Hrabia de Guerchy* — jeden z najdzielniejszych oficerów Ludwika XV, zmarł w r. 1768. [przypis tłumacza]

PAN: Dobrze więc! powiem tak, jak pewien poeta francuski, autor wcale dobrego epigramu, powiedział komuś, kto go sobie przywłaszczył w jego obecności: „W istocie, dlaczegoż by ten pan nie mógł go ułożyć? skoro ja go ułożyłem”... Dlaczego historia Kubusiowa nie miałyby się zdarzyć koledze kapitana, skoro zdarzyła się panu de Guerchy? Ale opowiadając, ubijesz dwa ptaszki na jeden strzał i pouczysz mnie o przygodzie obu tych osobistości, nie znam jej bowiem.

KUBUŚ: Tym lepiej! ale przysięgnij pan.

PAN: Przysięgam.

Czytelniku, miałbym wielką pokusę zażądać od ciebie tej samej przysięgi, ale zwrócę ci tylko uwagę na pewne dziwactwo w charakterze Kubusia, które odziedziczył widocznie po swym dziadku Jazonie, milczącym tandeciarzu; mianowicie Kubuś na wspak zwyczajowi gadułów, mimo iż lubił dużo mówić, miał wstręt do powtarzań. Dlatego też, powiadał nieraz panu: „Pan mi gotuje bardzo smutną przyszłość; cóż się ze mną stanie, kiedy nie będę miał już nic do powiedzenia?”

— Powtórzysz *da capo*.

— Kubuś i powtarzanie! Zgoła przeciwna rzecz jest zapisana w górze; gdyby mi się zdarzyło powtórzyć się, nie mógłbym powstrzymać wykrzyknika: „Ach, gdyby dziadek cię słyszał!”... i żałowałbym knebla.

KUBUŚ: W czasach, kiedy grywano w gry hazardowe na jarmarkach świętego Germana i świętego Wawrzyńca...

PAN: Ależ to w Paryżu, kolega zaś kapitana jest komendantem granicznej fortecy.

KUBUŚ: Na miłość boską, panie, daj mi pan mówić... Kilku oficerów weszło do kramiku, gdzie zastali innego oficera rozmawiającego z gospodynią. Jeden z przybyszów zaproponował partyjkę kości; trzeba bowiem panu wiedzieć, iż po śmierci mego kapitana, kolega jego, stawszy się bogatym, stał się również i graczem. Zatem on lub też pan de Guerchy, przyjmuje. Los wkłada kubek z kośćmi w ręce jego przeciwnika, który wygrywa, wygrywa, wygrywa... wprost bez końca. Gra się rozgrzała, stawki wzrastały z piorunującą szybkością, kiedy jeden z obecnych zwrócił uwagę pana de Guerchy lub też kolegi mego kapitana, iż dobrze by uczynił nie forsując dalej i dając pokój grze, w której partner bieglejszy jest od niego. Na te słowa, które były jeno prostym żartem, koledze mego kapitana lub też panu de Guerchy wpada do głowy, iż ma do czynienia z oszustem; nie namyślając się, wsuwa rękę do kieszeni, dobywa bardzo ostrego noża i gdy przeciwnik wyciągnął rękę po kości, aby je włożyć do kubka, przygwaźdża nożem rękę do stołu, mówiąc: „Jeśli kości są fałszywe, jesteś łajdakiem, jeśli są dobre, moja wina”... Kości okazały się dobre. Pan de Guerchy rzekł: „Jest mi niezmiernie przykro i gotów jestem dać zadośćuczynienie, jakiego pan zażąda”... Inne były słowa kolegi mego kapitana; ów rzekł: „Straciłem pieniądze; przedziurawiłem rękę uczciwemu człowiekowi; ale w zamian za to, będę miał przyjemność pojedynkowania się, ile dusza zapagnie”... Skaleczony oficer odchodzi i daje sobie opatrzyć rękę. Skoro się wyleczył, zgłasza się do przygwoźdźciciela i żąda porachunku; ów, czyli pan de Guerchy, uważa żądanie za słuszne. Drugi, czyli kolega mego kapitana, zarzuca mu ręce na szyję i powiada: „Oczekiwałem pana z niecierpliwością nie do opisania”... Idą na łączkę: przygwoźdźciciel, pan de Guerchy lub też kolega mego kapitana, dostaje tęgie pchnięcie szpadą w piersi; przygwoźdźdźony podnosi go, każe zanieść do domu i powiada: „Panie, zobaczymy się jeszcze”... Pan de Guerchy nie odpowiada nic; kolega mego kapitana odpowiada: „Panie, liczę na to”. Biją się raz, drugi, trzeci, aż do ósmego lub dziesiątego razu i zawsze przygwoźdźciciel zostaje na placu. Byli to obaj znaczni oficerowie, obaj ludzie wysokiej wartości; przygoda ich narobiła hałasu; wdało się ministerium. Zatrzymano jednego w Paryżu, drugiego wysłano na posterunek. Pan de Guerchy poddał się rozkazom dworu; kolega mego kapitana był zropaczony; taka jest różnica między dwoma ludźmi dzielnymi z natury, ale z których jeden jest rozsądny, drugi zaś ma swego bzika.

Aż dotąd przygoda pana de Guerchy i kolegi mego kapitana jest im wspólna: po prostu taż sama; oto przyczyna, dla której wymieniłem obu, rozumie pan teraz? Tutaj rozdzielię ich i będę mówił jedynie o koledze kapitana, reszta bowiem należy tylko do niego. Ach, panie, tu dopiero pan zobaczy, jak mało jesteśmy panami i naszych losów i ile dziwacznych rzeczy napisano na wielkiej wstędze!

Kolega mego kapitana, *alias* przygwoździec, uzyskuje pozwolenie odwiedzenia stron rodzinnych. Droga wiodła przez Paryż. Zajmuje miejsce w dyliżansie. O godzinie trzeciej rano, dyliżans przejeżdża koło Opery; właśnie publiczność wychodziła z balu. Kilku zamaskowanych trzpiotów wpada na pomysł śniadania z podróżnymi dyliżansu; o świecie przybywają na miejsce popasu. Przyglądają się sobie. Któż opisze zdumienie obu, gdy przygwoźdzony spotkał się nos w nos z przygwoździelem. Ten podaje mu rękę, ściska go i oświadcza, jak bardzo zachwycony jest tak szczęśliwym spotkaniem; natychmiast udają się za szopę, dobywają szpady, jeden w surducie, drugi w dominie. Przygwoździec, czyli kolega mego kapitana, jeszcze i tym razem zostaje na placu. Przeciwnik posyła po chirurga, siada do stołu ze swymi przyjaciółmi i resztą zawartości dyliżansu, pije i zajada wesoło. Jedni gotowali się właśnie puścić w dalszą drogę, drudzy wrócić do stolicy, w maskach i na koniach pocztowych, kiedy pojawiła się gospodyni i położyła koniec opowiadaniu Kubusia.

Wróciła tedy i uprzedzam cię, czytelniku, że nie jest już w mej mocy wyprawić ją z powrotem. — A to dlaczego? — Ponieważ pojawiła się z dwiema butelkami szampańskiego, po jednej w każdej ręce, i ponieważ jest napisane w górze, że wszelki mówca, który zwróci się do Kubusia z tą apostrofą, zapewni sobie nieodwołalnie jego ucho.

Wchodzi, stawia butelki na stole i mówi: „No panie Jakubie, zawrzyjmy pokój”... Gospodyni nie była pierwszej młodości: była to kobieta duża i tęga, rześka, miłego wyrazu twarzy, w miarę zaokrąglona, usta dość duże, ale z pięknymi zębami, lica szerokie, oczy nieco wypukłe, czoło bogato sklepione, prześliczna pleć, fizjonomia otwarta, wesoła i żywa, ramiona trochę pełne, ale ręce wspaniałe, godne pędzla lub dłuta. Kubuś objął ją w pól i uściśnił mocno; uraza jego nigdy nie ostała się w obliczu dobrego wina i pięknej kobiety; tak było napisane w górze o nim, o tobie czytelniku i o wielu innych. „Panie — rzekła do chlebobdawcy Kubusia — czy puści nas pan tak samych? Spójrz pan: rękę, że choćbyś miał jeszcze sto mil przed sobą, nie będziesz pił lepszego przez całą drogę”. Tak mówiąc, ścisnęła butelkę między kolanami i dobiła korek, po czym z osobliwą zręcznością przytknęła otwór wielkim palcem, nie uroniwszy ani kropelki płynu. „Dalej — rzekła do Kubusia — prędko, prędko, szklanka”. Kubuś podsuwa szklankę; gospodyni cofa nieco palec i oto twarz Kubusia cała okryła się pianą. Kubuś zniósł pogodnie psotę, gospodyni zaczęła się śmiać, Kubuś i pan również. Wychylono parę szklaneczek, jedną po drugiej, aby zapoznać się z charakterem butelki, po czym gospodyni rzekła: „Bogu chwała! wszyscy szczęśliwie w łózkach, nikt nie będzie przerywał, mogę podjąć opowiadanie”. Kubuś, spoglądając na nią oczyma, których wino szampańskie spotęgowało naturalną żywość, rzekł: „Nasza gospodyni była piękna jak anioł; jak panu się wydaje?”

PAN: Była! Do paralusza, ależ jest jeszcze, Kubusiu!

KUBUŚ: Panie, ma pan słuszność; bo też ja nie porównywałem jej z żadną inną kobietą, jeno z nią samą, gdy była młodsza.

GOSPODYNI: Phi, niewiele zostało z tego dzisiaj; dawniej, kiedy to można było mnie objąć w pasie dwoma pierwszymi palcami obu rąk, wtedy trzeba było na mnie patrzeć! Zbaczano z drogi bodaj o cztery mile, aby tutaj nocować. Ale dajmy pokój... różne tam były, lepsze i gorsze, te głowy, które zdarzyło mi się zawrócić... Śpieszmy teraz do pani de La Pommeraye.

KUBUŚ: Gdybyśmy wprzód wypili łyżek za zdrowie tych gorszych głów, które pani zawróciła, czyli za moje zdrowie?

GOSPODYNI: Bardzo chętnie; były między nimi takie, które były tego warte, licząc w to albo i nie licząc głowę pana Jakuba. Czy wiecie, że przez dziesięć lat byłam opatrnością wojskowych, rozumie się w uczciwym rozumieniu? Wielu z tych, którym wygodziłam, znalazłoby się w wielkim kłopotcie, gdyby im przyszło wyekwipować się w pole bez mojej pomocy. To dzielni ludzie, nie mam przyczyny uskarżać się na nich, ani też oni na mnie. Żadnych obligów, weksli; czasem dali trochę czekać; ale, po upływie dwóch, trzech, czterech lat, zawszem swoje dostała z powrotem...

I dalejże wyliczać oficerów, którzy uczynili jej zaszczyt czerpiąc w jej sakiewce: pan taki a taki, pułkownik \*\*\*, pan znów taki, kapitan \*\*\*; i nagle Kubuś zaczyna wykrzykiwać: „Mój kapitan! mój biedny kapitan! znałaś go pani?”.

GOSPODYNI: Czy znałam? Słuszny, dobrze zbudowany, nieco suchy, wejrzenie szlachetne i surowe, hydka muskularna, dwa czerwone punkciki na prawej skroni. Więc pan służyłeś?

KUBUŚ: Czy służyłem?

GOSPODYNI: Tym więcej pana kocham za to; nie wątpię, iż zachowałeś wszystkie przymioty swego dawnego stanu. Pijmy zdrowie pańskiego kapitana.

KUBUŚ: Jeśli jest jeszcze żywy.

GOSPODYNI: Żywy czy umarły i cóż to znaczy? Czy żołnierz nie jest stworzony na to, aby go zabito? Czy nie musi wściekać się ze złości, kiedy po dziesięciu oblężeniach i piętnastu bitwach, przyjdzie mu umierać w otoczeniu czarnej kanalii!... Ale wróćmy do naszej historii i przepijmy jeszcze łyceczek.

KUBUŚ: Na honor, pani gospodyni ma słuszość.

GOSPODYNI: Rada jestem, że takie pańskie zdanie.

KUBUŚ: Albowiem wino pani jest wysmienite.

GOSPODYNI: Ach, to wino miał pan na myśli? Ano, znowu masz słuszość. Czy pamiętacie panowie, na czymśmy stanęli?

PAN: Tak jest; na konkluzji wyciągniętej z arcy-przewrotnego zwierzania.

GOSPODYNI: Margrabia des Arcis i pani de La Pommeraye uściśnęli się zachwyceni sobą nawzajem i tak się rozstali. Im więcej dama ta rozwinęła panowania nad sobą w obecności margrabiego, tym gwałtowniej wybuchnęła boleścią po jego odejściu. „Więc to aż nazbyt prawdziwe, wykrzyknęła, nie kocha mnie już!”... Nie będę opisywać szczegółowo wszystkich szaleństw, jakie chwytają się porzuconej kobiety; nazbyt wbilibyście się w pychę. Powiedziałam, że była to osoba dumna, ale w wyższym jeszcze stopniu mściwa. Skoro uspokoiła pierwszą wściekłość i nasyciła się na chłodno swym oburzeniem, postanowiła się zemścić, ale zemścić w sposób okrutny, godny, aby się stał postrachem dla każdego kto by w przyszłości miał pokusę uwieść i oszukać uczciwą kobietę. Zemściła się, zemściła strasznie; zemsta jej ujawniła się w całym blasku i nie poprawiła nikogo; codziennie, tak samo jak wprzód, równie haniebnie mężczyźni oszukają nas i zwodzą.

KUBUŚ: Może inne, ale pani!...

GOSPODYNI: Niestety! mnie pierwszą. Och, jakież my jesteśmy głupie! Gdybyż jeszcze ci paskudnicy zyskiwali na zamianie! Ale dajmy pokój. Co uczyni margrabina? Sama jeszcze nie wie; pomyśli nad tym; już myśli.

KUBUŚ: Gdybyśmy tak, podczas gdy ona myśli...

GOSPODYNI: Święte słowa. Ale obie butelki już próżne... (*Janie! — Pani? — Dwie butelki z tych, co to w samej głębi, za wiązkami drzewa. — Rozumiem*)... Myśli tedy wytrwale, i oto co przychodzi jej do głowy. Pani de La Pommeraye spotykała swego czasu pewną damę z prowincji, która powołana procesem przybyła do Paryża wraz z córką, młodą, piękną i dobrze ułożoną. Dowiedziała się, iż ta kobieta, zrujnowana przegraną, stoczyła się stopniowo w położenie więcej niż podejrzone. Mieszkanie jej stało otworem; grano, wieszano wesoło i zwyczajnie ten i ów z biesiadników zostawał na noc u pani lub panny domu, do wyboru. Margrabina wyprawiła zaufanego człowieka na poszukiwanie tych istot. Wygrzebał je kędyś i zaprosił w myśl rozkazu, aby zechciały odwiedzić panią de La Pommeraye, którą zaledwie że sobie przypominały. Osoby te, żyjące pod przybranym imieniem pani i panny d'Aison, nie dały na siebie czekać; zaraz nazajutrz matka zjawiała się u pani de La Pommeraye. Po pierwszych uprzejmościach margrabina zapytała panią d'Aison, co się z nią dzieje i co porabia od czasu przegranej procesy.

— Jeśli mam rzec szczerze — odparła d'Aison — prowadzę rzemiosło niebezpieczne, bezecne, mało intratne i które ze szczętem mi obmierzło; ale cóż? mus jest najwyższym prawem. Byłam już gotowa umieścić córkę w Operze, ale ma za mały głosik, dobry zaledwie w salonie, a jako tancerka była zawsze dość mierną. Oprawadzałam ją podczas procesy i później po urzędnikach, wielkich panach, prałatach, bankierach; każdy pobałwił się dłużej lub krócej i na tym się kończyło. Nie iżby zbywało jej na piękności: piękna jest jak anioł; toż samo nie brak jej dowcipu i wdzięku; ale żadnego zmysłu zepsucia,

nic z talentów zdolnych pobudzić smak ludzi stępałych i zużytych. A co nam najwięcej zaszkodziło, to iż nabiła sobie głowę młodym księżykiem-szlachetką, bezbożnym, niedowiarkiem, rozpustnym, hipokrytą, anty-filozofem, którego pani nie nazwę; dość że jest to najgorszy typ spomiędzy tych, którzy w pogoni za pastorałem obrali drogę najbardziej pewną i wymagającą najmniej talentu. Nie wiem, co on zadał córce, której przychodził co rano czytać swoje lądactwa, odmieniając na wszystkie tony: będę biskupem, czy nie będę? Na szczęście, pokłócili się z sobą. Córka zapytała go pewnego dnia, czy zna tych, przeciw którym pisze; księżyk odpowiedział, że nie; czy sam wyznaje inne przekonania niż te, które zożydza, a gdy księżyk również odpowiedział przecząco, uniosła się i wykazała mu, że postępowanie jego jest szczytem fałszu i niegodziwości.

Pani de La Pommeraye zapytała, czy obie z córką bardzo są znane.

— O wiele za bardzo, niestety.

— Widzę, iż nie upierałaby się pani przy swoim rzemiośle?

— Zgoła nie; córka zaś zaklina się codziennie, iż wolałaby największą nędzę niż obecne życie; grzęźnie w melancholii, która tym bardziej odstręcza ludzi...

— Gdyby mi tedy przyszła ochota zapewnić wam los co się zowie świetny, zgodziłybyście się?

— Nawet o wiele taniej.

— Ale czy możecie przyrzec, iż zastosujecie się najściślej do wskazówek, jakich udzielię?

— Może pani na to liczyć bezwarunkowo.

— I będziecie na moje rozkazy, kiedy tego zażądam?

— Będziemy ich oczekiwali z niecierpliwością.

— To wystarczy; chciej pani wrócić do domu, a niebawem je otrzymasz. Tymczasem pozbadźcie się mebli, sprzedajcie wszystko, nie chowajcie nawet sukien, jeśli są nieco jaskrawe: to by nie odpowiadało moim widokom.

Kubuś, który zaczynał być zaciekawiony, rzekł do gospodyni: „A gdybyśmy tak wypili zdrowie pani de La Pommeraye?”.

GOSPODYNI: Chętnie.

KUBUŚ: A pani d'Aisnon?

GOSPODYNI: Stoi.

KUBUŚ: Nie odmówisz mi pani i zdrowia panny d'Aisnon, która ma ładny głosik do salonu, mało talentu do tańca i melancholię wtrącającą ją w smutną konieczność przygarniania co wieczora nowego kochanka.

GOSPODYNI: Nie śmieję się pan; to rzecz najokrutniejsza, jaka być może. Gdybyś pan wiedział, co to za męczarnia, kiedy się nie kocha!...

KUBUŚ: Więc zdrowie panny d'Aisnon, z przyczyny jej męczarni.

GOSPODYNI: Zdrowie.

KUBUŚ: Pani gosposiu, czy pani kocha swego małżonka?

GOSPODYNI: Umiarkowanie.

KUBUŚ: Jesteś tedy wielce godną współczucia, wydaje mi się bowiem, iż cieszy się nader kwitnącym zdrowiem.

GOSPODYNI: Nie wszystko złoto, co się świeci.

KUBUŚ: Zatem zdrowie zdrowia naszego gospodarza.

GOSPODYNI: Pij pan sam.

PAN: Kubusiu, Kubusiu, serce, ty się coś strasznie śpieszysz.

GOSPODYNI: Niech się pan nic nie boi; wino szczerze jak bursztyn; do jutra nie będzie śladu.

KUBUŚ: Skoro do jutra nie będzie śladu, na dziś zaś wieczór nie troszczę się zbyttnio o stan mego rozsądku, tedy, mój łaskawy panie, moja piękna gosposiu, jeszcze jedno zdrowie, zdrowie, które bardzo mi leży na sercu, a mianowicie zdrowie księżyka panny d'Aisnon...

GOSPODYNI: A pfe, panie Jakubie! obłudnik, pyszałek, nieuk, potwarca, człowiek bez tolerancji, tak bowiem nazywają, o ile mi się zdaje, tych, co to zamordowaliby chętnie każdego, kto nie myśli jak oni.

PAN: Ale bo pani nie wiadomo, pani gosposiu, że ten oto Kubuś jest filozofem w swoim rodzaju i niezmiernie wysoko szacuje owych rycerzy spod ciemnej gwiazdy, którzy hańbę ściągają i na siebie samych, i na sprawę, której bronią tak lichy. Powiada, iż jego kapitan nazywał ich odtrutką na Huetów, Nicolów, Bossuetów *Huetów, Nicolów, Bossuetów* — Nazwiska głośnych pisarzy teologicznych.<sup>33</sup> Nie rozumiał z tego ani słowa, jak i pani zresztą... Pani mąż już w łóżku?

GOSPODYNI: Odkąd!

PAN: I pozwala się pani tak zabawiać?

GOSPODYNI: Mój mąż ma dobrą szkołę... Pani de La Pommeraye siada do karety, objeżdża przedmieścia najbardziej oddalone od dzielnicy, gdzie mieszkały obie d'Aisnon, wynajmuje małe mieszkanko w uczciwym domu, w sąsiedztwie parafii, każe umeblować je, jak można najskromniej, zaprasza d'Aisnonkę wraz z córką na obiad i zagospodarowuje je tego samego dnia czy w kilka dni później, przepisując najformalniej tryb życia, jakiego mają się trzymać.

KUBUŚ: Pani gosposiu, zapomnieliśmy o zdrowiu pani de La Pommeraye, także i margrabiego des Arcis; o, to się doprawdy nie godzi.

GOSPODYNI: Tylko śmiało, panie Jakubie, piwnica jeszcze niepusta... Oto owe przepisy lub przynajmniej to, co z nich zapamiętałam:

„Nie będziecie uczęszczać na miejsca publicznych przechadzek; nie trzeba bowiem, aby was poznano.

Nie będziecie przyjmować nikogo, nawet z najbliższego sąsiedztwa, trzeba bowiem zachować pozory życia najbardziej zamkniętego.

Przywdziejecie od jutra zwykły strój dewotek, trzeba bowiem, aby was uważano za takie.

W domu będziecie miały jedynie nabożne książki, aby nic w waszym otoczeniu nie mogło was zdradzić.

Będziecie uczęszczały z największą pilnością na nabożeństwa w kościele parafialnym, przestrzegaly dni świątecznych i postów.

Dołożycie starań, aby wcisnąć się do rozmównicy jakiegoś klasztoru; ploteczki tych pustelnic nie będą dla nas bez pożytku.

Zawrzecie ścisłą znajomość z proboszczem i księżmi w parafii, ponieważ świadectwo ich może mieć dla nas wagę.

Nie będziecie stale przyjmować żadnego z nich.

Będziecie się spowiadać i przystępować do sakramentów świętych przynajmniej dwa razy na miesiąc.

Weźmiecie z powrotem wasze rodowe nazwisko, ponieważ jest uczciwe, prędzej zaś czy później, zasięgną o was języka na prowincji.

Będziecie świadczyć od czasu do czasu drobne jałmużny, same zaś nie będziecie przyjmować nic i nigdy, pod żadnym pozorem. Trzeba, byście miały opinię osób niebogatych ani też nieubogich.

Będziecie prząść, szyć, robić szydełkiem, haftować i oddawać swoją robotę damom dobroczynnym dla sprzedaży.

Będziecie przestrzegać najściślejszej wstrzemięźliwości: dwa skromne posiłki na dzień to wszystko.

Córka nie będzie nigdy wychodzić bez pani, a pani bez niej. Nie zaniedbacie żadnego ze środków służących ku zbudowaniu bliźniego tanim kosztem.

Zwłaszcza, powtarzam raz jeszcze, nie życzę sobie w waszym domu ani księży, ani mnichów, ani dewotek.

Idąc przez ulicę, będziecie miały oczy spuszczone; w kościele widzieć będziecie jeno Boga”.

— Przyznaję, jest to twardy tryb życia, ale nie potrwa zbyt długo i przyrzekam sowiłą zań nagrodę. Rozpatrzcie się, zastanówcie; jeżeli przymus zda się wam ponad siły, wyznajcie szczerze; ani mnie to obrazi, ani zdziwi. Zapomniałam powiedzieć, iż byłoby właściwe, abyście się obeznały nieco z podręcznym słowniczkiem mistycznym, jak również spoufaliły się z historią Starego i Nowego Testamentu, tak aby was można było brać za

<sup>33</sup>[przypis tłumacza]

nabożnisie dawnej daty. Bądźcie żansenistkami<sup>34</sup> lub molinistkami, jak wam się podoba; najlepiej trzymać się opinii swego proboszcza. Nie zapominajcie przy każdej sposobności ciskać na prawo i na lewo gromy na filozofów; krzyczcie, że Wolter jest wcielonym Antychrystem, nauczcie się na pamięć książeczki waszego labusia<sup>35</sup> i obnoście ją, jeśli trzeba...

Pani de La Pommeraye dodała: „Nie będę was odwiedzała w domu; nie jestem godna towarzystwa tak świętych kobiet; ale nie niepokójcie się: będziecie zachodzić niekiedy po kryjomu i tu, w małym kółeczku, znajdzie się jakieś odszkodowanie za pokutniczy tryb życia. Ale udając cnoty wszelakiego autoramentu, nie nasiąknijcież nimi zbyt głęboko. Co do wydatków waszego gospodarstwa, to moja sprawa. Jeśli projekt się uda, nie będziecie mnie potrzebowały; jeśli zawiedzie bez winy z waszej strony, jestem dość bogata, aby wam zapewnić los uczciwy i lepszy niż rzemiosło, któreście dla mnie poświęciły. Ale przede wszystkim poddanie bezwarunkowe, nieograniczone mojej woli: inaczej nie odpowiadam za nic na teraz i nie zobowiązuję się do niczego na przyszłość”.

PAN  *pukając w tabakierkę i zaglądając na godzinę*: Piekielna główka kobieca, doprawdy! Niech mnie Bóg broni, abym miał spotkać podobną.

GOSPODYNI: Cierpliwości, cierpliwości, nie znasz jej pan jeszcze.

KUBUŚ: Czekając aż to nastąpi, moja piękna, uroczą gosposiu, gdybyśmy tak szepnęli słówko tej butelce?

GOSPODYNI: Panie Jakubie, szampańskie upiększa mnie w pana oczach.

PAN: Od tak dawna pragnę pani zadać pewne pytanie, być może niedyskretne, że nie mogę się dłużej powstrzymać.

GOSPODYNI: Niech pan pyta.

PAN: Jestem pewny, że pani nie urodziła się w oberży.

GOSPODYNI: To prawda.

PAN: Że dostała się pani do niej z wyższego stanu, przez nadzwyczajne okoliczności.

GOSPODYNI: Przyznaję.

PAN: I gdybyśmy zawiesili na chwilę historię pani de La Pommeraye...

GOSPODYNI: To być nie może. Chętnie opowiadam przygody cudze, ale nie własne. Wiedz pan tylko, że byłam wychowana w Saint-Cyr<sup>36</sup>, gdzie czytałam niewiele Ewangelii, a wiele romansów. Z instytutu królewskiego do gospody *Pod Wielkim Jeleniem*, to droga dość daleka.

PAN: Wystarcza; uważaj pani, że nic nie powiedziałem.

GOSPODYNI: Podczas gdy nasze dewotki budowały wszystkich swoim życiem, a zachowując w stosunku do margrabiego wszelkie pozory szacunku, przyjaźni i najpełniejszego zaufania. Zawsze mile witany, nigdy niespotykający się z połajanką ani dąsem nawet po długiej nieobecności, opowiadał jej wszystkie swoje drobne sukcesy, którymi margrabina zdawała się bawić szczerze. Udzielała mu rad w przedsięwzięciach bardziej drażliwej natury; rzucała niekiedy jakieś słówko o małżeństwie, ale w tonie tak bezinteresownym, że nie można było podejrzewać, by przemawiała w swojej sprawie. Jeśli margrabia zwracał się do niej z jakim czułym lub dwornym komplementem, trącącym wspomnieniami dawnej poufałości, uśmiechała się albo puszczała mimo uszu. Wedle tego, co sama mówiła, serce jej było spokojne; ba, czego nie byłaby sobie nigdy wyobrażała, przekonała się, że przyjaciel taki jak on wystarcza jej do szczęścia w zupełności; zresztą nie czuje już w sobie porywów pierwszej młodości, czuje się wystygłą, spokojną...

— Jak to, nie masz mi pani nic do zwierzenia?

— Nie.

— A cóż, droga przyjaciółko, ów młody hrabia, który za czasu mego panowania przypierał cię tak wytrwale?

— Prosiłam, aby zaniechał odwiedzin, i nie widziałam go od tego czasu.

— Ależ to szaleństwo! I czemuż go oddalać?

<sup>34</sup>*żansenści* — wyznawcy surowej doktryny Jansena, biskupa z Ypres (1585–1638), zacięci przeciwnicy jezuitów, zwanych *molinistami* od nazwiska jednego z ich teologów, Moliny (1535–1606). [przypis tłumacza]

<sup>35</sup>*labuś* (z fr.) — książdz. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*Saint-Cyr* — instytut założony przez panią de Maintenon i Ludwika XIV, gdzie wychowywały się na koszt królewski córki najlepszych szlacheckich rodzin. [przypis tłumacza]

— Bo mi się nie podoba.  
— Och, margrabino, zdaje mi się, że zgaduję twoją tajemnicę: pani mnie jeszcze kochasz.  
— Być może.  
— Liczysz na mój powrót.  
— Dlaczego nie?  
— I zabezpieczasz sobie wszelkie przewagi postępowania bez zarzutu.  
— I to możliwe.  
— I gdybym miał szczęście albo nieszczęście nawiązać rzecz na nowo, gotujesz sobie bodaj zasługę milczenia, jakim pokryłabyś moje wybryki.  
— Zbyt wiele szlachetności i delikatności przypisujesz mi, margrabio.  
— Moja przyjaciółko, po tym, co uczyniłaś, nie ma bohaterstwa do którego byś nie była zdolną.  
— Cieszy mnie, że tak mniemasz.  
— Na honor, jesteś pani dla mnie niebezpieczniejsza niż kiedykolwiek: zaczynam się obawiać nie na żarty.

KUBUŚ: I ja także.

GOSPODYNI: Uplynęły mniej więcej trzy miesiące od czasu, gdy rzeczy stanęły na tym punkcie. Pani de La Pommeraye uznała, że czas rozpocząć grę na serio. Pewnego letniego dnia, w piękną pogodę, kiedy spodziewała się margrabiego na obiad, kazała powiedzieć d'Aisnonce i jej córce, aby się udały na przechadzkę do Ogrodu Królewskiego. Margrabia przybył, nakryto wcześniej, obiad upłynął nader wesoło. Po obiedzie pani de La Pommeraye poddaje margrabiemu przechadzkę, o ile przypadkiem nie ma jakiejś miłszej rozrywki. Nie było tego dnia ani Opery ani Komedii; owóż przypadek zrządził, iż on sam, pragnąc wynagrodzić sobie zabawne użytecznym, zaprosił margrabinę na wspólne zwiedzenie Królewskiego Gabinetu. Możecie sobie wyobrazić, iż nie spotkał się z odmową. Zaprzężono powóz, ruszyli i wnet znaleźli się w Parku Królewskim, wmieszani w ciżbę, przyglądając się wszystkiemu i nie widząc nic, jak inni.

Czytelniku, zapomniałem ci odmalować położenie trojga osób; Kubusia, jego pana i gospodyni: wskutek tego przeoczenia słyszeliście, jak mówią, ale nie widzieliście ich; otóż lepiej późno jak nigdy. Pan na lewo, w krymce, w szlafroku, wyciągnął się niedbale na szezlongu z chustką do nosa pod ręką i tabakierką w garści. Gospodyni w głębi, na wprost drzwi, blisko stołu, szklanka przed nią. Kubuś bez kapelusza, po prawej, oboma łokciami wsparty na stole, z głową pochyloną między dwiema butelkami: dwie inne na ziemi koło niego.

Wyszedszy z Gabinetu, margrabia i jego przyjaciółka zażywali przechadzki w ogrodzie. Skręcili właśnie w pierwszą aleję na prawo od wejścia, w pobliżu szkółki drzewek, kiedy pani de La Pommeraye wydała okrzyk zdziwienia: „Nie, nie myślę się, pewna jestem że to one; tak, tak, nikt inny tylko one”.

Natychmiast porzuca margrabiego i śpieszy na spotkanie naszych świętoszek. Młoda d'Aisnon wyglądała czarująco w owym prostym ubraniu, które nie ściągając oczu na strój, kieruje całą uwagę na samą osobę. „Ach, więc to pani?”

— Tak, to ja.

— I jakże się pani miewa, co się z wami działo? Wszak to już wiek cały upłynął od ostatniego widzenia.

— Znanie są pani nasze nieszczęścia; trzeba było poddać się wyrokowi losu i żyć w ustroniu, jak przystało naszemu skromnemu mieniu; porzucić świat, skoro się nie da w nim zachować godnego siebie stanowiska.

— Ale dlaczegoż opuszczać mnie, która nie liczę się do świata i zawsze miałam na tyle rozumu, aby go sądzić, tak jak na to zasługuje!

— Jednym ze smutnych przywilejów nieszczęścia jest to, iż rodzi nieufność; ubodzy lękają się, aby się nie stali natrętni.

— Wy natrętne, mnie! takie przypuszczenie to niemal obraza.



— Pani, ja jestem bez winy: mało dziesięć razy przypominałam mamusi o pani, ale rzekła tylko: „Pani de La Pommeraye... nikt, nikt, moja córko, nie pamięta już o nas”.

— Cóż za niesprawiedliwość! Usiądźmy nieco, porozmawiamy. Oto margrabia des Arcis, mój przyjaciel; obecność jego nie będzie nas krępować. Ależ ta panienka wyrosła! ależ wypiękniała od czasu, jakieśmy się nie widziały!

— Położenie nasze ma tę korzyść, iż broni nam wszystkiego, co szkodliwe dla zdrowia; spójrz pani na tę twarzyczkę, na to ramie; oto owoce wstrzemięźliwego i jednostajnego życia, snu, pracy, czystego sumienia: to też coś warte...

Panie usiadły, rozmowa potoczyła się na temat przyjaźni. Matka była wymowna, córka mówiła mało. Jedna i druga zarywała o ton dewocji, ale swobodnie i bez przesady. Na długi czas przed zachodem słońca skromnie poczęły się żegnać. Przedkładano im, że jeszcze wcześniej; ale d'Aisnon-matka szepnęła do ucha pani de La Pommeraye dość głośno, że mają jeszcze pewne nabożne obowiązki do spełnienia i niepodobieństwem jest zostać im dłużej. Były już o dobrych parę kroków, kiedy pani de La Pommeraye przypomniła sobie z wyrzutem, że nie spytała o ich pomieszkanie i nie powiadomiła o swoim: „To nieuwaga — dodała — której nie byłabym się dopuściła dawniej”. Margrabia pospieszył, aby naprawić błąd; przyjęły uprzejmość pani de La Pommeraye, ale mimo najusilniejszych nalegań margrabia nie mógł się dowiedzieć o miejscu ich siedziby. Nie śmiał ofiarować swego powozu, mimo iż, jak wyznał pani de La Pommeraye, wielką miał pokusę.

Margrabia nie omieszkiał zapytać towarzyszkę, kto są te dwie kobiety.

— To istoty zaprawdę szczęśliwsze od nas. Spójrz, margrabio, na zdrowie, jakim się cieszą i na pogodę rozlaną na obliczu! niewinność, obyczajność, jaką tchnie ich rozmowa! Nie widuje się, nie słyszy się tego w naszych kołach. My żalujemy dewotów, oni nas: i wszystko zważywszy, gotowa jestem uwierzyć, że mają słusność.

— Ależ, margrabino, czyżbyś w istocie skłaniała się ku dewocji?

— Dlaczego nie?

— Strzeż się pani, nie chciałbym, aby nasze zerwanie, o ile ono jest zerwaniem, zaprowadziło cię aż tak daleko.

— Wolałbyś raczej, abym otwarła drzwi młodemu hrabiemu?

— O wiele.

— I radziłbyś mi?

— Bez wahania...

Pani de La Pommeraye powiedziała margrabiemu wszystko, co było jej wiadomym o rodzinie, pochodzeniu; dawnym życiu i procesie obu świętych kobiet, ciągle mówiąc o nich z niezmiernym przejęciem i zapałem; w końcu dodała: „To osoby niezwyklej wartości, zwłaszcza córka. Pojmujesz, margrabio, że przy takiej urodzie, o ile kobieta zechce użyć jej jako środka, nie zbywa jej w Paryżu na niczym; ale one przełożyły uczciwe ubóstwo nad haniebny zbytek. To, co im pozostało, to tak niewiele, że doprawdy nie wiem, jak sobie dają radę, aby żyć. Pracują też od rana do nocy! Wierz mi, znosić ubóstwo, gdy się w nim wzrosło, potrafi mnóstwo ludzi; ale przejść od dostatków do bardzo szczupłej stopy życia, zadowolić się tym i czuć szczęśliwym, to rzecz, której nie rozumiem! Oto w czym okazuje się siła religii. Nasi filozofowie mogą mówić, co chcą, religia jest dobrą rzeczą”.

— Zwłaszcza dla nieszczęśliwych.

— A któż nim nie jest, mniej albo więcej?

— Niech zginę, jeśli pani nie zarywasz już o dewocję!

— Wielkie nieszczęście! To życie, to tak niewiele, kiedy się je porówna z wiecznością, która nas czeka.

— Ależ pani już mówisz jak istny misjonarz.

— Mówię jak kobieta przekonana. Ejże, margrabio, odpowiedz mi szczerze: czy wszystkie bogactwa nie byłyby lichymi łachmanami w naszych oczach, gdybyśmy bardziej byli przeniknięci oczekiwaniem dóbr i obawą cierpień przyszłego życia? Uwiesić młodą dziewczynę albo kobietę przywiązaną do męża z tym uczuciem, że można umrzeć w jej ramionach i popaść nagle w męczarnie bez końca, wyznaj, iż byłoby to najniesłychańszym szaleństwem.

— Dzieje się to wszelako codziennie.

— Dlatego, że ludzie nie mają wiary, że oszalamiają samych siebie.

— Dlatego, iż wierzenia religijne mały mają wpływ na obyczaje. Ale, moja przyjaciółko, przysięgam ci, iż pędzisz całą siłą w stronę konfesjonału.

— To najlepsze, co mogłabym uczynić.

— Szaleństwa mówisz, margrabino; masz jeszcze przed sobą dobre dwadzieścia lat miłych grzeszków; nie daruj swego; później będziesz się kajać i pójdziesz się nimi pochwalić u stóp kapłana, jeśli ci to sprawi przyjemność. Ale oto rozmowa przeszła na dziwnie poważne tory: wyobraźnia twoja nabiera straszliwie czarnych kolorów; oto skutek obrzydliwej samotności, w jakiej się pograżałaś. Wierzaj mi, odwołaj co rychlej z wygnania młode hrabiątko: przestaniesz widzieć dokoła diabłów i piekło i będziesz uroczą jak dawniej. Obawiasz się, że ci to mogą wymawiać, jeśli kiedyś wrócimy do siebie; ale przede wszystkim może nie wrócimy nigdy; tedy dla obawy mniej lub więcej uzasadnionej pozbawiasz się najmiłszej z przyjemności. W istocie ambicja, aby być lepszą ode mnie, niewarta jest tego poświęcenia.

— Bardzo słusznie mówisz, margrabio, toteż nie to mnie wstrzymuje...

Powiedzieli sobie jeszcze wiele innych rzeczy, których nie pamiętam.

KUBUŚ: Pani gosposiu, napijmy się łyżek; to odświeża pamięć.

GOSPODYNI: Napijmy się łyżek... Okrążywszy nieco aleje, pani de La Pommeraye i margrabia wsiedli do powozu. Pani de La Pommeraye rzekła: „Jak mnie to postarza! Kiedy to przybyło do Paryża, nie większe było jak tyle”.

— Mówisz o córce damy, którą spotkaliśmy na przechadzce?

— Tak. Zupełnie jak w ogrodzie: róże więdnące ustępują miejsca świeżym. Czyś się jej przyjrzał?

— Najsumienniej.

— Jak ci się wydała?

— Głowa dziewicy Rafaela na ciele jego Galatei; a przy tym ta słodycz głosu!

— Niewinność spojrzenia!

— Skromność obejścia!

— Przystojność rozmowy, jaka u żadnej młodej dziewczyny nie uderzyła mnie w tym stopniu. Oto skutek wychowania!

— Skoro trafi na szczęśliwy grunt.

Margrabia pomógł wsiąść pani de La Pommeraye przy bramie; ta zaś nie miała nic pilniejszego, jak pospieszyć wyrazić naszym skromnisiom, jak bardzo była zadowolona z wykonania roli.

KUBUŚ: Jeśli utrzymają się w niej tak, jak rozpoczęły, wówczas, margrabio des Arcis, nie wywiniesz się, choćbyś był samym diabłem.

PAN: Chciałbym wiedzieć, co one mają za zamiar.

KUBUŚ: Ja zaś byłbym bardzo nierad: to by zepsuło wszystko.

GOSPODYNI: Od tego dnia margrabia stał się częstszym gościem u pani de La Pommeraye; zauważyła to, nie pytając wszelako o przyczynę. Nie mówiła nigdy pierwsza o nowych znajomych; czekała, aż sam poruszy tę materię: co margrabia zawsze czynił skwapliwie i ze źle udaną obojętnością.

MARGRABIA: Czy widziałas pani nasze przyjaciółki?

PANI DE LA POMMERAYE: Nie.

MARGRABIA: Wiesz pani, że to nie jest zbyt pięknie? Jesteś bogatą; one w niedostatku; i nie ofiarujesz im bodaj łyżki zupy od czasu do czasu!

PANI DE LA POMMERAYE: Myślałam, że lepiej mam zaszczyt być znaną panu margrabiemu. Miłość użyczała mi niegdyś zalet, obecnie przyjaźń użycza przywar. Zapraszałam z dziesięć razy, nie zdoławszy ich ściągnąć ani raz jeden. Wzbraniają się odwiedzać mnie, wskutek swoich osobliwych pojęć; kiedy ja bywam u nich, muszę zostawiać pojazd na rogu ulicy i przemykać się w najskromniejszym odzieniu, bez rózu i brylantów. Nie trzeba się zanadto dziwić ich oględności; fałszywa plotka wystarczyłaby, aby odwrócić od nich serce osób dobroczynnych i pozbawić je pomocy. Tak, margrabio, snadź czynić dobrze musi bardzo wiele kosztować...

MARGRABIA: Zwłaszcza dewotów...

PANI DE LA POMMERAYE. — Skoro najłżejszy pozór wystarczy, aby zwolnić od tego. Gdyby wiedziano, że się nimi interesuję, powiedziano by zaraz: są pod opieką pani de la Pommeraye, nie trzeba im niczego... I oto przepadły jałmużny.

MARGRABIA: Jałmużny!

PANI DE LA POMMERAYE: Tak, panie, jałmużny!

MARGRABIA: Pani je znasz i zmuszone są żyć z jałmużny?

PANI DE LA POMMERAYE: Znowuż, margrabio, widzę, że mnie już nie kochasz i że część twego uznania przepadła wraz z tkliwością. Więc gdyby te kobiety były na łasce swej parafii, któż ci powiada, iż to z mojej winy?

MARGRABIA: Przepraszam, pani, przepraszam stokrotnie; zbłądziłem. Ale dlaczego odsuwać życzliwą pomoc przyjaciółki?

PANI DE LA POMMERAYE: Ach, margrabio, nam, ludziom światowym, niełatwo jest zrozumieć delikatne skrupuły tych dusz zranionych przez życie. Nie czują się w prawie przyjęcia pomocy od kogokolwiek.

MARGRABIA: Ależ to znaczy odjąć nam najlepszy sposób czynienia pokuty za nasze szalone marnotrawstwa.

PANI DE LA POMMERAYE: Wcale nie. Przypuszczam na przykład, iż margrabia des Arcis tknięty jest współczuciem; czemuż nie użyczy swej pomocy za pośrednictwem rąk bardziej godnych?

MARGRABIA: I mniej pewnych.

PANI DE LA POMMERAYE: To możliwe.

MARGRABIA: Powiedz mi, pani, gdybym im posłał z jakie dwadzieścia ludwików, czy mniemasz, że by odmówiły?

PANI DE LA POMMERAYE: Jestem tego pewna; i czyż odmowa zdałaby ci się przesadną ze strony matki posiadającej tak uroczą córkę?

MARGRABIA: Czy wiesz, że miałbym pokusę odwiedzić je kiedy?

PANI DE LA POMMERAYE: Chętnie wierzę. Margrabio, margrabio, miej się na bacności: oto poryw współczucia bardzo coś nagły i bardzo podejrzany.

MARGRABIA: Jak bądź się rzeczy mają, czy sądzisz, że by mnie przyjęły?

PANI DE LA POMMERAYE: Z pewnością nie! Twoja pyszna karoca, stroje, służba, dodaj do tego piękność młodej osoby, czyż trzeba więcej, aby dostarczyć strawy gadaniom sąsiadek i zgubić te kobiety?

MARGRABIA: Martwi mnie pani; to pewna, iż nie mam tego zamiaru. Trzeba się tedy wyrzec chęci pomocy i widzenia?

PANI DE LA POMMERAYE: Tak sądzę.

MARGRABIA: A gdybym przesłał moją pomoc za pośrednictwem pani?

PANI DE LA POMMERAYE: Nie dosyć jestem przekonana o jej czystych intencjach, aby się tego podjąć.

MARGRABIA: Ależ to okrucieństwo.

PANI DE LA POMMERAYE: W istocie, okrucieństwo.

MARGRABIA: Cóż za dzieciństwo! margrabino, żartujesz chyba. Młoda dziewczyna, którą widziałem jeden jedyny raz w życiu...

PANI DE LA POMMERAYE: Ale należąca do niewielkiej liczby tych, których się nie zapomina, gdy się je raz widziało.

MARGRABIA: To prawda, że ta twarz niełatwo się zaciera w pamięci.

PANI DE LA POMMERAYE: Strzeż się, margrabio; gotujesz sobie zmartwienia: wolę cię od nich chronić, niż po nich pocieszać. Nie sądz tej osoby miarą tych, które znałeś; to zupełnie inna parafia; takich ani się nie kusi, ani uwodzi, ani się nie da do nich zbliżyć, ani zechcą słuchać, słowem, nie ma z której strony ugryźć.

Tu margrabia przypomniał sobie nagle jakąś pilną sprawę, zerwał się z krzesła i wyszedł zamyślony.

Przez dosyć długi czas nie minął ani dzień, by margrabia nie odwiedził pani de La Pommeraye; ale zjawiał się, siadał i trwał w milczeniu; pani de La Pommeraye mówiła cały czas sama; po kwadransie margrabia wstawał i odchodził.

Następnie zaszła przerwa trwająca blisko miesiąc, po upływie której się pojawił, ale smutny, melancholijny, zmieniony. Margrabina widząc go, rzekła: „Jak pan wyglądasz! co się z panem dzieje? Czyżbyś cały ten czas spędził w jakim lubym gniazdku?”

MARGRABIA: Na honor, niemalże tak. Z rozpaczry rzuciłem się w najobrzydliwszą rozpustę.

PANI DE LA POMMERAYE: Jak to? z rozpaczry?

MARGRABIA: Tak z rozpaczry!...

To rzekłszy, zaczął przechadzać się wzdłuż i w szerz nie mówiąc słowa; podchodził ku oknu, spoglądał w niebo, przystawał przed panią de La Pommeraye; szedł ku drzwiom, wołał swoich ludzi, którym nie miał nic do powiedzenia, odsyłał ich, wracał; podchodził znów ku pani de La Pommeraye, która zajęta haftem nie zwracała nań uwagi; chciał mówić, nie śmiał; wreszcie ulitowała się i rzekła: „Co się z panem dzieje? Nie pokazujesz się miesiąc; naraz zjawiasz się z miną człowieka wykopanego z grobu i błędzisz niby dusza potępiona”.

MARGRABIA: Nie mogę dłużej wytrzymać, muszę pani wyznać wszystko. Zająłem się żywo córką jej przyjaciółki; czyniłem wszystko, co się zowie wszystko, aby o niej zapomnieć; i im więcej dokładałem starań, tym bardziej musiałem pamiętać. Ta anielska istota prześladuje mnie; błagam, chciej mi pani oddać ważną przysługę.

PANI DE LA POMMERAYE: Jaką?

MARGRABIA: Koniecznie, muszę koniecznie ją widzieć i to za twoją pomocą. Puściłem w ruch szpiegów. Jedyna droga, jaką odbywają, prowadzi z domu do kościoła i z kościoła do domu. Dziesięć razy zjawiłem się pieszo na ich drodze; nie spostrzegły mnie nawet; wystawiałem pod drzwiami bez skutku. Z ich łaski stałem się rozpustnym jak szympan, później nabożnym jak anioł; nie chybiłem mszy ani razu od dwóch tygodni. Ach! droga przyjaciółko, co to za twarz; jakaż ona piękna!...

Pani de La Pommeraye wiedziała o tym. „To znaczy — rzekła — iż uczyniwszy wszystko, aby się uleczyć, nie poniechałeś niczego, aby się utwierdzić w szaleństwie, i że ten ostatni zamiar lepiej ci się powiódł?”

MARGRABIA: Tak, powiódł się, nie umiałbym opisać do jakiego stopnia. Czyż nie ulitujesz się nade mną i czy nie będę ci winien szczęścia oglądania jej?

PANI DE LA POMMERAYE: Rzecz jest trudna i jeśli się jej podejmę, to pod jednym warunkiem; mianowicie, iż zostawisz te nieszczęśliwe w spokoju i przestaniesz je dręczyć. Nie będę ci taić, iż pisały do mnie z rozżaleniem o twoim prześladowaniu; oto list...

List dany margrabiemu do przeczytania ułożony był wspólnie. Napisała go jakoby panna Aisnon na rozkaz matki: a włożono weń tyle godności, słodyczy, prostoty, wytworności i dowcipu, ile było trzeba, aby do reszty zawrócić w głowie margrabiemu. Toteż podkreślał wykrzyknikami każde słowo; nie było zdania, którego by kilkakrotnie nie odczytał; płakał z radości; mówił do pani de La Pommeraye: „Przyznaj, droga przyjaciółko, że nie można chyba napisać z ręczniej i ładniej”.

PANI DE LA POMMERAYE: Przyznaję,

MARGRABIA: I że każde słowo budzi wprost podziw i szacunek dla takiej kobiety!

PANI DE LA POMMERAYE: Tak by się godziło.

MARGRABIA: Dotrzymam przyrzeczenia; ale ty, pani, błagam, pamiętaj, abyś nie chybiła twojemu.

PANI DE LA POMMERAYE: W istocie, margrabio, jestem równie szalona jak ty. Musiałeś snadź zachować straszliwą władzę nade mną; to mnie przeraża.

MARGRABIA: Kiedyż ją ujrzę?

PANI DE LA POMMERAYE: Nic nie wiem. Trzeba się zająć przede wszystkim sposobem ułożenia rzeczy i uniknięcia wszelkich podejrzeń. Te panie nie mogą łudzić się co do twych zamiarów; wyobraź sobie, jak by wyglądała moja usłużność w ich oczach, gdyby mogły sobie wyobrażać, iż działam w porozumieniu z tobą... Ale, margrabio, mówiąc otwarcie, na co mi tego kłopotu? Co mnie obchodzi, czy ty się kochasz, czy nie kochasz? czy popełniasz szaleństwa i jakie? Rozplątuj sam kłębuszek... Rola, jaką mi każesz odgrywać, jest, doprawdy, zbyt szczegółna.

MARGRABIA: Moja przyjaciółko, jeżeli ty mnie opuścisz, jestem zgubiony! Nie będę mówił o sobie, obraziłbym cię bowiem: ale zaklinam cię na imię tych zacnych i godnych istot, które ci są tak drogic. Znasz mnie; oszczędź im szaleństw, do jakich jestem zdolny. Pójdę do nich; tak pójdę, uprzedzam cię, wtargnę przemocą w próg, wejdę wbrew

ich woli, nie ruszę się z miejsca, nie wiem, co uczynię, co powiem; wszystkiego możesz się obawiać, w takim znajduję się stanie!...

— Zauważyliście może, panowie — rzekła gospodyni — iż od początku tej przygody aż do obecnej chwili margrabia des Arcis nie wyrzekł słowa, które by nie było pchnięciem sztyletu skierowanym w serce pani de La Pommeraye. Dławiła się z oburzenia i wściekłości; toteż odparła drżącym i przerywanym głosem:

„W istocie, masz słuszość. Ach, gdybym ja się czuła tak kochaną, być może iż... Dajmy temu pokój... Nie dla pana będę tedy działać, ale pochlebiam sobie przynajmniej, margrabio, iż przyzwolisz mi nieco czasu”.

MARGRABIA: Jak można najmniej.

KUBUŚ: Ach, pani gosposiu, cóż to za szatan-kobieta. Drzę cały: muszę wypić choć łyżek, aby nabrać ducha... Czy pozwoli mi pani pić tak samemu?

GOSPODYNI: Ja się nie boję... Pani de La Pommeraye mówiła sobie: „Cierpię, ale nie cierpię sama. Okrutny człowieku! nie wiem, jak długo będą trwały moje męczarnie, ale postaram się, by twoja była wieczna...” Wytrzymała margrabiego blisko miesiąc w oczekiwaniu przyrzeczonego spotkania, to znaczy pozostawiła mu pod dostatkiem czasu, aby cierpiał, aby oszalał do reszty, zwłaszcza że pod pozorem złagodzenia męczarni odwłoki pozwoliła mu się zwierzać z postępów namiętności.

PAN: I umacniać się mówieniem o niej.

KUBUŚ: Cóż za kobieta! cóż za szatan-kobieta! Pani gosposiu, znów mnie strach oblatuje.

GOSPODYNI: Margrabia zachodził tedy codziennie pogwarzyć z panią de La Pommeraye, która do reszty umiała go rozdrażnić, utwierdzić i pogrążyć za pomocą najbardziej przemyślnych rozmówek.

Wywiadywał się o miejsce pochodzenia, ród, wychowanie, majątek i nieszczęścia tych kobiet; powracał bez końca do tego tematu, nigdy się nie mógł dosyć nadowiadzać i narozczulać. Margrabina uświadamiała mu postępy jego uczuć i pod pozorami ostrzeżenia oswajała z niebezpieczeństwem. „Margrabio — mówiła — uważaj; to cię może zaprowadzić daleko; mogłoby zdarzyć się pewnego dnia, iż przyjaźń, której nadużywasz w tak osobliwy sposób, nie starczy za wymówkę ani w moich, ani w twoich oczach. Nie znaczy to, iżby codziennie ludzie nie czynili i większych szaleństw. Margrabio, lękam się bardzo, iż nie zdobędziesz tej kobiety, chyba pod warunkami, które aż dotąd nie bardzo były wedle twego smaku”.

Skoro pani de La Pommeraye osądziła, iż margrabia dostatecznie jest przygotowany, ułożyła z obiema paniami, iż przybędą do niej na obiad; z margrabią zaś, iż dla niepoznaki zaskoczy je w podróżnym ubraniu; i tak się stało.

Wnoszono właśnie drugie danie, gdy oznajmiono margrabiego. Margrabia! Pani de La Pommeraye i obie d'Aison po mistrzowsku odegrały zakłopotanie. „Pani — rzekł do gospodyni domu — przybywam wprost ze wsi; w domu spodziewają się mnie aż wieczór; ośmieliłem się tedy mniemać, iż nie odmówisz mi łyżki rosółu”... Tak mówiąc, przysunął sobie krzesło i zasiadł przy stole. Rozmieszczono nakrycia w ten sposób, iż znalazł się obok matki, a naprzeciw córki. Podziękował skinieniem oka pani de La Pommeraye za ten wzgląd. Po chwili pierwszego zmieszania nabożnisie ośmieliły się. Rozmowa potoczyła się żywo, nawet wesoło. Margrabia był pełen uwagi dla matki i najbaczniejszej grzeczności dla córki. Była to w istocie cicha zabawa, wielce ucieszna dla tych trzech kobiet, owe skrupuły margrabiego, aby nic nie powiedzieć, nie pozwolić sobie na nic, co by je mogło spłoszyć.

Były na tyle okrutne, iż wytrzymały go na rozmówkach z zakresu dewocji przez trzy godziny z rzędu, aż pani de La Pommeraye rzekła: „Twoje odezwania się, margrabio, przynoszą istotny zaszczyt pańskim rodzicom; pierwsze nauki wyniesione z domu nie zacierają się nigdy. Chwytasz w lot wszystkie subtelnosci miłości bożej, tak jak gdybyś

miał zawsze jeno świętego Franciszka Salezego za cały pokarm duchowy. Czyżbyś był po trosze kwietystą<sup>37</sup>?

— Nie przypominam już sobie...

Nie potrzebuję mówić, że nasze pobożnisie włożyły w rozmowę cały możebny zasób wdzięku, lekkości, dowcipu i ponęty. Dotknięto mimochodem kwestii namiętności; panna Duquënoi (było to jej rodowe nazwisko) utrzymywała, iż istnieje wśród nich jedna tylko niebezpieczna. Margrabia podzielał jej zdanie. Pomiędzy szóstą a siódmą panie zaczęły się żegnać. Żadne nalegania nie zdołały ich zatrzymać; pani de La Pommeraye zgadzała się z panną Duquënoi, iż trzeba zawsze dawać obowiązkowi miejsce przed zabawą, inaczej nie byłoby dnia, którego słodczy nie skazyłyby wyrzuty. Odeszły tedy ku wielkiemu żalowi margrabiego, który pozostał sam na sam z panią de La Pommeraye.

PANI DE LA POMMERAYE: I cóż, margrabio! przyznaj, że jestem dobra? Znajdź mi w Paryżu drugą kobietę, która by uczyniła toż samo.

MARGRABIA *rzucając się do jej kolan*: Przyznaję; nie ma ni jednej, która by była podobna do ciebie. Dobroć twoja zawstydzia mnie, jesteś jedyną prawdziwą przyjaciółką na świecie.

PANI DE LA POMMERAYE: Czy jesteś pewny, iż zawsze jednak będziesz oceniał moje postępowanie?

MARGRABIA: Byłbym chyba potworem niewdzięczności.

PANI DE LA POMMERAYE: Odmieńmy przedmiot. Jakież stan serca?

MARGRABIA: Mam wyznać szczerze? Muszę mieć tę dziewczynę albo szczenę.

PANI DE LA POMMERAYE: Będziesz ją miał niewątpliwie, ale trzeba wiedzieć jako co.

MARGRABIA: Zobaczymy.

PANI DE LA POMMERAYE: Margrabio, margrabio, znam ciebie, znam te osoby: wszystko się zdarzało.

Margrabia nie pokazywał się przez jakie dwa miesiące u pani de La Pommeraye i oto co zdziałał w czasie tej przerwy. Zawarł znajomość ze spowiednikiem obu pań. Był to przyjaciel owego księżyka, o którym mówiłam. Klecha, spiętrzywszy wszelkie obłudne trudności, jakie można wprowadzić w grę w nieuczciwej intryżce i sprzedawszy najdrożej, jak mógł, świętość swego posłannictwa, przystał wreszcie na wszystko, czego margrabia żądał.

Pierwszą niegodziwością sługi bożego było odwrócić życzliwość proboszcza i przekonać go, iż protegowane pani de La Pommeraye, otrzymując z parafii jałmużnę, krzywdzą osoby uboższe i godniejsze współczucia. Celem jego było sprowadzić je nędzą ku swoim widokom.

Następnie zaczął pracować w konfesjonale nad tym, aby zasiać niezgodę pomiędzy matką a córką. Kiedy słyszał, iż matka żali się na córkę, powiększał wagę błędów jednej i drażnił urazę drugiej. Jeżeli córka uskarżała się na matkę, podsuwał, iż władza ojca i matki nad dzieckiem jest ograniczona i że, o ile prześladowanie dochodzi do pewnych granic, nie byłoby niemożliwym znaleźć ochronę przed tą tyrańską władzą. Następnie jako pokutę nakazywał wrócić niebawem do spowiedzi.

Kiedy indziej znów, mówił pannie o jej urodzie, ale w sposób lekki: iż jest to jeden z najniebezpieczniejszych darów, jakie Bóg może uczynić kobiecie; mówił o wrazeniu, jakie sprawiła na pewnym godnym człowieku, którego nie nazwał, ale którego łatwo było odgadnąć. Mówił dalej o nieskończonym miłosierdziu niebios i ich pobłażliwości dla błędów uzasadnionych okolicznościami; o słabości natury ludzkiej, której usprawiedliwienie każdy nosi w swoim sercu; o gwałtowności i powszechności niejakich pożądań, od których najświętsi ludzie nie byli wolni. Pytał następnie, czy nie miewa pragnień, czy natura nie przemawia do niej we śnie, czy obecność mężczyzn nie miesza jej. Następnie rozważał kwestię, czy kobieta powinna raczej ulec człowiekowi rozpalonemu namiętnością, czy też opierać się i skazywać może na śmierć i potępienie istotę, dla której Chrystus przelał krew swoją. Nie śmiał, jak mówił, rozstrzygać tej kwestii; wzdychał jeno, podnosił oczy ku niebu, modlił się za spokój dusz utrapionych. Młoda dziewczyna zachowywała się

<sup>37</sup>*kwietyzm* — mistyczny kierunek religijny wiodący się od św. Teresy i św. Franciszka Salezego, dążący do osiągnięcia najwyższego stopnia ekstazy przez zupełny zanik indywidualnego życia duchowego. [przypis tłumacza]

biernie. Matka i pani de La Pommeraye, której powtarzano wiernie rady spowiednika, podsuwały jej pomysły zwierzeń, które utwierdzały klechę na tej drodze.

KUBUŚ: Wasza pani de La Pommeraye jest zła kobieta.

PAN: Ej, Kubusiu, to sąd za lekki. Ta złość jej, powiedz, skąd bierze źródło? Z postępków margrabięgo des Arcis. Wróc go takim, jakim przysiągł być, i znajdź mi teraz skazę na pani de La Pommeraye. Kiedy będziemy w drodze, będziesz ją oskarżał, a ja podejmuję się bronić. Co do tego klechy, łajdaka i rajfura, daruję ci go.

KUBUŚ: To człowiek tak bezecny, iż myślę, że od tego czasu nie pójdę więcej do spowiedzi. A pani, miła gosposiu?

GOSPODYNI: Co do mnie, będę nadal chodzić do naszego starego proboszcza, który nie jest ciekawy i słyszy tylko to, co mu się powie.

KUBUŚ: Gdybyśmy tak wypili za zdrowie paninego proboszcza?

GOSPODYNI: Tym razem zgoda. Zaczny człeczyna: w niedziele i święta daje się wytańczyć chłopakom i dziewczętom i pozwala dobrym ludziom zachodzić do gospody, byleby nie wychodzili pijani. Zdrowie proboszcza!

KUBUŚ: Zdrowie proboszcza!

GOSPODYNI: Nasze parne nie wąpiły, iż prędzej lub później sługa boży odważy się doręczyć jakiś liścik swej penitencie. Tak się też stało; ale z jakimi ostrożnościami! Nie wiedział niby, od kogo pochodzi list; nie wąpił, iż od jakiejś miłosiernej i dobroczynnej duszy, która odkryła ich nędzę i ofiaruje się z pomocą; często zdarzało mu się doręczać podobne. „Zresztą — dodał — ty, moje dziecko, jesteś cnotliwa, matka jest osobą roztropną: otworzysz list jedynie w jej obecności. Panna Duquënoi wzięła list i oddała matce, która udzieliła go natychmiast pani de La Pommeraye. Ta, uzbrojona w ów papier, kazała sprowadzić księdza, obsypała go zasłużonymi wyrzutami i zagroziła, że wyda go przełożonym, jeżeli jeszcze usłyszysz cokolwiek podobnego.

W liście tym margrabia rozpywał się w pochwałach nad własną osobą, jak również w zachwytach nad panną Duquënoi; kreślił namiętność swą w całej gwałtowności i przechodził do świetnych propozycji, podsuwając nawet wykradzenie.

Wypaliwszy kazanie księdzu, wezwała pani de La Pommeraye margrabięgo. Przedstawiła mu, jak bardzo postępowanie jego było niegodne człowieka honoru; do jakiego stopnia mogło narazić ją samą; pokazała list i zakłęła się, iż mimo tkliwej przyjaźni, jaka ich łączy, nie mogłaby się uchylić od przedłożenia listu trybunałom lub też oddania w ręce pani Duquënoi, w razie gdyby cześć jej córki miała być narażona na niebezpieczeństwo. „Ach, margrabio — rzekła — miłość zły ma wpływ na twoją duszę; nie musi być ona ze szlachetnego kruszcu, skoro owa twórczyni wielkich rzeczy tobie podsuwa jeno poniżające. I co ci uczyniły te biedne kobiety, aby dorzucać hańbę do ich niedoli? Dlatego, że dziewczyna jest piękną i chce pozostać cnotliwą, trzebaż, abys stał się jej prześladowcą? Tobież przystało kazać jej zniechęcić jeden z najpiękniejszych darów nieba? Czymże zasłużyłam na to, aby być twoją współniczką? Dalej, margrabio, rzuć mi się do nóg, proś o przebaczenie i przysięgnij, że zostawisz moje biedne przyjaciółki w spokoju”. Margrabia przyrzekł, iż nic nie podejmie nadal bez jej wiedzy; ale musi mieć tę dziewczynę za jaką bądź cenę.

Margrabia nie pozostał bynajmniej wierny słowu. Matka wiedziała, jak rzeczy stoją; nie zawahał się zwrócić do niej. Wyznał jej swoje zbrodnicze zamiary; ofiarował znaczną sumę i szerokie nadzieje na przyszłość: listowi towarzyszyło bogate puźdro drogich kamieni.

Trzy kobiety odbyły naradę. Matka i córka skłonne były przyjąć; ale nie odpowiadało to bynajmniej planom pani de La Pommeraye. Przypomniła im uroczyste przyrzeczenie; zagroziła wyjawieniem wszystkiego. Z wielkim zalem naszych pobożni, trzeba było zdjąć z uszu kolczyki tak pięknie zdobiące młodą twarzyczkę: puźdro i list odesłano z powrotem wraz z odpowiedzią pełną dumy i oburzenia.

Pani de La Pommeraye nie szczędziła margrabiemu wymówek, iż tak mało można budować na jego obietnicy. Margrabia usprawiedliwiał się niemożebnością powierzenia jej samej tak dwuznacznego zlecenia. „Margrabio, margrabio — rzekła mu pani de La Pommeiaye — uprzedziłam cię już i powtarzam: nie tam idziesz, kędy bys pragnął. Ale za późno na kazania; każde słowo byłoby stracone: nie ma dla ciebie ratunku”.

Margrabia przyznał, iż jest tego samego zdania, i poprosił o pozwolenie uczynienia ostatniej próby. Zamierzał zapewnić obu kobietom znaczną rentę, podzielić z nimi majątek i uczynić je dożywotnimi właścicielkami jednego ze swych domów w mieście i drugiego na wsi. „Czyń co chcesz — rzekła margrabina — zabraniam ci jeno gwałtu; ale wierz mi, przyjacielu, honor i cnota, kiedy są prawdziwe, nie mają dość wysokiej ceny. Twoje nowe pokusy nie więcej odniosą skutku niż poprzednie: znam te kobiety, mogłabym iść o zakład”.

Przedłożono propozycje. Nowe narady między trzema kobietami. Matka i córka oczekiwały w milczeniu wyroku pani de La Pommeraye. Ta przechadzała się przez chwilę, nie mówiąc nic. „Nie, nie — rzekła — to nie wystarczy memu zranionemu sercu”. Wydała wyrok odmowny. Kobiety wybuchnęły łzami, rzuciły się jej do stóp, przedkładając, jak strasznym jest dla nich odtrącać tak olbrzymie szczęście, które mogą przyjąć bez żadnych przykrych następstw. Pani de La Pommeraye odpowiedziała: „Czy wyobrażacie sobie, że to, co czynię, czynię dla was? Któż wy jesteście? Co ja wam jestem winna? Cóż mi broni odesłać was, jak stoicie, z powrotem do waszego zamtuza? To, co wam ofiaruje margrabia, jest dla was aż nadto, ale za mało dla mnie. Pisz pani natychmiast odpowiedź, jaką podyktuję: macie ją wysłać w moich oczach”. Kobiety wróciły do domu, bardziej jeszcze przerażone niż zmartwione.

KUBUŚ: Ta baba ma diabła w sobie; czegoż ona chce wreszcie? Jak to! czyż zbrodnia ostygnięcia w miłości nie dość jest ukarana ofiarą połowy znacznego majątku?

PAN: Kubusiu, nigdy nie byłeś kobietą, tym mniej uczciwą kobietą; sądzisz wedle swego charakteru, który nie może być miarą dla pani de La Pommeraye! Czy wiesz, co ja myślę? Bardzo się obawiam, azali małżeństwo margrabiego des Arcis i ulicznicy nie jest zapisane w górze.

KUBUŚ: Jeżeli jest zapisane, spełni się.

GOSPODYNI: Niebawem margrabia zjawił się u pani de La Pommeraye. „I cóż — rzekła — twoje nowe propozycje?”

MARGRABIA: Odrzucone. Jestem w rozpacz. Chciałbym wydrzeć ze serca tę nieszczęśliwą namiętność; chciałbym wydrzeć sobie serce i nie mogę. Margrabino, spójrz na mnie; czy nie znajdujesz, że istnieją między tą młodą dziewczyną a mną niejaki rys podobieństwa?

PANI DE LA POMMERAYE: Nie mówiłam ci o tym, ale uważałam. Ale nie o to chodzi: cóż postanawiasz?

MARGRABIA: Nie mogę zdobyć się na nic. Bierze mnie czasem ochota rzucić się w dylizans pocztowy i pędzić przed siebie, póki ziemi starczy pod nogami; w chwilę potem siły mnie opuszczają, jestem zupełnie unieczestwiony, w głowie mi się mąci; chodzę jak ogłupiały i nie wiem, co począć.

PANI DE LA POMMERAYE: Nie doradzam ci podróży; nie warto wybierać się w drogę, aby wrócić z najbliższej stacji.

Nazajutrz doniósł margrabinie, że wyjeżdża na wieś; zostanie tam, ile będzie mógł, i błaga, aby poparła u przyjaciółek jego sprawę, w razie gdyby nastąpiła sposobność. Nieobecność była krótka: wrócił z postanowieniem małżeństwa.

KUBUŚ: Żal mi biednego margrabiego.

PAN: Mnie niezbyt.

GOSPODYNI: Zajechał prosto do pani de La Pommeraye, Nie było jej w domu. Wróciwszy, zastała margrabiego wyciągniętego w fotelu, z zamkniętymi oczami, pograżonego w najgłębszej zadumie. „O, margrabio, już z powrotem? coś wieś nie na długo miała dla ciebie urok”.

— Nie — odparł — nie mogę znaleźć spokoju nigdzie. Wracam gotowy na największe głupstwo, jakie człowiek mego stanowiska, wieku i charakteru może popełnić. Ale ostatecznie lepiej jest ożenić się, niż cierpieć. Żenię się.

PANI DE LA POMMERAYE: Margrabio, rzecz jest poważna i wymaga zastanowienia.

MARGRABIA: Już się zastanowiłem, a wynik krótki i jasny: mianowicie, niepodobna mi być bardziej nieszczęśliwym, niż jestem.

PANI DE LA POMMERAYE: Mógłbyś się mylić.



KUBUŚ: Zdrajczyń!

MARGRABIA: Oto wreszcie, droga przyjaciółko, posłannictwo, którym, jak mnie mam, mogę obarczyć cię uczciwie. Zobacz się z tymi paniami; zapytaj matki, wybadaj serce córki i objaw moje zamiary.

PANI DE LA POMMERAYE: Powoli, margrabio. Sądzę, iż znam te panie dosyć na swoją potrzebę; ale teraz, kiedy chodzi o szczęście przyjaciela, pozwól mi wglądnąć w rzeczy nieco bliżej. Zasięgnę języka w ich stronach i przyrzekam, iż zapoznam się krok za krokiem z całym ich życiem od chwili przybycia do Paryża.

MARGRABIA: Te ostrożności wydają mi się dość zbędne. Kobiety w nędzy, umiejące się oprzeć przynętom, jakie im zastawiłem, mogą być jedynie istotami najrzadszej cnoty. Z tym, co ofiarowałem, byłbym uporał się z księżniczką. Zresztą czyż nie mówiłaś sama...

PANI DE LA POMMERAYE: Tak, mówiłam wszystko, co ci się podoba; ale pomimo to pozwól, abym uspokoiła siebie samą.

KUBUŚ: Suka! szelma! diablina! i po co przywiązywać się do takiej kobiety?

PAN: A po co ją uwodzić i opuszczać?

KUBUŚ, *pokazując palcem na niebo*: Ach, pani!

MARGRABIA: Dlaczego, margrabino, i ty nie pomyślisz o małżeństwie?

PANI DE LA POMMERAYE: A z kim, jeśli łaska?

MARGRABIA: Z hrabią; człowiek rozumny, z doskonałej rodziny, majątny.

PANI DE LA POMMERAYE: A kto mi zaręczy za jego wierność? Może ty, margrabio?

MARGRABIA: Nie; ale zdaje mi się, że można się doskonale obyć bez wierności męża.

PANI DE LA POMMERAYE: Zgoda; ale ja może byłabym dość dziwaczna, by sądzić inaczej; a jestem z natury mściwa.

MARGRABIA: Więc cóż? Mściłabyś się, to się samo przez się rozumie. Wzięlibyśmy sobie apartamenty we wspólnym pałacu i tworzylibyśmy we czworo najmilsze kółko pod słońcem.

PANI DE LA POMMERAYE: Bardzo to wszystko ładnie; ale na razie nie wychodzę za mąż. Jedyny człowiek, którego, być może, miałabym pokusę zaślubić...

MARGRABIA: To ja?

PANI DE LA POMMERAYE: Mogę ci teraz wyznać bez niebezpieczeństwa.

MARGRABIA: I dlaczego było mi tego nie powiedzieć?

PANI DE LA POMMERAYE: Wnosząc z wypadków, dobrze uczyniłam. Ta, którą dostaniesz, pod każdym względem odpowiedniejsza jest dla ciebie.

GOSPODYNI: Pani de La Pommeraye sprawiła się ze swym wywiadem z pożądaną dokładnością i szybkością. Przedstawiła margrabiemu zaświadczenia najbardziej pochlebne; były z Paryża, były też i z prowincji. Wymogła na nim jeszcze dwa tygodnie zwłoki, aby lepiej rozpatrzył się w sobie. Owe dwa tygodnie zdały mu się wiekiem; w końcu margrabina zmuszona była ustąpić jego niecierpliwości i prośbom. Pierwsze spotkanie odbyło się w domu pani Duquênnoi; następuje umowa, zapowiedzi, kontrakt: margrabia ofiaruje pani de La Pommeraye w upominku wspaniałą diament i małżeństwo stało się faktem.

KUBUŚ: Cóż za intryga i co za zemsta!

PAN: Doprawdy, niepojęta.

KUBUŚ: Wyglądacie mi trudności pierwszej nocy po ślubie, a jak dotąd nie widzę wielkiego nieszczęścia.

PAN: Cicho siedź, nicponiu.

GOSPODYNI: Noc poślubna spłynęła bardzo szczęśliwie.

KUBUŚ: Byłem pewny...

GOSPODYNI: Bądź pewny tego, co ci pan powiada... (*Mówiąc to, uśmiechała się, gładziła ręką po twarzy Kubusia i ścisnęła go za nos...*) Ale następnego dnia...

KUBUŚ: Następnego dnia, czy nie było tak samo jak poprzedniego?

GOSPODYNI: Niezupełnie. Następnego dnia pani de La Pommeraye napisała do margrabiego bilecik z zaproszeniem, aby natychmiast przybył w pewnej ważnej sprawie. Zjawił się niebawem. Przyjęła go z twarzą, na której oburzenie malowało się w całej sile;

Kobieta, Mężczyzna,  
Zemsta, Kobieta "upadła"

słowa, w jakich ozwała się doń, nie były długie: „Margrabio — rzekła — poznaj mnie wreszcie. Gdyby inne kobiety umiały się cenić na tyle, aby tak jak ja odczuwać obrazę, mniej byłoby na świecie mężczyzn podobnych tobie. Zdobyłeś uczciwą kobietę i nie umiałeś jej uszanować; ta kobieta to ja: zemściła się, dając ci zaślubić inną, godniejszą ciebie. Wyszedszy stąd, udaj się na ulicę Traversière, do Hamburgskiego hotelu, gdzie możesz zasięgnąć wiadomości, jakie brudne rzemiosło żona twoja i teściowa praktykowały przez dziesiątek lat pod nazwiskiem d'Aisnon”.

Zdumienie i pomieszanie biednego margrabiego nie da się opisać. Nie wiedział, co myśleć; ale niepewność nie trwała dłużej niż czas potrzebny do przebycia z jednego końca miasta na drugi. Teściowa jego i żona miały niejakię podejrzenie tego, co zaszło. Za pierwszym uderzeniem młotka teściowa schroniła się do swych pokoi i zamknęła na klucz; żona oczekiwała go sama. Za zbliżeniem małżonka wyczytała na jego twarzy wściekłość, jaka nim miotła. Rzuciła mu się do nóg z twarzą przytuloną do posadzki, nie mówiąc słowa: „Precz stąd, niegodna! — rzekł — z dala ode mnie”. Chciała powstać; ale upadła na twarz u stóp margrabiego z rozkrzyżowanymi ramionami. „Panie — rzekła — depcz po mnie, zgnieć mnie, zasłużyłam na to; uczynj ze mną wszystko, co ci się podoba; ale zlituj się nad moją matką”...

— Oddał się pani — rzekł margrabia — oddał się! dość hańby, jaką mnie okryłaś; oszczędź mi bodaj zbrodni...

Biedna istota trwała w tej postawie, nie odpowiadając słowa. Margrabia siedział w fotelu, z głową ukrytą w dłoniach, nie patrząc na nią i wykrzykując od czasu do czasu: „Oddał się, pani!”... Milczenie i bezwład nieszczęśliwej zaskoczyły go; powtórzył głosem jeszcze bardziej stanowczym: „Proszę się oddalić; czy mnie pani nie rozumiesz?”. Następnie schylił się, trącił ją gwałtownie; poznawszy, iż była bez czucia i na wpół nieżywa, podniósł ją, ułożył na kanapie, obrzucając spojrzeniem, w którym malowało się kolejno współczucie i gniew. Zadzwoił: wbiegła służba; zawołano pokojowe, margrabia rzekł: „Pani zrobiło się słabo, zanieście ją do jej apartamentów i udzielcie pomocy”... W parę chwil potem posłał tajemnie zasięgnąć wiadomości o jej stanie. Powiedziano mu, iż ocknęła się z pierwszego omdlenia; ale napady następowały po sobie tak szybko, były tak częste i długie, iż nie pozwalały ręczyć za nic. W godzinę lub dwie znów posłał ukradkiem dowiedzieć się, jak się miewa. Powiedziano, że się dławi i że chwyciła ją czkawka, rozlegająca się aż w dziedzińcu. Za trzecim razem, nad ranem, doniesiono, że pani wiele płakała, czkawka się uśmierzyła i chora zdawała się nieco drzemać.

Następnego dnia margrabia kazał zaprząć i znikł na przeciąg dwóch tygodni, tak iż nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Wszelako zanim się oddalił, nie zaniedbał zaopatrzyć domu we wszystko potrzebne, zaleciwszy służbie posłuszeństwo rozkazom pani jak jego własnym.

Przez ten czas obie kobiety siedziały naprzeciw siebie, prawie się nie odzywając, przy czym córka szlochała, wydawała krzyki, wydzierała sobie włosy, łamała ręce; matka nie śmiała zbliżyć się do niej ze słowem pociechy. Jedna jawiła najwyższą rozpacz, druga była jak skamieniała. Córka raz po raz powtarzała: „Mamo, wyjdźmy stąd; uciekajmy”. Za każdym razem matka powstrzymała ją, mówiąc: „Nie, córko, trzeba zostać; zobaczymy co z tego wyniknie: nie pozabija nas”... „Och, dałby Bóg — odparła córka — by już to uczynił!”... Matka odparła: „Milczałabyś lepiej, zamiast mówić jak głupia”.

Za powrotem margrabia zamknął się w gabinecie i napisał dwa listy, jeden do żony, drugi do teściowej. Ta wyjechała tegoż samego dnia i udała się do klasztoru karmelitanek w najbliższym mieście, gdzie zmarła przed kilku dniami. Córka ubrała się i zawlokła do pokojów męża, dokąd widocznie ją wezwał. Od samych drzwi upadła na kolana. „Powstań pani”, rzekł margrabia...

Zamiast powstać, posunęła się ku niemu na kolanach; drżała na całym ciele: włosy rozplotły się nieco, ramiona zawiślały bezwładnie, głowę miała wzniesioną, wzrok wlepiony w jego oczy, twarz całą skapaną we łzach. „Zdaje mi się — rzekła przerywając łkaniem każde słowo — iż serce pańskie, słusznie oburzone, złagodniało, i może z czasem zdolam uzyskać twą litość. Panie, błagam, nie śpiesz się przebaczyć mi zbyt rychło. Tyle uczciwych dziewcząt stało się nieuczciwymi kobietami, iż, być może, ja będę odwrotnym przykładem. Nie jestem jeszcze godna, abyś się zbliżał do mnie; poczekaj, zostaw mi jeno nadzieję przebaczenia. Trzymaj się z dala ode mnie; ujrzyj moje postępowanie; osądzisz

Kobieta „upadła”, Żona,  
Mąż, Grzech, Kobieta,  
Mężczyzna

je: szczęśliwa będę, po tysiąc razy szczęśliwa, jeśli raczysz niekiedy przywołać mnie do siebie! Wyznacz mi w swoim domu ustronny zakątek, w którym pozwolisz mi mieszkać; będę tak żyć bez szemrania. Ach! gdybym mogła zedrzeć z siebie nazwisko i tytuł, które mi kazano sobie przywłaszczyć, ach, i umrzeć potem, w tej chwili otrzymałbyś zadośćuczynienie! Oplakaną słabością, namową, przymusem, groźbą, dałam się przywieść do haniebnego czynu; ale nie sądz, panie, że jestem złą; nie jestem nią, skoro nie zawahałam się stanąć przed tobą, gdy mnie zawołałeś, i skoro teraz śmiem podnieść oczy i mówić do ciebie. Ach! gdybyś mógł czytać w głębi mego serca i ujrzeć, jak bardzo przeszłe błędy odległe są ode mnie, jak bardzo mi są obce obyczaje podobnych mnie istot! Zepsucie dotknęło mnie, ale nie przyłgnęło do mnie. Znam siebie: oddaję sobie sprawiedliwość, iż z natury uczuć, charakteru urodziłam się godną szacunku należenia do pana. Ach! gdyby mi było wolno mówić swobodnie, wystarczyłoby jedno słowo: a sądzę, że miałabym odwagę je powiedzieć. Panie, rozrządzaj mną, jak ci się spodoba; zawołaj ludzi; niech ze mnie zedrą te suknie, niech mnie wypędzą w nocy na ulicę; godzę się na wszystko. Jakikolwiek los mi gotujesz, poddaję się z góry: zaciszę wiejskie, ustronie klasztoru może mnie na zawsze umknąć twoim oczom: rzeknij, a śpieszę spełnić mą pokutę... Nieszczęście twoje nie jest bez ratunku; możesz mnie zapomnieć”...

— Powstań pani — rzekł łagodnie margrabia — przebaczyłem ci: nawet w chwili oburzenia uszanowałem w tobie moją żonę. Nie padło z ust mych ani jedno słowo, które by ją mogło upokorzyć, a jeśli padło, żałuję go. Przysięgam, iż żona moja nie usłyszy nic, co by ją poniżało, jeżeli będzie pamiętać, iż nieszczęście, w jakie wtrąci małżonka, jest razem i jej własnym. Bądź zacna, bądź szczęśliwa i spraw, abym ja nim był. Powstań, proszę cię, żono, powstań i uściskaj mnie; pani margrabino, nie tu twoje miejsce; pani des Arcis, powstań...

Gdy tak mówił, ona trwała z twarzą ukrytą w dłoniach i z głową opartą o kolana margrabiego; ale na słowo „żono”, na słowo „pani des Arcis”, podniosła się nagle i rzuciła się w ramiona margrabiego, tuliła go w ucisku, na wpół dławiąc się z bólu i radości; następnie oderwała się odeń, padła na ziemię i całowała stopy męża.

— Pani — rzekł margrabia — powiedziałem, iż przebaczam; widzę, że temu nie wierzysz.

— Tak — odparła — rozumiem, iż to prawda, ale ledwie mogę ją ogarnąć.

Margrabia dodał: „Na honor, zdaje mi się, że niczego nie żałuję; i że ta Pommeraye, zamiast się zemścić, oddała mi wielką przysługę. Moja żono, idź się ubierać, podczas gdy służba zajmie się spakowaniem rzeczy. Jedziemy na wieś i zostaniemy tam do czasu, aż będziemy mogli zjawić się tu bez przykrości dla ciebie i dla mnie...”

Spędzili prawie trzy lata jednym ciągiem z dala od stolicy.

KUBUŚ: I założyłbym się, że te trzy lata minęły jak dzień, że margrabia des Arcis był jednym z najlepszych mężów i miał jedną z najlepszych żon, jakie istniały na świecie.

PAN: Trzymam w połowie z tobą; ale doprawdy sam nie wiem dlaczego, nie podobała mi się bowiem ta dziewczyna przez cały czas zabiegów pani de La Pommeraye i matki. Ani chwili obawy, najmniejszego znaku niepewności, cienia wyrzutu; biernie, bez żadnej odrazy, poddawała się po prostu tej długiej ohydzie. Nie zawahała się ani na chwilę w tym, co chciano od niej uzyskać: idzie do spowiedzi, przyjmuje komunię; igra z religią i jej posłannikami. Zdała mi się równie fałszywą, równie godną pogardy, równie złą jak tamte obie... Pani gosposiu, opowiadasz wyśmienicie; ale nie jesteś równie głęboka w sztuce dramatycznej. Jeśli chciałaś, aby ta młoda dziewczyna wzbudzała zainteresowanie, trzeba było ubrać ją w więcej szczerości, ukazać jako niewinną i zniewoloną ofiarę matki i pani de La Pommeraye; trzeba było, aby najokrutniejszym postępowaniem zmusiły ją wbrew woli do udziału w szeregu zbrodni prowadzonych rok cały; trzeba było przygotować w ten sposób pojednanie z mężem. Kiedy się wprowadza osobistość na scenę, trzeba, aby rola jej była jednolita; owóż pytam się pani, uroczą gosposiu, czy tamta dziewczyna spiskująca z dwiema zbrodniarkami jest tą samą skruszoną kobietą, którą widzieliśmy oto u stóp męża? Zgrzeszyłaś przeciw prawidłom Arystotelesa, Horacego, Vidy<sup>38</sup> i Le Bossu’ego<sup>39</sup>.

<sup>38</sup>Vida (1480–1566) — nowołaciński poeta we Włoszech, autor traktatu *De arte poetica*. [przypis tłumacza]

<sup>39</sup>Le Bossu (1631–1681) — autor *Traktatu o poemacie epicznym*. [przypis tłumacza]

GOSPODYNI: Nie znam żadnego ani bosego ani w butach; opowiedziałam rzecz, jak była, nic nie opuszczając ani nie dodając. Któż wie, co się działo w sercu tej dziewczyny, i czy w chwilach, gdy nam się zdawało, iż działa bez wszelkich skrupułów, nie żarła jej tajemna zgryzota?

KUBUŚ: Pani gosposiu, na ten raz, muszę zgodzić się ze zdaniem pana, który mi to wybaczy, ile że fakt zdarza się nader rzadko, ze zdaniem owego Bosego, którego nie znam, i innych wzmiankowanych przezeń panów, którzy mi są równie nieznanymi. Jeżeli panna Duquênnoi, dawniej d'Aison, była w istocie poczciwym dzieckiem, byłoby się to w czymś ujawniło.

GOSPODYNI: Czy była poczciwym dzieckiem czy nie, to pewna, iż jest wyborną żoną; że mąż szczęśliwy jest z nią jak król i nie zamieniłby ją na żadną inną.

PAN: Winszuję mu: okazał się bardziej szczęśliwym niż rozsądnym.

GOSPODYNI: Ja zaś życzę panom dobrej nocy. Późno jest, mnie zaś trzeba być ostatniej w łóżku, a pierwszej na nogach. Cóż za przekłętą rzemiosło. Dobranoc, panowie, dobranoc. Przrzekłam, nie wiem już przy jakiej sposobności, historię osobliwego małżeństwa; zdaje mi się, że dotrzymałam słowa. Panie Jakubie, myślę, że pan nie będzie miał kłopotu z zasypianiem: oczy już się na wpół zamykają. Dobranoc, panie Jakubie.

PAN: Zatem, pani gosposiu, nie ma sposobu dowiedzenia się pani dziejów?

GOSPODYNI: Nie.

KUBUŚ: Pan masz szalone zamięłowanie do opowieści!

PAN: To prawda; uczą mnie i bawią. Człowiek z talentem opowiadania to rzadki człowiek.

KUBUŚ: I oto czemu ja nie lubię opowiadań, chyba własne.

PAN: Wolisz licho mówić, niż milczeć.

KUBUŚ: Przyznaję.

PAN: A ja wolę raczej słuchać lichego mówienia niż żadnego.

KUBUŚ: Bardzo szczęśliwie dla nas obu.

Nie wiem, gdzie gospodyni, Kubuś i jego pan podzielił oczy, aby nie dostrzec jednej jedynej rzeczy, jaką można by powiedzieć na korzyść panny Duquênnoi. Czyż ta dziewczyna pojmuje coś z krętych planów pani de La Pommeraye przed ich rozwiązaniem? Czy nie wolałaby przyjąć po prostu propozycje margrabiego i mieć go raczej za kochanka niż za męża? Czy nie znajduje się nieustannie pod władzą gróźb i tyranii margrabiny? Czy można ją potępiać za niezwalczoną odrazę do haniebnego rzemiosła? A jeżeli się godzi cenić ją za to tym więcej, czy można wymagać zbyt wiele przebiegania i skrupułów w sposobie wyrwania się ze swego stanu?

A czy mniemasz, czytelniku, że trudniej byłoby o apologię pani de La Pommeraye? Byłoby ci może przyjemniej usłyszeć w tej mierze zdanie Kubusia i jego pana; ale mieli oni tyle do mówienia o materiałach bardziej zajmujących, że prawdopodobnie zaniedbali tą oto. Pozwólcie tedy, abym ich zastąpił na chwilę.

Wpadacie w szal na samo imię pani de La Pommeraye i wołacie ze zgrozą: „Och, cóż za straszna kobieta! och! obłudnica! och! zbrodniarka!”... przede wszystkim, żadnych wykrzykników, żadnych gniewów, żadnej stronniczości: rozumiemy. Dzieją się każdego dnia uczynki bardziej niegodziwe, wykonane bez żadnego talentu. Możecie nienawidzić, możecie lękać się pani de La Pommeraye: ale nie będziecie nią gardzić. Zemsta jej jest okrutna: ale nie jest skalana żadną pobudką własnej korzyści. Nie powiedziano wam, że rzuciła w twarz margrabiemu piękny diament, jaki ofiarował jej w darze; ale uczyniła to: wiem z najpewniejszego źródła. Nie chodzi jej ani o pomożenie majątku, ani o przysporzenie sobie jakiegos zaszczytu. Ba! gdyby ta kobieta uczyniła toż samo, aby uzyskać dla męża jakiś awansik lub posadę; gdyby była się wydała na łup ministrowi lub nawet jego sekretarzowi dla zdobycia orderu lub stopnia pułkownika; lub depozytariuszowi listy beneficjów w zamian za tłuste probostwo, to wydałoby się bardzo proste, to byłoby na waszą miarę. Ale kiedy się mści za zdradę, miotacie się na nią, zamiast uznać, iż uraza jej oburza was jeno dlatego, iż nie jesteście zdolni odczuć jej w sposób równie głęboki lub też nie przywiązujecie żadnej niemal wagi do cnoty kobiet. Czy zastanowiliście się nieco, jakie

ofiary uczyniła pani de La Pommeraye dla margrabiego? Nie powiem wam, iż szkatuła jej była dlań otwarta we wszelkiej potrzebie i że przez wiele lat dom jej i stół był dla niego jak własny; na to moglibyście wzruszyć ramionami; ale poddała się wszelkim jego upodobaniom, wszelkim zachceniom; obaliła dla jego przyjemności cały plan swego życia. Znana czystość obyczajów margrabiny dawała jej najwyższe poważanie w świecie; dla jego miłości osunęła się w rząd kobiet pospolitych. Skoro przyjęła hołdy margrabiego des Arcis, powiedziano: „W końcu wreszcie ta nadzwyczajna, niepospolita pani de La Pommeraye słała się taką jak każda z nas”... Zauważyła dokoła ironiczne uśmieszki; słyszała żarciki; często rumieniła się pod nimi i spuszczała oczy; przełknęła cały kielich goryczy zgotowany kobietom, których nieskazitelne prowadzenie zbyt długo było żywym potępieniem zepsucia otaczających je wietrznic; zniosła cały rozgłos skandalu, jakim świat mści się na owych *świętych*, które niebacznie chcą mu dawać przykład uczciwości. Była ambitna; raczej byłaby umarła z bólu, niżby po wstydzcie zdeptanej cnoty miała obnosić w świecie śmieszność porzucenia. Zbliżała się do okresu życia, w którym strata kochanka nie łatwo da się zastąpić. Taka była jej natura; cios ten skazywał ją na życie w nudzie i samotności. Mężczyzna rzuca się ze sztyletem na drugiego za jeden gest, za błahą obrazę; i nie ma być wolno uczciwej kobiecie, zgubionej, zniesławionej, zdradzonej, popchnąć zdrajcę w ramiona ladacznicy? Och! czytelniku, nader lekki jesteś w pochwałach i nader surowy w potępieniu. Powiecie, że bardziej macie za złe margrabinie sposób niż rzecz samą. Nie możecie się pogodzić z urazą tak wytrwałą; z tą pajęczą siecią szalbierstw i kłamstw ciągnącą się przez rok blisko. Ani ja także, ani Kubuś, ani jego pan, ani gospodyni. Ale umiecie darować wszystko pierwszemu impetowi; otóż powiem wam, że pierwszy impet, który u innych trwa krótko, u pani de La Pommeraye i kobiet jej charakteru jest długi. Dusza ich pozostaje niekiedy przez całe życie pod wpływem pierwszego wrażenia zniewagi; cóż w tym niepodobnego do pojęcia lub usprawiedliwienia? Widzę tylko, iż niewierność stałaby się rzeczą mniej utartą i przyklasnąłbym szczerze prawu skazującemu na towarzystwo ladacznicy tego, kto by uwiódł i porzucił uczciwą kobietę: człowiek pospolity przynależy kobietom pospolitym.

Podczas gdy ja rozprawiam, pan Kubusia chrapie tak jak gdybym nie był słuchał; Kubuś zaś, któremu muskulatura nóg odmawia posłuszeństwa, błądzi po pokoju, w koszuli i boso, przewraca wszystko, co napotka i budzi pana, odzywającego się zza firanek: „Kubusiu, ty jesteś pijany”.

— Albo blisko tego.

— O której godzinie masz zamiar się położyć?

— Zaraz, panie; ale bo... ale bo...

— Cóż za ale bo?

— W butelce pozostała resztką, która by wywietrzała. Mam szaloną odrazę do niedopitych butelek; przesładowałoby mnie to w łóżku; wystarczyłoby, abym nie mógł zmrużyć oka. Nasza gospośnia jest, na honor, przednia kobieta, a jej szampańskie wyśmienite; szkoda by mu dać się ulotnić... Za chwilę znajdzie się w bezpiecznym schronieniu... o, już się nie ulotni...

Tak belkocąc, Kubuś w koszuli i boso wygolił dwa lub trzy dobre łyki bez przecinka, jak się wyrażał, to znaczy z butelki do szklanki i ze szklanki do ust. Są dwa podania o tym, co się stało później, skoro zgasił światło. Jedni twierdzą, iż zaczął posuwać się po omacku wzdłuż muru, nie mogąc odnaleźć łóżka, i powiedział: „Na honor, nie ma go; albo, jeżeli jest, napisano w górze, że go nie odnajdę; w jednym i w drugim wypadku, trzeba się obejść; co rzekłszy, wyciągnął się na krzesłach. Wedle drugich było napisane w górze, że zaplączę się nogami w krzesłach, upadnie na podłogę i tam pozostanie. Z tych dwóch wersji, jutro, pojutrze, z wypoczętą głową, wybierzecie sobie tę, która bardziej przypadnie wam do smaku.

Dwaj podróżni, którzy położyli się późno i to z głową nieco zaproszoną, obudzili się dobrze ku południowi: Kubuś na ziemi albo na krzesłach, wedle wersji, jakąście wybrali, pan bardziej wygodnie, w łóżku. Weszła gospodyni i oznajmiła, że dzień nie zapowiada się pięknie. Gdyby nawet pogoda pozwoliła puścić się w drogę, musieliby z narażeniem życia

przedostawać się przez wezbrane od deszczu strumienie: już kilku podróżnych, którzy nie chcieli jej wierzyć, zmuszonych było nawrócić.

Pan rzekł do Kubusiu: „Kubusiu, cóż poczniemy?”. Kubuś odpowiedział: „Najpierw spożyjemy śniadanie z gospożą: co nam rozjaśni w głowie”. Gospodyni osądziła, iż myśl jest roztropna. Podano śniadanie. Gospodyni była usposobiona nader wesoło; pan gotów był wtórować; ale Kubuś czuł się cierpiący; jadł bez apetytu, pił mało, zamilkł. Ten ostatni objaw był zwłaszcza niemiły: następstwo lichej nocy, jaką przepędził w jeszcze lichszym łóżku. Skarżył się na darcie w kościach; głos, silnie ochryply, zwiastował ból gardła. Pan radził mu się położyć: nie chciał słuchać. Gospodyni poddała myśl zupy cebulowej. Zażądał, aby rozniecono ogień w pokoju, czuł bowiem dreszcze; aby zaparzone ziółka i przyniesiono butelkę białego wina: co też wykonano natychmiast. Zaczem gospodyni znikła i Kubuś został sam ze swym panem. Ten podchodził ku oknu, mówił: „Cóż za diabelski czas!”, patrzył na zegarek (jedyne do którego miał zaufanie), zażywał niuch tabaki, powtarzając te same czynności z godziny na godzinę i wykrzykując za każdym razem: „Cóż za diabelski czas!”. Następnie zwrócił się do Kubusia i dodał: „Śliczna sposobność dla podjęcia i dokończenia historii twoich amorów! ale лихо mówi się o amarach i o czymkolwiek w ogóle, kiedy człowiek cierpi. Wejrzyj w siebie, zastanów się; jeśli możesz gadać, gadaj; jeśli nie, wydój swoje ziółka i śpij”.

Kubuś oświadczył, jako milczenie jest mu bardzo niezdrowe; jako jest zwierzęciem z natury gwarliwym; główną zaś i najcenniejszą korzyścią jego służby jest swoboda wynagrodzenia sobie dwunastu lat knebla spędzonych w domu dziadka, niech mu to Pan Bóg odpuści.

PAN: Mów tedy, skoro to czyni przyjemność nam obu. Stanałeś przy nie pamiętam już jakiej niesumiennej namowie żony chirurga; chodziło, zdaje się, o to, aby wykurzyć tego, który dotąd służył w zamku, a wprowadzić jej męża.

KUBUŚ: Jestem w domu; ale chwileczka, jeśli łaska. Odwilżmy się.

Kubuś napełnił spory kubek odwarem, dolał nieco białego wina i połknął. Był to przepis, który miał od swego kapitana i który pan Tissot<sup>40</sup>, przejąwszy od Kubusia, zaleca w swoim traktacie o pospolitszych chorobach. „Wino białe — powiadał Kubuś i pan Tissot — pędzi wodę, działa moczopędnie, poprawia mdły smak ziółek oraz podtrzymuje jędrność żołądka i jelit”. Wypiwszy miksturę, Kubuś ciągnął dalej:

— Opuszczam tedy dom chirurga, sadowię się w powozie i przybywam do zamku, gdzie otaczają mnie wszyscy mieszkańcy.

PAN: Czy cię tam znali?

KUBUŚ: Rozumie się! Przypomina pan sobie pewną kobietę z dzbanem oliwy?

PAN: Bardzo dobrze.

KUBUŚ: Ta kobieta załatwiała zwyczajnie posyłki rządcy i służby pałacowej. Joanna (tak jej było) rozgłosiła w zamku akt miłosierdzia, jakiego względem niej dopełniłem. Mój dobry uczynek doszedł do uszu pana domu: nie zatajono mu również i sińców, które stały się jego nagrodą w ciemną noc na gościńcu. Nakazał, aby mnie odnaleziono i przeniesiono do zamku. Otóż i jestem. Oglądają mnie, wypytują, podziwiają. Joanna ścisła mnie i dziękuje. „Pomieszczyć mi go wygodnie — rzekł pan do swoich ludzi — żeby mu na niczym nie zbywało — zaś do chirurga domowego — Będziesz go pan pielęgnował z całą troskliwością”... Wszystko wypełniono co do joty. I cóż! panie, któż wie, co jest napisane w górze? Niechże kto powie teraz, czy jest źle, czy dobrze oddać pieniądze potrzebującemu; czy jest nieszczęściem być pobitym na gościńcu... Bez tych dwóch wydarzeń, Pan Desglands nigdy nie usłyszałby o Kubusiu.

PAN: Pan Desglands, właściciel Miremont! Więc to w zamku Miremont bawisz? u mego starego przyjaciele, ojca pana Desforges, intendenta prowincji?

KUBUŚ: Właśnie. A młoda brunetka o smukłej kibici, czarnych oczach...

PAN: Jest Dyzią, córką Joanny?

KUBUŚ: We własnej osobie.

PAN: Masz słuszność, to jedna z najładniejszych i najuczciwszych istot na dwadzieścia mil w okolicy. Ja i niemal wszyscy, którzy bywali w zamku Desglands'a, na głowie po

<sup>40</sup> *Tissot* (1727–1797) — lekarz szwajcarski, autor bardzo popularnego poradnika higienicznego. [przypis tłumacza]

prostu stawali, aby uwieść tę małą. Nie było ani jednego spośród nas, który by nie uczynił chętnie największych głupstw dla niej, byleby ona w zamian uczyniła jedno maleńkie dla niego.

Gdy na to Kubuś zamilkł, pan zapytał: „O czym myślisz? Co robisz?”.

KUBUŚ: Odmawiam moją modlitwę.

PAN: Ty się modlisz?

KUBUŚ: Czasami.

PAN: I cóż mówisz?

KUBUŚ: Mówię: „O ty, kimkolwiek jesteś, który uczyniłeś wielką wstęgę i którego palec nakreślił całe pismo wypisane w górze, wiedziałeś od wieków, czego mi potrzeba; niechaj się wola twoja spełni. *Amen*”.

PAN: Czy nie równie skutecznie byłoby siedzieć cicho?

KUBUŚ: Może tak, a może nie. Modlę się na wszelki wypadek. Gdybym miał władzę nad sobą, ani bym się cieszył ani martwił, co bądź by mi się trafiło; ale ponieważ rządę się jeno porywem, zapominam o naukach kapitana i śmieję się, i płaczę jak głupiec.

PAN: Czy twój kapitan nie płakał i nie śmiał się nigdy?

KUBUŚ: Rzadko... Joanna przyprowadziła jednego rana córkę i zwracając się serdecznie do mnie, rzekła: „Panie drogi, jesteś tedy w pięknym zamku, gdzie będzie ci nieco lepiej niż u chirurga. W początkach zwłaszcza, och! będą cię pielęgnować cudownie. Ale ja znam służbę; zbyt dawno sama w niej jestem: pomału ostygnie ten piękny zapach. Państwo przestaną myśleć o tobie; i jeśli choroba potrwa, popadniesz w zapomnienie, ale to tak doskonale, iż gdyby ci przyszła ochota umrzeć z głodu, powiodłoby ci się to najzupełniej”... Następnie zwracając się do córki, rzekła: „Słuchaj Dyziu, masz mi odwiedzać tego zacnego człowieka cztery razy dziennie: rano, w porze obiadowej, około piątej i w czas wieczery. Masz mu być posłuszną jak mnie samej. Słyszałaś i pilnuj się raz na zawsze”.

PAN: Czy wiesz, co się zdarzyło biednemu Desglands?

KUBUŚ: Nie, panie; ale jeśli życzenia, jakie zasyłałem za jego pomyślność, nie ziściły się, to z pewnością nie dlatego, by im zbywało na szczerości. On to powierzył mnie panu komandorowi La Boulaye, który zginął w czasie przeprawy na Maltę; komandor La Boulaye oddał mnie swemu starszemu bratu kapitanowi, który obecnie pewno umarł na fistułę; kapitan oddał mnie młodszemu bratu, generalnemu prokuratorowi w Tuluzie, który dostał bzika i którego rodzina kazała zamknąć. Ów pan Pascal, generalny prokurator w Tuluzie, przekazał mnie hrabiemu de Tourville, który wołał zapuścić brodę pod kapturem kapucyna, niżeli narażać życie; hrabia de Tourville oddał mnie margrabinie du Belloy, która drapnęła do Londynu z jakimś przybłądą; margrabina du Belloy dała mnie jednemu z krewniaków, który stracił wszystko na kobiety i musiał wędrować za morze; ówże krewniak polecił mnie niejakiemu panu Hérissant, lichwiarzowi z rzemiosła, który lokował na procent pieniądze pana de Rusai, doktora Sorbony, który mnie znowuż umieścił u panny Isselin, którą pan wziął na utrzymanie i która umieściła mnie u pana, któremu będąc zawdzięczał kawałek chleba na stare lata, obiecał mi to pan bowiem, jeżeli przy panu wytrwam; a nie zanoszi się jakoś, abyśmy się mieli rozłączyć. Kubuś był stworzony dla pana, a pan dla Kubusia.

PAN: Ale, Kubusiu, widzę, że przeszedłeś niemało domów w dosyć krótkim czasie.

KUBUŚ: To prawda, tu i ówdzie zdarzyło mi się wylecieć ze służby.

PAN: Dlaczego?

KUBUŚ: Dlatego iż urodziłem się gadułą, a wszyscy ci ludzie lubili, aby trzymać język za zębami. To nie tak jak z panem, który byś mi wymówił nazajutrz służbę, gdybym umilkł. Trafił pan na przywarę, która właśnie panu odpowiada. Ale, ale: zatem, co zdarzyło się panu Desglands? Chciej mi pan opowiedzieć, podczas gdy będę przyrządzał lyk swojej mikstury.

PAN: Mieszkałeś w zamku i nigdy nie zdarzyło ci się słyszeć o sławnym plastrze?

KUBUŚ: Nie.

PAN: Tę historię zostawmy sobie na drogę; druga jest krótka. Desglands majątek swój zawdzięczał grze. Otóż pokochał kobietę, którą mogłeś widzieć w zamku; kobietę z głową, ale sensatkę, dziwaczkę i nieugiętą. Rzekła jednego dnia: „Albo cenisz mnie

wyżej niż grę, w takim razie daj słowo honoru, że nie będziesz grał nigdy; albo też grę przekładasz nade mnie, w takim razie nie mów mi nigdy o swej miłości i graj, ile ci się podoba”... Desglands dał słowo, że nie będzie grał. — Ani grubo ani cienko? — Ani grubo ani cienko. Upłynęło mniej więcej dziesięć lat, odkąd żyli razem w wiadomym zamku, kiedy Desglands, powołany do miasta w pewnej sprawie, będąc u rejenta, spotkał na swoje nieszczęście jednego z dawnych kompanów zielonego stolika. Ten zaciągnął go na obiad do jakiejś nory, gdzie za jednym posiedzeniem przegrał wszystko, co posiadał. Dama była nieubłagana; była to osoba bogata; wyznaczyła Desglands’owi skromną pensyjkę i rozstała się z nim na zawsze.

KUBUŚ: Żal mi go szczerze, to godny człowiek.

PAN: Jak się miewa gardło?

KUBUŚ: Żle.

PAN: To stąd, że za wiele mówisz, a za mało pijesz.

KUBUŚ: To stąd, że nie lubię ziółek, a lubię mówić.

PAN: No więc! Tedy Kubusiu, jesteś u pana Desglands, w pobliżu Dyzi; Dyzi upoważnionej przez matkę do odwiedzania cię przynajmniej cztery razy dziennie. A, szelma! przełożyć takiego Kubusia!...

KUBUŚ: Kubusia! Kubuś, panie, jest człowiek jak inni.

PAN: Kubusiu, mylisz się, Kubuś nie jest człowiek jak inni.

KUBUŚ: Czasem lepszy niż inny.

PAN: Kubusiu, zapominasz się. Wracaj do historii swoich amorów i pamiętaj, że jesteś i zostaniesz zawsze tylko Kubą.

KUBUŚ: Gdyby w owej chałupie, gdzieśmy się natknęli na opryszków, Kubuś nie był cośkolwiek więcej wart od swego pana...

PAN: Jakubie, jesteś zuchwalec; nadużywasz mojej dobroci. Jeśli popełniłem to głupstwo, iż pozwoliłem ci zapomnieć o właściwej roli, potrafię ci ją snadnie przypomnieć z powrotem. Jakubie, weź butelkę i garczek i zjedź na dół.

KUBUŚ: Wolne żarty pańskie; czuję się tu bardzo dobrze i nie zejdę.

PAN: Powiadam ci, że zejdziesz.

KUBUŚ: Jestem pewien, że pan nie mówi serio. Jak to, panie, przyzwyczaiwszy mnie przez dziesięć lat do życia za pan brat...

PAN: Życzę sobie, aby to ustało.

KUBUŚ: Wycierpiawszy bez gniewu wszystkie moje zuchwalstwa...

PAN: Nie życzę sobie ich już cierpieć.

KUBUŚ: Nasadzawszy się mnie do stołu przy sobie, nanazywawszy swoim przyjacielem...

PAN: Nie wiesz, co znaczy słowo „przyjaciel”, kiedy je daje zwierzchnik podwładnemu.

KUBUŚ: Skoro się wie, że wszystkie pańskie rozkazy są jeno czczym dymem, o ile nie są zatwierdzone przez Kubusia; skoro się zespoliło swoje imię z moim tak ściśle, że nie słyszy się jednego bez drugiego i cały świat mówi „Kubuś i jego pan”, nagle przychodzi panu kaprys je rozdzielać! Nie, panie, to się nie stanie. Napisane jest w górze, że dopóki Kubuś będzie żył, dopóki jego pan będzie żył, a nawet skoro obaj już pomrą, jeszcze będzie się mówiło „Kubuś i jego pan”.

PAN: A ja ci powiadam, Jakubie, że zejdziesz i to natychmiast, ponieważ ja każę.

KUBUŚ: Panie, niech mi pan rozkaże cokolwiek innego, jeśli pan chce, abym posłuchał.

Tutaj pan wstał, wziął go za klapę od kurtki i rzekł poważnie:

— Złaż.

Kubuś odparł zimno:

— Nie zlezę.

Pan, potrząsając silnie, rzekł:

— Złaż, gałganie, bądź posłuszny.

Sluga, Pan, Klótnia,  
Władza, Honor



Kubuś odparł jeszcze zimniej:

— Gałgan, ile tylko pan rozkaże; ale gałgan nie zlezie. Wierz mi pan, iż jak raz mi się coś zaklinuje w głowie, to i siekierą tego nie wybije. Niech się pan niepotrzebnie nie gorącuje, Kubuś zostanie, gdzie jest, i nie zejdzie.

Tu Kubuś i jego pan, którzy hamowali się aż do tej chwili, puszczają sobie naraz cugli i zaczynają krzyczeć na całe gardło:

— Zleziesz.

— Nie zlezę.

— Zleziesz.

— Nie zlezę.

Na te krzyki wchodzi gospodyni i dowiaduje się, o co chodzi; nie od razu udzielono jej odpowiedzi; krzyki trwały dalej: „Zleziesz. Nie zlezę”. W końcu pan, rozżalony, zaczął przechadzać się po pokoju, mrucząc między zębami: „Widział kiedy kto coś podobnego?”. Aż gospodyni zdumiona, stojąc w progu: „Ależ, panowie, o co wam chodzi?”.

Kubuś nieporuszony odparł: „Panu się coś w głowie przekręciło; bies go opętał”.

PAN: Głupstwa pleciesz.

KUBUŚ: Jak pan rozkaże.

PAN *do gospodyni*: Słyszałaś pani?

GOSPODYNI: Źle robi; ale spokój, spokój; mówcież jeden albo drugi: niech się dowiem, o co chodzi.

PAN *do Kubusia*: Mów, gałganie.

KUBUŚ *do pana*: Mów pan sam.

GOSPODYNI *do Kubusia*: Dalej, panie Jakubie, mówże, kiedy pan ci rozkazuje; ostatecznie, pan jest panem...

Kubuś wyłożył rzecz gospodyni, która wysłuchawszy, rzekła: „Panowie, czy chcecie przyjąć mnie za rozjemcę?”.

KUBUŚ I JEGO PAN *naraz*: Bardzo chętnie, pani gosposiu.

GOSPODYNI: I zobowiązujecie się honorem spełnić mój wyrok?

KUBUŚ I JEGO PAN: Honorem, honorem...

Wówczas gospodyni, sadwiąc się na stole i przybierając głos i postawę poważnego urzędnika, rzekła:

— Wysłuchawszy oświadczenia imć pana Jakuba i zważywszy fakty służące ku udowodnieniu, iż jego pan jest dobrym, bardzo dobrym, za dobrym panem; że Kubuś też nie jest złym sługą, mimo iż nieco podległym mieszanu pojęć posiadania bezwarunkowego i niewzruszalnego z przyzwoleniem dobrowolnym i przejściowym, unicestwiam równość, jaka wytworzyła się z upływem czasu między nimi i równocześnie natychmiast ją wznowiam. Kubuś zejdzie na dół i zszedłszy, powróci tutaj; wejdzie z powrotem we wszystkie prerogatywy, jakimi cieszył się aż do tego dnia. Pan poda mu rękę i rzeknie przyjaźnie: „Dzień dobry, Kubusiu, rad jestem iż cię oglądam z powrotem”... Kubuś odpowie: „I ja rad jestem, że pana znów widzę”... I zabraniam, iżby kiedykolwiek ta sprawa miała być między nimi poruszona i aby roztrząsano na przyszłość prerogatywy pana i sługi. Chcemy, aby jeden rozkazywał, a drugi słuchał, każdy wedle najlepszej możliwości i wiary i aby to, co jeden może, a drugi powinien zostawione było nadal w tej samej niejasności, co poprzednio.

I kończąc ten wyrok, wygrzebany w jakimś współczesnym dziele wydanym z okazji sprzeczki zupełnie podobnej, w której z jednego końca królestwa na drugi pan krzyczał do sługi: „Zleziesz!”, sługa zaś odkrzykiwał nawzajem: „Nie zlezę!”, gospodyni rzekła: „Teraz Kubuś poda mi rękę bez dłuższego parlamentowania”...

Kubuś wykrzyknął boleśnie: „Było tedy napisane w górze, że zlezę!”...

GOSPODYNI *do Kubusia*: Było napisane w górze, że z chwilą kiedy się wstępuje w służbę, będzie się schodzić, wchodzić, iść naprzód, cofać, zostawać w miejscu, przy czym nigdy nie będzie wolno nogom uchylać się od rozkazów głowy. Podać mi tu zaraz rękę i niechaj się wyrok spełni...

Kubuś podał rękę gospodyni; ale zaledwie przekroczyli próg pokoju, pan rzucił się na Kubusia i uściskał go; odbiegł Kubusia, aby uściskać gospodynię; i ściskając na przemian oboje, mówił: „Jest napisane w górze, że nigdy nie wyzbędę się tego postrzeleńca i że

póki będę żył, on będzie moim panem, a ja jego sługą”... Gospodyni dodała: „I że, jak przykład pokazuje, będzie się wam z tym dniało wcale niezgorzej”.

Gospodyni, załagodźwszy kłótnię, którą brała za pierwszą, a która była więcej niż setną tego rodzaju, i usadowiwszy Kubusia z powrotem, odeszła do swoich zajęć; pan zaś rzekł do sługi: „A teraz, kiedy jesteśmy już spokojni i zdolni osądzić rzecz zdrowo, czy nie przyznasz...?”

KUBUŚ: Przyznam, iż kiedy się dało słowo honoru, trzeba go dotrzymać; skoro pod słowem honoru przyrzekliśmy sędziemu nie wracać do tej kwestii, nie trzeba o niej mówić.

PAN: Masz słuszość.

KUBUŚ: Ale, nie powracając do tej sprawy, czy nie moglibyśmy uprzedzić stu podobnych za pomocą jakiegoś racjonalnego układu?

PAN: Zgadza się.

KUBUŚ: Ustalmy: 1.) zważywszy, iż jest napisane w górze, że jestem dla pana nieodzowny, i czuję, wiem, jako pan nie możesz się beze mnie obejść, będę nadużywał tej przewagi, ile razy tylko nastreczy się sposobność.

PAN: Ależ, Kubusiu, nigdy nic podobnego nie zostało ustalone.

KUBUŚ: Ustalone czy nie, działo się to od wieków, dzieje się dziś i będzie działo, póki świat trwać będzie. Czy mniemasz pan, że inni nie starali się tak samo jak pan uchylić od tego wyroku i że pan będziesz w tym szczęśliwszy od nich? Wyzbądź się pan tej myśli i poddaj się prawom konieczności, z której nie jest w pańskiej mocy się wyzwolić.

Ustalmy: 2.) zważywszy, iż równie niemożliwym jest Kubusiu nie zdawać sobie sprawy ze swego wpływu i przewagi nad panem, jak panu zapoznawać swą słabość i wyzuc się ze swej pobłażliwości, trzeba, aby Kubuś był zuchwały i aby dla świętego spokoju pan jego udawał, iż tego nie widzi. Wszystko to ułożyło się poza naszą wiedzą, wszystko zostało przypieczętowane w górze w chwili, gdy natura stworzyła Kubusia i jego pana. Zostało postanowione, iż pan będziesz miał tytuły, a ja rzecz. Gdybyś pan chciał sprzeciwić się woli natury, traciłbyś jedynie czas i zdrowie na darmo.

PAN: Ale w ten sposób twoja częśćka byłaby lepsza niż moja.

KUBUŚ: Któż przeczy?

PAN: Ale w ten sposób najlepiej byłoby mi zająć twoje miejsce, a ciebie postawić na moim.

KUBUŚ: Wiesz pan, co by stąd wynikło? Straciłbyś pan tytuł, a nie zyskał rzeczy. Zostańmy, jak jesteśmy, bardzo nam z tym dobrze obu; i obróćmy resztę życia na ugruntowanie przysłowia.

PAN: Jakiego przysłowia?

KUBUŚ: Kuba wodzi za nos swego pana. My będziemy pierwsi, o których to powiedzą: ale powtarzać będą toż samo o tysiącu innych, lepszych niż pan i ja.

PAN: To ciężko, bardzo ciężko.

KUBUŚ: Mój panie, mój drogi panie, chcesz pan wierzcąć pod ostrogą, po to aby kłula tym silniej. Oto więc rzecz ułożona.

PAN: Cóż znaczy, czy się człowiek godzi, czy nie, skoro prawo jest nieuniknione?

KUBUŚ: Bardzo dużo. Czy pan mniema, iż bezużytecznym jest wiedzieć raz na zawsze, jasno, wyraźnie, czego się trzymać? Wszystkie dotychczasowe kłótnie pochodziły stąd, iż nie powiedzieliśmy sobie wyraźnie: że pan będzie się nazywał moim panem, ale ja będę w istocie pańskim. Otośmy się porozumieli, teraz pozostaje jeno dreptać spokojnie tą drogą.

PAN: Gdzieś ty, u diabła, nauczył się tego wszystkiego?

KUBUŚ: W wielkiej księdze. Ach, panie, darmo zastanawiać się, rozmyślać, studiować we wszystkich księżkach świata, jest się zawsze strasnym dudkiem, jeśli się nie czytało w wielkiej księdze...

Popołudniu słońce wyjrzało zza chmur. Ktoś z podróżnych upewnił, że można domać się brodu. Kubuś zeszedł na dół; pan wynagrodził gospodynię bardzo hojnie. U wrót oberży zebrała się dość znaczna ilość podróżnych zatrzymanych niepogodą i gotujących

się do dalszej drogi; w ich liczbie Kubuś i jego pan, dalej człowiek w osobliwy sposób ożeniony i jego towarzysz. Piechury ujęli kije i zarzucili sakwy; inni usadowili się w furgonach i karocach; jeźdźcy dosiedli koni, przepijając jeszcze strzemiennego. Uprzejma gospodyni trzymając butelkę w ręce, podaje szklanki, napełnia, nie zapominając swojej: ze wszech stron padają ku niej uprzejmie wykrzykniki; odpowiada grzecznie i wesoło. Jeszcze ostatni ukłon, ostroga koniom — i w drogę.

Przypadkowo Kubuś i jego pan, margrabia des Arcis i jego towarzysz jechali w tym samym kierunku. Z tych czterech osób jedynie ostatnia jest wam nieznaną. Był to młodzieniec zaledwie dwudziestodwu- lub trzechletni. Twarz jego wyrażała wielką nieśmiałość; głowę trzymał nieco przekrzywioną na lewo; był milczący i prawie zupełnie nieobyty w świecie. Kiedy się kłaniał, pochylał się górną częścią ciała, nie poruszając nóg; kiedy siedział, nerwowym ruchem ujmował ciągle poły ubrania i krzyżował je na udach; albo też trzymał ręce wsunięte między guziki kaftana i słuchał mówiącego z oczyma prawie zamkniętymi. To osobliwe zachowanie starczyło, by Kubuś go przeniknął; nachylając się do pana, rzekł: „Założę się, że ten młody człowiek nosił sukienkę mniszę”.

— Czemuż to, Kubusiu?

— Zobacz pan.

Czterej podróżni wędrowali razem, zabawiając się rozmową o deszczu, pogodzie, gospodynie, gospodarzu, o kłótni margrabiego des Arcis z przyczyny Linki. Ta suka, łakoma i niechlujna, przyłaziła co chwila ocierać się o jego pończochy; spróbowałszy kilka razy bez skutku przepędzić ją serwetą, zniecierpliwiony wymierzył jej w końcu dość gwałtowne kopnięcie... I oto rozmowa skierowała się na szczególne przywiązanie kobiet do zwierząt. Każdy powiedział swoje zdanie; pan zaś Kubusia, zwracając się ku niemu, rzekł: „A ty, Kubusiu, co myślisz?”

Kubuś zapytał pana, czy nie zauważył, że biedni ludzie, chociażby pogrążeni w największej nędzy i nie mając chleba dla siebie, wszyscy chowają psy; co więcej psy te, zmuszane do wszelkiego rodzaju sztuk, chodzenia na dwóch łapach, tańczenia, aportowania, skakania przez kij, udawania nieboszczyka, pędzą wskutek tej edukacji żywot najopłakawszy w świecie. Z czego wyciągnął wniosek, iż wszelki człowiek pragnie rozkazywać drugiemu; ponieważ zwierzę znajduje się w społeczeństwie bezpośrednio poniżej warstw najpośledniejszych, znoszących rozkazy wszystkich innych, te chowają sobie zwierzęta, aby też mieć kogoś do rozkazywania. „W świecie — powiedział Kubuś — każdy ma swego psa. Minister jest psem króla, szef kancelarii psem ministra, żona psem męża albo też mąż psem żony; i tak bez końca. Kiedy pan każe mi mówić wówczas, gdy chciałbym milczeć, co, mówiąc prawdę, wydarza mi się rzadko — ciągnął Kubuś — kiedy każe milczeć wówczas, gdy chciałbym mówić, co jest bardzo trudne; kiedy się domaga historii moich amorów, gdy ja wołałbym raczej rozmawiać o czym innym; kiedy zacząłem historię moich amorów, on zaś mi przerywa: czymże jestem wówczas innym, jak nie jego psem? Ludzie słabi są psami silniejszych”.

PAN: Ale, Kubusiu, owo przywiązanie do zwierząt spotyka się nie tylko u ludzi mizernego stanu; znam wielkie panie, otoczone całą zgrają psów, nie licząc kotów, papug i pactwa.

KUBUŚ: To świadectwo ubóstwa dla nich samych i całego ich otoczenia. Nie kochają nikogo, nikt ich nie kocha: rzucają tedy psom uczucie, z którym nie wiedzą, co począć.

PAN: Przysmaki, jakie zastawia się tym zwierzętom, starczyłyby na wyżywienie niejednego nędzarza.

KUBUŚ: A teraz, czy się pan temu dziwi?

PAN: Nie.

Margrabia des Arcis spojrział na Kubusią, uśmiechnął się z jego filozofii i zwracając się do pana, rzekł: „Masz pan, widzę, sługę niezupełnie pospolitego kroju”.

PAN: Sługę! bardzo pan łaskaw na mnie; to ja jestem jego sługą i nie dalej jak dziś rano mało brakło, aby mi tego dowiódł bardzo wyraźnie.

Tak rozumując, dotarli do miejsca noclegu, gdzie wspólnie zakwaterowali się na popas. Pan Kubusia i margrabia des Arcis wieczerali razem; Kubusiu i młodemu człowiekowi nakryto osobno. Pan skreślił margrabiemu w kilku słowach historię Kubusią i jego fatalistyczny pogląd na świat. Margrabia wspominał o młodzieńcu, który mu towarzyszył.

Był on wprzód mnichem reguły premonstrantów. Opuścił klasztor w niezwykłych okolicznościach; przyjaciele zalecili go margrabiemu; wziął go tedy na razie jako sekretarza, nim się trafi co lepszego. Pan Kubusia rzekł: „To zabawne”.

MARGRABIA DES ARCIS: Co pan W tym widzisz zabawnego?

PAN: Mówię o Kubusiu. Zaledwie weszliśmy do gospody, gdzie spędziliśmy ostatnią noc, Kubuś rzekł po cichu: „Panie, niech się pan przypatrzy dobrze temu młokosowi; załóż się, że był mnichem”.

MARGRABIA: Nie wiem po czym, ale trafił. Czy pan się wcześniej kładzie?

PAN: Zazwyczaj niezbyt; a dziś wieczór tym mniej mi pilno, ile że odbyliśmy ledwo połowę stajania.

MARGRABIA DES ARCIS: Jeżeli pan nie ma na widoku nic pożyteczniejszego lub przyjemniejszego, opowiem mu historię mego sekretarza; też nie należy do pospolicich.

PAN: Posłucham chętnie.

Słyszę cię, czytelniku; powiadasz: A amory Kubusia?... Czy myślisz, że nie jestem ich równie ciekaw jak ty? Czy zapomniałeś, że Kubuś lubił mówić, a zwłaszcza mówić o sobie: powszechny nałóg ludzi jego stanu; nałóg, który wyrывa ich ze zwykłego poniżenia, umieszcza na trybunie i przeobraża naraz w osobistości interesujące. Jaka, twoim zdaniem, pobudka ściąga pospółstwo na miejsce publicznych egzekucyj? Okrucieństwo? Mylicie się, lud nie jest okrutny: tego samego nieszczęśliwca, dokoła którego rusztowania się ciśnie, wydarłby, gdyby mógł, z rąk sprawiedliwości. Śpieszy znęcony nadzieją widowiska, aby mieć co opowiadać wróciwszy do domu; to czy co innego, to mu obojętne, byleby odgrywał rolę, gromadził koło siebie sąsiadów i byleby go słuchali. Wydajcie na bulwarze wesół festyn, a ujrzycie, iż miejsce kaźni będzie próżne. Lud jest chciwy widowisk i biegnie ku nim; bawi się raz, gdy w nich bierze udział, i ponownie, gdy opowiada o nich za powrotem. Lud jest straszliwy w swej wściekłości: ale nie jest ona trwałą. Własna nędza uczyniła go współczującym; odwraca oczy od krwawego widowiska, ku któremu się tłoczył; rozrzewnia się i wraca do domu płacząc... Wszystko, co tu rozpowiadam, czytelniku, wiem od Kubusia; przyznaję się do tego, nie lubię bowiem przypisywać sobie chwały cudzego rozumu. Kubuś nie uznawał ani występku ani cnoty; utrzymywał, iż ma się naturę szczęśliwą albo nieszczęśliwą. Kiedy słyszał słowo *nagroda* lub *kara*, wzruszał ramionami. Wedle niego nagroda jest zachętą dla dobrych; kara postrachem złych. Czymże mogą być innym, powiadał, skoro nie istnieje wolność i skoro los nasz zapisany jest w górze? Wierzył, iż człowiek kroczy ku chwale lub hańbie z tą samą koniecznością, z jaką kula, która by miała świadomość siebie samej, stacza się po spadzistości. Gdybyśmy znali łańcuch przyczyn i skutków, które tworzą życie człowieka od chwili narodzin aż do ostatniego tchnienia, zyskalibyśmy przekonanie, iż czynił jedynie to, co musiał. Sprzeczałem się z Kubusiem o to wiele razy, ale bez możliwości przekonania go i bezowocnie. W istocie, cóż odpowiedzieć komuś, kto powiada: Jakakolwiek byłaby suma elementów z których się składam, jestem *jeden*; owóż jedna przyczyna ma tylko jeden skutek; moje istnienie jest tedy tylko łańcuchem nieodzownych skutków. W ten sposób rozumował Kubuś, idąc za swoim kapitanem. Rozróżnienie świata fizycznego i moralnego zdało mu się wyzute z sensu. Kapitan wbił mu w głowę wszystkie te mniemanie, sam zaś zaczerpnął je w Spinozie, którego pisma umiał na pamięć. Wedle tego systemu, można by sobie wyobrażać, iż Kubuś nie cieszył się, nie smucił niczym; co wszelako nie było prawdą. Zachowywał się w tym mniej więcej tak samo jak ty i ja. Dziękował swemu dobroczyńcy, pragnąc by mu i nadal świadczył dobro. Unosił się gniewem przeciw człowiekowi niegodziwemu; kiedy mu zaś zarzucano, iż podobny jest wówczas do psa gryzącego kamień, który go uderzył: „Wcale nie — odpowiadał — kamień ukąszony przez psa nie poprawi się; człowiek niegodziwy odmienia się pod wpływem kija”. Często bywał niekonsekwentny, jak ty i ja, i skłonny zapominać o swoich zasadach, wyjąwszy pewne okoliczności, w których filozofia wyraźnie brała górę; wówczas powiadał: „Musiało się tak stać, tak było bowiem zapisane w górze”. Starał się zapobiegać złemu: był przezorny, przy największej pogardzie dla przezorności. Skoro rzecz już się stała, wracał do swej przyśpiewki i znajdował w niej pociechę. Poza tym dobry z kośćmi, szczerzy, dzielny, przywiązany, wierny, bardzo uparty, jeszcze bardziej gadatliwy i równie jak ty i ja stroskany tym, że rozpoczął historię swoich amarów bez żadnej prawie nadziei ukoń-

czenia. Dlatego też radzę ci, czytelniku, abyś się pogodził z losem i w braku amarów Kubusia zadowolił się przygodami sekretarza margrabiego des Arcis. Zresztą popatrz na biednego Kubusia: szyja okręcona wielką chustką; bukłaczek jego, wprzód pełen dobrego wina, teraz mieści jeno odwar lichego zielska; sam Kubuś kaszle, prycha, złorzeczy gospodyni i jej szampańskiemu, czego by nie czynił, gdyby zechciał pamiętać, iż wszystko jest zapisane w górze, nawet jego przepicie.

A potem, czytelniku, ciągle te historie miłosne; dwie, trzy, cztery historie miłosne już ci opowiedziałem; trzy albo cztery jeszcze ci się należą ode mnie; troszkę za dużo może tych miłości. Prawda, z drugiej strony, skoro się pisze dla ciebie, albo się trzeba obejść bez twoich oklasków, albo też obsłużyć cię wedle twego smaku, a ten wyraźnie się skłania w stronę historii romansowych. Wszystkie wasze utwory wierszem i prozą są jeno bajeczkami o miłości; prawie wszystkie poematy, elegie, eklogi, idylle, piosenki, komedie, tragedie, opery są bajkami o miłości. Prawie wszystkie obrazy i rzeźby są bajkami o miłości. Polykasz bajeczki miłosne jako jedyny pokarm od czasu, jak istniejesz, i nie czujesz przesyty. Trzymają was na tej strawie i będą trzymać długo jeszcze, was, mężczyźni i kobiety, duże i małe dzieci, bez znużenia z waszej strony. Zaiste, jest w tym coś cudownego. Owoż, chciałbym, aby historia sekretarza margrabiego des Arcis była również bajeczką o miłości, ale lękam się, iż tak nie będzie, i może was łatwo znudzić. Tym ci gorzej dla margrabiego des Arcis, dla Kubusiowego pana, dla ciebie, czytelniku, i dla mnie.

„Przychodzi chwila, w której prawie wszystkie młode dziewczyny i młodzi chłopcy popadają w melancholię; dręczy ich jakiś nieuchwytny niepokój, który snuje się po wszystkim i w niczym nie może znaleźć ukojenia. Szukają wówczas samotności, płaczą; wzrusza ich cisza klasztoru; obraz spokoju, jaki zdaje się panować w przybytkach zakonnych, pociąga ich. Pierwsze objawy budzącej się płci biorą za głos Boga wołający ich ku sobie; i właśnie wówczas, kiedy natura sama ich przyzywa, imają się sposobu życia przeciwnego wyrokowi natury. Omyłka nie trwa długo; głos natury staje się wyraźniejszy, zaczynają go pojmować... Biedna istota, odcięta od świata, popada w żalność, tęsknotę, wapory, szaleństwo lub rozpacz”... Takim wstępem rozpoczął margrabia des Arcis. „Zmierzony światem w siedemnastym roku życia Ryszard (to imię mego sekretarza) umknął z rodzinnego domu i przywdział habit premonstranta”.

PAN: Premonstranta<sup>41</sup>? Bardzo mu to pochwalam. Biali są jak łabędzie i święty Norbert, ich założyciel, przepomiał tylko jedną rzecz w swojej regule...

MARGRABIA DES ARCIS: To jest przydać towarzyszkę rozmyślań każdemu ze swych mnichów.

PAN: Gdyby nie było obyczajem Amora chadzać nago, z pewnością przebierałby się za premonstranta. Panuje w tym zakonie osobliwsza polityka. Pozwólą ci księżnę, markizę, hrabinę, prezydentową, radczynię, nawet intendentową, ale broń Boże mieszczką; i choćby kupczyni była najpowabniejszą w świecie istotką, rzadko zdarzy się wam ujrzeć premonstranta w stancyjce przylegającej do sklepika.

MARGRABIA DES ARCIS: Toż samo powiadał i Ryszard. Ryszard byłby złożył śluby po dwóch latach nowicjatu, gdyby rodzice nie sprzeciwili się temu. Ojciec żądał, aby powrócił do domu, gdzie będzie mógł doświadczyć swego powołania, przestrzegając wszystkich reguł życia zakonnego przez jeden rok. Układu tego wiernie dopełniono z jednej i drugiej strony. Skoro rok próby odbytej pod okiem rodziny upłynął, Ryszard oświadczył się z pragnieniem złożenia ślubów. Ojciec odparł: „Użyczyłem ci roku na powzięcie ostatecznego postanowienia; mam nadzieję, że i ty nie odmówisz mi wzajem drugiego: godzę się jeno, abyś go spędził gdzie ci się podoba”. W oczekiwaniu końca nowej odwłoki, opat zakonu zatrzymał go przy sobie. Podczas tego to okresu Ryszard wplątał się był w przygodę: z tych, jakie zdarzają się tylko w klasztorach<sup>42</sup>. Na czele jednego z klasztorów reguły premonstrantów, stał superior o bardzo niezwykłym charakterze: nazywał się ojciec Hudson. Ojciec Hudson miał wejrzenie niezmiernie interesujące: sze-

<sup>41</sup>premonstranci — zakon założony przez św. Norberta w r. 1120. Nosili habit biały, z czystej wełny, bez bielizny pod spodem. [przypis tłumacza]

<sup>42</sup>przygodę z tych, jakie zdarzają się tylko w klasztorach — kwestia klasztorów odgrywa w ówczesnej literaturze francuskiej niemalą rolę. Jeden z najgłośniejszych utworów Diderota nosi tytuł *La Religieuse* (*Zakonnica*). [przypis tłumacza]

rokie czoło, twarz pociągła, nos orli, duże niebieskie oczy, pełne i kształtne policzki, ładne usta, ładne zęby, uśmiech rozumny, głowa pokryta lasem białych włosów, które dodawały powagi urokowi postaci: przy tym dowcip, wiedza, wesołość, obejście i rozmowa miła i grzeczna, zamiłowanie porządku i pracy; ale — namiętności najburzliwsze w świecie, ale najwyuzdańszy pociąg do uciech i płci pięknej, geniusz intrygi posunięty do ostatecznego stopnia, obyczaj najbardziej rozwiązły, despotyzm praktykowany w sposób niesłuchanie bezwzględny. Kiedy mu powierzono zarząd klasztoru, był on zachwaszczony ciemnotą jansenizmu; nauki leżały odłogiem, sprawy doczesne w nieporządku, obowiązki religijne w zaniedbaniu, służbę bożą odprawiano ładajako, nadliczbowe pomieszkania były zajęte przez rozwiązłe sublokatorki. Ojciec Hudson nawrócił lub oddalił jansenistów, osobiście ujął w rękę kierunek nauk, uporządkował interesy, wskrzesił przestrzeganie reguły, wygnał gorszące mieszkanki, zaprowadził ład i regularność w służbie bożej, słowem, uczynił swą gminę jedną z najbardziej budujących. Ale surowość, jaką narzucał innym, uważał dla siebie za zbyt cną; nie był dość naiwnym, aby samemu dźwigać żelazne jarzmo, pod którym trzymał podwładnych; toteż wrzała przeciw ojcu Hudsonowi wściekłość dławiona, a tym samym bardziej gwałtowna i niebezpieczna. Każdy był jego nieprzyjacielem i szpiegiem; każdy pracował w tajemnicy, aby przeniknąć ciemności jego życia; każdy poprzysiął mu zgubę; przeor nie uczynił kroku, którego by nie śledzono; lada intryżkę, zaledwie rozpoczętą, w lot zwietrzono i przejrano.

Opat zakonu posiadał dom przylegający do klasztoru. Dom ten miał dwoje drzwi; jedno wychodziło na ulicę, drugie na klasztor. Hudson dobrał się do zamków: opatówka słała się schronieniem jego uciech nocnych, a łóżko opata teatrem rozpusty. Późno w noc bramą od ulicy wprowadzał osobiście do pokoi opata kobiety wszelkich stanów: tam odbywały się rozkoszne kolacyjki. Hudson zasiadał często w konfesjonale i potrafił z grona penitentek sprowadzić na bezdroża wszystkie, które warte były trudu. W ich liczbie znajdowała się żona cukiernika z przedmieścia, głośna w dzielnicy z zalotności i wdzięków; Hudson, nie mogąc odwiedzać jej w domu, zamknął ją w swoim seraju. Wybryk ten ściągnął podejrzenie rodziców i małżonka: jakoż zjawili się u niego. Hudson przyjął ich z twarzą pomieszaną. Podczas gdy dobrzy ludziska wynurzali się ze swym zmartwieniem, ozwały się dzwony: była szósta z wieczora. Hudson nakazuje ręką milczenie, zdejmując kapelusz, wstaje, czyni szeroki znak krzyża i odmawia tonem przejętym i skupionym: *Angelus Domini nuntiavit Mariae...* I oto ojciec i bracia pięknej cukierniczki zawstydzeni podejrzeniem powiadają na schodach do małżonka: „Mój synu, jesteś głupiec... Bracie, czy się nie wstydzisz? Człowiek, który tak odmawia *Anioł Pański!* święty po prostu!”

Pewnego wieczora, w zimie, Hudson wracał do klasztoru; w drodze zaczepiła go jedna z owych istot, które polują na przechodniów. Wydała mu się ładna; poszedł za nią. Zaledwie przestąpił próg, zjawia się ront. Przygoda taka byłaby zgubiła innego; ale Hudson był człowiekiem z głową: przeciwnie, wydarzenie to zjednało mu życzliwość i poparcie urzędnika policji. Zaprowadzony przed jego oblicze, ozwał się w te słowa: „Nazywam się Hudson, jestem superiorem klasztoru. Kiedy objąłem moje stanowisko, wszystko było w rozprężeniu; ani nauki, ani posłuchu, ani obyczajów; dobro duchowne zaniedbane do ostatecznych granic; uszczerbki w dobrach doczesnych groziły domowi ruiną. Doprowadziłem wszystko do ładu i rozkwitu. Ale i ja jestem człowiekiem: wolałem zwrócić się do istoty upadłej, niż pociągać do upadku kobietę uczciwą. Może pan mną rozrządzać teraz jak się panu spodoba”... Urzędnik zalecił mu więcej oględności na przyszłość, przyrzekł zachować w tajemnicy całą przygodę i objawił pragnienie poznania go bliżej.

Tymczasem nieprzyjaciele, którymi był otoczony, wysłali, każdy na własną rękę, do generała zakonu pisma wyluszczające, z przytoczeniem szeregu faktów, złe prowadzenie się Hudsona. Generał był jansenistą, tym samym wielce uśmiechała mu się zemsta za prześladowanie, jakiego Hudson dopuszczał się poniekąd na jego współwyznawcach. Z wielką przyjemnością byłby rozciągnął zarzut skażenia obyczajów z jednego obrońcy bulli i licencji moralnych na całą sektę<sup>43</sup>. Wyprawił tedy tajemnie dwóch komisarzy,

<sup>43</sup>rozcignął zarzut skażenia obyczajów z jednego obrońcy bulli i licencji moralnych na całą sektę — walka między jansenistami a jezuitami, wszczęta już w XVII wieku słynnymi *Lettres provinciales* Pascala, toczy się w wieku XVIII z całą zaciętością. Jednym z głównych zarzutów, jakie surowy jansenizm czynił jezuitom, była ich rzekoma łatwość i ustepliwość na punkcie moralności, byleby tym sposobem przysporzyć Kościołowi jak najwięcej dusz i wpływu. [przypis tłumacza]

w których ręce złożył liczne memoriały o sprawkach Hudsona, z rozkazem sprawdzenia ich i stwierdzenia urzędowego. W prowadzeniu śledztwa zalecił im wszelako największą oględność jako jedyny sposób szybkiego położenia ręki na winnym i umknięcia go spod ochrony dworu i konsystorza w Mirepoix<sup>44</sup>, w oczach którego jansenizm był największą ze zbrodni, a poddanie się bulli *Unigenitus*<sup>45</sup> pierwszą z cnót. Ryszard, mój sekretarz, był jednym z komisarzy.

Dwaj zakonnicy przybyli na miejsce, rozlokowali się w klasztorze Hudsona i zaczęli po cichu zasięgać języka. Niebawem zebrali listę mieszczącą więcej zbrodni niż potrzeba, aby zamknąć pięćdziesięciu mnichów *in pace*<sup>46</sup>. Pracowali długo, ale wzięli się do dzieła z taką ostrożnością, iż nic nie przeniknęło na zewnątrz. Hudson mimo całego sprytu zbliżał się do kresu zguby bez najmniejszej tego świadomości. Wszelako opieszałość nowo przybyłych w ubieganiu się o jego względy, tajemność ich pobytu, wycieczki ich to wspólne, to oddzielne, częste narady z zakonnikami, szczególne odwiedziny, jakie przyjmowali raz po raz, wszystko to obudziło w nim pewien niepokój. Zaczął ich śledzić, sam i przez swoich ludzi; niebawem przedmiot posłannictwa stał mu się jasnym. Nie stracił przytomności. Zatopił się głęboko w szukaniu sposobów: i to nie uniknięcia grożącej burzy, ale ściągnięcia jej na głowę samychże komisarzy. Oto niezwykła droga, jakiej się chwycił.

Hudson uwiódł był przed niedawnym czasem młodą dziewczynę i trzymał ją w ukryciu, w małym mieszkanku na przedmieściu św. Medarda. Biegnie do niej i odzywa się w te słowa: „Moje dziecko, wszystko odkryte, jesteśmy zgubieni; nim upłynie tydzień, znajdziesz się w więzieniu, a co ze mną będzie, sam nie wiem. Żadnej rozpaczy, żadnych krzyków; trzeba zebrać całą przytomność. Bądź posłuszna, zrób, co ci powiem, spraw się dobrze, a odpowiadam za resztę. Jutro wyjeżdżam na wieś. Podczas mej nieobecności zgłoś się do dwóch zakonników, których ci wskażę. — Tu podał nazwiska komisarzy. — Załadaj tajemnej rozmowy. Skoro się znajdziesz z nimi sama, rzuć się im do kolan, błagaj o pomoc, o sprawiedliwość, o pośrednictwo u generała, u którego wiadomo ci rzekomo, iż posiadają wielkie wpływy. Płacz, szlochaj, wydzieraj sobie włosy, opowiedz całą naszą historię; a opowiedz w sposób zdolny ściągnąć całe współczucie ku sobie, a oburzenie na mnie”.

— Jak to, ojcze, mam powiedzieć...

— Tak, masz powiedzieć, kto jesteś, skąd pochodzisz; masz powiedzieć, że cię uwiodłem, korzystając ze zbliżenia przy konfesjonale, uprowadziłem z domu rodziców i ukryłem w tym oto mieszkanku. Powiedz, iż wydarłszy honor i popchnąwszy do zbrodni, rzuciłem cię na pastwę nędzy, powiedz, że nie wiesz, co począć.

— Ależ ojcze...

— Wykonaj ściśle, co każe, albo też bądź pewna swojej i mojej zguby. Owi zakonnicy niechybnie użalą się nad tobą, zapewnią o pomocy i załadają drugiego spotkania, które przyjmiesz skwapliwie. Wywiedzą się o ciebie i twoją rodzinę, a ponieważ nie powiesz nic, co by nie było prawdą, nie będą mieli powodu cię podejrzewać. Po pierwszym i drugim widzeniu powiem, co wypadnie czynić za trzecim. Myśl tylko o tym, aby dobrze odegrać swą rolę.

Wszystko spełniło się, jak Hudson powiedział. Wyjechał w ponowną podróż. Komisarze uprzedzili o tym młodą dziewczynę; stawiała się w klasztorze. Załadali ponownego opowiedzenia dziejów jej nieszczęścia. Podczas gdy opowiadała jednemu, drugi notował rzecz w swoich zapiskach. Wzdychali nad jej losem, powiadomili ją o rozpaczy rodziców, aż nadto prawdziwej, przyrzekli bezpieczeństwo osoby i rychłą pomstę na uwodzicielu; ale pod warunkiem, że podpisze swoje zeznania. To żądanie spotkało się zrazu z oporem; wreszcie pod wpływem nalegań zgodziła się. Chodziło tylko o dzień, godzinę i miejsce sporządzenia aktu, co wymagało czasu i swobody... „Tu, w klasztorze, niemożliwe; gdy-

<sup>44</sup>konsystorz w Mirepoix — Boyer, biskup Mirepoix, jeden z najzacieklejszych przeciwników jansenizmu. [przypis tłumacza]

<sup>45</sup>*Unigenitus Dei filius* — początkowe słowa bulli wydanej przez papieża Klemensa XI w r. 1713 (za poduszaniem spowiednika Ludwika XIV, mnicha Le Tellier), potępiająca 101 ustępów z jansenistycznych *Reflexions morales* Quesnela. Bulla ta stała się początkiem długiego rozdrojenia wśród katolików i kleru we Francji. [przypis tłumacza]

<sup>46</sup>*in pace* — [dosł. z łac.: w pokoju; Red. WL] tak nazywało się więzienie klasztorne dla niesfornych mnichów. [przypis tłumacza]

by przeor powrócił... gdyby mnie zastał... U mnie, nie śmiałybym ojców zapraszać...” Rozstali się wreszcie, zostawiając sobie wzajem nieco czasu dla usunięcia tych trudności.

Tegoż jeszcze dnia Hudson otrzymał raport o biegu zdarzeń. Radość jego nie miała granic: oto zbliża się chwila tryumfu! niebawem nauczy tych żółtodzióbów, z jakim człowiekiem mają do czynienia. „Biecz pióro — rzekł do dziewczyny — i naznacz schadzkę w miejscu, które ci wskażę. Będzie im po myśli, możesz być pewna. Dom jest uczciwy, a kobieta, która go zajmuje cieszy się w sąsiedztwie i u współmieszkańców najlepszą sławą”.

Trzeba wiedzieć, iż ta kobieta była jedną z owych przebiegłych intrygantek, które pod płaszczykiem dewocji wślizgują się w najlepsze domy i słodkim, życzliwym a obleśnym obejściem zdobywają sobie zaufanie matek i córek, aby je przywieść do zguby. Hudson posługiwał się nią często w tym celu; była to jego najlepsza agentka. Czy wtajemniczył damę w swoje zamiary, nie wiem.

Wysłannicy generała zgodzili się na miejsce schadzki i w umówionej porze spotkali się z młodą dziewczyną. Gospodyni usuwa się dyskretnie. Zaczyna się omawianie protokołu, kiedy w domu rozlega się hałas.

— Czego szukacie panowie? — Szukamy imć pani Simion. (Było to nazwisko intrygantki). — Oto drzwi jej pomieszkania.

Rozlega się gwałtowne pukanie. „Panowie — rzecze młoda dziewczyna do zakonników — czy mam się odezwać?”

— Odezwij się.

— Mamż otworzyć?

— Otwórz...

Człowiek dobijający się do drzwi był to komisarz, z którym Hudson żył za pan brat, kogóż on bowiem nie znał! Zwierzył mu się z niebezpieczeństwa i podyktował rolę. „Ho, ho — rzekł komisarz wchodząc — dwaj zakonnicy w miłym sam na sam z dziewczką! Na honor, wcale przystojna”. Młoda dziewczyna była tak nieskromnie ubrana, iż niepodobieństwem było omylić się co do jej rzemiosła i rodzaju stosunków jakie, mogły ją łączyć z dwoma mnichami, z których starszy nie miał trzydziestu lat. Ci poczęli się zaklinać o swojej niewinności. Komisarz podśmiewał się, głaszcząc pod brodę dziewczynę, która rzuciła mu się do nóg błagając zmiłowania. „Jesteśmy w uczciwym domu”, mówili zakonnicy.

— Tak, tak, w uczciwym domu — powtarzał komisarz.

— Przybyliśmy dla ważnej sprawy.

— Znamy te ważne sprawy, dla których się tu przychodzi. Panienko, proszę mówić.

— Panie komisarzu, ci panowie powiadają szczerą prawdę.

Komisarz zabrał się z kolei do protokołu; ponieważ zawierał jedynie proste zestawienie faktów, mnichy zmuszone były podpisać. Tymczasem mieszkańcy domu wylegli każdy przed swoje drzwi; u bramy zebrało się liczne zbiegowisko, otaczające dorożkę i gwardzistów. Wśród gwaru padających wyzwisk i obelg wsadzono mnichów do dorożki. Ukryli twarze w płaszczach, płacząc ze wstydu i rozpacz. Przewrotny komisarz wykrzykiwał: „I po cóż, moi ojcowie, uczęszczać do takich domów, po co wdawać się z tymi istotami! Ale upiecze się wam; mam rozkaz policji oddać was w ręce superiora, który jest zacnym i ludzkim człowiekiem, nie będzie przykładał do tego więcej wagi niż warto. Nie sądzę, aby w waszych klasztorach uciekano się do takich środków, jak u tych barbarzyńskich kapucynów. Gdybyście mieli do czynienia z kapucynami, o, na honor, wtedy żal by mi was było”.

Gdy tak komisarz przemawiał, wehikuł zbliżał się do klasztoru; ciżba ludu rosła, otaczała dorożkę, biegła przed nią, za nią, ile nogi mogły nadążyć. Słyszano na wszystkie strony: „Cóż to takiego?... To mnichy... Co zrobili?... Przyłapano ich u dziewcząt... Premonstranci u dziewcząt!... Ano tak: wstępują w ślady karmelitów i franciszekanów...” Wreszcie przybyli. Komisarz wysiada, puka do drzwi raz, drugi, trzeci; w końcu otwierają. Posyła uwiadomić superiora Hudsona, który każe na siebie czekać przynajmniej pół godziny, aby dać zgorszeniu pełną okazalność. Zjawia się wreszcie. Komisarz szepce mu do ucha; wygląda tak, jakby komisarz coś przedkładał, Hudson zaś szorstko odrzucił prośbę. W końcu przybierając twarz surową i głos stanowczy, ojciec superior rzekł: „Nie



ma rozwiązanych zakonników w moim domu; to jacyś dwaj obcy ludzie, może przebrani oszuści; nie znam ich: czyni pan z nimi, co mu się podoba”.

Na te słowa brama się zamyka; komisarz wraca do pojazdu i powiada nieborakom na wpół żywym ze wzruszenia: „Zrobiłem, co mogłem; nigdy bym nie przypuszczał, aby ojciec Hudson był taki twardy. Ale też po kiego licha włóczyć się po dziewczętach?”.

— Jeśli ta, z którą nas pan zastałeś, jest istotnie osobą złego prowadzenia, z pewnością nie chęć rozpusty zawiodła nas do niej.

— Och, och, moi ojczaszku, staremu komisarzowi mówicie takie rzeczy! Któż wy jesteście?

— Jesteśmy zakonnicy; mamy pełne prawo do sukni, jaką nosimy.

— Pomyślcie, że jutro wasza sprawa musi się wyjaśnić; mówcie prawdę: mógłbym wam może w czym usłużyć.

— Powiedzieliśmy prawdę... Ale gdzie my jedziemy?

— Do Châtelet.

— Jak to! do więzienia?

— Bardzo na tym boleję.

Tam to w istocie pomieszczono Ryszarda i jego towarzysza; ale nie było zamiarem Hudsona dać im tam pozostać. Wsiada w dyliżans pocztowy, przybywa do Wersalu; mówi z ministrem; przedstawia sprawę tak, jak mu było na rękę. „Oto, Eksceleńco, na co się jest narażonym, kiedy się przeprowadza reformy w rozprzężonym zakonie i wypędza zeń heretyków. Chwila później, a byłbym zgubiony, zbezczeszczony. Prześladowanie nie ustanie na tym; usłyszy Eksceleńca wszystkie ohydy, jakimi zawiść zdoła obrzucić uczciwego człowieka; ale mam nadzieję, Jego Wielebność zechce pamiętać, że nasz generał...”

— Wiem, wiem i współczuję z panem. Usługi, jakie pan oddał Kościołowi i swemu zakonowi nie będą zapomniane. Wybrańcy Pańscy byli we wszech czasach wystawieni na prześladowania: umieli je ścierpieć; trzeba naśladować ich męstwo. Licz pan na łaskę i poparcie króla. Ach, mnichy! mnichy! jadłem ich chleb i wiem z doświadczenia, do czego są zdolni.

— Gdyby szczęście Kościoła i Państwa zechciało, aby Wasza Eminencja mnie przeżyła, wytrwałbym bez obawy.

— Nie omieszkam pana wydobyć z kłopotu. Bądź spokojny.

— Nie, Eminencjo, nie oddalę się bez doraźnego rozkazu uwalniającego tych dwóch zbłąkanych zakonników.

— Widzę, że część religii i twojej sukni przenika cię aż do zapomnienia uraz osobistych; to iście po chrześcijańsku; buduje mnie to, aczkolwiek nie dziwi u człowieka takiego jak pan. Postaram się, by sprawa nie miała rozgłosu.

— Och, Eksceleńca przepelnia duszę moją radością! Na razie to wszystko, czego się obawiałem.

— Zajmę się tym osobiście.

Tegoż samego wieczora Hudson uzyskał dekrety uwalniające, nazajutrz zaś o świcie Ryszard i jego towarzysz znaleźli się o dwadzieścia mil za Paryżem pod eskortą urzędnika policji. Ten wiozł zarazem list upominający generała, aby zaniechał podobnych matactw i aby nałożył karę kłaustralną na obu zakonników.

Przygoda ta rzuciła postrach między nieprzyjaciół Hudsona; nie było w całym klasztorze mnicha, którego by wzrok superiora nie przyprawiał o drżenie. W kilka miesięcy później otrzymał bogate probostwo. Generał rozgorczył się tym śmiertelnie. Był stary i miał wszelkie przyczyny lękać się, by Hudson nie zajął jego miejsca. Kochał on serdecznie Ryszarda. „Mój biedny przyjacielu — rzekł — co by się z tobą stało, gdybyś się dostał pod władzę tego zbrodniarza? Przeraza mnie to. Nie złożyłeś ślubów; posłuchaj mej rady i powieś habit na kołku...” Ryszard usłuchał i wrócił do rodzinnego domu, który znajdował się niezbyt daleko od nadanego świeżo Hudsonowi probostwa.

Hudson i Ryszard obracali się w tych samych kołach; niemożliwe było, aby się nie spotkali. Ryszard bawił jednego dnia u pani zamku położonego między Châlons i Saint-Dizier (ale bliżej Saint-Dizier niż Châlons), o strzelenie fuzji od probostwa Hudsona. Wśród rozmowy dama rzekła: „Mamy w okolicy dawnego pańskiego przeora: w towarzystwie jest to bardzo miły człowiek; ale jaki on jest w gruncie?”.

— Najlepszym z przyjaciół i najniebezpieczniejszym z wrogów.

— Czybyś pan nie miał ochoty się z nim spotkać?

— Ani trochę...

Zaledwie wymówił te słowa, dał się słyszeć turkot kabrioletu wjeżdżającego w dziedziniec; wysiadł zeń Hudson w towarzystwie jednej z najpiękniejszych kobiet w okolicy. „Spotkasz go pan i bez ochoty — rzekła pani — oto właśnie on”. Pani zamku i Ryszard śpieszą naprzeciw damy i księdza proboszcza. Panie ściskają się: Hudson, zbliżając się do Ryszarda i poznając go, wykrzykuje: „Ejże, to ty, drogi Ryszardzie? Chciałeś mnie zgubić, ale przebaczam ci; ty wzajem przebac mi wizytę w Châtelet i nie myślmy o tym więcej”.

— Przyznaj, księżu proboszczu, że okazałeś się wielkim łajdakiem.

— Być może.

— Że gdyby się było stało wedle sprawiedliwości, wizyta w Châtelet należała się nie mnie, ale tobie.

— Być może... Toteż, sądzę, iż niebezpieczeństwu, w jakim się wówczas znalazłem, zawdzięczam obecną zmianę obyczajów. Ach, drogi Ryszardzie, ileż mi to dało do myślenia i jakżeż się odmieniłem!

— Dama, z którą ojciec przyjechał, jest urocza.

— Nie mam już oczu na te powaby.

— Co za kibić!

— To mi się stało zupełnie obojętne.

— Co za okragłości!

— Prędzej czy później woli się człowiek wyrzec przyjemności, której zażywa jakoby na szczycie dachu, z obawą skręcenia karku przy każdym poruszeniu.

— Rączki najpiękniejsze w świecie.

— Nie pretenduję do nich. Być w zgodzie ze swym stanem i obowiązkami, oto jedyne prawdziwe szczęście.

— A co za spojrzenia rzuca na pana ukradkiem! Przyznaj, ojczulku, jako znawca, iż nie często zdarzyło ci się ściągać bardziej żywe i słodkie zarazem. Co za wdzięk, co za lekkość, szlachetność w chodzie, w ruchach!

— Nie myślę o tych marnościach; czytam Pismo Święte, rozpamiętuję Ojców Kościoła.

— A od czasu do czasu doskonałości tej damy. Czy daleko mieszka od probostwa? A mąż, czy młody?...

Hudson, zniecierpliwiony tymi pytaniami i głęboko przekonany, iż Ryszard nie złapie się na jego świętość, rzekł nagle: „Mój Ryszardzie, ty robisz kpa ze mnie i masz słuszność<sup>47</sup>”.

Wybacz mi, drogi czytelniku, drastyczność wyrażenia; i przyznaj, iż tutaj, jak w niezmiernie ilości przednich opowiadań, takich na przykład jak słynna rozmowa Pirona<sup>48</sup> z nieboszczykiem księdzem Vatri, słowo przystojne zepsułoby wszystko. — Cóż to za rozmowa Pirona z księdzem Vatri? — Idźcie spytać wydawcy jego dzieł, który nie miał odwagi jej wydrukować, ale który nie będzie się zbyt drożył z opowiedzeniem.

Nasi czterej podróżni spotkali się w zamku; spożyli wspólnie obiad smacznie i wesoło i pod wieczór pożegnali się, z nadzieją spotkania się znowu... Otóż podczas gdy margrabia des Arcis rozmawiał z panem, Kubuś ze swej strony nie siedział niemo z sekretarzem Ryszardem. Kubuś wydał się temu ostatniemu szczerym oryginałem, co zdarzałoby się częściej między ludźmi, gdyby najpierw wychowanie, a następnie szkoła świata nie ścierały ich jak sztuki srebra, które od długiego obiegu tracą swoje piętno. Było późno; zegar upominał panów i służących, że nadchodzi pora spoczynku; posłuchali go.

Kubuś rozbierając pana, rzekł: „Panie, czy pan lubi obrazy<sup>49</sup>?”.

<sup>47</sup>Mój Ryszardzie, ty robisz kpa ze mnie i masz słuszność — drastyczność tego epitetu zatraciła się znacznie w dzisiejszej polszczyźnie. Inaczej jednak brzmiał on uchu dawniej, gdy pamiętano jeszcze jego właściwe pochodzenie [starop. *kiep* — kobiece genitalia, srom; także: męczyzna zniewieściał, zachowujący się nie po męsku; Red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>48</sup>Piron (1689–1773) — komediopisarz i poeta satyryczny, głośny z ciętych i jadowitych epigramów. [przypis tłumacza]

<sup>49</sup>czy pan lubi obrazy — Diderot był znakomitym znawcą sztuki i właściwym twórcą krytyki malarskiej. Jego *Salons* pozostały do dziś dnia interesującym dokumentem tej strony jego twórczości, dla współczesnych zaś każdorazowe ich pojawienie było w Paryżu ważnym wypadkiem dnia. Estetyczne pojęcia Diderota wywarły znaczny wpływ na Lessinga. [przypis tłumacza]

PAN: Tak, ale w opowiadaniu; o ile bowiem są w kolorach i na płótnie, to mimo iż wyrokuję o nich równie stanowczo jak najtęższy znawca, przyznam ci się, że nic a nic się na tym nie rozumiem. Byłbym w wielkim kłopotcie, gdyby mi kazano odróżnić jedną szkołę od drugiej; można by mi wmówić Bouchera<sup>50</sup> jako Rubensa albo Rafaela; wziąłbym łatwo lichą kopię za niedościgły oryginał; oceniłbym na sześć tysięcy talarów sześćofrankową bazgrołę, na sześć zaś franków sztukę wartą sześć tysięcy. Nigdy nie zaopatrywałem się w obrazy gdzie indziej niż na moście Najświętszej Panny, u niejakiego Tremblina, który był za mego czasu opatrnością nędzy lub rozpusty i zagładą talentu młodych uczniów mistrza Vanloo<sup>51</sup>.

KUBUŚ: W jaki sposób?

PAN: Co ci o to? Opowiedz mi swój obraz i bądź zwięzły, upadam bowiem z senności.

KUBUŚ: Niech się pan tedy postawi przed fontanną Niewiniątek albo też blisko bramy świętego Dionizego; te dwa szczegóły wzbogacą kompozycję.

PAN: Już tam stoję.

KUBUŚ: Ujrzy pan w pośrodku ulicy dorożkę przewróconą na bok, ze złamanym stopniem.

PAN: Już widzę.

KUBUŚ: Gramoli się z niej mnich i dwie dziewczyny. Mnich umyka co tchu. Woźnica z pośpiechem złączy z kozła. Piasek woźnicy puszcza się w pogoń za mnichem i chwytą go za poję habitu; mnich robi, co może, aby się uwolnić. Jedna z dziewczyn, rozmamana, z odkrytą piersią, trzyma się za boki od śmiechu. Druga, która sobie nabiła guza na czole, oparła się o drzwiczki dorożki i ściska głowę obiema rękami. Tymczasem zebrała się ciżba ludu, ulicznicy zbiegają się wydając okrzyki, kramarze i kupczychy wylęgają na próg kramików, inni zaś spektatorzy wychylają się do pół ciała z okien.

PAN: Tam do licha! Kubusiu, oto kompozycja obrazu dobrze rozmieszczona, bogata, miła dla oka, urozmaicona i pełna ruchu. Za powrotem do Paryża zanieś ten temat Fragonardowi<sup>52</sup>, a zobaczysz, co zeń zrobi.

KUBUŚ: Po tym, co mi pan wyznał o swym znawstwie w sztuce malowania, mogę przyjąć pochwałę, nie spuszczać oczu.

PAN: Założyłbym się, że to jedna z przygód ojczulka Hudsona.

KUBUŚ: To prawda.

Czytelniku, podczas gdy nasi przyjaciele śpią, miałbym ochotę podsunąć ci do poduszki małe zagadnienie; czym byłoby dziecko urodzone z ojca Hudsona i pani de La Pommeraye? — Być może dzielnym człowiekiem. — Być może wspaniałym łajdakiem. — Opowiesz mi to jutro rano.

Nadeszło to rano i podróżni rozstali się; margrabia des Arcis jechał bowiem w inną stronę. — Usłyszymy tedy może dalszy ciąg amorów Kubusia? — Mam nadzieję: natomiast zupełnie pewne jest, że pan jego wie już, która godzina, zacerpnął niuch tabaki i rzekł: „I cóż, Kubusiu, a twoje amory?”

Kubus zamiast odpowiedzieć na pytanie prawil: „Nie sąż to czorty! Od rana do wieczora wyklinają to życie, a nie mogą się zdobyć, aby je porzucić! Czyżby to znaczyło, iż wszystko razem wzięwszy, życie nie jest tak złą rzeczą, czy może obawiają się trafić na coś gorszego?”

PAN: I jedno, i drugie. Ale, ale, Kubusiu: wierzysz ty w życie przyszłe?

KUBUŚ: Ani wierzę ani nie wierzę; nie myślę o nim. Cieszę się, jak umiem tym, które nam tu dano jako zadatek przyszłej sukcesji.

PAN: Co do mnie, uważam się niby za poczwarkę; chętnie wyobrażam sobie, że motyl, czyli moja dusza, przebiwszy jednego dnia skorupę, wzleci w górę, ku sprawiedliwości boskiej.

KUBUŚ: Prześliczny obrazek.

<sup>50</sup>Boucher (1703–1770) — jeden z najcenniejszych malarzy francuskich XVIII stulecia. [przypis tłumacza]

<sup>51</sup>Vanloo — nazwisko rodziny holenderskiej, która wydała z ojca na syna szereg wybitnych malarzy osiadłych w XVII i XVIII w. w Paryżu. [przypis tłumacza]

<sup>52</sup>Fragonard (1732–1804) — jeden z najwybitniejszych malarzy francuskiej szkoły XVIII w. [przypis tłumacza]

PAN: Nie mój; znalazłem go, zdaje mi się, u pewnego poety włoskiego nazwiskiem Dante, który napisał dzieło pod tytułem: *Komedia Piekla, Czyścica i Raju*<sup>53</sup>.

KUBUŚ: To mi szczególnie przedmiot do komedii!

PAN: Są tam, dalipan, ładne rzeczy, zwłaszcza w owym Piekle. Zamyka herezjarchów w grobowce z ognia, z których płomień wymyka się i szerzy daleko pożogę; niewdzięczników w jaskinie, gdzie lzy płynące z oczu ścinają się im w lód na twarzach; leniwców w innych znów jaskiniach; powiada o nich, że krew wycieka im z żył, a zbierają ją wżgardliwe robaki... Ale skąd ci się wzięła wycieczka przeciw naszej pogardzie dla życia, które wszelako lękamy się stracić?

KUBUŚ: Z tego, co mi sekretarz margrabiego des Arcis opowiadał o mężu pięknej pani w kabriolecie.

PAN: Jest wdową!

KUBUŚ: Straciła męża w czasie podróży do Paryża; kłopot był z tym, że ów człowiek, uparty jak diabeł, nie chciał słyszeć o sakramentach. Właśnie owej pani zamku, gdzie Ryszard spotkał ojca Hudsona, poruczono zadanie pojednania go z czepeczkiem.

PAN: Co chcesz powiedzieć przez swój czepeczek?

KUBUŚ: Czepeczek jest to ubranie głowy, które wkłada się niemowlętom.

PAN: Rozumiem. I jakżeż wzięła się do tych oczepin?

KUBUŚ: Wszyscy skupili się koło kominka. Lekarz, zmacawszy puls chorego i znalazłszy, że jest bardzo nietęgi, przysiadł sobie koło łóżka. Wspomniana dama zbliżyła się doń i nawiązała rozmowę, tak aby chory nie stracił ni słowa z tego, co mu zamierzali włożyć w mózgownicę.

DAMA: I cóż, doktorze, co nam powiesz nowego o pani de Parme?

DOKTOR: Przed chwilą upewniano mnie, że stan jest beznadziejny.

DAMA: Ta księżniczka zawsze zdradzała niezwykłą pobożność. Skoro tylko uczuła się w niebezpieczeństwie, sama zażądała natychmiast spowiedzi i sakramentów.

DOKTOR: Proboszcz św. Rocha ma jej zawieźć dzisiaj relikwie do Wersalu i zdaje się, że przybędą za późno.

DAMA: Nie tylko pani Infantka świeci tak budującym przykładem. Książę de Chevreuse, który był ciężko chory, nie czekał, aż mu podsuną sakramenta, zażądał ich sam z siebie: czym sprawił wielką przyjemność rodzinie.

DOKTOR: Już się ma znacznie lepiej.

JEDEN Z OBECNYCH: To pewna, że to nie przyspiesza śmierci; całkiem przeciwnie.

DAMA: W istocie, z chwilą gdy się pojawi niebezpieczeństwo, każdy powinien by uczynić zadość tym obowiązkom. Chorzy nie zdają sobie widocznie sprawy, jak bardzo ciężkim, a jednak nieodzownym jest dla otoczenia namawiać ich do tego!

DOKTOR: Wracam od pewnego chorego, który mi rzekł przed dwoma dniami: „Doktorze, jak mnie znajdujesz?”

— Hm, panie drogi, gorączka silna, nawroty częste...

— Czy myślisz, że grozi niebawem taki nawrót?

— Nie, obawiam się go dopiero wieczór.

— Skoro tak, muszę dać znać pewnej osobie, z którą mam załatwić drobną sprawę osobistą. Pragnę ukończyć ją, póki jeszcze mam swobodną głowę... Wyspowiadał się, przyjął sakramenty. Przychodził wieczorem, gorączki ani śladu. Wczoraj miał się znacznie lepiej, dziś jest na nogach. Wiele razy w ciągu mej praktyki widywałem taki skutek świętych sakramentów.

CHORY *do służącego*: Przynieś mi kurczę.

KUBUŚ: Podają; chce krajać, ale nie ma siły, rozskubują mu skrzydełko na drobne kawałeczki; woła o chleb, chwytając łapczywie, robi wysiłki, aby zżuć kęs, którego nie jest w stanie przełknąć i zwraca go w serwetę; żąda czystego wina, macza w nim usta i mówi: „Czuję się znacznie lepiej”... Tak, ale w pół godziny potem już nie żył.

PAN: Wszelako ta dama dobrze się brała do rzeczy... A twoje amory?

KUBUŚ: A warunek, na który się pan zgodził?

<sup>53</sup>*Komedia Piekla, Czyścica i Raju* — *Non v'acorgete voi che noi siam vermi/ Nati a formar l'angelica farfalla/ Che volla alla giustizia senza schermi?* (Dante, *Czyściciec*, pieśń X, w. 123). [przypis tłumacza]

PAN: Rozumiem... Siedzisz tedy w zamku Desglands'a jak u pana Boga za piecem; stara Joanna nakazała młodej Dyzi, aby cię odwiedzała cztery razy na dzień i pielęgnowała najtroskliwiej. Ale zanim posuniemy się naprzód, powiedz mi, czy panna Dioniza posiadała jeszcze swój klejnot paniński?

KUBUŚ *zakaszlnąwszy się*: Tak sędzę.

PAN: A ty?

KUBUŚ: Ech, mój, to już sporo czasu, jak wędrował po świecie.

PAN: Więc to nie była twoja pierwsza miłość?

KUBUŚ: Dlaczego?

PAN: Bo powiadają, iż kocha się tę, której się go oddało, a jest się kochanym przez tę, której się go weźmie.

KUBUŚ: Czasami tak, czasami nie.

PAN: A jak go straciłeś?

KUBUŚ: Wcale nie straciłem; przeschrowałem po prostu.

PAN: Opowiedz mi coś o tej szacherce.

KUBUŚ: To będzie pierwszy rozdział Ewangelii św. Łukasza, litania samych *geniit* bez końca, począwszy od pierwszej aż do Dyzi na ostatku.

PAN: Która myślała, że jest pierwszą, a nie była.

KUBUŚ: A przed Dyzią dwie sąsiadki moich rodziców.

PAN: Które mniemały, że są pierwsze, a nie były?

KUBUŚ: Nie.

PAN: Chybić takiego ptaszka we dwie strzelby, to diabelne pudło.

KUBUŚ: Ot, panie, zgaduję, po kąciku pańskiej prawej wargi, który się podnosi, i lewej dziurce od nosa, która się kurczy, iż lepiej będzie, gdy spełnię rzecz z dobrej woli, niż żebym się miał dać prosić; tym bardziej, że czuję silniejszy ból gardła i starczy mi tchu ledwie na jedną albo dwie powiastki.

PAN: Gdyby Kubuś chciał mi sprawić wielką przyjemność...

KUBUŚ: Jakżeby się wziął do rzeczy?

PAN: Rozpocząłby od utraty swego klejnotu. Mam ci powiedzieć prawdę? Zawsze byłem łasy na opowieści o tym wielkim wydarzeniu.

KUBUŚ: A dlaczego, jeśli łaska?

PAN: Dlatego, że ze wszystkich tego rodzaju przygód ta jedynie jest interesująca; inne są jeno bezbarwnym i pospolitym powtórzeniem. Ze wszystkich grzeszków ładnej penitentki, jestem pewien, że spowiednik tego jednego słucha z pełną uwagą.

KUBUŚ: Panie, panie, widzę, że pan jest porządnie zepsuty i że przy skonaniu diabeł mógłby się snadnie panu ukazać pod tą postacią co Ferragusowi<sup>54</sup>.

PAN: Możliwe. Ale co do ciebie, założyłbym się, że patent na męczyznę zawdzięczasz jakiejś starej ladacznicy z waszej wioski.

KUBUŚ: Niech się pan nie zakłada, bo pan przegra.

PAN: Zatem gospodyni księdza proboszcza?

KUBUŚ: Niech się pan nie zakłada, bo pan znów przegra.

PAN: Zatem jego siostrzenica...?

KUBUŚ: Jego siostrzenica aż dławiała się od złości i nabożeństwa; dwie cnoty, które bardzo dobrze czują się w swoim sąsiedztwie, ale w których sąsiedztwie ja czuję się fatalnie.

PAN: No, teraz myślę, że już zgadnę...

KUBUŚ: Ja wcale nie myślę.

PAN: W pewien dzień jarmarczny lub targowy...

KUBUŚ: Ani jarmarczny, ani targowy.

PAN: Poszedłeś do miasta.

KUBUŚ: Nie poszedłem wcale do miasta.

PAN: I było napisane w górze, że spotkasz w jakimś szynczku uczynną istotę; zaprószywszy sobie nieco głowę...

<sup>54</sup>*Ferragus* — Ferragus nie z *Orlanda szalonego*, ale z wspomnianego naśladownictwa Fort-Guerry. [przypis tłumacza]

KUBUŚ: Nie wypilem ani kropli; było natomiast napisane w górze, iż w godzinie, którą mamy obecnie, będzie się pan wysilał na błędne przypuszczenia i popadnie w wadę, z której mnie pan wyleczył, to jest manię zgadywania, a zawsze fałszywie. Zatem, trzeba panu wiedzieć, iż pewnego pięknego dnia ochrzczono mnie.

PAN: Jeśli historię utraty dziewictwa masz zamiar zacząć od chrzcina, nie dopłyniemy zbyt szybko do końca.

KUBUŚ: Miałem wtedy chrzestnego ojca i chrzestną matkę. Stary Byk, najslawniejszy stelmach we wsi, miał syna. Byk-ojciec był moim chrzestnym ojcem, Byk-syn moim przyjacielem. Mając po osiemnaście czy dziewiętnaście lat, zadurzyliśmy się obaj w szwaczusi imieniem Justyna. Nie uchodziła w ogóle za zbyt okrutną; ale uważała za właściwe poprawić sobie reputację pierwszym koszykiem i wybór jej padł na mnie.

PAN: Oto jedno z dziwactw kobiecych, które człowiek daremnie sili się pojąć.

KUBUŚ: Całe mieszkanie majstra Byka, mego chrzestnego ojca, składało się z warsztatu i stryszku. Łóżko majstra stało w głębi warsztatu. Młody Byczek, mój przyjaciel, sypiał na stryszku, na który wchodziło się po drabince znajdującej się w równej mniej więcej odległości od ojcowskiego łóżka i od drzwi sklepu.

Skoro Byk, mój ojciec chrzestny, zasnął na dobre, przyjaciel Byczek otwierał ostrożnie drzwi i Justysia wsuwała się na stryszek po drabince. Nazajutrz z pierwszym brzaskiem, zanim Byk-ojciec się obudził, Byczek, syn jego, schodził ze stryszku, otwierał drzwi i Justysia wymykała się tak, jak weszła.

PAN: Aby śpieszyć na inny stryszek, własny lub cudzy?

KUBUŚ: Czemu nie? Pożycie Byczka i Justysi płynęło dość słodko, ale niebawem miało ulec zmaczeniu: tak było napisane w górze, tak więc się stało.

PAN: Ze strony ojca?

KUBUŚ: Nie.

PAN: Matki?

KUBUŚ: Nie, nie żyła.

PAN: Jakiegoś rywala?

KUBUŚ: Ech, nie, nie, do stu tysięcy par diabłów, nie. Mój panie, napisane jest w górze, że się pan z tego nie podźwigniesz do końca swoich dni; dopóki będziesz żył, będziesz zgadywał, powtarzam panu, i to zgadywał fałszywie.

Jednego ranka, kiedy przyjaciel Byk, bardziej znużony niż zazwyczaj, czy to pracą dnia poprzedniego, czy trudami nocy, odpoczywał słodko w ramionach Justysi, nagle rozlega się straszliwy głos u stóp drabinki: „Byk! Byk! przeklęty leniuchu! Anioł Pański już wydzwoniono, jest blisko wpół do szóstej, a ty jeszcze na stryszku! Czy masz zamiar gnić tam do południa? Chcesz, abym wylazł na górę i sprowadził cię nieco szybciej niżbyś miał ochotę? Byk! Byk!”.

— Słucham ojca?

— A oś, na którą czeka ten stary zrzęda, dzierżawca z sąsiedztwa; chcesz, aby znów nas nachodził i wyprawiał brewerie?

— Oś jest gotowa i nim upłynie kwadrans, będzie ją miał... Może pan sobie wyobrazić, co tymczasem przechodziła Justysia i mój biedny druh, Byk młodszy.

PAN: Jestem pewien, że Justysia poprzysięgła sobie nigdy nie wrócić na stryszek i że się tam znalazła jeszcze tego samego wieczora. Ale w jaki sposób wydostanie się owego ranka?

KUBUŚ: Jeżeli pan się czuje w obowiązku zgadywać, ja milknę... Owóz Byk-syn wyskakuje z łóżka, boso, z portkami w rękach i kamizelą na ramieniu. Podczas gdy się ubiera, Byk-ojciec mruczy przez zęby: „Od czasu, jak sobie nabił głowę tą łajdaczką, wszystko się rozłazi w domu. To się musi skończyć, to nie może trwać długo: zaczyna mnie to nudzić. Żeby jeszcze dziewczyna była warta; ale taka, taka!... Ha, gdyby biedna nieboszczka, kobieta uczciwa i honorna jak mało, widziała to, dawno by już chłopaka wyłoiła kijem, a dziewczusze wydrapała oczy pod bramą kościoła, po sumie, na oczach ludzi. Ho, ho! z nią nie było żartów! ja byłem za miętki; ale jeśli wyobrażają sobie, że i nadal tak pójdzie, to się mylą”.

PAN: Czy Justysia słyszała to wszystko ze stryszku?

KUBUŚ: Nie ma wątpienia. Tymczasem Byk-syn powędrował do dzierżawcy z osiã na ramieniu, Byk-ojciec zaś wziął się do roboty. Po kilku machnięciach hebla nos majstra zaczął domagać się niucha tabaki; szuka tabakierki w kieszeniach, pod poduszkã; nie znajduje. „To ten hultaj — powiada — musiał ściągnąć jak zazwyczaj; zobaczmyż, czy nie zostawił na górze...” I oto stary drapie się na stryszek. W chwilę później spostrzega, że zapodziała mu się gdzieś fajka i nóż; znów gramoli się na stryszek.

PAN: A Justysia?

KUBUŚ: Zgarnęła pospiesznie odzież i wśliznęła się pod łóżko, gdzie ułożyła się na płask na brzuszku, wpół żywa ze strachu.

PAN: A twój przyjaciel, Byczek?

KUBUŚ: Oddawszy oś, założywszy ją jak należy i odebrawszy zapłatę, przybiegł do mnie i zwierzył mi się ze swego straszliwego kłopotu. Zabawiwszy się nieco jego strapieniem, rzekłem: „Słuchaj, Byczku, idźże się przejść na wieś albo gdzie ci się podoba; już ja to biorę na siebie. Proszę cię tylko o jedno: byś mi zostawił nieco czasu”... Ale pan się uśmiecha, co panu chodzi po głowie...?

PAN: Nic.

KUBUŚ: Byk młodszy, mój przyjaciel, wychodzi. Ja się ubieram, zastał mnie bowiem jeszcze w łóżku. Idę wprost do starego, który ujrzawszy mnie, zaczął wydawać okrzyki zdziwienia i radości i rzekł: „Ho, ho, chrzestny synaczku, tyżes to! skąd przybywasz i co porabiasz tu tak wczesnym rankiem?...” Chrzestny ojciec miał dla mnie wiele prawdziwej przyjaźni; toteż rzekłem otwarcie: „Nie chodzi o to skąd idę, ale jak wrócę do domu”.

— He, he, chrzestny synalku, nicpoń się robi z ciebie; lękam się, że mój Byczek i ty tworzycie dobraną parę. Nie spałeś w domu?

— A ojciec nie zna, co to żarty na tym punkcie.

— Ma słuszność, chrzestny synaczku, ma słuszność. Ale zacznijmy od śniadania, butelka nam coś podszeptnie.

PAN: Kubusiu, ten człowiek wyznawał zdrowe zasady.

KUBUŚ: Odpowiedziałem, że nie czuję potrzeby i chęci jedzenia ani picia, jeno upadam ze znużenia oraz bezsenności. Stary Byk, który za młodych lat nie lada komu dałby się zawstydzić, uśmiechnął się pod wąsem i dodał: „Chrzestny synaczku, musiała być ładna i nie żalowaliście sobie. Słuchaj: Byczek wyszedł z domu, drapże się na górę i kładź na jego łóżko... Ale jedno słowo, zanim powróci. Żyjecie w przyjaźni; otóż kiedy zobaczycie się w cztery oczy, powiedz mu, że jestem niezadowolony, bardzo niezadowolony. Ta szelma Justysia, którą musisz znać (któryż bowiem chłopak we wsi jej nie zna?), rozwłóczyła mi go na nic; oddałbyś mi prawdziwą przysługę, gdybyś go odstręczył od dziewuchy. Przedtem był to chłop jak malowanie; owóz od czasu jak wdał się w tę nieszczęśliwą znajomość... ale ty ani słuchasz; oczy ci się kleją: idźże, idź na górę i spocznij sobie”.

Wchodzę, rozbieram się, podnoszę koldrę i prześcieradło, macam wszędzie, nie ma Justysi. Tymczasem Byk, mój chrzestny ojciec, mamrzał: „O, dzieci, przekłete dzieci! a ten znowu, nie gotujeż on zgryzoty swemu ojcu?”. Nie znalazłszy Justysi w łóżku, domyśliłem się, że musi być pod łóżkiem. Na górze było zupełnie ciemno. Schyłam się, szukam rękami, napotykam ramię, chwytam, ciągnę ku sobie; wysuwa się spod legowiska cała drżąca. Ściskam ją, ośmielam, daję znaki, aby się położyła. Składa ręce, rzuca mi się do nóg, obejmuje za kolana. Nie byłbym może oparł się tej niemej scenie, gdyby jasny dzień był ją oświecał; ale ciemność, skoro nie czyni człowieka trwożliwym, czyni go przedsiębiorczym. Zresztą miałem na wątrobie jej dawne grymasy. Za całą odpowiedź popycham ją ku schodkom prowadzącym do sklepu. Wydaje krzyk przerażenia. Byk usłyszał i rzekł: „Gada przez sen”. Justysia mdleje; kolana uginają się pod nią; na wpół przytomna powtarza zdławionym głosem: „On tu przyjdzie... już idzie... słyszę, jak idzie... zgubiona jestem!”... Nie, nie — odpowiadam przyciszonym głosem — uspokój się, bądź cicho i połóż się...” Upiera się w swoim wzdraganiu, ja upieram się również, w końcu daje za wygraną: i oto jesteśmy w łóżku, przytuleni do siebie.

PAN: Zdrajco! zbrodniarzu! Czy wiesz, jaką zbrodnię popełniasz w tej chwili? Dopuszczasz się na tej dziewczynie gwałtu: nie siłą, ale postrachem. Stawiony przez trybunałem, podpadłbyś całej surowości praw zastrzeżonych dla gwałcicieli.

KUBUŚ: Nie wiem, czy ją zgwałciłem, ale to wiem, że nie zrobiłem jej krzywdy i ona mnie także. Zrazu odwracając usta od moich pocałunków, szepnęła: „Nie, nie, Kubusiu, nie...” Na te słowa udałem, że wychodzę z łóżka i kieruję się ku schodkom. Powstrzymała mnie i rzekła, zbliżając usta do mego ucha: „Nigdy nie myślałam, że jesteś taki zły; widzę, że nie można spodziewać się po tobie litości; ale przynajmniej przyrzeknij mi, przysięgnij”...

— Co?

— Że on się nic nie dowie.

PAN: Przyrzekłeś, przysięgłeś i wszystko poszło bardzo dobrze.

KUBUŚ: I potem znów bardzo dobrze.

PAN: I potem jeszcze raz bardzo dobrze.

KUBUŚ: Jakby pan był przy tym. Tymczasem Byk, mój przyjaciel, niespokojny i znudzony, nablądziwszy długo dokoła domu i nie mogąc mnie nigdzie znaleźć, wraca do warsztatu, gdzie ojciec mówi zgryźliwie: „Długo się nasiedziałeś po próżnicy”... Byczek odpowiada jeszcze zgryźliwiej: „Po próżnicy! musiałem ścieńczać z obu końców tę przekłętą oś, która okazała się za gruba”.

— Przestrzegalem cię; ale ty zawsze chcesz robić swoim rozumem.

— To dlatego, że łatwiej ująć niż dodać.

— Weź to dzwono i idź je skończyć przed domem.

— Dlaczego przed domem?

— Bo byś tu obudził Kubusia, swego przyjaciela.

— Kubusia?...

— Tak, Kubusia, jest na górze na stryżku, wypoczywa. Ach, biedni doprawdy ci ojcowie; nie jedno, to drugie! No cóż tam? ruszysz ty się? Z tego że będziesz stał jak gamoń, ze spuszczoną głową, otwartą gębą i zwieszonymi ramionami, robota sama się nie odrobi... Przyjaciel Byk, wściekły, rzuca się ku schodkom; Byk chrzestny ojciec zatrzymuje go, wołając: „Gdzie idziesz? dajże się wyspać nieborakowi; upada ze znużenia. Na jego miejscu czy byłbyś kontent, gdyby cię ktoś niepokoił?”

PAN: A Justysia słyszała to wszystko?

KUBUŚ: Tak jak pan mnie słyszy.

PAN: I cóż ty zrobił?

KUBUŚ: Śmiałem się.

PAN: A Justysia?

KUBUŚ: Zerwała czepeczek z głowy, targała włosy; wznosiła oczy ku niebu, przynajmniej tak przypuszczałem; łamała ręce.

PAN: Kubusiu, jesteś barbarzyńca, masz kamień w piersiach.

KUBUŚ: Nie, panie, nie; mam serce, ale chowam je na lepszą okazję. Kto zbyt hojnie szafuje tym bogactwem, tyle go roztrwoni wówczas, kiedy trzeba było oszczędzać, że zbraknie mu go w porze, kiedy trzeba być rozrzutnym... Tymczasem, ubieram się i schodzę. Byk-ojciec powiada: „Potrzebowałeś tego, dobrze ci zrobiło; kiedy przyszedłeś, wyglądałeś jak z krzyża zdjęty, a teraz, ot: świeży i rumiany jak dzieciątko, gdy poszło piersi. Sen, to dobra rzecz!... Byczku, mój synu, zejdź no do piwnicy i przynieś buteleczkę, pośniadamy sobie. Teraz, chrześniaczk, pośniadasz chętnie?” — Bardzo chętnie... Zjawia się butelka, stawia ją na warsztacie, my stoimy dokoła. Byk-ojciec nalewa sobie i mnie; Byk-syn, usuwając szklankę, powiada opryskliwie: „Nie miewam pragnienia tak rano”.

— Nie chcesz pić?

— Nie.

— Ho, ho! już ja wiem, co w trawie piszczy: wierz mi, chrześniaczk, to rączka Justysi; musiał wstąpić do niej i albo jej nie zastał, albo też zastał z innym: te dąsy na butelkę, to nie jest rzecz naturalna, ja ci to powiadam.

JA: Hm, może pan i trafił.

BYK SYN: Jakubie, dość tych żartów; trafił czy nie trafił, nie lubię tego.

BYK OJCIEC: Nie chcesz pić, to nie: nam to nie przeszkodzi. Twoje zdrowie, chrześniaczk.

JA: Za wasze, chrzestny ojcze; Byczku, przyjacielu, wypij z nami. Znadto się sumujesz dla tak drobnej rzeczy.



BYK SYN: Powiedziałem już, że nie piję.

JA: I cóż? jeżeli ojciec zgadł, cóż u diaska, zobaczysz ją, porozumiecie się i przyznasz, że nie miałeś słuszności.

BYK OJCIEC: Ech, zostawże go; czyż nie godzi się, dalibóg, aby ta ladaco ukarała go za strapienie, jakiego mi przysparza? No, jeszcze łyk i przejdźmy do twojej sprawy. Domyślam się, że chodzi o to, abym cię odprowadził do ojca; ale co ja mu powiem?

JA: Co pan zechce; wszystko to, co pan słyszał od niego sto razy, ilekroć przyprowadzał tutaj pańskiego syna.

BYK OJCIEC: Chodźmy...

Wychodzi, idę za nim, zblizamy się do drzwi, puszczam go do wnętrza samego. Ciekawy rozmowy Byka-ojca z moim, chowam się w jakimś zakątku, za przepierzeniem, skąd nie tracę ani słóweczka.

BYK OJCIEC: Ech, kumie, trzeba mu jeszcze darować tym razem.

— Darować, a co?

— Udajesz, że nie wiesz.

— Nie udaję, naprawdę nie wiem.

— Jesteś zgniewany i masz słuszność.

— Nie jestem zgniewany.

— Jesteś, powiadam.

— Jeśli chcesz koniecznie, nie mam nic przeciw temu, ale niechże się wprzód do-  
wiem, co znów zmalował.

— No, zdarzy się, raz, drugi, z tego jeszcze dziury w niebie nie będzie. Ot, zdybie się gromadka chłopaków i dziewcząt: piją, baraszkuje, tańczą; godziny lecą; szast, prast, brama zamknięta...

Tutaj Byk, zniżając głos, dodał: „Nikt nas nie słyszy; tedy, mówiąc szczerze, czy my byliśmy lepsi w ich wieku? Wiesz, jacy ojcowie są najgorsi? ci, co zapomnieli o błędach swej młodości. Powiedz, czy nam się nigdy nie zdarzyło przespać poza domem?”

— A ty, Byczku, mój kumie, powiedz, czy nigdy nie trafiło się nam zadurzyć w spód-  
niczce wbrew chęciom rodziców?

— Toteż ja krzyczę głośniejsz niż mnie boli. Rób tak samo.

— Ale Kubuś nie spał poza domem, przynajmniej nie tej nocy, jestem tego pewny.

— No, dobrze już, dobrze, jeśli nie tej, to innej. Zatem, nie masz urazy do chłopca?

— Nie.

— I gdy odejdę, nie będziesz się znęcał nad nim?

— Ani trochę.

— Dajesz słowo?

— Daję.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— Rzecz tedy załatwiona, wracam do domu...

Kiedy ojciec chrzestny był na progu, rodzony mój, klepiąc go lekko po ramieniu, mó-  
wił: „Byczku, mój przyjacielu, czuję w tym wszystkim jakieś szelmostwo. Nasze chłopaki  
to dwa szczwane lisy; boję się, że dziś wzięli nas grubo na kawał; ale z czasem oliwa  
wyjdzie na wierzch. Bywaj, kumie”.

PAN: A jakże się skończyła sprawa pomiędzy Byczkiem *juniozem* a Justysią?

KUBUŚ: Tak jak musiała. On się pogniewał, ona jeszcze mocniej; rozplakała się,  
on się rozczulił; przysięgła, że jestem najwierniejszym z przyjaciół; ja przysięgłem, że jest  
najuczciwszą dziewczyną we wsi. Uwierzył, przeprosił, kochał i cenił nas odtąd tym więcej.  
I oto początek, środek i koniec utraty mego klejnotu. A teraz, panie, rad bym, aby mi  
pan wyłożył sens moralny całej tej głupiej historii.

PAN: Lepiej poznać kobiety.

KUBUŚ: I panu było trzeba tej nauki?

PAN: Lepiej znać przyjaciół.

KUBUŚ: I pan wierzyłeś kiedy, iż znajdzie się choć jeden zdolny stawić czoło pańskiej  
żonie lub córce, jeśli zagięła nań parol?

PAN: Lepiej znać ojców i dzieci.

KUBUŚ: Ech, panie! od wieków i po wsze wieki będą kolejno jedni drugich wystrzychiwać na dudków.

PAN: To co mówisz, to wszystko wiekuiste prawdy, ale których nie można powtarzać nazbyt często. Jaka bądź będzie powiastka, którą przyrzekłeś mi jeszcze, bądź pewien, iż głupiec jeno nie doszuka się w niej nauki: jedź więc dalej.

Czytelniku, przyszedł mi skrupuł: a to iż Kubusiowi i jego panu użyczyłem zaszczytu wygłoszenia paru uwag, które należały z prawa tobie; jeżeli tak, możesz im je odebrać bez żadnej ceremonii. Spostrzegłem też, o ile mi się zdaje, iż słowo *Byk*<sup>55</sup> ci się nie podoba. Chciałbym bardzo wiedzieć dlaczego. To jest istotne nazwisko rodowe mego stelmacha; metryki chrztu, metryki zgonu, kontrakty ślubne podpisane są *Byk*. Potomkowie *Byka*, którzy prowadzą dzisiaj warsztat, nazywają się *Bykami*. Kiedy dzieci ich, miłe dzieciątka, przechodzą ulicą, ludzie powiadają: „Oto małe *Byczki*”. Kiedy wymawiacie imię *Boule*, przypominacie sobie najwykwintniejszego mistrza meblarstwa, jakiegoście mieli. Owóż do tej pory nie zdarzy się nikomu w okolicy wymówić imienia *Byk*, aby nie wspomnieć największego stelmacha za ludzkiej pamięci. *Byk*, którego imię czyta się na końcu wszystkich nabożnych ksiązek z początku wieku, był jednym z jego krewniaków. Jeżeli kiedykolwiek prawnuk naszego *Byka* odznaczy się jakim wielkim czynem, imię własne *Byk* brzmieć wam będzie niemniej wspaniale jak imię *Cezara* albo *Kondeusza*. Bo też jest *Byk* i *Byk*, jak *Wilhelm* i *Wilhelm*. Kiedy mówię po prostu *Wilhelm*, nie będzie to ani zdobywca Wielkiej Brytanii, ani też sukiennik z *Adwokata Patelin*<sup>56</sup>; imię *Wilhelm* po prostu, bez dodatku, nie będzie ani heroiczne, ani mieszczańskie; tak samo *Byk*. Krótko: *Byk* to nie jest ani ów słynny stelmach, ani żaden z jego pospolitych przodków lub potomków. Bo też, po prawdzie, alboż imię własne może być ładne lub nieładne? Na każdej ulicy spotkacie pełno drabów imieniem *Pompejusz*. Pozbądźcie się tedy fałszywej delikatności albo też postępuj z wami jak milord *Chatham*<sup>57</sup> z członkami parlamentu; powiedział im: „Cukru, cukru, cukru; i cóż w tym śmiesznego?...” A ja wam powiem: *Byka, Byka, Byka*; dlaczego nie ma się kto nazywać *Byk*?”. Powiedziawszy, co miałem na sercu, oddaję głos Kubusiowi.

KUBUŚ: Było to w dzień świąteczny; brat Jan wydawał za mąż córkę jednego z sąsiadów. Ja byłem drużbą. Posadzono mnie do stołu między dwoma najtęższymi kpiarzami z całej parafii; miałem minę wielkiego bajbardzo, mimo że nie byłem znów takim, za jakiego mnie brali. Zadali mi kilka jowialnych pytań na temat poślubnej nocy; odpowiedziałem dość głupio: dalejże oni parskać śmiechem, aż żony obu żartownisiorów zaczęły krzyżeć z końca stołu: „Co się stało? co wam tak wesoło?”. „Tarzać się ze śmiechu! — odparł jeden z żonkosiów — opowiem ci to wieczorem”. Druga, niemniej ciekawa, zadała mężowi toż samo pytanie i otrzymała podobną odpowiedź. Uczta ciągnie się dalej; takóż i pytania, i moje niezgrabstwa, i wybuchy śmiechu, i zdziwienia u kobiet. Po uczcie tańce; po tańcach pokładziny państwa młodych, uroczystość podwiązki; w końcu znajduję się w moim łóżku, a owi dwaj kpiarze w swoich, gdzie każdy z nich skwapliwie rozpowiada żonie rzecz niezrozumiałą, niepodobną do wiary, iż w dwudziestym drugim roku chłopak duży i krzepki jak ja, wcale przystojny, rzeński i niegłupi jest tak naiwny, ale to tak naiwny, jak kiedy wychodził z żywota matki. Obie kobiety okrzykiwały się z podziwu na równi z mężami. Ale zaraz nazajutrz pani *Zuzanna* kiwa na mnie palcem i mówi: „Kubusiu, nie masz nic do roboty?”.

— Nie, pani sąsiadko; w czym mogę usłużyć?

— Chciałabym... chciałabym... — i mówiąc to *chciałabym*, ścisła mi rękę i spogląda dość szczególnie — chciałabym, abys wziął *gnip*<sup>58</sup> i pomógł mi wyciąć parę naręczycy wikliny, za ciężka to bowiem robota na mnie samą.

— Bardzo chętnie, pani *Zuzanno*...

<sup>55</sup>*Byk* — w oryginale stary stelmach i jego syn noszą imię *Bigre*. [przypis tłumacza]

<sup>56</sup>*Avocat Patelin* — nieśmiertelna farsa średniowiecznej literatury francuskiej. [przypis tłumacza]

<sup>57</sup>*milord Chatham* — Wilhelm Pitt, hr. Chatham (1708–1778). [przypis tłumacza]

<sup>58</sup>*gnip* — silny nóż ogrodniczy. [przypis tłumacza]

Biorę gnip i ruszamy. Po drodze Zuzanna opiera się głową o moje ramię, bierze mnie pod brodę, ciągnie za uszy, daje kuksańce w bok. Przybywamy. Miejsce było spadziste. Pani Zuzia wyciąga się na ziemi z nogami nieco rozsuniętymi i rękami założonymi pod głowę. Ja, nieco poniżej, uwijam się z moim nożem. Zuzanna przyciągnęła nogi ku sobie, zbliżając pięty do pośladków; wniesione kolana czyniły spódniczkę mocno kusą. Ja ciągle macham gnipem, prawie na oślep. W końcu Zuzanna rzecze: „Kubusiu, kiedy ty skończysz?”.

— Kiedy pani zechce, pani Zuzanno.

— Czy nie widzisz — rzekła półgłosem — że ja chcę, abys skończył?... Kończę tedy, nabieram tchu, kończę jeszcze raz; pani Zuzia zaś...

PAN: Wzięła ci dziewictwo, którego nie miałeś?

KUBUŚ: W istocie; ale Zuzia nie dała się oszukać, uśmiechnęła się i rzekła: „Ładnie sobie zakpiłeś z mego kpiarza: hultaj z ciebie”.

— Co pani chce przez to powiedzieć, pani Zuzanno?

— Nic, nic; wiesz dobrze, o czym myślę. Oszukaj mnie tak samo od czasu do czasu, a przebaczę ci... — Związałem wiklinę, wziąłem na plecy i wróciliśmy każde do siebie, do domu.

PAN: Bez małego odpoczynku w drodze?

KUBUŚ: Bez.

PAN: Tak niedaleko było z pastwiska do wsi?

KUBUŚ: Nie dalej niż ze wsi do pastwiska.

PAN: Tylko tyle była warta?

KUBUŚ: Była może warta więcej dla kogo innego, w innym dniu: każda chwila ma swoją cenę.

W jakiś czas potem pani Małgorzata (była to żona drugiego kpiarza) miała zboże do zmielenia i nie miała czasu iść do młyna; przyszła prosić mego ojca, aby pozwolił jednemu z synów ją wyreżycić. Ponieważ byłem najroślejszy, nie wątpiła, iż wybór padnie na mnie, co się też stało. Pani Małgorzata wychodzi; ja za nią; ładuję worek na osła i prowadzę go sam do młyna. Zboże zmielono i oto wracamy do domu, osioł i ja dość smutno, ponieważ myślałem, że wrócę z kwitkiem za swoje trudy. Myliłem się. Pomiędzy wsią a młynem znajdował się mały lasek; tam ujrzałem panią Małgorzatę siedzącą na kraju drogi. Zaczynało się zmierzchać. „Kubusiu — rzecze — jesteś wreszcie! Czy wiesz, że już całą śmiertelną godzinę czekam na ciebie?”...

Czytelniku, jesteś zanadto skrupulatny. Zgoda: „śmiertelna godzina” jest dla pań z miasta; „dobra godzina” dla pani Małgorzaty.

KUBUŚ: Ano było mało wody, młyn szedł powoli, młynarz był pijany i choć śpieszyłem, jak mogłem, nie mogłem być gotów wcześniej.

MAŁGORZATA: Usiądźże tu obok i pogwarzmy trochę...

KUBUŚ: Z miłą chęcią, pani Małgosiu...

I oto zasiadam koło niej, aby gwarzyć, milczymy wszelako oboje uparcie. Powiadam tedy: „Ale, pani Małgorzato, pani nic nie mówi”.

MAŁGORZATA: Tak sobie myślałam o tym, co mąż mi powiedział o tobie.

KUBUŚ: Niech pani nic nie wierzy; to figlarz.

MAŁGORZATA: Przysięgał mi, że ty się nigdy nie kochałeś.

KUBUŚ: Och, co do tego, to mówi szczerą prawdę.

MAŁGORZATA: Jak to! nigdy w życiu?

KUBUŚ: Nigdy w życiu.

MAŁGORZATA: Jak to! ty, w twoim wieku, nie wiedziałbyś, co to kobieta?

KUBUŚ: O, przepraszam bardzo, pani Małgorzato.

MAŁGORZATA: Więc co to takiego kobieta?

KUBUŚ: Kobieta?

MAŁGORZATA: Tak, kobieta.

KUBUŚ: Zaraz, zaraz... Ano, to taki chłop, co ma spódnicę, czepek i tłuste piersi.

PAN: Ha! lotrze!

KUBUŚ: Tamta się nie złapała, chciałem, aby się ta złapała. Na tę odpowiedź jejmość Małgorzata zaczęła śmiać się i chichotać bez końca; ja, niby ogłupiały, pytam, co w tym widzi tak śmiesznego. Jejmość Małgorzata rzekła, iż śmieje się z mej naiwności. „Jak to! ty, taki dryblas, w istocie nie wiedziałbyś nic więcej?”

— Nie, pani Małgorzato.

Pani Małgorzata umilkła i ja także. „Ale, pani Małgorzato — rzekłem — usiedliśmy, aby gwarzyć i jakoś nam nie idzie. Pani Małgorzato, co pani jest? pani nad czymś myśli...”

MAŁGORZATA: Tak, myślę... myślę... myślę...

I gdy wymawiała owe „myślę”, pierś jej wznosiła się, głos omdlewał, ciało drżało, oczy się przymknęły, usta w pół rozchyliły. Wydała głębokie westchnienie; omdlała, ja zaś udałem, iż myślę, że umiera i zacząłem krzyknąć przerażony: „Pani Małgorzato! pani Małgorzato! proszę się odezwać; pani Małgorzato, czy pani niedobrze?”

MAŁGORZATA: Nie, dziecko, zostaw mnie chwilę w spokoju... Nie wiem, co mi się stało... Tak jakoś przyszło nagle.

PAN: Kłamała.

KUBUŚ: Tak, kłamała.

MAŁGORZATA: Tak mi się coś marzyło.

KUBUŚ: Czy marzy się tak pani czasem w nocy, obok męża?

MAŁGORZATA: Niekiedy.

KUBUŚ: Musi go to przerażać.

MAŁGORZATA: Oswoił się...

Małgorzata przyszła nieco do siebie z omdlenia i rzekła: „Chodziło mi po głowie, że na weselu przed tygodniem mąż mój i Zuzi dworowali sobie z ciebie; żal mi się ciebie zrobiło i tak na mnie przyszło, sama nie wiem co”.

KUBUŚ: Za dobra jest pani.

MAŁGORZATA: Nie lubię jak sobie z kogo żartują. Myślałam o tym, że przy pierwszej sposobności zaczynam na nowo i że mi to znowu sprawi przykrość.

KUBUŚ: Ależ od pani zależałoby tylko, aby był temu koniec.

MAŁGORZATA: A jak?

KUBUŚ: Gdyby mnie pani nauczyła...

MAŁGORZATA: Czego?

KUBUŚ: Tego, czego nie wiem i co ich tak pobudza do śmiechu; wtedy by już nie żartowali ze mnie.

MAŁGORZATA: Och! nie, nie. Wiem, że jesteś dobry chłopiec i nie powiedziałbyś nikomu; ale nie śmiałabym.

KUBUŚ: Dlaczego?

MAŁGORZATA: Bo bym nie śmiała.

KUBUŚ: Pani Małgorzato, niech mnie pani nauczy, ja będę strasznie wdzięczny, niech mnie pani nauczy... — Błagając w ten sposób, ścisnąłem jej rękę; ona ścisnęła również moje; całowałem ją w oczy, ona mnie w usta. Tymczasem zapadła zupełna noc. Rzekłem tedy: „Widzę, pani Małgorzato, że pani nie jest dość życzliwa, aby mnie nauczyć; bardzo mnie to smuci. Ano, trudno, wstańmy, wracajmy do domu...”. Pani Małgorzata zamilkła; wzięła mnie za rękę, nie wiem, gdzie ją poprowadziła, ale faktem jest, iż wykrzyknąłem: „Nie ma nic! nie ma nic!”.

PAN: Łotrze! dubeltowy łotrze!

KUBUŚ: Faktem jest, iż była bardzo lekko odziana, ja także. Faktem jest, że trzymałem ciągle rękę tam, gdzie nie było nic u niej, ona zaś umieściła swoją tam, gdzie rzeczy miały się niezupełnie tak samo u mnie. Faktem jest, iż ja znalazłem się pod nią, a tym samym ona na mnie. Faktem jest, iż, ponieważ ja nie czyniłem nic, aby jej dopomóc, ona musiała wziąć cały trud na siebie. Faktem jest, iż oddawała się memu pouczeniu z takim przejęciem, iż przyszła chwila, w której myślałem, że umrze z wysiłku. Faktem jest, iż równie zamroczony jak ona i nie wiedząc sam, co mówię, wykrzyknąłem: „Ach, pani Zuziu, jak pani mi dobrze robi”.

PAN: Chcesz powiedzieć: pani Małgosiu.

KUBUŚ: Nie, nie. Faktem jest, iż pomieszałem jedno imię z drugim; i że zamiast powiedzieć: pani Małgosiu, powiedziałem: pani Zuziu. Faktem jest, iż wyznałem pani Małgorzacie, że tegoż samego, czego ona w swoim mniemaniu nauczyła mnie tego dnia, pani Zuzanna, nieco odmiennie co prawda, nauczyła mnie trzy albo cztery dni wprzód. Faktem jest, iż rzekła: „Jak to! to Zuzia, nie ja?...” Faktem jest, iż odparłem: „Ani jedna ani druga”. Faktem jest, iż dworując sobie z niej samej, z Zuzi, z obu mężów (przy czym ona nie szczędziła mi pieśczośliwych obelg), znalazłem się na niej, a tym samym ona pode mną. Faktem jest, iż następnie, wyznawszy iż, robi jej to przyjemność, ale nie tyle, co w inny sposób, ona znalazła się na mnie, a tym samym ja pod nią. Faktem jest, iż po niejkiej chwili odpoczynku i milczenia nie znaleźliśmy się ani ona na spodzie, ani ja na górze, ani ona na górze, ani ja na spodzie; leżeliśmy bowiem i jedno, i drugie na boku, przy czym ona miała głowę pochyloną ku przodowi, a oba pośladki przyklejone od moich ud. Faktem jest, iż gdybym był mniej uczony, dobra pani Małgorzata byłaby mnie nauczyła wszystkiego, czego jeden człowiek może drugiego nauczyć. Faktem jest, iż dowlekliśmy się do wsi z niejaką trudnością. Faktem jest, iż mój ból gardła powiększył się mocno i nie ma nadziei, abym był zdolny mówić prędzej niż za dwa tygodnie.

PAN: I nie widziałeś już potem tych jejmości?

KUBUŚ: Z przeproszeniem pańskim, niejeden raz.

PAN: Obie?

KUBUŚ: Obie.

PAN: I nie poróżniły się z sobą?

KUBUŚ: Potrzebując nieraz wzajem swoich usług, tym serdeczniej się pokochały.

PAN: Nasze panie byłyby uczyniły to samo, ale każda ze swoim każdym... Śmiejesz się?

KUBUŚ: Za każdym razem, kiedy sobie przypomnę małego człowieczka krzyczącego, przeklinającego, piniącego się, miotającego głową, nogami, rękami, całym ciałem i gotowego rzucić się ze sterty siana na łeb na szyję z narażeniem karku, nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

PAN: A ten mały człowieczek, któż to taki? Mąż Zuzi?

KUBUŚ: Nie.

PAN: Małgosi?

KUBUŚ: Nie... Zawsze ten sam! do śmierci się nie odmieni!

PAN: Któż zatem?

Kubus nie odpowiedział na pytanie, pan zaś dodał: „Powiedz tylko, kto był ów człowieczek”.

KUBUŚ: Jednego dnia, dziecko siedzące opodal straganu matki krzychało ze wszystkich sił. Matka doprowadzona do rozpaczki wrzaskiem rzekła: „Moje dziecko, czemu tak krzyczysz?”

— Bo chcę, żebym powiedział A.

— A czemuż nie chcesz powiedzieć A?

— Bo skoro tylko powiem A, zaraz zechcę, żebym powiedział B...

Owóż skoro tylko powiem panu imię małego człowieczka, będę zmuszony powiedzieć i resztę.

PAN: Może.

KUBUŚ: Na pewno.

PAN: No, Kubusiu, Kubusieczku, powiedz, kto był mały człowieczek. Umierasz z ochoty, nieprawdaż? Ulżyj sobie.

KUBUŚ: Było to coś w rodzaju karła, garbaty, kulawy, jąkała, ślepy na jedno oko, zazdrosny, lubieżny, zakochany (być może z powodzeniem) w Zuzi. Był to wikary z naszej wioski.

Kubus podobny był do dziecka straganiarki jak dwie krople wody, z tą różnicą, że od czasu jak go bolało gardło, trudno go było doprowadzić do powiedzenia A, ale skoro raz ruszył z miejsca, jechał już sam z siebie do końca alfabetu.

— Byłem tedy w spichlerzu Zuzi, sam na sam z nią.

PAN: I nie byłeś tam bez kozery?

Dziecko

Książd, Seks

KUBUŚ: Nie. Naraz zjawia się wikary; wpada we wściekłość, łaje, pyta rozkazującym tonem Zuzię, co robi sam na sam z najrozpuśniętym chłopakiem z całej wsi w najodleglejszym zakątku domostwa.

PAN: Widzę, że miałaś już reputację.

KUBUŚ: Dostyc dobrze zasłużoną. Wpadł w szczerą furję; do tych słów dodał parę innych, jeszcze mniej pochlebnych. Z kolei ja wpadam w złość. Od słowa do słowa, przyszliliśmy wreszcie do gestów. Chwytam widły, pakuję mu je między nogi, na wdziwiam, rzucam go na stertę siana ni mniej ni więcej jak wiązkę słomy.

PAN: A siano było wysokie?

KUBUŚ: Dziesięć stóp co najmniej, tak iż czelczyzna nie byłby z niego zlął z całym karkiem.

PAN: Potem?

KUBUŚ: Potem rozchyłam chusteczkę Zuzi, dobieram się do piersi, pieszczę ją; broni się, ot tak, nie zanadto. Leżały tam juki ośle, nieraz wypróbowane przez nas jako wcale dogodne; popycham ją na te juki...

PAN: Podnosisz spódniczki?

KUBUŚ: Podnoszę spódniczki.

PAN: I wikary widzi to?

KUBUŚ: Jak ja pana widzę.

PAN: I siedzi cicho?

KUBUŚ: Co to, to nie! Nie panując już nad wściekłością, zaczyna krzyczeć co tchu: „Mor... mor... mordercy!... go... go... gore!... zło... zło... złodziej!...” Na to, mąż, o którym myśleliśmy, że jest daleko, nadbiega.

PAN: Bardzo żałuję: nie lubię księży.

KUBUŚ: I byłby pan zachwycony, gdybym na oczach...

PAN: Przyznaję.

KUBUŚ: Zuzia miała czas pozbierać się; ja poprawiam ubranie, daję nogę; co się dalej stało, wiem od Zuzi. Mąż, widząc wikarego na stercie siana, zaczyna się śmiać. Wikary mówi: „Śmieję... się... śmieję... się... cie... mięgo głupi...” Mąż, idąc za jego radą, śmieje się do rozpuku i pyta, kto go tam posadził. Wikary: „Ze... ze... zesadź mnie na zie... zie... ziemię”. Mąż wybucha znowu śmiechem i pyta, jak się wziąć do tego. Wikary: „Tak... tak... ja... jak... wla... wla... wlałem; wi... wi... widłami”. Do paralusza, masz słusność; patrzcie, co to znaczy uczyć się łaciny!... Bierze widły, podstawia, wikary nawdziewa się na nie tak, jak ja go nawdziałem; mąż okręca go parę razy po spichrze, intonując uroczystym falsetem coś w rodzaju psalmu, wikary zaś drze się: „Po... po... postaw mnie, gał... gał... gałganie; po... po... postawisz ty mnie, gał... gał... gałganie?”... A mąż: „Cóż byś pan na to, panie wikary, gdybym pana tak obniósł po całej wiosce? W życiu nie widzieli ludzie piękniejszej procesji”... Ale skończyło się na strachu, mąż postawił wreszcie wikarego na ziemi. Nie wiem, co on tam powiedział mężowi, Zuzia bowiem umknęła, dosłyszałem tylko: „Nie... nie... nieszczęśniku! po... po... po... podnosisz rę... rę... rękę na ka... ka... kapłana; wy... wy... wyklinam cię; bę... bę... będziesz po... po... potępiony”... Tak wołał mały człowieczek, mąż zaś pędził go przed sobą widłami. Ludzie zbiegają się ze wszystkich stron; ja przybiegam również; zaledwie mąż Zuzi zoczył mnie z daleka, zaczął wołać zamierzając się widłami: „Zbliź no się, zbliź”.

PAN: A Zuzia?

KUBUŚ: Wykręciła się.

PAN: Jāk?

KUBUŚ: Doskonale; kobieta zawsze się wykręci, o ile nie przyłapano jej na gorącym uczynku... Z czego się pan śmieje?

PAN: Z tego, z czego zawsze będę się musiał śmiać, tak samo jak ty, ilekroć sobie przypomnę tego księżyka na widłach mężowskich.

KUBUŚ: Owóż w niedługi czas po tej przygodzie (doszła ona do uszu mego ojca, który uśmieł się również) zaciągnąłem się do wojska...

Po kilku chwilach milczenia czy też kaszlu Kubusia (powiadają jedni), lub też skoro obaj uśmiali się do syta (powiadają drudzy), pan, zwracając się do sługi, rzekł: „A historia twoich amorów?” — Kubuś potrząsnął głową i nie odpowiedział.

W jaki sposób człowiek rozumny, obyczajny, który chce uchodzić za filozofa, może szukać zabawy w opowiadaniu równie bezwstydnym bajeczek? — Po pierwsze, czytelniku, to nie bajeczki, to historia; kiedy opowiadam figielki Kubusia, nie czuję się bardziej winnym, a może mniej, niż Swetoniusz, kiedy wam przekazuje wyuzdania Tyberiusza. Pomimo to czytacie Swetoniusza i nie czynicie mu z tego żadnego zarzutu. Dlaczego nie marszczycie także brwi przy Katullu, Marcjału, Horacym, Juwenalu, Petroniuszu, La Fontainie i tylu innych? Czemu nie powiadacie stoikowi Senece: „Na co nam wiedzieć plugastwa twego niewolnika ze zwierciadłem?”. Dlaczego jesteście pobłażliwi tylko względem zmarłych? Zastanówcie się nieco nad tą stronniczością, a ujrzycie, iż rodzi się z jakowejś zdrożnej zasady. Jeśliście niewinni, nie będziecie mnie czytać; jeśli jesteście zepsuci, będziecie czytać bez szkody. A wreszcie jeśli to, co powiadam, nie zadowala was, otwórzcie przedmowę Jana Baptysty Rousseau<sup>59</sup>, a znajdziecie tam moją obronę. Kto z was ośmieliłby się potępić Woltera, iż napisał swoją *Prawiczkę*<sup>60</sup>. Nikt. Macie zatem dwie miary dla sądenia uczynków człowieka? Ale, powiadacie, *Prawiczka* Woltera jest arcydziełem! — Tym gorzej, tym więcej czytać ją będą. — A twój *Kubuś* jest jeno niedołączonym nizaniem zdarzeń, to prawdziwych, to wymyślonych, spisanych bez wdzięku i sklejonych bez ładu. — Tym lepiej, mniej tedy będą czytać mego *Kubusia*. W którąkolwiek stronę się obrócisz, nigdzie nie masz słuszności. Jeżeli mój utwór jest dobry, sprawi ci przyjemność; jeśli zły, nie wyrządzi szkody. Nie masz niewinniejszej książki niż książka licha. Ot, spisuję sobie dla rozrywki, pod przybranymi imionami, własne wasze błazeństwa; wasze głupstwa mnie śmieją, was zaś moja książka złości. Czytelniku, jeśli mam rzec szczerze, uważam, że w tym wypadku nie ja z nas obu odgrywam brzydszą rolę. Jakżeż byłbym szczęśliwy, gdyby mnie równie łatwo było ubezpieczyć się od twego łajdactwa, jak tobie od nudy i niebezpieczeństwa mej książki! Obludniki przebrzydłe, odczepcie się ode mnie! Ob...iajcie<sup>61</sup> sobie jak dzikie osły; ale pozwólcie, bym nazwał rzecz: ob...iać; ja wam odpuszczam uczynki, wy odpuście słowo. Wymawiacie śmiało: zabijając, kraść, zdradzać, a tego nie śmiecie inaczej jak tylko półgębkiem! Zali, im mniej wydziałacie onych rzekomych nieczystości w słowach, tym więcej zostaje wam w myśli? I cóż wam zrobiła czynność rozrodcza, tak naturalna, potrzebna i sprawiedliwa, aby wykluczyć jej miano z waszych rozmów i wyobrażać sobie, iż pokalałaby wasze usta, oczy i uszy? Doskonale! Wyrażenia najmniej używane, najrzadziej pisane, najściślej przemilczanej to te właśnie, które najlepiej są wiadome i najpowszechniej znane; toteż wyraz *obl...* nie mniej jest wam poufały jak słowo *chleb*; żaden wiek nie jest go nieświadom, żadne narzecze nie jest go pozbawione: ma tysiąc synonimów w każdym języku, wciska się w każdy bez słów, bez głosu, bez znaku; ta zaś pleć, która praktykuje go najwięcej, najtroskliwiej zwykła go przemilczać. Słyszę znowu, jak wykrzykujecie: „Pfe, cynik! pfe, bezwstydnik! pfe, sofista!...” Śmiało, lżyjcie do syta czcigodnego autora, którego macie bez ustanku w rękach i którego jestem tu jeno tłumaczem. Swoboda stylu jest mi niemal zakładem czystości jego obyczajów; to Montaigne. *Lasciva est nobis pagina, vita proba*<sup>62</sup>.

<sup>59</sup>Jan Baptysta Rousseau (1670–1741) — imiennik późniejszego odeń Jana Jakuba, największą część swej sławy zawdzięczał sprośnym epigramom. [przypis tłumacza]

<sup>60</sup>*Prawiczka* — *La Pucelle*, długi heroikomiczny poemat Woltera, będący parodią dziejów Joanny d’Arc, cieszył się wówczas we Francji niezmierną poczytnością i rozgłosem. [przypis tłumacza]

<sup>61</sup>Ob...iajcie — W oryginale *foutre*; brak potocznego, a możliwego do użycia równoznacznika w języku polskim, kazał tłumaczowi cofnąć się aż do dawnych wzorów: „Jest czas obłapiania, jest czas odchodzenia od obłapiania...” (*Ecl.* III, 5.). [przypis tłumacza]

<sup>62</sup>W jaki sposób (...) *proba*. — cały ten ustęp, nie odznaczający się zresztą zbytnią lekkością ręki, jest parafrazą Montaigne’a (*Essais* [Próby; Red. WL], Ks. III, Rozdz. 5.). Trzeba zauważyć, iż uogólnienie co do stylu Montaigne’a jest zbyt śmiało: w całym jego obszernym dziele ów rozdział jest niemal jedynym poruszającym w nader swobodny sposób tę płochą materię. [przypis tłumacza]

Kubuś i jego pan spędzili resztę dnia nie otwierając ust. Kubuś kaszłał, pan mówił: „Cóż za uparty kaszel!”, zaglądał na zegarek, nie myśląc o godzinie, otwierał tabakierkę, nie wiedząc o tym, i siałkał niuch tabaki, nie czując go nawet; czego dowodem, iż powtarzał te czynności po trzy i cztery razy z rzędu w tym samym porządku. Za chwilę Kubuś zaczynał kaszlać znowu, pan zaś powiadał: „Cóż za diabelski kaszel! Ale też lałeś w siebie to wińsko aż po samą grdykę! Wczoraj wieczór z tym sekretarzem także sobie nie żałowałeś; kiedyś przyszedł na górę, chwiałeś się na nogach, nie wiedziałeś, co gadasz; dzisiaj też zrobiłeś z dziesięć postojów i ręczę, że nie zostało ani kropli wina w bukłaczku?”... Następnie mruczał przez zęby, spoglądał na zegarek i napychał dziurki od nosa.

Zapomniałem ci powiedzieć, czytelniku, że Kubuś nie puszczał się nigdy w drogę bez bukłaczka napełnionego co najprzedniejszym; był stale zawieszony u lęku przy siodle. Za każdym razem, kiedy pan przerywał jego opowiadania jakimś nieco przydługim pytaniem, Kubuś odczepiał bukłaczek, pociągał stateczny łyk i przywracał go na zwykłe miejsce dopiero wówczas, kiedy pan przestał mówić. Zapomniałem również powiedzieć, iż w wypadkach, które wymagały namysłu, pierwszym jego ruchem było zasięgać rady bukłaczka. Czy trzeba było rozstrzygnąć jakąś kwestię natury moralnej, przedyskutować fakt, wybrać pomiędzy dwóch dróg jedną, zacząć, poprowadzić albo też porzucić jakąś sprawę, zważyć pożytki lub szkody akcji politycznej, spekulacji handlowej lub finansowej, słuszność lub niedorzeczność jakiegoś prawa, losy wojny, wybór gospody, w gospodzie izby, w izbie łóżka, pierwszym jego słowem było: „Poradźmy się bukłaczka”. Ostatnim zaś: „Takie jest zdanie bukłaczka i moje”. Skoro los wzbraniał się wyraźnie doń przemówić, tłumaczył go sobie bukłaczkiem; był to rodzaj Pytii przenośnej, milknącej natychmiast, skoro była próżna. W Delfach Pytia siedząca z podniesionymi kieckami, gołym zadkiem na trójnogu, czerpała natchnienie z dołu do góry; Kubuś na koniu, z głową zwróconą ku niebu, z odkorkowanym bukłaczkiem i szyjką zwróconą do ust, czerpał natchnienie z góry ku dołowi. Kiedy Pytia i Kubuś głosili swe wyrocznie, oboje byli pijani. Twierdził, iż Duch Święty zstąpił na apostołów w formie flaszki: nazywał Zielone Świątki Świętem Flaszki. Zostawił mały traktacik o wszelakim rodzaju wróżb, traktat głęboko pomyślany, w którym nad inne przekłada przepowiednie wróżki Bakbuk<sup>63</sup>, czyli wróżby za pomocą flaszki. Mimo całej czci, jaką dłań żywi, zakłada sprzeciw proboszczowi z Meudon<sup>64</sup>, iż zapytywał boskiej Bakbuk za pomocą wstrząśnienia jej krągłego żywota. „Kocham Rabelais’go — powiadał — ale bardziej niż Rabelais’go kocham prawdę”. Nazywa heretykami *Engastrimythów*<sup>65</sup>; i dowodzi za pomocą stu nieodpartych racji, że prawdziwe wróżby Bakbuk, czyli Bukłaka lub Flaszki, dają się słyszeć jeno przez szyjkę. Do rzędu znamienitych wyznawców boskiej Bakbuk liczy wszystkich prawdziwych natchnionych proroków Flaszki w ostatnich wiekach, jak Rabelais, La Fare<sup>66</sup>, Chapelle<sup>67</sup>, Chaulieu<sup>68</sup>, La Fontaine<sup>69</sup>, Molière, Panard<sup>70</sup>, Gallet<sup>71</sup>, Vadé<sup>72</sup>. Platon i Jan Jakub Rousseau, którzy zachwalają dobre wino, sami go nie zażywając, są jego zdaniem fałszywymi braćmi zakonu Bukłaka. Bukłak miał niegdyś swoje słynne świątynie, jak *Pomme de Pin*<sup>73</sup>, *Temple* i *Guinguette*, świątynie, o których historia pisze oddzielnie. Dalej kreśli najwspanialszy obraz zapachu, ciepła, ognia, w jakie Bakbukczycy czyli Perigordczycy popadali jeszcze za naszych

<sup>63</sup>Wróżka Bakbuk — w V księdze *Pantagruela* Rabelais’go, do której to księgi liczne aluzje zawiera cały następujący ustęp. Pantagruel i jego towarzysze wędrują w księdze tej do „boskiej Flaszki”, aby usłyszeć jej wyrocznie. [przypis tłumacza]

<sup>64</sup>proboszcz z Meudon — Rabelais (1490–1552). [przypis tłumacza]

<sup>65</sup>*Engastrimythów* — termin zaczerpnięty z dzieła Rabelais’go. [przypis tłumacza]

<sup>66</sup>*Margrabia de La Fare* (1644–1712) — przyjaciel Turenusza, lekki poeta, głośny z przygód miłosnych i wesołego życia. [przypis tłumacza]

<sup>67</sup>*La Chapelle* (1626–1686) — poeta francuski, niezwykły wstrętu do butelki; częsty gość w gospodzie de la Croix w towarzystwie Moliera, Boileau i młodego wówczas Racine’a. [przypis tłumacza]

<sup>68</sup>*Chaulieu* (1639–1720) — poeta, przyjaciel księżąt de Vendôme, naturalnych synów Henryka IV, i towarzyszy ich wybryków. [przypis tłumacza]

<sup>69</sup>*La Fontaine* (1621–1695) — słynny bajkopis, w życiu prywatnym nieuleczalny cygan literacki. [przypis tłumacza]

<sup>70</sup>*Panard* (1694–1765) — poeta, twórca popularnych piosenek i wodewilów. [przypis tłumacza]

<sup>71</sup>*Gallet* — z paryskiego korzennika stał się słynnym piosenkarzem, umarł w r. 1757 w *Temple*, miejscu schronienia dla niewypłacalnych dłużników. [przypis tłumacza]

<sup>72</sup>*Vadé* — popularny autor wodewilów w XVIII w. [przypis tłumacza]

<sup>73</sup>*Pomme de Pin* — ulubiona gospoda wielkiego poety francuskiego *Villona* w XV w.; poza tym człowieka najgorszego życia, włóczęgi i opryszka. [przypis tłumacza]



czasów, kiedy pod koniec biesiady, gdy całe bractwo siedziało przy stole z opartymi łokciami, boska Bakbuk, czyli święty gąsior, objawiał się w pośrodku nich, syczał, odrzucał z dala od siebie czepeczek i okrywał wyznawców wróżebną pianą. Rękopis ozdobiony jest dwoma wizerunkami, pod którymi można wyczytać: *Anakreon i Rabelais, jeden wśród starożytnych, drugi wśród współczesnych, najwyżsi arcykapłani gąsiora*.

Zatem Kubuś posługiwał się terminem *engastrimythów*?... Dlaczego nie, czytelniku? Kapitan Kubusia był Bakbukczykiem; mógł znać to wyrażenie, a Kubuś, który zachował w pamięci wszystkie słowa kapitana, mógł je zapamiętać; ale po prawdzie słowo *engastrimythos* jest moje, w tekście zaś oryginalnym czyta się: *brzuchomówca*.

Wszystko to bardzo ładnie, powiadacie, ale cóż amory Kubusia? — Amory Kubusia wiadome są jeno samemu Kubusiowi; na razie trapi go ból gardła, skazujący Kubusiowego pana na uciechy zegarka i tabakierki; który to brak równie jest przykry dla niego jak dla was. — Cóż tedy z nami będzie? — Daję słowo, sam nie wiem. Oto byłaby dobra chwila, aby zapytać boskiej Bakbuk albo świętego Gąsiora; ale kult jego upada, świątynie stoją opuszczone. Tak jak z urodzeniem boskiego naszego Zbawiciela umilkły wyrocznie pogańskie, tak samo ze śmiercią Galleta wyrocznie Bakbuk oniemiały; jakoż, nie ma już wielkich poetów, nie ma już rapsodów natchnionej elokwencji; nie masz owych utworów naznaczonych piętnem pijaństwa i geniuszu; wszystko jest wyrozumowane, odmierzone, akademickie i płaskie. O boska Bakbuk! o święty Gąsiorze! o bóstwo Kubusiowe! Powróć między nas!... Bierze mnie ochota, czytelniku, rozpowiadać ci o urodzeniu boskiej Bakbuk, cudach jakie objawiły się podczas niego i po nim, błogości jej panowania i klęskach abdykacji; i jeśli ból gardła naszego przyjaciela Kubusia będzie trwał dłużej, jeśli pan jego zatnie się w upartym milczeniu, trzeba ci będzie zadowolić się tym epizodem, który będę się starał przewlekać tak długo, aż Kubuś nie wyzdrowieje i nie podejmie historii swoich amarów...

Tutaj zachodzi przerwa, w istocie godna pożalowania, w rozmowie Kubusia i jego pana. Pewnego dnia jakiś potomek Nodota<sup>74</sup>, prezydenta de Broses<sup>75</sup>, Freinshemiusa<sup>76</sup> albo też ojca Brottier<sup>77</sup> wypełni ją może, potomkowie zaś Kubusia lub jego pana, zarazem właściciele rękopisu, uśmieją się z tego serdecznie.

Zdaje się, że Kubuś, skazany na milczenie wskutek bólu gardła, zawiesił historię swych amarów; natomiast pan rozpoczął historię swoich. Jest to proste przypuszczenie i podaję je tylko w tym charakterze. Po kilku wierszach wykropkowanych, zwiastujących jakiś ubytek, czytamy: „Nie masz nic smutniejszego na świecie, jak być głupcem”... Czy to Kubuś wygłasza ten apoftegmat? Czy może jego pan? Byłby to przedmiot do długiej i najeżonej trudnościami dysertacji. O ile Kubuś był na tyle zuchwały, aby skierować te słowa do pana, ten znów był dość szczerym, aby skierować je do samego siebie. Jak bądź się rzeczy mają, zupełnie jasnym jest, iż to pan prowadzi rzecz dalej.

PAN: Było to w wilię jej imienin; znalazłem się bez grosza. Kawaler de Saint-Ouin, mój serdeczny przyjaciel, nie kłopotał się nigdy niczem. „Nie masz pieniędzy?”, rzekł.

— Nie.

— Ano, to trzeba się postarać.

— Ba, a czy wiesz także jak?

— Oczywiście. — Ubiera się, wychodzimy. Prowadzi mnie przez szereg krętych uliczek do ustronnego domku, gdzie brudnymi schodami drapiemy się na trzecie piętro. Znajduję się w dość obszernym i dziwacznie umeblowanym pomieszkaniu. Były tam między innymi trzy wielkie komody, każda odmiennego kształtu; nad środkową wielkie lustro z kapitelem, za wysokie w stosunku do powały, tak iż dobre pół stopy lustra schowane było za komodą; na komodach towary wszelakiego rodzaju; dwa przybory do tryktraka; dokoła izby krzesła dość ładne, ale każde odmiennego kroju; u stóp łóżka odartego z firanek wspaniała szeszlong; na jednym z okien klatka na ptaki, próżna, ale zupełnie nowa;

<sup>74</sup>Nodot — odnalazł mniemane fragmenty Petroniusza. [przypis tłumacza]

<sup>75</sup>de Broses — usiłował odtworzyć tekst Sallustiusza. [przypis tłumacza]

<sup>76</sup>Freinshemius — uzupełnił Kwintusa Kurcjusza. [przypis tłumacza]

<sup>77</sup>Brottier — tłumacz Tacyty. [przypis tłumacza]

pod drugim świecznik zawieszony na szczotce do zamiatania, szczotka zaś wsparta dwoma końcami na poręczach lichych wyplatanych krzesłek; po całym wreszcie pokoju obrazy, jedne zawieszone na ścianie, drugie złożone w kupę.

KUBUŚ: Pachnie mi to aferzystą i lichwiarzem na miłą wokół.

PAN: Zgadłeś. Otóż kawaler i pan Le Brun (było to imię naszego antykwarza i faktora) rzucają się sobie w ramiona.

— To pan, panie kawalerze?

— A tak, ja, drogi Le Brun.

— Cóż się z panem dzieje? Wieki go nie widziałem. Smutne czasy, nieprawdaż?

— Bardzo smutne, drogi Le Brun. Ale nie o to chodzi; posłuchaj: mam ci słóweczko do powiedzenia...

Siadam. Kawaler i Le Brun usuwają się w kąt i rozmawiają po cichu. Z rozmowy ich mogą powtórzyć jeno kilka słów pochwyconych w locie...

— Pewny?

— Najpewniejszy.

— Pełnoletni?

— Bardzo.

— To syn...?

— Syn.

— Czy wiesz pan, że nasze dwie ostatnie sprawy...

— Mów ciszej.

— Ojciec?

— Bogaty.

— Stary?

— I schorowany.

Le Brun głośno: „Powie panu, panie kawalerze, że nie mam ochoty wdawać się w żadne interesa. Z tego zawsze są tylko przykrości. Ten pan jest pańskim przyjacielem, to bardzo pięknie. Wygląda na godnego człowieka; ale, mimo wszystko”...

— Drogi Le Brun!

— Nie mam pieniędzy.

— Ale masz znajomych.

— To wszystko łajdaki, opryszki spod ciemnej gwiazdy. Panie kawalerze, czy panu nie zbrzydło paskudzić się z takimi ludźmi?

— Konieczność jest najwyższym prawem.

— Konieczność, która pana przyciska, to konieczność bardzo wesoła; buteleczka, partytka, dziewczyna...

— Drogi przyjacielu!...

— Zawsze zostanę taki sam, słaby jestem jak dziecko; przy tym ten kawaler nie wiem kogo by nie przywiódł do złamania przysięgi. No dobrze, zadzwoń pan, zobaczę czy Fourgeot jest w domu... Ale nie, nie dzwoń, Fourgeot zaprowadziłby was do Mervala.

— Czemu nie pan sam?

— Ja! poprzysiągłem, że nigdy ani ja, ani nikt z moich przyjaciół nie będzie miał do czynienia z tym ohydny Mervalem. Kawaler będziesz musiał zaręczyć za tego pana, który być może... to jest bez wątpienia jest godnym człowiekiem; ja będę musiał zaręczyć za pana Fourgeotowi, a Fourgeot za mnie Mervalowi...

W tej chwili weszła służąca, mówiąc: „To do pana Fourgeot?”

Le Brun do służącej: „Nie, do nikogo... Panie kawalerze, nie mogę, stanowczo nie mogę”.

Kawaler ściska go, obsypuje piieszczotami: „Złoty Le Brun! drogi przyjacielu!...” Zbliżam się, dołączam moje prośby do prośb kawalera: „Panie Le Brun! drogi panie!...”

Le Brun daje się nakłonić.

Służąca, która z uśmieżkiem przyglądała się tej komedii, wychodzi i w mgnieniu oka zjawia się z powrotem z małym człowieczkiem, kulawym, ubranym czarno, z laską w ręce, jękała, o twarzy suchej i pomarszczonej, oku żywym. Kawaler obraca się ku niemu i powiada: „Dalej, mości Mateuszu de Fourgeot, nie mamy chwili do stracenia, prowadź nas prędko...”.

Fourgeot, nie okazując niczym, iż słyszy, rozwiązywał małą skórzaną sakiewkę.

Kawaler do Fourgeota: „Żartuje pan chyba, to nasza sprawa...” Zbliżam się, dobywam talara, wsuwam kawalerowi, który daje służącej, głaszcząc ją równocześnie pod brodę. Tymczasem Le Brun powiada do Fourgeota: „Zabraniam ci; nie prowadź tam tych panów”.

FOURGEOT: Ależ, panie Le Brun, dlaczego?

LE BRUN: To łajdak, obwieś spod ciemnej gwiazdy.

FOURGEOT: Wiem dobrze, że pan de Merval... ale każda wina może być odkupiona; a wreszcie, prócz niego nie znam nikogo, kto by był w tej chwili przy pieniądzech.

LB BRUN: Panie Fourgeot, rób, jak ci się podoba; panowie, umywam ręce.

FOURGEOT: Panie Le Brun, pan nie idzie z nami?

LE BRUN: Ja! niech mnie pan Bóg broni! W życiu nie chcę widzieć tego infamisa.

FOURGEOT: Ale bez pańskiej pomocy nigdy nie dobijemy sprawy.

KAWALER: To prawda. No, mój drogi Le Brun, chodzi o to, aby mnie dopomóc; aby zobowiązać zacnego człowieka w chwilowym kłopotcie; nie odmówisz mi pan tego; pójdziesz z nami.

LE BRUN: Iść do takiego Merval! ja! ja!

KAWALER: Tak, tak, pójdziesz, pójdziesz, dla mnie...

Pod wpływem nalegań Le Brun daje się skłonić i oto wszyscy razem, Le Brun, kawaler, Mateusz de Fourgeot i ja, ruszamy w drogę, przy czym kawaler klepie przyjacielsko Le Bruna po ramieniu i mówi do mnie: „To najlepszy człowiek, najuczynniejszy w świecie, najcenniejsza znajomość...”.

LE BRUN: Nie! ten kawaler potrafiłby mnie namówić do fałszowania monety!

I oto jesteśmy u Merval.

KUBUŚ: Mateusz de Fourgeot...

PAN: No i cóż? co chcesz powiedzieć?

KUBUŚ: Mateusz de Fourgeot... Chcę powiedzieć, że pan kawaler de Saint-Ouin zna tych ludzi z imienia i z nazwiska: i że to jest po prostu łajdak, w zмовie z całą tą kanalią.

PAN: Może się łatwo okazać, że masz słusność... Niepodobna byłoby znaleźć człowieka bardziej słodkiego, grzecznego, taktownego, zgodnego, bardziej ludzkiego, współczującego, bezinteresownego niż pan de Merval. Stwierdziwszy dobrze moją pełnoletność i wypłacalność, pan de Merval przybrał oblicze pełne przyjaźni i smutku. Rzekł, iż jest w rozpacz: tegoż samego rana zmuszony był przyjść z pomocą jednemu z przyjaciół przyciśnionemu potrzebą; sam obecnie jest zupełnie bez grosza. Następnie zwracając się do mnie, dodał: „Panie, niech pan nie żałuje iż pan nie przyszedł wcześniej; byłoby mi bardzo przykro odmówić mu, ale byłbym to uczynił; przyjaźń przede wszystkim...”.

Jesteśmy jak rażeni gromem; kawaler, Le Brun, nawet i Fourgeot uderzają w prośby, klękają niemal przed Mervalem, który powiada: „Panowie, znacie mnie wszyscy; lubię wygodzić i staram się nie zbrzydzać swej usługi, dając się zbyt prosić; ale słowo honorowego człowieka, nie znalazłbym ani czterech ludwików w całym domu...”.

Ja pośród tej całej kompanii wyglądałem na pacjenta, który usłyszał wyrok. Rzekłem do kawalera: „Kawalerze, chodźmy tedy, skoro panowie nie mogą nic poradzić...”. Kawaler zaś odciągając mnie na bok: „Co tobie w głowie, toć to wilia jej imienin. Uprzedziłem ją, przestrzegam cię; spodziewa się jakiegoś dowodu pamięci z twojej strony. Znasz ją: nie żeby była interesowna; ale ot, jak w ogóle kobiety, nie lubi doznać zawodu w oczekiwaniu. Pochwaliła się już pewno ojcu, matce, ciotkom, przyjaciółkom; po tym wszystkim, nie mieć nic do pokazania, to upokarzające”... I znowu podchodzi ku Mervalowi i przypuszcza nowy szturm. Dawszy się naprosić i nablagać do syta, Merval rzecze: „Mam najgłupsze usposobienie pod słońcem; nie mogę patrzeć na ludzką przykrość. Myślę... myślę... i przychodzi mi coś do głowy”.

KAWALER: Co takiego?

MERVAL: Czemu byście nie mieli wziąć towarów?

KAWALER: A masz pan?

MERVAL: Nie; ale znam kobietę, która ich dostarczy; zacna, uczciwa kobieta.

LE BRUN: Tak, rupieci, które wpakuje nam na wagę złota, a za które nic nie dostaniemy.

MERVAL: Wcale nie, same bogate materie, klejnoty w złocie i srebrze, jedwabie wszelakiego rodzaju, perły, drogie kamienie; bardzo niewiele przyjdzie stracić. To dobra osoba, chętnie zadowala się małym, byleby miała pewność; towar ten nabyła okazjnie i kosztuje ją bardzo tanio. Zresztą zobaczcie sami, obejrzyć nic nie kosztuje...

Przedkładałam Mervalowi i kawalerowi, że handel nie jest moim rzemiosłem; i że gdyby nawet nie sam wstręt, położenie moje nie zostawia mi czasu na skorzystanie z takiego sposobu. Usłużny Le Brun i Mateusz de Fourgeot rzekli jednogłośnie: „To najmniejsza, sprzedamy za pana, to sprawa kilku godzin”... Naznaczono schadzkę na popołudniu w domu pana de Merval, który klepiąc mnie przyjaźnie po ramieniu, rzekł namaszczonym i poważnym tonem: „Panie, jestem szczęśliwy, że mogłem mu dopomóc; ale wier mi pan, unikaj tego rodzaju pożyczek; w końcu prowadzą do ruiny. Nie zawsze zdarzy się panu mieć do czynienia z tak uczciwymi ludźmi, jak panowie Le Brun i Mateusz de Fourgeot”.

Le Brun i Fourgeot de Mateusz, czy też Mateusz de Fourgeot, podziękowali ukłonem za uznanie, mówiąc, iż starali się po dziś dzień uprawiać swe skromne rzemiosło z całą sumiennością i nie ma za co ich chwalić.

MERVAL: Mylicie się, panowie; u kogo dzisiaj można znaleźć sumienie? Spytajcie pana kawalera de Saint-Ouin: musi wiedzieć o tym cośkolwiek...

Wychodzimy od Merval, który pyta jeszcze ze schodów, czy może liczyć na nas i uprzedzić kupczynię. Odpowiadamy, że tak; aby skrócić godziny czekania, idziemy wszyscy czterej zjeść obiad do sąsiedniej gospody.

Dyspozycją obiadu zajął się Mateusz de Fourgeot; zamówił suty. Przy deserze zbliżyły się do stołu dwie dziewczuszki grające na gęśli; Le Brun zaprosił je, by usiadły. Dało się im pić, rozgadało je, kazało grać. Podczas gdy moi trzej towarzysze zabawiali się z jedną, miętosząc jej spódniczki, towarzyszka jej, która siedziała przy mnie, rzekła po cichu: „Panie, dostał się pan w bardzo liche towarzystwo: nie ma wśród tych ludzi ani jednego, który by nie był zapisany w czerwonej książce<sup>78</sup>”.

Opuściliśmy gospodę o wskazanej godzinie i udaliśmy się do Merval. Zapomniałem powiedzieć, iż obiad ten wyczerpał sakiewkę kawalera i moją. W drodze Le Brun rzekł kawalerowi, który znów powtórzył mi, że Mateusz de Fourgeot żąda dziesięciu ludwików za pośrednictwo: mniej nie można mu ofiarować; zresztą jeśli dobrze go usposobimy, dostaniemy towary po tańszej cenie i odbijemy z łatwością tę kwotę na sprzedaży.

I oto znów jesteśmy u Merval, gdzie kupczyni już czeka z towarem. Pani Bridoie (to jej miano), obsypawszy nas grzecznościami i ukłonami, rozłożyła materie, płótna, koronki, pierścionki diamenty, złote puzderka. Wzięliśmy po trosze wszystkiego. Le Brun, Mateusz de Fourgeot i kawaler oznaczali cenę, Merval prowadził pióro. Całość urosła do dziewiętnastu tysięcy siedmuset siedemdziesięciu i pięciu funtów, na które miałem wystawić skrypt, kiedy pani Bridoie rzekła, składając dyg (nie zdarzyło jej się przemówić bez dygnięcia): „Proszę pana, czy pańskim zamiarem jest wykupić oblig w terminie?”.

— Oczywiście — odparłem.

— W takim razie — rzekła — jest panu wszystko jedno, czy pan wystawi zwyczajny skrypt, czy też weksle.

Słyszac słowo „weksle” mimo woli poblądłem. Kawaler spostrzegł to i rzekł do pani Bridoie: „Weksle! zastanów się pani! ależ weksle pójdą w obieg i któż wie, w jakie ręce mogą się dostać!”.

„Żartuje pan chyba, panie kawalerze; znamy się na względach należnych osobie tego stanowiska...” I znów dyg... Dobywa portfel z kieszeni; odczytuje mnóstwo imion wszelakiej godności i stanu. Kawaler nachyla się do mnie i powiada: „Hm, weksle! to rzecz diabelnie poważna! Zastanów się dobrze. Kobieta zdaje się uczciwa, a wreszcie nim przyjdzie termin, ty albo ja wytrzaśniemy skądś pieniądze”.

KUBUŚ: I podpisał pan weksle?

PAN: Jakbyś wiedział.

KUBUŚ: Jest obyczajem ojców, kiedy wyprawiają synów do stolicy, palić im małe kazanie: „Nie wdawajcie się w złe towarzystwa, starajcie się zjednać względy przełożonych

<sup>78</sup>czerwona książka — rejestr policji. [przypis tłumacza]

ścisłym wypełnianiem obowiązków; unikajcie dziewcząt lichego prowadzenia, podejrzanych przyjaciół, a zwłaszcza, zwłaszcza nie podpisujcie nigdy weksli”.

PAN: Cóż chcesz, zrobiłem jak drudzy; pierwszą rzeczą, o której zapomniałem, było kazanie ojca. Otóż i jestem posiadaczem licznych towarów na sprzedaż: pozostaje zamienić je na walutę. Było tam wśród tych rupieci kilka par mankietków koronkowych, bardzo pięknych: kawaler zagarnął je po cenie kosztu, mówiąc: „Oto się pozbył części nabytku i to bez żadnej straty. Mateusz de Fourgeot przejął zegarek i dwa złote puzderka, za które miał mi w tej chwili przynieść należność; Le Brun wziął resztę na skład do siebie. Ja schowałem do kieszeni wspaniałą kolia wraz z naramiennikami; był to jeden z kwiatów bukietu, który miałem ofiarować. Mateusz de Fourgeot wrócił w mgnieniu oka z sześćdziesięcioma ludwikami: zatrzymał dziesięć dla siebie, ja otrzymałem pozostałe pięćdziesiąt. Powiedział, że nie sprzedał zegarka ani puzderek, ale oddał je w zastaw.

KUBUŚ: W zastaw?

PAN: Tak.

KUBUŚ: Wiem komu.

PAN: Komuż?

KUBUŚ: Dygającej pani, pani Bridoie.

PAN: W istocie. Wraz z parą naramienników i kolia wziąłem jeszcze ładny pierścionek i puzderko na muszki okładane złotem. Miałem pięćdziesiąt ludwików w kieszeni i obaj z kawalerem byliśmy w świetnych humorach.

KUBUŚ: Dotąd idzie wszystko jak najlepiej. Jest tylko jedna rzecz, która mnie intryguje: to bezinteresowność imć pana Le Brun; czyżby nie miał żadnego udziału w łupach?

PAN: Żartujesz widzę Kubusiu; nie znasz jeszcze pana Le Brun. Ofiarowałem się nagrodzić jego usługi. Pogniewał się; odrzekł, iż biorę go widocznie za jakiegoś Mateusza de Fourgeot i że nigdy nie wyciągał ręki. „Oto drogi Le Brun — wykrzyknął kawaler — zawsze ten sam; ale wstyd by nam było, gdyby miał się okazać szlachetniejszym od nas...” To mówiąc, wybrał z towarów dwa tuziny chusteczek, sztukę muslinu i ofiarował mu je w moim imieniu dla żony i córki. Le Brun zaczął przyglądać się chustkom, które zdały mu się tak piękne, muslinowi, który okazał się tak delikatnym, sposób ofiary był tak uprzejmy i serdeczny, miał tak bliską sposobność odwzajemnienia się nam sprzedażą przedmiotów, które pozostały w jego rękach, iż dał się przekonać. Ruszamy w drogę, pędząc, ile tchu dorożkarskiego konia ku mieszkaniu tej, którą kochałem i dla której była przeznaczona kolia, naramienniki i pierścionki. Podarek usposobił moją panią jak najlepiej. Przyjęła mnie uroczo. Zaczęło się przymierzanie kolii i naramienników; pierścionek zdawał się robiony na miarę paluszka. Siedliśmy do wieczerzy, która, jak możesz sobie wyobrazić, odbyła się wesoło.

KUBUŚ: I spędził pan noc u niej?...

PAN: Nie.

KUBUŚ: Zatem kawaler...?

PAN: Tak sądzę.

KUBUŚ: Przy życzliwości, jaka pana zewsząd otaczała, pańskie pięćdziesiąt ludwików nie musiało trwać długo.

PAN: Nie. Po upływie tygodnia udaliśmy się do pana Le Brun zobaczyć, co nam przyniosła reszta fantów.

KUBUŚ: Nic albo bardzo mało. Le Brun był strapiony, miotał się na Mervalą i dygającą damę, nazywał ich łajdakami, bezecnikami, oszustami, poprzysiągł, iż odtąd nic z nimi nie chce mieć do czynienia i wręczył panu siedemset do osmiuset franków.

PAN: Koło tego: osiemset siedemdziesiąt.

KUBUŚ: Zatem, jeżeli umiem trochę rachować, osiemset siedemdziesiąt franków pana Le Brun, pięćdziesiąt ludwików Mervalą i Fourgeota, kolia, bransoletki i pierścionek, no, liczymy jeszcze pięćdziesiąt ludwików, oto coś pan uzyskał za swoje dziewiętnaście tysięcy siedemset siedemdziesiąt i pięć funtów w towarach. U diabła, to wspaniale! Merval miał słuszność, nie co dzień ma się do czynienia z równie godnymi ludźmi.

PAN: Zapominasz o koronkowych mankietkach wziętych przez kawalera w cenie kosztu.

KUBUŚ: Bo też kawaler nigdy już o nich nie wspomniał.

PAN: Przyznaję. A złote puzderko i zegarek zastawione przez imię Mateusza, za nich nie rachujesz?

KUBUŚ: Bo nie wiem, jak rachować...

PAN: Tymczasem termin płatności nadszedł.

KUBUŚ: A fundusze pańskie ani kawalera nie nadeszły.

PAN: Byłem zmuszony ukryć się. Powiadomiono rodzinę; jeden z wujów przybył do Paryża. Wniósł do policji skargę przeciw całej szajce. Skargę przekazano komisarzowi; komisarz był na żołdzie Mervala, którego ochraniał. Odpowiedziano, iż wszystko odbyło się wedle form prawnych i policja nic tu nie może uczynić. Wierzyciel, u którego pan Mateusz zastawił złote puzderka, zaskarżył go. Stawałem w procesie. Koszta sądowe narosły tak ogromne, iż po sprzedaży zegarka i szkatulek brakło jeszcze pięciuset franków, których nie było z czego pokryć.

Nie uwierzyłbyś temu, czytelniku. A gdybym ci opowiedział fakt następujący: Pewien oberżysta, zmarły niedawno w moim sąsiedztwie, zostawił dwie biedne i nieletnie sieroty. Komisarz udaje się do mieszkania zmarłego i kładzie pieczęcie. Władze zdejmują pieczęcie, spisują inwentarz, zarządzają sprzedaż, która daje osiemset do dziewięciuset franków. Z tych dziewięciuset franków, po ściągnięciu kosztów sądowych, zostaje po dwa soldy dla każdej z sierot; wtykają im w rękę te dwa soldy i prowadzą do przytułku.

PAN: To oburzające.

KUBUŚ: I to trwa jeszcze.

PAN: Wśród tego umarł ojciec. Zapłaciłem weksle i wyszedłem z kryjówki, gdzie na chwałę kawalera i mojej przyjaciółki muszę przyznać, iż dość wiernie dotrzymywali mi towarzystwa.

KUBUŚ: I oto pan zadurzony jak wprzód w kawalerze i w pięknej bogdance; ona zaś trzyma pana pod surowszą klauzurą niż kiedykolwiek.

PAN: A czemu, Kubusiu?

KUBUŚ: Czemu? Temu, iż teraz, gdy jesteś panem swej osoby i dziedzicem okrągłej fortunki, trzeba z pana wykroić kompletnego głupca, czyli męża.

PAN: Na honor, myślę iż w istocie taki był ich zamiar; ale nie powiódł się.

KUBUŚ: Miałeś pan wielkie szczęście, albo też wzięli się bardzo niezręcznie do rzeczy.

PAN: Ale zdaje mi się, że chryпка zelżała i mówisz o wiele swobodniej.

KUBUŚ: Tak się panu zdaje, ale tak nie jest.

PAN: Nie mógłbyś tedy podjąć historii swoich amorów?

KUBUŚ: Nie.

PAN: I jesteś zdania, abym ja dalej snuł historię moich?

KUBUŚ: Jestem zdania, aby uczynić pauzę i zajrzeć do bukłaczka.

PAN: Jak to! przy twoim bólu gardła dałeś napęłnić bukłaczek?

KUBUŚ: Tak, ale, do wszystkich par diabłów, ziółkami; dlatego też nie mam w głowie ani krzty myśli, jestem doszczętnie głupi; i dopóki w bukłaczku będą jeno ziółka, zostanę głupi.

PAN: Co ty robisz?

KUBUŚ: Wylewam ziółka na ziemię; boję się, aby nam nie przyniosły nieszczęścia.

PAN: Wariat jesteś.

KUBUŚ: Wariat czy mędrzec, to pewna, iż nie zostanie w bukłaku ani łezka.

Podczas gdy Kubuś opróżnia bukłaczek na ziemię, pan spogląda na zegarek, otwiera tabakierkę i gotuje się ciągnąć dalej historię swoich amorów. A ja, czytelniku, mam pokusę zamknąć mu usta, ukazując z dala albo starego wojskowego na koniu, jak z pochylonym grzbietem przybliży się zwawym truchtem; albo młodą wieśniaczkę w słomkowym kapeluszu, w czerwonej kiecce, wędrującą pieszko lub na ośle. I czemuż by stary wojskowy nie miał być kapitanem Kubusia albo też kolegą kapitana? — Ależ on umarł. —

Tak myślisz?... Dlaczego by młoda wieśniaczka nie miała być panią Zuzią albo Małgosią, albo też gospodynią spod Wielkiego Jelenia, albo matką Joanną, albo zgoła Dyzią, jej córką? Fabrykant romansów nie zawahałby się; ale ja nie lubię romansów, chyba że są pióra Richardsona. Piszę historię; ta historia zajmie was albo nie zajmie: to najmniejsza. Zamiarem moim jest być prawdziwym: spełniłem go. Dlatego też nie każę wrócić bratu Janowi z Lizbony; gruby przeor, który zbliża się ku nam w kabrioletcie obok młodej i pięknej damy, to nie będzie Ojciec Hudson. — Ale ojciec Hudson umarł? — Tak myślicie? Byliście na pogrzebie? — Nie. — Widzieliście, jak go przysypywano ziemią? — Nie. — Umarł tedy albo żyje, jak mnie się spodoba. Zależałoby jeno ode mnie zatrzymać kabriolet i wypuścić zeń wraz z przeorem i jego towarzyszką całą obfitość przygód, w następstwie których nie dowiedzielibyście się ani dalszego ciągu amorów Kubusia, ani też jego pana. — Ale ja gardzę tymi sposobikami; widzę jedynie jasno, że przy odrobinie wyobraźni i stylu nie ma nic łatwiejszego, jak klecić romans. Zostańmy tedy przy prawdzie i czekając, aż Kubusiowi ból gardła przeminie, pozwólmy mówić jego panu.

PAN: Jednego ranka kawaler zjawił się bardzo smutny; było to nazajutrz po dniu, który spędziliśmy wspólnie na wsi: kawaler, przyjaciółka jego lub też moja, lub być może nas obu, ojciec, matka, ciotki, kuzynki i ja. Zapytał, czy nie popełniłem jakiej niezręczności, zdolnej oświecić rodziców, co do mej intryżki. Rzekł dalej, iż ojciec i matka zaniepokojeni mym nadskakiwaniem zaczęli przypierać córkę do muru. Stoją na tym stanowisku iż, jeżeli mam zamiary uczciwe, nic prostszego, abym je wyjaśnił: zaszczytem będzie dla nich przyjąć mnie na tych warunkach; ale jeśli nie opowiem się wyraźnie w ciągu dwóch tygodni, proszą, abym zaprzestał odwiedzin, które ściągają ludzką uwagę i szkodę przynoszą córce, usuwając od niej inne korzystnie partie.

KUBUŚ: I cóż, panie, czy Kubuś ma nosa?

PAN: Kawaler dodał: „Dwa tygodnie! termin dość krótki. Kochasz, jesteś kochany: za dwa tygodnie cóż uczynisz?”. Odpowiedziałem wręcz kawalerowi, iż się usunę.

— Usuniesz się! Nie kochasz zatem?

— Kocham, i bardzo; ale mam rodzinę, nazwisko, pozycję, widoki i nie zgodzę się nigdy zagrzebać wszystkich tych atutów w kramiku małej mieszczki.

— I mam im to oświadczyć?

— Jak chcesz. Ale, powiem ci, kawalerze, te nagle i delikatne skrupuły dziwią mnie. Pozwalali córce przyjmować podarki; zostawiali nas po dwadzieścia razy sam na sam; panna uganiana po balach, zebraniach, teatrach, spacerach, na wsi i w mieście, z pierwszym lepszym, kto jej może ofiarować powóz i konie; rodzice śpią głębokim snem, podczas gdy u córki goście bawią się lub tańczą; sam wysiadujesz tam, ile ci się podoba; a mówiąc między nami, kawalerze, skoro ciebie wpuszcza się do domu, można śmiało wpuścić i kogo innego. Reputacja panny jest ustalona. Nie chcę ani wierzyć, ani przeczyć wszystkiemu, co powiadają, ale przyznasz, że mogliby wcześniej zdobyć się na troskliwość o honor swego dziecka. Mam rzec prawdę? Wzięli mnie za dudka, którego spodziewają się doprowadzić za nos do stópek księdza proboszcza. Omylili się. Przyznaję, iż panna Agata jest czarująca; głowę mam nią porządnie zaproszoną: widać to, jak sędzę, po przerażających wydatkach, jakie dla niej uczyniłem. Nie uchylam się od nich nadal, ale ostatecznie muszę mieć pewność, iż okaże mi się w przyszłości mniej surową.

Nie jest moim zamiarem wiecznie tracić u jej kolan czas, majątek i westchnienia, które mógłbym z większym pożytkiem obrócić gdzie indziej. Możesz powtórzyć te ostatnie słowa pannie Agacie, a wszystko, com rzekł poprzednio, oświadczyć rodzicom... Stosunek nasz albo musi się przerwać, albo też panna Agata raczy mnie przyjmować na innej stopie i znajdzie dla mnie lepszy użytek niż ten, który czyniła z mojej osoby dotychczas. Kiedy mnie wprowadziła do niej, przyznaj, kawalerze, pozwoliła mi spodziewać się faworów, których nie znalazłem. Kawalerze, ty mnie troszkę nabrałeś.

KAWALER: Na honor, przede wszystkim nabrałem sam siebie. Któż, u diaska, byłby przypuścił, że ta mała wariatka z tą pustą minką, z tak śmiałym i wesołym wzięciem okaże się takim zażartym smokiem na punkcie cnoty?

KUBUŚ: Ej, do licha, panie, toś się pan postawił wcale tego. Zatem byłeś chwatem raz jeden w życiu?

PAN: Zdarzają się dni. Miałem na wątrobie przeprawę z lichwiarzami, przymusową rejteradę przed panią Bridoie i, bardziej niż wszystko inne, srogość panny Agaty. Było mi po trosze dość tej głupiej roli.

KUBUŚ: I po tej męźnej apostrofie wystosowanej do drogiego przyjaciela, kawalera de Saint-Ouin, coś pan uczynił?

PAN: Dotrzymałem słowa: przestałem bywać.

KUBUŚ: *Bravo! Bravo! mio caro maestro!*

Minęły dwa tygodnie; żadnego znaku życia. Kawaler tylko donosił mi wiernie o następstwach mojej absencji i zagrzewał, abym się trzymał twardo. Powtarzał: „Zaczynają się dziwić, spoglądają po sobie, szepczą po kątach; zastanawiają się, czym mogli dać powód niezadowolenia. Panienka wysiła się na godność; powiada z przybraną obojętnością, poprzez którą widzi się łatwo, że jest dotknięta: »Ten pan nie raczy się pokazywać; widocznie nie zależy mu na naszej znajomości; jak mu się podoba, to jego rzecz...« Następnie okręca się na pięcie, zaczyna nucić, idzie ku oknu, wraca, ale z czerwonymi oczkami; wszyscy widzą wyraźnie, że płakała”.

— Płakała!

— Siada; bierze robotkę; chce pracować, ale jej nie idzie. Wszyscy rozmawiają, ona milczy; starają się ją rozerwać, wszystko drażni ją tylko. Ktoś podsuwa jakąś grę, przechadzkę, widowisko: panna przystaje; nagle skoro wszystko gotowe, czegoś innego się jej zachciewa i znowu odchciewa w chwilę później... Och, ale co to? zaczynasz być jakiś nieswój! Już nic nie powiem.

— Więc, kawalerze, sądzisz, gdybym się pojawił...

— Sądzę, że byłbyś głupcem. Trzeba umieć wytrwać, być mężczyzną. Jeśli wrócisz, nie będąc wezwanym, przepadłeś. Trzeba nauczyć rozumu ten kramik.

— Ale jeśli mnie nie wezwie?

— Wezwie.

— Jeśli zbyt długo będzie się ociagać...?

— Wezwie niebawem. Do paralusza! człowieka takiego jak ty nie tak łatwo zastąpić. Jeśli powrócisz sam z siebie, będziemy się dąsać, każemy ci drogo zapłacić twój wybryk; nałożymy warunki, jakie nam się spodoba; trzeba się będzie poddać; trzeba będzie ugiąć kolano. Czy chcesz być panem czy niewolnikiem i to niewolnikiem najpodlejszego gatunku? Wybieraj. Aby rzec prawdę, twoje postąpienie było nieco lekkie; nie wygląda na człowieka mocno rozkochanego; ale co się stało, to się stało; i jeśli możebnym jest wyciągnąć z tego pożytek, nie trzeba spudłować.

— Płakała!

— No i cóż? płakała. Ostatecznie lepiej niech ona płacze, niżbyś ty miał płakać.

— Ale jeśli mnie nie zawezwą?

— Zawezwą, powiadam. Skoro się tam zjawiam, nie mówię o tobie ani słówka, jakby cię wcale nie było na świecie. Krąży koło mnie: ja nic; nie zwracam uwagi; w końcu pyta, czy cię widziałem; odpowiadam obojętnie czasem tak, czasem nie; mówimy o czym innym; ale zawsze rozmowa schodzi na twoje zniknięcie. Pierwsze słowo pada ze strony ojca, matki, ciotki albo Agaty; mówią: „Po tylu względach, jakie mieliśmy dla niego! życzliwości, jaką okazaliśmy mu w niedawnej przygodzie! przyjaźni, jaką żywiła dla niego Agatka! po tych grzecznościach, jakimiśmy go obsypywali! tylu zapewnieniach przywiązania, jakieśmy otrzymali odeń! i ufajże tu komu!... Otwierajże dom ludziom, którzy się doń cisną!... Wierz tu przyjaciołom!”.

— A Agata?

— Narobiłeś bigosu, możesz mi wierzyć.

— A Agata?

— Agata ciągnie mnie na bok i mówi: „Kawalerze, czy ty rozumiesz postępowanie twego przyjaciela? Upewniałeś tyle razy, że mnie kocha; wierzyłeś w to zapewne i czemuż nie miałbyś wierzyć? Ja, przyznaję, wierzyłam...” I nagle urywa, głos się jej zmienia, oczy wilgną... Dobryś! toć z tobą dzieje się to samo! Już nie powiem ani słowa, to pewna. Widzę, co byś ty chciał, ale nic z tego, bezwarunkowo nic z tego. Skoro raz popełniłeś głupstwo, usuwając się ni w pięć ni w dziewięć, nie chcę, abyś dodawał nowe narzucając się teraz. Trzeba wyzyskać to wydarzenie, aby posunąć naprzód twoje sprawy z Agatą;



trzeba, aby widziała, że nie trzyma cię tak mocno, aby nie mogła stracić, o ile nie postara się lepiej cię zobowiązać. Po tym, co dla niej uczyniłeś, znajdować się jeszcze w fazie całowania w rękę! Ale powiedz mi, kawalerze, z ręką na sumieniu: jesteśmy przyjaciółmi; możesz bez niedyskrecji mówić ze mną szczerze; doprawdy, czy nigdy nic nie miałeś od niej?

— Nie.

— Ty kłamiesz, bawisz się w dyskretnego.

— Robiłbym to może, gdybym miał racje po temu; ale przysięgam ci, nie mam szczęścia być kłamcą w tej chwili.

— To niepojęte! bo ostatecznie ty nie jesteś byle ciemięga! Jak to! nie miała z tobą ani najmniejszej chwili słabości?

— Nie.

— Musiała być taka chwila, tyłkoś może nie spostrzegł jej i zmarnował. Boję się, czyś w tym wszystkim nie był trochę dudkiem; ludzie uczciwi, delikatni i sercowi, jak ty, skłonni są do tego.

— Ale ty, kawalerze, rzekłem, co ty tam robisz?

— Nic.

— Nie masz żadnych pretensji?

— Phi! miałem je i to nawet dość długo; ale cóż? ty przybyłeś, ujrzałeś i zwyciężyłeś. Spostrzegłem się, iż panienka patrzy na ciebie zbyt chętnie, a na mnie wcale: zwinąłem tedy po prostu chorągiewkę. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi; zwierza mi się ze swymi panieńskimi głupstewkami, słucha czasem moich rad; ot, w braku lepszej, zgodziłem się na rolę komparsa, do jakiej mnie zepchnąłeś.

KUBUŚ: Panie, dwie uwagi: jedna, to że mnie nie udało się nigdy prowadzić przez jakiś czas mojej historii, żeby ten czy inny diabeł jej nie przerwał, pańska zaś idzie jak po maśle. Oto losy życia; jeden biegnie wśród samych cierni i nie ukluje się; drugi darmo spogląda przy każdym kroku pod nogi, napotka ciernie na najgładszej drodze i dobije się do legowiska odarty i pokaleczony.

PAN: Czy zapomniałeś swej przyśpiewki: a wielka wstęga, a pismo nakreślone w górze?

KUBUŚ: Druga rzecz, to że trwam nadal w przekonaniu, iż kawaler de Saint-Ouin jest wielkim hultajem; i że podzieliwszy się pańskimi pieniędzmi z lichwiarzami Le Brunem, Mervalem, Mateuszem de Fourgeot lub Fourgeotem de Mateusz i panią Bridoie, stara się ubrać pana w swą kochankę, rozumie się wielce honorowo, z udziałem rejenta i proboszcza, aby podzielić z panem jeszcze i pańską żonę... Au! gardło!...

PAN: Wiesz ty, co ty robisz? rzecz bardzo powszechną i wielce nieprzyzwoitą.

KUBUŚ: Bardzom do tego zdolny.

PAN: Skarżysz się, ilekroć ci przerwę, a sam przerywasz.

KUBUŚ: To skutek złego przykładu. Matka lubi się puszczać, a chce żeby córka była święta; ojciec marnotrawi, a chce aby syn był oszczędny; pan chce...

PAN: Przerywać swemu służącemu, przerywać, ile mi się podoba, a nie znosić, aby on mi przerywał.

Czytelniku, czy nie lękasz się, aby się nie powtórzyła scena z oberży, gdy jeden krzyczał: „Zleziesz”, a drugi: „Nie zleżę?”. Nie ma wątplenia, iż bylebym choć troszkę podjudził Kubusia lub jego pana, natychmiast wszczęłaby się kłótnia; a skoro by się raz zaczęła, kto wie, jaki by miała koniec. Ale prawdą jest, iż Kubuś odparł skromnie: „Ja nie przerywam, tylko rozmawiam z panem, jak mi pan raczył pozwolić”.

PAN: Mniejsza; ale to jeszcze nie wszystko.

KUBUŚ: Jakiegoż innego zuchwalstwa zdołałem się dopuścić?

PAN: Wyprzedzasz nieustannie opowiadającego i pozbawiasz przyjemności, jaką sobie obiecywał po twoim zdziwieniu; tak iż skoro popisując się niewczesną bystrością, zgadłeś to, co miał powiedzieć, nie pozostaje mu nic innego jak milczeć i ja też milczę.

KUBUŚ: Och, panie!

PAN: Niech wszyscy czarci porwą ludzi chorujących na przenikliwość!

KUBUŚ: Zgoda; ale nie będzie pan tak okrutnym...

PAN: Przyznaj, że zasługiwałbyś na to.

KUBUŚ: Zgoda; ale z tym wszystkim spojrzysz pan na zegarek, zażyjesz tabaki, złość przemienie i będzie pan ciągnął dalej swą historię...

PAN: Ten ladaco robi ze mną, co mu się podoba...

W kilka dni po tej rozmowie kawaler znów zjawił się u mnie; miał minę tryumfującą: „I cóż, przyjacielu — rzekł — czy na drugi raz będziesz wierzył memu talentowi wróżbity? Powiedziałem z góry: jesteśmy silniejsi. Masz tu list od małej; tak, list, list od niej”...

List był bardzo czuły, wymówki, skargi, *et caetera*, i oto z powrotem zainstalowałem się w domu.

Czytelniku, widzę, że przerywasz w tym miejscu czytanie; o co ci chodzi? Ach, zdaje mi się, że rozumiem; chciałbyś zobaczyć list. Pani Riccoboni<sup>79</sup> nie omieszkałaby ci go pokazać. Bileciku, który pani de La Pommeraye podyktowała nabożnisiom, jestem pewien, że także żalowałaś. Mimo iż był on nieskończenie trudniejszy do napisania niż liścik Agaty, sądzę, bez zbytnej zarozumiałości na punkcie mego talentu, iż dałbym z nim sobie rady; ale nie byłby oryginalny: byłoby tak, jak z owymi wspaniałymi przemowami Tytusa Liwiusza w jego *Historii Rzymskiej* lub też kardynała Bentivoglio w *Wojnach Flandrii*. Czyta się je z przyjemnością, ale niweczą złudzenie. Historyk podsuwający swoim osobistościom mowy, których nie wygłosiły, może im także podsunąć czyny, których nie popełniły. Błagam cię tedy, zechciej obyć się bez obu listów i prowadź dalej lekturę.

PAN: Pytano mnie o przyczynę zniknięcia, odpowiedziałem ni to ni owo; zadowolono się odpowiedzią i wszystko wróciło do dawnego trybu.

KUBUŚ: To znaczy, wydatki postępowały w najlepsze, sprawy zaś miłosne nie posuwały się ani na jotę.

PAN: Kawaler wypytywał często o postępy moich amatorów i zdawał się zniecierpliwiony.

KUBUŚ: Być może niecierpliwił się w istocie.

PAN: A dlaczego?

KUBUŚ: Dlaczego? Dlatego, że...

PAN: Dokończ, dokończ.

KUBUŚ: Niech mnie Bóg broni; trzeba coś zostawić opowiadającemu.

PAN: Nauki nie idą w las, bardzo mnie to cieszy... Jednego dnia kawaler zaproponował przejażdżkę we dwójkę. Wybraliśmy się na cały dzień na wieś. Wyjechaliśmy wczesnym rankiem. Zjedliśmy obiad w gospodzie, wieszczę również; wino było doskonałe, ciągnęliśmy sporo, rozmawiając o polityce, religii i kobietach. Nigdy kawaler nie objawiał mi tyle zaufania, tyle przyjaźni; opowiedział wszystkie przygody swego życia z nieprawdopodobną szczerością, nie tając ani złego, ani dobrego. Pił, ścisnął mnie, płakał z czułości; piłem, ścisnąłem, płakałem i ja również. W całym ubiegłym życiu miał tylko jeden postępek, który sobie wyrzucił; ale ten wyrzut poniesie z sobą aż do grobu...

— Kawalerze, wypowiadaj się przyjacielowi; to ci ulży. No i cóż! o co chodzi? pewnie jakaś błażostka, którą przeceniasz w zbytnej drażliwości?

— Nie, nie — wykrzyknął kawaler, kryjąc głowę w rękach i zasłaniając twarz ze wstydu — to zbrodnia, zbrodnia nie do przebaczenia. Czy uwierzyłbyś? Mnie, kawalerowi de Saint-Ouin, zdarzyło się raz w życiu oszukać, oszukać, tak, oszukać przyjaciela.

— I jakżeż się to stało?

— Niestety! bywaliśmy obaj w jednym domu, jak ty i ja. Była tam młoda panna, jak panna Agata; on był w niej zakochany, ja posiadałem jej miłość; on rujnował się dla niej, ja cieszyłem się jej faworem. Nigdy nie miałem odwagi uczynić mu tego wyznania; ale jeżeli się kiedy spotkamy, powiem wszystko. Noszę ten straszliwy sekret na dnie serca, przygniata mnie: to ciężar, z którego trzeba mi się koniecznie uwolnić.

<sup>79</sup>Pani Riccoboni (1714–1792) — autorka powieści francuskich na modłę angielskich wzorów. [przypis tłumacza]

— Kawalerze, dobrze uczynisz.

— Radzisz mi to?

— Z pewnością.

— A jak myślisz, iż mój przyjaciel przyjmie tę rzecz?

— Jeśli jest twoim przyjacielem, jeśli jest sprawiedliwym, znajdzie we własnym sercu twoje uniewinnienie; uczuje się wzruszony twą szczerością i skruczą; zarzuci ci ramiona na szyję; uczyni to, co ja uczyniłbym na jego miejscu.

— Tak myślisz?

— Myślę.

— I w ten sposób ty byś postąpił?

— Nie wątpię o tym...

Naraz kawaler zrywa się, zbliża się ku mnie z łzami w oczach, z otwartymi ramionami i powiada: „Przyjacielu, uściskaj mnie”.

— Jak to! — rzekłem — kawalerze, to ty? to ja? to ta szelma Agata?

— Tak, przyjacielu; zwracam ci teraz jeszcze słowo, wolno ci postąpić ze mną, jak ci się spodoba. Jeżeli mniemasz, jak ja sam, iż zniewaga jest nie do darowania, nie daruj; wstań, opuść mnie, nie patrz odtąd na mnie inaczej jak ze wzdargą i wydaj na pastwę hańby i bóleści. Ach, przyjacielu, gdybyś znał władzę, jaką ta mała zbrodniarka ma nad moim sercem! Urodziłem się uczciwym; osądź, ile musiałem cierpieć w niegodnej roli, do której dałem się poniżyć. Ileż razy odwracałem oczy od kochanki, aby je zwrócić ku tobie, jęcząc nad zdradą jej i własną! To niesłychane, że ty się nigdy nie spostrzegłeś...

Słałem nieruchomo jak zaklęty w skałę; zaledwie słyszałem, co do mnie mówił. Wykrzyknąłem: „Ha! niegodna! och! kawalerze! ty, ty, mój przyjaciel!”.

— Tak, byłem nim i jestem jeszcze, skoro aby cię wydobyć z więzów tej istoty, naruszam tajemnicę, która bardziej należy do niej niż do mnie. Ale do prawdziwej rozpacz doprowadza mnie to, iż ty nie uzyskałeś od niej nic, co by mogło okupić wszystkie ofiary... (*Tutaj Kubuś zaczyna się śmiać i pogwizdywać.*)

Ależ to *Prawda w winie*<sup>80</sup> Collego... Czytelniku, sam nie wiesz, co pleciesz; silisz się okazać spryt, a zdradzasz jeno swoje osielstwo. Jest to tak odległe od prawdy w winie, iż, zgoła przeciwnie, jest to fałsz w winie. Powiedziałem ci grubiaństwo, bardzo mi przykro; przepraszam.

PAN: Stopniowo gniew mój opadł. Uściskałem kawalera; usiadł z powrotem na krześle, z łokciami opartymi na stole, z pięściami przy oczach; nie śmiał na mnie spojrzeć.

KUBUŚ: Taki był zmartwiony! a pan pewno pocieszałeś go jeszcze?... (*I Kubuś zaczyna znowu pogwizdywać z uciechy.*)

PAN: Najlepszym rozwiązaniem kwestii zdawało mi się obrócić całą sprawę w żart. Za każdym moim konceptem kawaler zawstydzony powiadał: „Nie ma takiego człowieka jak ty; jesteś jedyny na świecie; wartes sto razy więcej ode mnie. Wątpię, abym ja się zdobył na tę wspaniałomyślność lub siłę, aby przebaczyć podobną zniewagę, a ty z niej żartujesz; to jest wprost bez przykładu. Mój przyjacielu, czym ja zdołam kiedy okupić... Ach, nie, nie, takie rzeczy są nie do okupienia. Nigdy, nigdy nie zapomnę ani mojej zbrodni, ani twojej pobłażliwości; te dwie rysy głęboko są wyłobione tu, w sercu. Będę sobie przypominał dzień dzisiejszy, aby nienawidzić siebie, ciebie zaś podziwiać, zdwoić moje przywiązanie”...

— Ech, kawalerze, dajmy już temu pokój, przeceniasz o wiele i swój, i mój postęp. Pijmy twoje zdrowie. No, kawalerze, moje zatem, skoro nie chcesz twego... Powoli, kawaler odzyskał odwagę. Opowiedział mi wszystkie szczegóły zdrady, obrzucając sam siebie najbardziej surowymi przydomkami; strzępy leciały z córki, matki, ojca, ciotek, całej rodziny, którą przedstawił jako zbieraninę kanalii niegodnych mnie, ale zupełnie godnych jego; to jego własne słowa.

KUBUŚ: Oto dlaczego radzę kobietom, aby nigdy nie dopuszczały do poufności ludzi, którzy się upijają. Równie pogardzam pańskim kawalerem za niedyskrecję w miłości, co za przewrotność w przyjaźni. Cóż u diaska! toć potrzebował tylko... być uczciwym człowiekiem i pomówić z panem wprzód... Ale ot, panie, ja trwam przy swoim, że to

<sup>80</sup>*Prawda w winie* — *La verité dans le vin*, czyli *les Désagrémens de la galanterie*, wdzięczna komedyjka stanowiąca idealny model literatury lekkiego autoramentu XVIII wieku. [przypis tłumacza]

obwieś, skończony obwieś. Nie wiem, jak się to skończy; lękam się, że on pana jeszcze grubo oszuka, otwierając panu oczy. Wyrwij mnie pan, wyrwij sam siebie co rychlej z tej jaskini i z towarzystwa tego człowieka...

(Tutaj Kubuś przechylił bukłaczek, zapominając, iż nie ma w nim ani ziółek, ani wina. Pan zaczął się śmiać. Kubuś zakaszał się i kaszłał jednym ciągiem przez dobre pół kwadransa. Pan wydobyl zegarek i tabakierkę i ciągnął dalej historię, którą przerwe, jeśli nie macie nic przeciw temu; chociażby dlatego, aby doprowadzić do wściekłości Kubusia, udowadniając, iż wbrew jego mniemaniu nie było napisane w górze, że on jedynie będzie narażony ciągle na przerywania, pan jego zaś nigdy<sup>81</sup>.)

PAN *do kawalera*: Po wszystkim co mi powiadasz o tej szajce, mam nadzieję, że już ich nie ujrzysz na oczy.

— Ja, ich!!... Ale do istnej wściekłości doprowadza mnie myśl, iż miałbym tak odejść nie zemściwszy się. Więc ma być wolno zdradzić, wystrychnąć na dudka, ośmieszyć, obłupić uczciwego człowieka; wolno nadużyć namiętności i słabości drugiego uczciwego człowieka (śmiem jeszcze bowiem uważać się za takiego), aby go wplątać w całe pasmo bezceństwa; wolno narażić dwóch przyjaciół na to, aby się znienawidzili i być może pozabijali, bo ostatecznie, mój drogi, przyznaj, gdybyś był odkrył moje niegodne sztuczki, wszak jesteś dzielny i być może byłbyś wpadł w taką wściekłość...

— Nie, nie, nie byłoby doszło aż do tego. I dla czego? dla kogo? dla wina, co do której nikt nie może ręczyć, czyby sam jej nie popełnił w danym razie? Czyż to moja żona? A gdyby nawet nią była? Czy moja córka? Nie, po prostu szelma; i ty myślisz, że dla takiej szelmy... Ech, przyjacielu, dajmy temu pokój i pijmy. Agata jest młoda, żywa, biała, pulchna, toczona; ciało musi mieć jak z marmuru, nieprawdaż? skórkę najgładszą w świecie? Uścisk jej musi być rozkosznym, wyobrażam sobie, że czuleś się dość szczęśliwym w jej ramionach, aby nie myśleć wówczas o obowiązkach przyjaźni.

— To pewna, że gdyby wdzięki danej osoby i rozkosz, jaką daje, mogły złagodzić winę, nikt pod słońcem nie byłby mniej występny ode mnie.

— Ha, ha, kawalerze, cofnijmy się nieco wstecz; odwołuję przebaczenie i chcę położyć pewien warunek, pod którym godzę się zapomnieć zdrady.

— Mów, przyjacielu, rozkazuj; czy trzeba rzucić się oknem, powiesić się, utopić, wbić sobie nóż w serce?...

Tu kawaler chwytając nóż leżący na stole, rozpina kołnierz, rozrywa koszulę i z błędnym wzrokiem przykładając ostrze prawą ręką do dołka nad lewym obojczykiem, zdając się czekać tylko mego rozkazu, aby się sprzątnąć ze świata modą starożytnych.

— Nie o to chodzi, kawalerze, zostawże ten nożyk.

— Nie; zasłużyłem na to: daj tylko znak.

— Zostawże ten nóż poszczerbiony, powiadam, nie stawiam tak wysokiej ceny rozgrzeszenia... — Wszelako ostrze noża ciągle spoczywa na dołku nad lewym obojczykiem; chwytam, wydieram nóż, rzucam daleko od siebie, następnie, zbliżając butelkę do szklanki kawalera i lejąc do pełna, mówię — Najpierw pijmy; następnie dowiesz się, jakim strasliwym warunkiem okładam twoją ekspiację. Mów tedy: Agata jest bardzo rozkoszna, bardzo smakowita?

— Ach, przyjacielu, czemuż nie możesz tego wiedzieć tak jak ja!

— Czekaj; niech nam tu podadzą butelkę szampańskiego, a potem opowiesz mi historię jednej z waszych nocy miłosnych. Tak, zdrajco uroczy, rozgrzeszenie mieści się na końcu tej historii. No, zaczynaj; nie słyszysz?

— Słyszę.

— Wyrok wydaje ci się zbyt srogim?

— Nie.

— O cóż cię prosiłem?

— Aby opowiedział jedną z naszych nocy...

— Otóż to.

Tymczasem kawaler mierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy i mówił sam do siebie: „Ten sam wzrost, ten sam mniej więcej wiek, a gdyby nawet była jaka różnica, po ciemku przekonana, że to ja, nie będzie podejrzewać niczego...”

<sup>81</sup> *Tutaj (...) nigdy* — ustęp wzięty w nawias nie znajduje się w wydaniu oryginalnym. [przypis tłumacza]

— Ależ, kawalerze, nad czym ty dumasz? ani pijesz, ani odpowiadasz...  
— Myślę, przyjacielu, i wymyśliłem: oto wielkie słowo. Uściskaj mnie, będziemy, tak, będziemy pomszczeni. To łajdactwo z mej strony; ale jeśli niegodne mnie, godne z pewnością tej hultajki. Pytasz o historię jednej z naszych nocy?

— Tak; czy wymagam za wiele?

— Nie; ale gdybym zamiast historii dostarczył ci samejże nocy?

— To by było nieco lepsze. (*Kubuś zaczyna pogwizdywać.*)

Kawaler dobywa z kieszeni dwa klucze, jeden duży, drugi mały. „Ten mały — powiada — jest od drzwiczek z ulicy, duży od przedpokoju Agaty; weź, oba są na twoje usługi. Oto moja droga co dzień od sześciu miesięcy; musisz się jej ściśle trzymać. Jej okna wychodzą, jak ci wiadomo, na ulicę. Przechadzam się pod nimi, póki widzę światło. Doniczka z kwiatami wystawiona na zewnątrz stanowi umówiony sygnał; wówczas zbliżam się do drzwi, otwieram, jestem w środku, zamykam, przekradam się po schodach najciszej, jak mogę, skręcam w pierwszy korytarz na prawo: pierwsze drzwi w korytarzu prowadzą do niej, jak ci wiadomo. Otwieram znowu, wchodzę do alkierzyka na prawo, tam znajduję nocną latarkę, przy blasku której rozbieram się swobodnie. Agata zostawia drzwi od sypialni uchylone; wchodzę i wślizguję się prosto do łóżka. Rozumiesz wszystko?

— Wybornie!

— Ponieważ o ścianę mieszkają rodzice, nie odzywamy się ani słowa.

— Sądzę zresztą, że macie coś lepszego do roboty niż paplać.

— W razie jakiego wypadku mogę wyskoczyć z łóżka i zamknąć się w alkierzyku: to wszelako nigdy się nie zdarzyło. Zwyczajnie rozstajemy się około czwartej rano. Jeśli godzina rozkoszy lub wypoczynku przeciągnie się poza tę porę, wstajemy razem; ona schodzi, ja zostaję w alkierzu, ubieram się, czytam, odpoczywam, czekam, aż nadejdzie pora, w której można się pokazać. Schodzę, witam się, ściskam ze wszystkimi, jak gdybym w tej chwili przybył.

— A tej nocy, czy cię oczekuje?

— Jak co dzień.

— I ustąpiłbyś mi miejsca?

— Z całego serca. Że będziesz wolał noc od opowiadania, o tym nie wątpię; ale czego bym pragnął, to...

— Mów; wszystko gotów jestem uczynić dla ciebie.

— Abyś został w jej ramionach aż do białego dnia; nadszedłbym i zaskoczyłbym was.

— Och! nie, kawalerze, to byłoby zbyt okrutne.

— Zbyt okrutne? Nie tak znów bardzo, jak sobie wyobrażasz. Przedtem zrzuciłbym z siebie ubranie w alkierzyku.

— Ej, kawalerze, doprawdy ty masz diabła w sobie. Ależ to niemożliwe: skoro mnie oddasz klucze, jakże dostaniesz się do środka?

— Och! przyjacielu, jakiś ty głupi!

— Nie tak znów bardzo, zdaje mi się.

— A dłaczegóż nie mielibyśmy wejść obaj razem? Ty pospieszyłbyś w objęcia Agaty, ja zostałbym w alkierzu, póki byś nie dał umówionego znaku.

— Daję słowo, pomysł jest tak zabawny, tak wariacki, że mało brakuje, abym się zgodził na wszystko. Ale kawalerze, mówiąc szczerze, wolałbym raczej odłożyć tego psikusa na którą z następnych nocy.

— Ach! rozumiem, zamiarem twoim jest pomścić nas więcej niż raz jeden.

— Jeśli pozwolisz...?

— Najzupełniej.

KUBUŚ: Ten kawaler obala wszystkie moje domysły. Wyobrażałem sobie...

PAN: Wyobrażałeś sobie?

KUBUŚ: Nie, nie, panie; słucham, co dalej.

PAN: Piliśmy, gadaliśmy tysiąc szaleństw na temat nocy, która się zbliżała, oraz następnych, tej zwłaszcza, kiedy Agata miała się znaleźć między kawalerem a mną. Kawaler odzyskał swą przemilę wesołość, a treść rozmowy też nie była smutna. Dawał mi, co do sposobu zachowania, różne przepisy, nie wszystkie łatwe do wprowadzenia w czyn; ale mimo cudownych wprost przymiotów kawalera, po długim szeregu nocy dobrze przezeń

wypełnionych, miałem nadzieję godnie podtrzymać jego honor w ciągu tej mojej pierwszej. Zaczęły się szczegóły bez końca o talentach, doskonałościach i uczynności Agaty. Kawaler z niepojętą sztuką podsycił pijaństwo wina pijaństwem namiętności. Dłużyła się chwila dzieląca nas od godziny igraszki czy pomsty. Wstaliśmy od stołu, kawaler zapłacił rachunek; zdarzyło mu się to raz pierwszy. Wsiadliśmy do pojazdu; mieliśmy dobrze w czubie; woźnica i służba jeszcze lepiej.

Czytelniku, kto by mi zabronił wpuścić tu woźnicę, konie, powóz, panów i służących w jakie trzęsawisko? A jeśli to was przeraża, kto by mi zabronił przywieźć ich zdrowych i całych do miasta, gdzie bym zahaczył ich powóz o inny powóz mieszczący również młodych ludzi i również pijanych? Przyszłoby do wymiany słów, sprzeczki, błyskania szpadą, burdy w całym tego słowa znaczeniu. Kto by mi zabronił (jeśli nie lubicie burd) wprowadzić w miejsce młodych ludzi pannę Agatę wraz z jedną z ciotek? Ale nie zaszło nic podobnego. Kawaler i pan Kubusia przybyli do Paryża. Ten ostatni wziął suknie kawalera. Jest północ, krążą pod oknami Agaty, światło gaśnie, doniczka zjawia się na swoim miejscu. Jeszcze raz przechodzą ulicę tam i z powrotem, kawaler daje ostatnie wskazówki. Zbliżają się do drzwi, kawaler otwiera, wpuszcza przyjaciela, zatrzymuje klucz od bramy, daje klucz od korytarza, zamyka drzwi wchodowe i oddala się. Po tych drobnych szczegółach udzielonych z lakońską zwięzłością Pan zabiera głos i mówi:

— Znałem rozkład mieszkania. Wstępuję na palcach, otwieram drzwi od korytarza, wchodzę do alkierzyka, gdzie znajduję lampkę nocną. Rozbieram się; zastaję drzwi od pokoju uchylone, wchodzę; kieruję się ku alkowie: Agata nie śpi. Rozsuwam firanki; czuję, jak para ramion oplata mnie i przyciąga; poddaję się, kładę, czuję się obsypany tysiącem pieszczot, które odwzajemniam. Jestem najszczęśliwszym z ludzi; jestem nim ciągle jeszcze, gdy...

Tu pan Kubusia spostrzegł, że sługa śpi albo też udaje, że śpi: „Ty śpisz — huknął — śpisz gamoniu w najbardziej przejmującej chwili mojej historii!...”. Tutaj właśnie Kubuś czekał swego pana. „Obudzisz ty się?”

— Nie sądzę.

— I czemu?

— Bo gdybym się obudził, ból gardła mógłby się obudzić również, a myślę, że lepiej, abyśmy sobie obaj wypoczęli...

I Kubuś opuszcza głowę na piersi.

— Kark sobie nakręcisz.

— Z pewnością, jeśli tak jest napisane w górze. Czy pan nie jesteś w objęciach panny Agaty?

— Tak jest.

— Czy nie czujesz się pan dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Więc tkwij pan.

— Tkwij! łatwo ci mówić.

— Przynajmniej do chwili, w której się dowiem historii plastra pana Desglands.

PAN: Ha! mścisz się, zdrajco.

KUBUŚ: A gdyby nawet, panie? Skoro pan mi przerywał historię moich amorów tysiącem pytań, fantazyj, bez najmniejszego szemrania z mej strony, czy nie wolno mi błagać pana, abys przerwał swoją, by mnie pouczyć o historii plastra zacnego Desglands? Człowiek, któremu tyle zawdzięczam, który wydobyl mnie ze szponów chirurga, w chwili gdy będąc zupełnie odarty z pieniędzy, nie wiedziałem, co z sobą począć! W jego domu zawarłem znajomość z Dyzią; Dyzią, bez której nie byłbym panu powiedział ani słowa o całej tej podróży? Mój panie, drogi panie, historia plastra pana Desglands! Może pan być tak zwięzły, jak się panu podoba; tymczasem senność, która mnie dławi i której nie mogę poskromić, rozproszy się i będziesz pan mógł rachować na całą mą uwagę.

PAN *powiada, wzruszając ramionami*: Była w sąsiedztwie Desglands'a urocza wdowa, która miała wiele przymiotów wspólnych ze słynną kurtyzaną ubiegłego wieku<sup>82</sup>. Stateczna rozumem, rozwiązała temperamentem, żalująca nazajutrz głupstwa popełnionego wczoraj, spędziła całe życie przechodząc od rozkoszy do wyrzutów i od wyrzutów do rozkoszy, przy czym nigdy nie udało się wyrzutom zdławić chętki do używania. Widywałem ją w jej ostatnich chwilach; powiadała, iż wreszcie wymyka się swoim dwóm wielkim nieprzyjaciółom. Mąż pobłażliwie patrzący na jedyny błąd, jaki miał jej do rzucenia, czuł dla niej współczucie dopóki żyła; serdeczny żal długo po jej śmierci. Utrzymywał, iż byłoby równie śmieszne z jego strony przeszkadzać żonie kochać, co gdyby przeszkadzał jej pić. Przebacał jej mnogość kapryśków w uznaniu wykwiśniętego smaku, jakim odznaczała się w wyborze. Nie uwieńczyła nigdy hołdu głupca albo człowieka złego; łaski jej były zawsze nagrodą talentów lub zacności charakteru. Powiedzieć o kimś, iż jest lub był jej kochankiem, znaczyło upewnić, iż był to człowiek z głębszą wartością. Znając swą zmienność, nie zobowiązywała się bynajmniej do wierności. Uczyniłam, mówiła, jedną w życiu fałszywą przysięgę; mianowicie pierwszą. Czy mężczyzna stracił uczucie, jakie powziął dla niej, czy też ona ostygła w swoim, zawsze kończyło się ono szczerą przyjaźnią. Nigdy nie zdarzył się w świecie wybitniejszy przykład rozbieżności charakteru i obyczajów. Nie można było powiedzieć, aby to była kobieta cnotliwa; ale każdy przyznawał, iż trudno spotkać zacniejszą i uczciwszą. Proboszcz rzadko widywał ją u stóp ołtarzy; ale o każdej porze znajdował sakiewkę jej otwartą dla biednych. Powiadała dowcipnie o religii i prawach, że to jest para kul, wielce użytecznych tym, którzy mają słabe nogi. Kobiety, które obawiały się jej towarzystwa dla mężów, pragnęły go dla synów.

KUBUŚ *mrugnawszy między zębami*: „Zapłacisz mi drogo ten przeklęty portret”, rzekł: „Szalałeś pan za tą kobietą?”

PAN: Nie omieszkałbym z pewnością, gdyby mnie Desglands nie wyprzedził. Desglands zakochał się w niej...

KUBUŚ: Panie, czy historia jego plastra i miłości są tak ściśle związane z sobą, że nie można ich rozdzielić?

PAN: Można; plaster jest szczegółem, historia opowiadaniem wszystkiego, co się działo w czasie, gdy się kochali.

KUBUŚ: A działo się dużo rzeczy?

PAN: Dużo.

KUBUŚ: W takim razie, jeśli pan każdej z nich dasz te same rozmiary co portretowi bohaterki, nie wybrniemy do Zielonych Świątek i przepadły moje i pańskie amory.

PAN: Bo też, Kubusiu, dlaczego przerwałeś mi tok?... Czy gdyś bawił u Desglands'a, nie zwrócił twej uwagi mały dzieciak?

KUBUŚ: Zły, uparty, zuchwały i chorowity? Owszem, zauważyłem.

PAN: To syn naturalny Desglands'a i pięknej wdowy.

KUBUŚ: To dziecko przysporzy mu sporo strapienia. Po pierwsze jedynek: dobra racja, aby wyrósł na nicponia; wie, że będzie bogaty; druga racja, aby wyrósł na nicponia.

PAN: A ponieważ jest chorowity, niczego go nie uczą, nie krępują, nie sprzeciwiają się w niczym: trzecia racja, aby wyrósł na nicponia.

KUBUŚ: Pewnej nocy ten miły kwiatek zaczął wydawać przeraźliwe krzyki. W jednej chwili cały dom stanął do góry nogami; wszystko się zbiega. Malec domaga się, aby ojciec wstał.

— Ojciec śpi.

— To nic, ja chcę, żeby wstał, ja chcę, ja chcę...

— Jest chory...

— To nic, ja chcę, żeby wstał, ja chcę, ja chcę...

Budzą Desglands'a, zarzuca jakiś płaszcz na ramiona, zjawia się.

<sup>82</sup>słynna kurtyzana ubiegłego wieku — Ninon de Lenclos. „Urocza wdowa”, którą mąż długo oplakiwał po jej śmierci jest może najjaszkrawszym, ale bynajmniej nie jedynym przykładem niekonsekwencji, jakich pełno znajduje się w poszczególnych opowiadaniach Kubusia i jego pana. Przyczyną ich mógł być pośpiech i nieuwaga; niejednokrotnie jednak odnosi się wrażenie, iż autor dopuszcza się ich umyślnie. Jakby chcąc jeszcze dobitniej podkreślić, jak bardzo fabuła jest mu rzeczą obojętną i stanowi jedynie kanwę, którą zahaftowuje arabeskami fantazji. [przypis tłumacza]

- I cóż, mały, jestem, o co chodzi?
- Chcę, żeby tu przyszli.
- Kto?
- Wszyscy, którzy są w zamku.

Sprowadza się wszystkich: panów, służbę, gości, Joannę, Dyzię, mnie z moim chorym kolanem, wszystkich, z wyjątkiem starej sparaliżowanej odzwiernej, której pozwolono mieszkać kątem w chałupie o ćwierć mili od zamku. Malec żąda, aby po nią posłać.

- Ale, dziecko, już po północy.
- Ja chcę, ja chcę.
- Wiesz, że mieszka daleko.
- Ja chcę, ja chcę.
- Że jest stara i nie może chodzić.
- Ja chcę, ja chcę.

Trzebaż było sprowadzić biedną staruchę! przynieść raczej, prędzej bowiem wyzionęłaby ducha, niż przebyła na nogach ten kawałek drogi. Skoro wszyscy się zgromadzili, malec oświadcza, iż chce wstać i żąda, by go ubrano. Wstaje tedy i ubiera się. Żąda, abyśmy wszyscy przeszli do wielkiej sali i aby go tam posadzono w fotelu ojca. I to się stało. Abyśmy wszyscy wzięli się za ręce. Abyśmy tańczyli w kółko; zaczynamy wszyscy tańczyć w kółko. Ale to, co teraz następuje, jest wprost nie do wiary...

PAN: Mam nadzieję, że mi darujesz resztę?

KUBUŚ: Nie, nie, panie, usłyszysz pan wszystko... Myśli, że mi tu będzie mógł bezkarnie smarować portret matki długi na cztery łokcie...

PAN: Kubusiu, ja cię psuję.

KUBUŚ: Tym gorzej dla pana.

PAN: Widzę, że masz na sercu ów długi i nudny portret wdowy; ale odpłaciłeś mi to, jak sądzę, z nawiązką długą i nudną historią kaprysu jej progenitury.

KUBUŚ: Jeśli takie pańskie zdanie, możesz pan podjąć historię ojca; ale już bez portretów, panie; nienawidzę portretów.

PAN: I dlaczegoż tak nienawidzisz portretów?

KUBUŚ: Bo są tak mało podobne, że kiedy przypadkiem spotka się oryginał, nigdy by go się nie poznało. Opowiadaj pan fakty, oddaj wiernie słowa, a wnet będę wiedział, z kim mam do czynienia. Jedno słowo, jeden ruch nauczyły mnie nieraz więcej niż gadulstwo całego miasta.

PAN: Jednego dnia Desglands...

KUBUŚ: Kiedy pana nie ma w domu, wchodzę niekiedy do biblioteki i biorę jaką książkę; najczęściej jest to książka historyczna.

PAN: Jednego dnia Desglands...

KUBUŚ: Opuszczam troskliwie wszystkie portrety.

PAN: Jednego dnia Desglands...

KUBUŚ: Niech pan daruje, ale maszyna była nastawiona i musiała wykręcić się aż do końca.

PAN: Czy to już nastąpiło?

KUBUŚ: Nastąpiło.

PAN: Jednego dnia Desglands zaprosił na obiad piękną wdowę, jak również kilku młodych ludzi z sąsiedztwa. Panowanie Desglands'a miało się ku schyłkowi; pomiędzy zaś biesiadnikami znajdował się szczęśliwiec, ku któremu niestałość damy zaczynała się przechylać. Siedzieli przy stole; Desglands i jego rywał obok siebie, naprzeciw pięknej wdowy. Desglands przywoływał na pomoc cały swój dowcip, aby ożywić rozmowę; zwracał się ku wdowie z najbardziej dwornymi komplementami; ale ona, roztrągniona, nie słyszała nic i oczy miała utkwione w jego rywala. Desglands trzymał w ręku świeże jajko; chwyta go konwulsyjny skurcz wywołany zazdrością, ścisną pięść i oto jajko wyskoczyło ze skorupki i rozbryzgnęło się na twarzy sąsiada. Ten czyni wymowny ruch ręką. Desglands chwyta go za rękę, zatrzymuje i mówi do ucha: „Panie, wystarczy: uważaj że otrzymałem”... Zapada głęboka cisza; pięknej wdowie robi się słabo. Obiad był krótki i niewesoły. Gdy wstano od stołu, pani każe wołać Desglands'a i jego rywala do osobnej komnaty. Wszystko, co kobieta bez ujmy dla siebie mogła uczynić, aby ich pojednać,



uczyniła; błagała, płakała, mdlała i to na dobre; ścisnęła ręce Desglands'a, odwracała oczy zalane łzami ku tamtemu. Mówiła jednemu: „I pan mnie kochasz!”... drugiemu: „I pan mnie kochałeś”... obydwom: „I wy chcecie mnie zgubić, chcecie mnie uczynić bajką całej okolicy, przedmiotem wzdry i nienawiści! Wiedźcie, ktokolwiek z was wydrze życie przeciwnikowi, nie chcę widzieć go na oczy; nie może być ani moim przyjacielem, ani kochankiem; ślubuję mu nienawiść, która nie skończy się aż z życiem...” Następnie znowu popadła w omdlenie i mdlejąc, mówiła: „Okrutni, dobądźcie szpad i zatopcie je w mym łonie; jeśli wydając ostatnie tchnienie, ujrzę was obejmujących się uściskiem, skonom bez żalu”... Desglands i jego rywal stali nieruchomo albo też niesli jej pomoc; parę łez dobyło się z ich oczu. Wszelako trzeba było się rozstać. Piękną wdowę na wpół żywą odwieziono do domu.

KUBUŚ: I cóż, panie, na cóż mi było portretu, którym mnie uraczyłeś? Czyż nie wiedziałbym w tej chwili wszystkiego, co mi pan o niej powiedział?

PAN: Nazajutrz Desglands złożył wizytę uroczej zmiennicy; zastał rywala. Jakież było zdziwienie obojga, gdy ujrzeli Desglands'a z policzkiem zakrytym wielkim kregiem czarnej kitajki. „Co to takiego?” — rzekła wdowa.

DESGLANDS: To? nic.

RYWAL: Mała fluksja?

DESGLANDS: To przejdzie.

Po chwili rozmowy Desglands wyszedł; wychodząc, uczynił rywalowi znak; tamten zrozumiał. Schodzą, opuszczają dom, jeden jedną stroną ulicy, drugi drugą, spotykają się poza ogrodem pięknej wdowy, biją się; rywal Desglands'a zostaje na placu, ciężko, ale nie śmiertelnie zraniony. Podczas gdy go odnoszą do domu, Desglands wraca do wdowy, siada, rozmawiają jeszcze o wczorajszym wydarzeniu. Ona pyta, co znaczy ta ogromna i śmieszna muszka pokrywająca mu twarz. Wstaje, spogląda w lustro. „W istocie — powiada — uważam, iż jest nieco za duża...” Bierze nożyczki damy, odkleja krążek kitajki, uszczupla go dokoła o parę linii, przykleja z powrotem i powiada: „Jakże mnie pani znajduje obecnie?”

— O parę linii mniej śmiesznym niż poprzednio.

— To już zawsze coś.

Rywal Desglands'a wyzdrowiał. Drugi pojedynek; zwycięstwo znów zostało przy Desglandzie, tak samo pięć czy sześć razy z rzędu. Po każdym spotkaniu Desglands zmniejszał krążek kitajki, przyklejając resztę z powrotem na policzek.

KUBUŚ: Jakież był koniec tej przygody? Kiedy mnie zawieziono do zamku Desglands'a, zdaje mi się, że nie miał już czarnego krążka.

PAN: Nie. Koniec przygody stał się końcem pięknej wdowy. Długa zgryzota, w jaką ją wtrąciło to zdarzenie, podkopała do reszty jej wątłe i nadwężone zdrowie.

KUBUŚ: A Desglands?

PAN: Jednego dnia, kiedyśmy się przechadzali razem, otrzymał bilecik, otworzył i rzekł: „Był to bardzo dzielny człowiek, ale nie mogę smuć się jego śmiercią”... I w tejże chwili zerwał z policzka resztkę czarnego plastra sprowadzonego częstymi przycinaniami niemal do rozmiaru zwyczajnej muszki. Oto historia Desglands'a. Czy Kubuś zadowolony? Mogę mieć nadzieję, że teraz wysłucha historii moich amatorów albo też podejmie historię swoich?

KUBUŚ: Ani jedno, ani drugie.

PAN: A przyczyna?

KUBUŚ: Że jest gorąco, że czuję się zmęczony, że okolica jest prześliczna, że pod drzewami jest cień i że wypocniemy sobie, zażywając chłodu nad brzegiem strumienia.

PAN: Zgoda; ale twój katar?

KUBUŚ: Pochodzi z gorąca; lekarze zaś powiadają, iż najskuteczniej leczy się każdą rzecz jej przeciwieństwem.

PAN: Co jest prawdą zarówno w świecie moralnym jak fizycznym. Zauważyłem jedną rzecz, dosyć szczególną; mianowicie iż nie masz maksymy moralnej, z której by nie uczyniono aforyzmu lekarskiego, i na odwrót niewiele aforyzmów lekarskich, z których by nie uczyniono maksymy moralnej.

KUBUŚ: To bardzo proste.

Zsiadają z koni, wyciągają się na trawie. Kubuś powiada do pana: „Czy pan śpi, czy czuwa? Jeśli pan czuwa, ja śpię; jeśli pan śpi, ja czuwam”.

Pan rzecze: „Śpij, śpij”.

— Mogę tedy liczyć, że pan będzie czuwał? Tym razem bowiem mogliśmy stracić oba konie.

Pan dobywa zegarek i tabakierkę; Kubuś zabiera się do spania; ale co chwileczkę budzi się i na wpół zrywając się nagle, bije w powietrzu obiema dłońmi o siebie. Pan powiada: „Co ciebie trapi za diabeł?”.

KUBUŚ: Muchy i komary. Rad bym, aby mi kto powiedział, na co są potrzebne na świecie te nieznośne bydlęta?

PAN: I ponieważ tego nie wiesz, sądzisz, że na nic? Natura nie uczyniła nic bezpożytecznego i zbędnego.

KUBUŚ: Wierzę; skoro bowiem jakaś rzecz jest, trzeba było, by była.

PAN: Kiedy masz za dużo krwi albo we krwi humorów, co czynisz? Wołasz chirurga, który ci odpuszcza parę uncyj. Więc widzisz! komary, na które się żalisz, to ćma małych skrzydlatych chirurgów, którzy przylatują kłuć cię swymi lancecikami i wyciągać krew kropelka po kropelce.

KUBUŚ: Tak, ale na chybił trafił, nie pytając, czy mam jej za dużo, czy za mało. Posadź tu pan najostatniejszego suchotnika, a zobaczysz, czy mali skrzydlaci chirurgowie nie będą go kłuli jak wściekli. Myślą o sobie; wszystko w naturze myśli o sobie i tylko o sobie. Że coś wyrządza szkodę drugim, któż by się o to pytał, byleby się samemu ciągnęło korzyści?...

Tu Kubuś strzepnął w powietrzu obiema rękami, wołając: „Niech wszyscy diabli porwą skrzydlatych chirurgów!”.

PAN: Kubusiu, znasz ty bajkę o Garonie<sup>83</sup>?

KUBUŚ: Znam.

PAN: Jak ci się wydaje?

KUBUŚ: Głupia.

PAN: To łatwo powiedzieć.

KUBUŚ: I łatwo dowieść. Gdyby zamiast żołądki na dębie rosły dynie, czy ten ciemnięga Garon byłby się położył spać pod dębem? A gdyby się nie położył spać pod dębem, cóż by znaczyło dla całości jego nosa, czy by z dębu spadały dynie czy żołądki? Zostaw to pan dzieciom.

PAN: Filozof noszący twoje imię<sup>84</sup> nie jest tego zdania.

KUBUŚ: Każdy ma swoje własne, a Jan Jakub nie to, co Jakub<sup>85</sup>.

PAN: Tym gorzej dla Jakuba.

KUBUŚ: Któż to wie, zanim się nie dojdzie do ostatniego słowa ostatniego wiersza stronicy wypełnionej w wielkim zwoju?

PAN: O czym myślisz?

KUBUŚ: Myślę, że gdy pan mówił, a ja odpowiadałem, pan mówił do mnie bez udziału swej woli i ja odpowiadałem tak samo.

PAN: Cóż dalej?

KUBUŚ: Cóż dalej? Że byliśmy dwoma istnymi automatami, żyjącymi i myślącymi.

PAN: Ale teraz wiesz, co chcesz?

KUBUŚ: Daję słowo, ten sam diabeł. Jedynie w dwu automatach porusza się jedna sprężynka więcej.

PAN: A ta sprężynka...?

KUBUŚ: Niechże mnie licho porwie, jeśli zrozumiem, iżby mogła się poruszać bez przyczyny. Mój kapitan powiadał: „Stwórz przyczynę, nastąpi skutek; ze słabej przyczyny słaby skutek; z chwilowej przyczyny skutek trwający chwilę; z przerywanej przyczyny

<sup>83</sup>Bajka o Garonie — bajka La Fontaine'a pt. *Żołądź i dynia*. [przypis tłumacza]

<sup>84</sup>Filozof noszący twoje imię — Jan Jakub Rousseau, *Emil*, Ks. II. [przypis tłumacza]

<sup>85</sup>Każdy ma swoje własne, a Jan Jakub nie to, co Jakub — w owym czasie stosunki osobiste między Diderotem a Rousseau, niegdyś bardzo serdeczne, były od dawna zerwane. [przypis tłumacza]

skutek przerywany; z przyczyny hamowanej skutek zwolniony; z przyczyny, która ustała, skutek żaden”.

PAN: Ależ zdaje mi się, że ja czuję w moim wnętrzu, że jestem wolny, tak samo jak czuję, że myślę.

KUBUŚ: Kapitan powiedział: „Tak, teraz, kiedy nic nie chcesz; ale zechciej na przykład spaść z konia?”.

PAN: No i cóż? to spadnę.

KUBUŚ: Ochoczo, bez przykrości, bez wysiłku, tak jak kiedy panu przyjdzie ochota zsiąść z niego u wrót oberży?

PAN: Nie całkiem; ale cóż to znaczy, bylebym spadł i dowiodł, że jestem wolny?

KUBUŚ: Kapitan powiedział: „Jak to! nie widzisz, że bez mego zaprzeczenia nigdy by ci nie przyszło na myśl kark sobie kręcić? Więc to ja chwytam cię za nogę i wyrzucam z siodła. Jeśli tedy upadek twój dowodzi czego, to nie tego, że jesteś wolny, ale że jesteś dureń”. Kapitan powiedział jeszcze, że posiadanie wolności, która by mogła objawiać się bez przyczyny, stanowiłoby prawdziwą cechą szaleńca.

PAN: To za górne dla mnie; i na przekór kapitanowi i tobie będę wierzył, że chcę, kiedy chcę.

KUBUŚ: Ale jeżeli pan jesteś i zawsze byłeś panem swego chcenia, czemu nie chcesz pan teraz kochać jakiej gorylicy; czemu nie przestałeś kochać Agaty, ilekroć tego pragnąłeś? Mój dobry panie, trzy czwarte życia trawi się na chceniu bez czynienia.

PAN: To prawda.

KUBUŚ: I na czynieniu bez chcenia.

PAN: Dowiedzisz mi tego?

KUBUŚ: Jeżeli pan pozwoli.

PAN: Pozwalam.

KUBUŚ: Stanie się niebawem; mówmy teraz o czym innym...

Po tych banialuczkach i dalszych jeszcze gawędach tej samej doniosłości zamilkli; Kubuś podnosząc swój ogromny kapelusz, deszczochron w czasie niepogody, słońcochron w czasie skwaru, nakrycie głowy o każdej porze, cieniste sanktuarium, pod którym jedna z najtęszych mózgownic, jakie istniały, zasięgała rady losu w ważnych potrzebach...<sup>86</sup> Skoro się podniosło skrzydła tego kapelusza, głowa Kubusia znajdowała się mniej więcej w połowie całej postaci; gdy się je opuściło, widział zaledwie na dziesięć kroków przed sobą: stąd nabral przyzwyczajenia zadzierania głowy do góry; wtedy to można było powiedzieć o jego kapeluszu:

Os illi sublime dedit coelumque tueri lussit, et erectos ad sidera tollere vultus.

*Ovid. Metam. lib I, v. 85.*

Kubuś tedy, podnosząc ogromny kapelusz i wodząc spojrzeniem w oddali, spostrzegł na horyzoncie rolnika, który bezskutecznie okładał biczem konia, jednego z pary szkapiąt zaprzężonych do pługa. Ten koń, młody i silny, położył się w bruzdzie: kmiotek daremnie szarpał go za cugle, prosił, pieścił, groził, kłął, walił, zwierzę zostawało niewzruszone i uparcie wzdragało się powstać.

Kubuś, napatrzywszy się jakiś czas w zamyśleniu tej scenie, rzekł do pana, którego również ściągnęła ona uwagę: „Czy pan wie, co się tam dzieje?”

PAN: Cóż ma się dziać innego poza tym, co widzę?

KUBUŚ: Nic pan nie odgaduje?

PAN: Nie. A ty, cóż odgadujesz?

<sup>86</sup>potrzebach... — widocznie luka w manuskrypcie. [przypis tłumacza]

KUBUŚ: Odgaduję, że to głupie, próżne i próżniacze zwierzę jest mieszkańcem miasta, który dumny ze swej przeszłości wierzchowego konia pogardza pługiem: krótko mówiąc, to pański koń, symbol tu oto obecnego Kubusia i tylu innych podobnych jemu nikczemnych hultajów, którzy porzucili rodzinną wioskę, aby przywdziać liberię stolicy, i woleliby raczej żebrać o kawałek chleba na bruku albo też umrzeć z głodu, niż wrócić do pługa, najużyteczniejszego i najczcigodniejszego z narzędzi.

Pan zaczął się śmiać; Kubuś zaś zwracając się do wieśniaka, który go nie mógł słyszeć, mówił: „Wal, nieboraku, wal, ile zapragniesz; już nasiąkł swoim narowem: zużyjesz nie jeden rzemień w biczysku, zanim wszczepisz temu hultajowi nieco prawdziwej godności i zamiłowania do pracy...”. Pan ciągle się śmiał. Kubuś trochę z niecierpliwości, trochę z współczucia wstaje i zbliża się do rolnika; ale nie uczynił jeszcze dwustu kroków, kiedy, odwracając się do pana, zaczyna krzyczeć: „Panie, chodź pan, chodź prędko; to pański koń, to pański koń”.

Było to w istocie prawdą. Zaledwie koń poznał Kubusia i jego pana, zerwał się, wstrząsnął grzywą, zarżał, wyprężył się i zbliżył czule pysk do pyska towarzysza. Tymczasem Kubuś, oburzony, mruczał między zębami: „Łajdaku, nicponiu, leniwcze, nie wiem co mnie wstrzymuje, abym ci nie wlepił ze dwadzieścia batogów?”... Pan, przeciwnie, całował go, gładził po bokach, klepał przyjaźnie po zadzie i prawie że płacząc z radości, wołał: „Kosiu, mój biedny Kosiu, odnajduję cię wreszcie!”.

Rolnik nic się tym nie wzruszył. „Widzę, panowie — rzekł — że ten koń należał niegdyś do was; niemniej przeto ja jestem jego prawym właścicielem; nabyłem go na ostatnim jarmarku. Gdybyście chcieli wziąć go z powrotem za dwie trzecie tego, co mnie kosztował, oddalibyście mi wielką usługę, na nic mi się bowiem nie zda. Kiedy go przyjdzie wyprowadzać ze stajni to istny diabeł; kiedy trzeba zaprząć, jeszcze gorzej; skoro zaś jest już w polu, kładzie się i raczej dałby się zatłuc, niżby miał pociągnąć trochę lub ścierpieć jaki worek na plecach. Moi panowie, czy bylibyście tak litościwi uwolnić mnie od tego przekłętego zwierza? Ładny jest, ale zgoła do niczego, chyba harcować pod jakim kawalerem, a to znów nie moja sprawa”... Ofiarowano mu wymianę na jednego z dwu innych koni do wyboru; zgodził się i nasi podróżni powrócili z wolna w miejsce, gdzie zażywali spoczynku. Niebawem ujrzeli z zadowoleniem, iż koń, którego ustąpili wieśniakowi, ima się bez odrazy nowego rzemiosła.

KUBUŚ: I cóż, panie?

PAN: Ha, nic pewniejszego nad to, że jesteś jasnowidzący; chodzi tylko, czy z łaski Boga czy diabła. Nie umiem tego rozstrzygnąć. Kubusiu, drogi przyjacielu, lękam się, że ty masz diabła w sobie.

KUBUŚ: Czemu diabła?

PAN: Dlatego, że robisz cuda i że twoje zasady są wielce podejrzane.

KUBUŚ: A cóż za wspólność między zasadami, jakie się wyznaje, a cudami, jakie się dzieją?

PAN: Widzę, że nie czytałeś Dom la Tasta<sup>87</sup>.

KUBUŚ: I cóż powiada ów Dom la Taste, którego nie czytałem?

PAN: Powiada, że Bóg i diabeł zarówno czynią cuda.

KUBUŚ: A po czym odróżnia się cuda Boga od cudów diabła?

PAN: Po zasadach wiary. Jeśli zasady są dobre, cuda są z Boga, jeśli złe, z diabła.

KUBUŚ (*Tutaj Kubuś zaczął pogwizdywać, po czym dodał*): A któż pouczy mnie, nieświadomego biedaka, czy zasady wiary czyniącego cuda są dobre czy złe? Dalej, panie, siadajmy na nasze kobyły. Co panu zależy na tym, czy pański koń odnalazł się przez Boga czy przez Belzebuba? Czy nie jednako dobrze będzie chodził?

PAN: Nie. Otóż, Kubusiu, jeśli ty jesteś opętany...

KUBUŚ: Jakież byłoby lekarstwo?

PAN: Lekarstwo! Lekarstwo byłoby, w oczekiwaniu egzorcyzmu... wciągnij cię na święconą wodę za cały napój.

<sup>87</sup> Dom Ludwik la Taste — benedyktyn, biskup betlejemski rodem z Bordeaux, zmarły w r. 1754, utrzymywał wbrew autorom występującym w obronie konwulsji i innych rzekomych cudów wydarzających się w owym czasie gromadnie w Paryżu, że diabły mogą sprawić dobroczynne cudy i cudowne uleczenia, aby wodzić ludzi na pokuszenie. Cała ta kwestia była w owej epoce bardzo aktualna. [przypis tłumacza]

KUBUŚ: Ja, panie, na wodzie! Kubuś na wodzie święconej! Wołałbym raczej, aby tysiąc legionów diabłów przewalało mi się po ciele, niżbym miał skosztować jedną kroplę święconej czy nieświęconej. Czy pan jeszcze nie zauważył, że ja podlegam hydrofobii?...

Ej! *Hydrofobia*? Kubuś powiedział *hydrofobia*?... Nie, czytelniku, nie; wyznaję, że wyrażenie nie pochodzi od niego. Ale jeśli zaczniemy stosować tak surową metodę krytyczną, wyzywam cię, abys przeczytał jedną scenę komedii albo tragedii, jeden jedyny dialog, choćby najlepiej napisany, nie natknąwszy się na wyrażenia autora w ustach jego figur. Kubuś powiedział: „Panie, czy pan nie zauważył, że ja na widok wody dostaję napadu wściekliwości?...”. No, i cóż? wyrażając się odmiennie niż on, byłem mniej prawdziwy, ale krótszy.

Wsiadł na konie; zaczem Kubuś rzekł: „Doszedł pan w historii swoich amorów do momentu, gdy stawszy się raz albo dwa razy wniebowziętym, gotujesz się może do trzeciego.

PAN: Kiedy nagle drzwi od korytarza otwierają się. W jednej chwili pokój napętnia się tłumem ludzi cisnących się w nieładzie; widzę światła, słyszę pomieszane głosy męskie i kobiece. Ktoś ściąga gwałtownie firanki; widzę ojca, matkę, ciotki, kuzynów, kuzynki i komisarza, który powiada uroczyście; „Panie, panowie, bez hałasu; stwierdziliśmy *in flagranti*; ten pan jest godnym człowiekiem; wie, że jeden jest tylko sposób naprawienia złego i będzie się wolał poddać dobrowolnie, niż dać się niewolić przymusem prawa”...

Ojciec i matka wpadali ustawicznie w słowo, obsypując mnie wyrzutami; ciotki i kuzynki toż samo nie szczędziły najbardziej jaskrawych przydomków Agacie, która głowę utopiła w kołdrach. Zdumiony, ogłupiały nie wiedziałem, co mówić. Komisarz zwracając się do mnie, rzekł ironicznie: „Panie, bardzo panu do twarzy w tym stroju; trzeba wszelako, abys był łaskaw wstać i ubrać się...”. Tak też uczyniłem: ubrałem się, ale już w moje suknie, które podłożono w miejsce sukien kawalera. Przysunięto stół i komisarz rozpoczął spisywać protokół. Wśród tego matkę trzeba było przytrzymywać siłą, aby nie zamordowała córki, ojciec zaś powtarzał: „Powoli, żono, powoli, choćbyś ją i zamordowała, już się nie odstanie. Wszystko ułoży się jak najlepiej...”. Inne osoby zajęły miejsce dokoła, w rozmaitych postawach boleści, oburzenia i gniewu. Ojciec lajał w przerwach żonę, mówiąc: „Oto, co znaczy nie czuwać nad prowadzeniem córki...”. Matka na to: „Któż by przypuszczał, że pan z tą zacną i uczciwą twarzą...?”. Reszta zachowywała milczenie. Dano mi do odczytania protokół; ponieważ zawierał jeno samą prawdę, podpisałem i zeszedłem na dół z komisarzem, który prosił bardzo uprzejmie, abym zechciał wsiąść do powozu czekającego u drzwi, skąd mnie zawieziono w dość licznym orszaku do For-l'Evêque.

KUBUŚ: Do For-l'Evêque! Do więzienia!

PAN: Do więzienia; po czym nastąpił obrzydliwy proces. Chodziło ni mniej ni więcej o zaślubienie panny Agaty; rodzice nie chcieli słyszeć o żadnych układach. Od samego rana kawaler zjawił się w moim schronieniu. Wiedział wszystko. Agata była w rozpacz; rodzice wściekli; musiał znieść najokrutniejsze wymówki za to, iż wprowadził do domu takiego człowieka; on to był pierwszą przyczyną nieszczęścia i hańby ich córki; litość wprost brała patrzeć na tych biednych ludzi! Żądał rozmowy z Agatą sam na sam; niełatwo przyszło to uzyskać. Agata chciała mu wydrapać oczy: obrzucała go najhaniebniejszymi przewiskami. Spodziewał się tego; pozwolił się jej wyszaleć, po czym starał się przywieść do jakiegoś rozsądnego postanowienia, ale dziewczyna powtarzała ciągle swoje i wyznam, dodał kawaler, nie wiedziałem co odpowiedzieć: „Ojciec i matka (mówiła) przychwycili mnie z twoim przyjacielem; mamż wyznać, że będąc w jego objęciach, mniemałam, iż jestem z tobą?...”. Odpowiadał: „Ale doprawdy czy myślisz, że on może cię zaślubić?...”. „Nie — wołała — to ty, niegodny, ty, bezecny, powinienes ponieść tę karę”.

— Ależ — rzekłem do kawalera — od ciebie jedynie zależałoby wydobyć mnie z matni.

— W jaki sposób?

— W jaki? Zeznając, jak się rzeczy miały.

— Groziłem tym Agacie; ale nie myślę czynić czegoś podobnego. Nie jest pewne, czy ten sposób zdałby się na co; natomiast zupełnie pewne jest, iż przedstawiłby nas obu w najhaniebniejszym świetle. Bo też to twoja wina.

— Moja wina?

— Tak, twoja. Gdybyś się był zgodził na psotę, jaką ci poddawałem, zdybano by Agatę między nami dwoma i wszystko zakończyłoby się nader wesoło. Ale trudno, stało się; trzeba myśleć, jak się wydobyć z kłopotu.

— Ale, kawalerze, czy mógłbyś mi wytłumaczyć pewien drobny szczegół? W jaki sposób moje ubranie znalazło się w alkierzu, a twoje znikło; na honor, daremnie łamię sobie głowę, nie mogę uporać się z tą zagadką. To mi nasuwa niejakię podejrzenia co do Agaty; przyszło mi na myśl, iż może zwąchała pismo nosem i że istniało między nią a rodzicami jakieś porozumienie.

— Być może widziano cię, jak wchodziłeś; to pewna, iż zaledwie zdążyłeś się rozebrać, odesłano mi ubranie i zażądano twego.

— To się wyjaśni z czasem...

Podczas gdyśmy obaj z kawalerem kolejno trapił się, pocieszałi, oskarżali, lżyli i przepaszali, wszedł komisarz; kawaler zbladł i spiesznie się pożegnał. Ów komisarz był to zacny człowiek, jak się trafia niekiedy; owóż odczytując protokół, przypomniał sobie, iż niegdyś uczęszczał do szkół z młodym człowiekiem mego nazwiska; przyszło mu na myśl, iż mógłbym być łatwo krewnym lub nawet synem dawnego szkolnego kolegi; jakoż w istocie tak było. Natychmiast spytał mnie, kto jest ów człowiek, który tak szybko wymknął się na jego widok.

— Nie wymknął się — rzekłem — ale wyszedł; to mój serdeczny przyjaciel, kawaler de Saint-Ouin.

— Pański przyjaciel? dobrego masz przyjaciela! Czy wiesz pan, że to on przybiegł mnie ostrzec? Był w towarzystwie ojca i drugiego krewnego.

— On!

— On sam.

— Jesteś pan pewien swego twierdzenia?

— Bardzo pewien; ale jak go pan nazwał?

— Kawaler de Saint-Ouin.

— A, kawaler de Saint-Ouin, jesteśmy w domu! Wiesz pan, kto to taki ów pański przyjaciel, serdeczny przyjaciel, kawaler de Saint-Ouin? Oszust, człowiek znany z tysiąca łajdackich sztuczek. Policja pozwala swobodnie krążyć tego rodzaju ludziom jedynie z przyczyny korzyści, jakie z nich czerpie niekiedy. Są to hultaje, za pomocą których tropi się innych hultajów: widocznie więcej świadczą usług przez to, co za ich pomocą udaje się wysledzić i odwrócić, niż wyrządzają szkody złem, które sami czynią...

Opowiedziałem komisarzowi smutną przygodę, tak jak w istocie się odbyła. Nie o wiele poprawiło to w jego oczach moje widoki; wszystkiego bowiem, co mogło świadczyć za mną, nie dało się ani przytoczyć, ani udowodnić przed trybunałem. Bądź co bądź, podjął się wezwać ojca i matkę, przycisnąć do muru córkę, objaśnić sędziemu i nie zaniedbać nic, co by mogło posłużyć do mego uniewinnienia, uprzedzając wszelako, iż jeżeli ci ludzie będą mieli za plecami kutego doradcę, władza niewiele może tutaj wskórać.

— Jak to, panie komisarzu, będę zmuszony się ożenić?

— Ożenić! to byłoby za srogo; tego się nie obawiam; ale wejdzie tu w grę kwestia odszkodowania, a w takich razach bywa ono znaczne... Ale Kubusiu, zdaje mi się, że ty masz coś do powiedzenia.

KUBUŚ: Tak; chciałem powiedzieć, że w istocie byłeś pan nieszczęśliwszy ode mnie, który zapłaciłem, a nie przespałem się z panią. Zresztą zrozumiałbym, jak sądzę, pańską historię, gdyby Agata była w ciąży.

PAN: Nie rozstawaj się jeszcze z tym przypuszczeniem: otóż w niejaki czas po moim uwięzieniu komisarz powiadomił mnie, iż właśnie zjawiała się u niego, by złożyć oświadczenie ciąży.

KUBUŚ: I oto jesteś pan ojcem dziecka.

PAN: Któremu nie przeszkodziłem.

KUBUŚ: Ale któremuś pan też nie pomógł.

PAN: Ani przychyłość sędziemu, ani kroki komisarza nie mogły odwrócić biegu sprawiedliwości; ale ponieważ panna i rodzice nie zażywali dobrej opinii, oszczędzono mi musowego małżeństwa. Skazano mnie na znaczne odszkodowanie, koszta położu, jako też wyżywienia i wychowania dziecka spłodzonego staraniem i trudem mego przyjaciela,

kawalera de Saint-Ouin, którego było wykapanym portretem. Panna Agata urodziła tęgiego chłopca, bardzo szczęśliwie, między siódmym a ósmym miesiącem; dano mu dobrą karmicielkę, której koszta opłacałem do niedawna.

KUBUŚ: W jakim wieku może być szanowny syn pański?

PAN: Będzie miał niebawem dziesięć lat. Zostawiłem go cały czas na wsi, gdzie baka-larz tamtejszy nauczył go czytać, pisać i rachować. Jest to niedaleko miejsca, do którego dążymy: skorzystam ze sposobności, aby zapłacić, co się należy, odebrać chłopca i oddać do rzemiosła.

Kubus i jego pan nocowali jeszcze raz w drodze. Byli zbyt blisko kresu podróży, by Kubus podjął historię swych amatorów; zresztą wiele jeszcze brakowało, aby ból gardła zupełnie ustąpił. Następnego dnia przybyli... — Gdzie? — Na honor, nie mam pojęcia. — A co mieli do roboty tam, dokąd jechali? — Co wam się żywnie podoba. Czy pan Kubusia rozpowiadał swoje sprawy całemu światu? To pewna, iż nie wymagały one pobytu dłuższego nad dwa tygodnie. Czy skończyły się dobrze, czy źle? Nie wiem jeszcze. Ból gardła Kubusia zelżał wreszcie pod wpływem dwóch lekarstw, które mu były nad wyraz przeciwne, tj. diety i spoczynku.

Pewnego ranka pan rzekł do sługi: „Kubusiu, osiodłaj konie i napełń bukłaczek; trzeba nam jechać tam, gdzie wiesz”. Natychmiast wszystko stało się wedle życzeń pańskich i oto ruszyli ku miejscowości, gdzie od dziesięciu lat hodowano na koszt Kubusiowego pana dziecko kawalera de Saint-Ouin. Skoro ujechali kawalek, pan zwrócił się do Kubusia i rzekł: „Kubusiu, co mówisz o moich amatorach?”

KUBUŚ: Że osobliwe rzeczy bywają zapisane w górze. Oto przywędrowało na świat dziecko, sam Bóg wie jaką drogą? Kto wie, jaką rolę odegra w świecie ten mały bękart? Kto wie, czy nie urodził się na szczęście lub zagładę jakiego królestwa?

PAN: Zaręczam ci, że nie. Uczynię żen dobrego tokarza albo zegarmistrza. Ożeni się; będzie miał dzieci, które po wiek wieków będą toczyć w spokoju ducha nogi stołowe.

KUBUŚ: Jeżeli tak jest zapisane w górze. Ale dlaczego nie miałby wyjść jaki Cromwell z warsztatu tokarza? Ów, który dał uciąć głowę swemu królowi, zali nie wyszedł ze sklepiku piwowara i czy nie powiadają dzisiaj...

PAN: Dajmy temu pokój. Masz się dobrze, poznałeś moje amory; sumiennie nie możesz się wymówić od podjęcia swoich.

KUBUŚ: Wszystko się temu sprzeciwia. Po pierwsze szczyptłość drogi, jaka nam pozostała; po drugie nieświadomość miejsca, na którym stanąłem; po trzecie jakieś diabelskie przecucie, które mi mówi... że ta historia nie ma się skończyć; że to opowiadanie przyniesie nam nieszczęście i że, zaledwie je rozpocznę, przerwie nam gawędkę jakoweś wydarzenie szczęśliwe albo nieszczęśliwe.

PAN: Jeśli szczęśliwe, tym ci lepiej!

KUBUŚ: Tak; ale coś mi tu szepce... że będzie nieszczęśliwe.

PAN: Nieszczęśliwe! niechże i tak; ale czy będziesz mówił, czy siedział cicho, azali przez to je ominiemy?

KUBUŚ: Kto to wie?

PAN: Urodziłeś się za późno o dwa albo trzy wieki.

KUBUŚ: Nie, panie, urodziłem się w swoim czasie, jak wszyscy.

PAN: Byłbyś niegdyś wielkim augurem.

KUBUŚ: Nie mam jasnego pojęcia, co to augur, ani też jestem tego ciekawy.

PAN: To jeden z ważnych rozdziałów twego traktatu o wróżbiarstwie.

KUBUŚ: To prawda; ale to już tak dawno, jak go napisałem, że nie pamiętam ani słowa. Ot, panie, patrz pan: oto, kto rozumie się na tym więcej niż wszystkie augury, gęsi fadydyczne i poświęcane kury rzeczypospolitej, to ten bukłaczek. Poradźmy się bukłaczka. — Kubus ujął bukłaczek i radził się go dłuższy czas. Pan wydobyl zegarek i tabakierkę, spojrzal na godzinę, zażył tabaki, sługa zaś rzekł — Zdaje mi się teraz, iż los przedstawia się mniej czarno. Powiedz pan, na czym stanąłem.

PAN: Jesteś w zamku Desglands'a, kolano nieco wydobrzało, a panna Dyzia ma z polecenia matki obowiązek pielęgnować cię.

KUBUŚ: Panna Dyzia była posłuszna. Rana niemal zupełnie się zasklepiła, mogłem być prawie tańczyć i skakać na chorej nodze, wszelako od czasu do czasu doświadczałem w niej niesłychanych boleści. Otóż wpadło do głowy chirurgowi zamkowemu, rozumiejącemu się na tym nieco więcej niż jego kolega, iż te tak uporczywie powracające bóle mogą mieć za przyczynę jedynie obecność ciała obcego, które po wydobyciu kuli pozostało w ranie. W następstwie tego rozumowania, zjawił się wczesnym rankiem, kazał przysunąć stół do mego łóżka i skoro rozsunięto firanki, ujrzałem ten stół, cały założony ostrymi narzędziami; Dyzię przy moim wezłowiui płaczącą rzewnie; matkę stojącą opodal ze skrzyżowanymi rękami i miną dość smutną; chirurga bez zwierzchniego odzienia, z zakasanyimi rękawami i prawą ręką uzbrojoną w ostry nóż.

PAN: Jestem przerażony.

KUBUŚ: Nie więcej ode mnie. „Przyjacielu — rzekł chirurg — czy ci już dojadły twoje cierpienia?”

— Bardzo dojadły.

— Czy chcesz, aby się to skończyło, a zarazem abyśmy uratowali nogę?

— Zapewne.

— Wsuń ją tedy z łóżka i pozwól zrobić, co trzeba.

Podaję nogę. Chirurg ujmuje rękojeść noża w zęby, bierze nogę pod lewe ramię, umocowuje silnie, ujmuje nóż, wprowadza ostrze do otworu rany i nacina głęboko i szeroko. Nie drgnąłem, ale Joanna odwróciła głowę, a Dyzia wydała ostry krzyk i zemdlała...

Tutaj Kubuś uczynił przerwę w opowiadaniu i wykonał nową rewizję bukłaczka. Rewizje te były tym energiczniejsze, im odległość była krótsza, czyli, jak mówią geometrycy, stały w odwrotnym stosunku do odległości. Miał tak dokładną miarę w gardle, iż bukłak, pełny gdy ruszali w drogę, zawsze był dokładnie opróżniony w chwili przybycia na miejsce. Panowie inżynierowie mogliby się nim posługiwać jako znakomitym odometrem<sup>88</sup>, każda zaś rewizja miała swoją wybornie usprawiedliwioną przyczynę. Tym razem miała na celu otrzeźwienie Dyzi z omdlenia i pokrzepienie się po bolesnym cięciu w kolano. Skoro Dyzia odzyskała przytomność i Kubuś sam się skrzepił, ciągnął dalej:

KUBUŚ: To ogromne cięcie odsłoniło dno rany, skąd chirurg dobył za pomocą szczypczyków małeńki kawałek sukna z pludrów, którego obecność była źródłem cierpienia i przeszkodą do zupełnego zabliznienia. Od tej operacji stan mój dzięki opiece Dyzi szedł ciągle ku lepszemu; żadnych bólów, żadnej gorączki; poprawa apetytu, snu, sił. Dyzia pielęgnowała mnie z troskliwością i delikatnością wprost niesłychaną. Trzeba było widzieć oględność i lekkość, z jaką zdejmowała opatrunek; bacność jej, aby mi oszczędzić najłżejszego cierpienia; sposób, w jaki przemywała ranę. Siadałem na kraju łóżka; ona przyklękała na jednym kolanie, noga moja wspierała się na jej udzie, które niekiedy przyciskałem odrobinę: rękę trzymałem na ramieniu zanej dziewczyny i śledziłem jej ruchy ze wzruszeniem, które sądzę, iż podzielała. Skoro opatrunek był skończony, ujmowałem obie ręce Dyzi, dziękowałem, nie wiedziałem, co mówić, jak okazać mą wdzięczność; ona stała ze spuszczoneymi oczami i słuchała, nie mówiąc słowa. Żaden kramarz nie zjawił się w pałacu, abym nie kupił jej jakiegoś podarku; to chusteczkę, to parę łokci cygu lub muślinu, krzyżyk złoty, pończochy bawełniane, pierścionek, naszyjnik z granatów. Kiedym załatwił się z małym sprawunkiem, dopieroż zaczynał się kłopot; dla mnie z ofiarowaniem, dla niej z przyjęciem. Najpierw pokazywałem nabytek; jeśli zyskał uznanie, mówiłem: „Panno Dyziu, dla pani kupiłem...”. Jeśli przyjęła, moja ręka drżała, gdy wręczał podarek, jej dłoń, gdy brała go z mojej. Jednego dnia nie wiedząc już, co ofiarować, kupiłem podwiązki; były jedwabne, w białe, czerwone i niebieskie prążki, z klamerką. Rano, nim jeszcze się zjawiła, powiesiłem je na grzbiecie krzesła stojącego przy łóżku. Zaledwie Dyzia je spostrzegła, zawołała: „Och! cóż za śliczne podwiązki!”

— To dla mojej panny — odparłem.

— Pan ma swoją pannę, panie Kubusiu?

— Rozumie się; czy jeszcze nic pannie Dyzi nie mówiłem?

— Nie. Musi być bardzo miła, z pewnością...

<sup>88</sup>odometr — przyrząd do mierzenia kroków. [przypis tłumacza]



— Bardzo.  
— I bardzo ją pan kocha?  
— Z całego serca.  
— I ona pana tak samo?  
— Żebym ja to wiedział! Te podwiązki są dla niej i przyrzekła mi jedną łaskę, której jeżeli dopełni, myślę, że po prostu oszaleję.  
— Cóż to za łaska?  
— Że jedną podwiązkę wolno mi będzie zapiąć własnymi rękami.

Panna Dyzia zaczerwieniła się, nie zrozumiała intencji, uwierzyła, iż podwiązki były dla innej; posmutniała, popełniała jedną niezręczność po drugiej, szukała po całym pokoju przyborów do opatrunku, miała je pod nosem, a nie widziała, ujęła moją nogę drżącą ręką, poplątała bandaż przy rozwiązywaniu i kiedy trzeba było zmywać ranę, zapomniała wszystkiego, co potrzebne; poszła szukać, wróciła, opatrzyła mnie. Gdy wiązała bandaż, zauważyłem, że płacze.

— Panno Dyziu — rzekłem — zdaje mi się, że panna płacze, co pannie?  
— Nic.  
— Czy pannie kto zrobił przykrość?  
— Tak.  
— I któż jest ten niegodziwiec?  
— Pan.  
— Ja?  
— Tak.  
— I w jaki sposób?..  
Zamiast odpowiedzieć, obróciła oczy na podwiązki.  
— Jak to! — rzekłem — to dlatego panna Dyzia płakała?  
— Tak.  
— Ej, Dyziu, nie płaczże już, dla ciebie kupiłem.  
— Panie Kubusiu, prawdę pan mówi?  
— Bardzo prawdę, tak dalece prawdę, że oto je masz. — To mówiąc, podałem obie, ale jedną zatrzymałem w ręku; natychmiast poprzez łzy zablysnął uśmiezek. Wziąłem ją za ramię, przyciągnąłem do siebie, ująłem nóżkę i oparłem o kraj łóżka, podniosłem spódniczki aż do kolana, koło którego zacisnęła je obiema rękami, ucałowałem nóżkę i umocowałem podwiązkę. Zaledwie zdołałem tego dokonać, weszła Joanna.  
PAN: A to wizyta nie w porę!  
KUBUŚ: Może tak, może nie. Zamiast zauważyć nasze pomieszenie, zobaczyła tylko podwiązkę w ręku Dyzi. „Cóż za śliczna podwiązka — rzekła — ale gdzie druga?”  
— Na nodze — odparła Dyzia. — Powiedział mi pan Kubuś, że je kupił dla swojej panny: myślałam więc, że to dla mnie. Nieprawdaż, mamu, skoro włożyłam jedną, muszę już zatrzymać i drugą?  
— Tak, panie Kubusiu, Dyzia ma słusność, jedna podwiązka nic nie warta bez drugiej, a nie zechce pan przecie odbierać tej, którą ma.  
— Czemu nie?  
— Bo Dyzia by tego nie chciała, ani ja też nie.  
— Więc ulóżmy się; zapnę jej drugą w pani obecności.  
— Nie, nie, nie uchodzi.  
— Niechże tedy odda obie.  
— Także nie uchodzi.  
Tu Kubuś i jego pan wjechali w wieś, gdzie mieli odwiedzić dziecko i żywicieli dziecka spółdzonego przez kawalera de Saint-Ouin. Kubuś umilkł; pan rzekł: „Zsiądźmy i zróbmy popas”.  
— Czemu?

— Bowiem wedle wszelkiego podobieństwa zbliżasz się do rozwiązania twoich amarów.

— Niezupełnie.

— Skoro się doszło do kolana, niewiele już drogi pozostaje do reszty.

— Mój dobry panie, Dyzia miała udko dłuższe niż każda inna.

— Bądź co bądź, zsiądźmy.

Zsiedli z koni; Kubuś zeskoczył pierwszy i z niezwykłą szybkością znalazł się przy siodle pana. Zaledwie ten stanął nogą w strzemieniu, rzemień przerwał się i jeździec byłby runął całym ciężarem na ziemię, gdyby sługa nie chwycił go w ramiona.

PAN: No, Jakubie, ty ładnie się o mnie troszczysz! Mało brakowało, a byłbym sobie przetrzącił żebro, złamał rękę, rozwalił głowę, zabił może?

KUBUŚ: Wielkie nieszczęście!

PAN: Co ty mówisz, gałganie? Czekaj, czekaj, ja cię nauczę... — I pan, okręciwszy rzymek od szpicrózgi koło garści, zaczął uganiać za Kubusiem. Kubuś biegał dokoła konia pękając od śmiechu; pan wykłina, złorzeczy, pieni się z wściekłości i biega też dokoła konia, zionąc tysiącem obelg na Kubusia. I trwał ten wyścig tak długo, aż wreszcie obaj zlni potem i wyczerpani zatrzymali się: jeden z jednej strony konia, drugi z drugiej, Kubuś dysząc i parszcząc śmieciem, pan dysząc i rzucając nań wściekłe spojrzenia. Skoro nieco nabrali tchu, Kubuś rzekł: „Czy wielce szanowny pryncypał przyzna mi teraz słusność?”

PAN: Owszem, przyznam ci słusność, psie, łajdaku, bezecniku, że jesteś najgorszym z lokai, a ja najnieszczęśliwszym ze wszystkich panów na świecie.

KUBUŚ: Czy nie miałeś pan najoczywistszego dowodu, że działamy po największej części bezwolnie? Ot, powiedz pan, z ręką na sumieniu: ze wszystkiego, coś uczynił lub rzekł od półgodziny, czy chciałeś pan cokolwiek? Czyś pan nie był moją marionetką i czy byś w dalszym ciągu nie był moim pajacem przez miesiąc bodaj, gdybym tak sobie ułożył?

PAN: Jak to! to była zabawa?

KUBUŚ: Zabawa.

PAN: Spodziewałeś się przerwania rzemienia?

KUBUŚ: Przygotowałem je.

PAN: I to była ta nitka arlekina, którą umocowałeś mi nad głową, aby wytrząsać mną wedle zachcenia?

KUBUŚ: Najzupełniej!

PAN: I twoja bezczelna odpowiedź była z góry ułożona?

KUBUŚ: Ułożona.

PAN: Ty jesteś niebezpieczne ladaco.

KUBUŚ: Powiedz pan raczej, iż dzięki memu kapitanowi, który uczynił sobie jednego dnia podobną zabawkę moim kosztem, jestem człowiekiem umiejącym subtelnie rozumować.

PAN: A gdybym się był skaleczył?

KUBUŚ: Było napisane w górze i w mojej przezorności, że się to nie stanie.

PAN: No, teraz siadajmy; należy nam się wypoczynek.

Usiedli, Kubuś zaś rzekł: „Niechże diabli porwą bałwana!”

PAN: Mówisz o sobie?

KUBUŚ: Tak, o sobie, że nie zostawiłem ani łyka w bukłaczku.

PAN: Nie żałuj, byłbym go ja wypił, umieram z pragnienia.

KUBUŚ: Niech diabli porwą bałwana po raz wtóry, żem nie dostawił dwóch łyków.

Tutaj pan zaczyna przekonywać Kubusia, iż najlepszym sposobem oszukania zmęczenia i gorąca będzie ciągnąć dalej opowiadanie; Kubuś wzbrania się, pan zaczyna się dąsać; Kubuś nie zwraca na to uwagi; w końcu zarzekłszy się, iż nie jest winien nieszczęścia, jakie stąd wyniknie, podjął historię swoich amarów w te słowa:

— Pewnego świątecznego dnia, gdy pan zamku był na polowaniu... — Tu zatrzymał się nagle i rzekł — Nie mogę; niepodobna mi ciągnąć dalej; zdaje mi się, że mam na gardle rękę losu i czuję, jak mi je ściska; przez litość, panie, pozwól mi milczeć.

— Dobrze więc, milcz i idź do pierwszej chałupy z brzegu zapytać o mieszkanie, gdzie chowa się ów chłopiec...

Było to o jeden dom dalej: idą tam, prowadząc konie za uzdę. Naraz drzwi chaty otwierają się, ukazują się w nich człowiek; pan Kubusia wydaje krzyk; dobywa szpady; nieznajomy toż samo. Szczęk broni płoszy konie, koń Kubusia zrywa uzdę i ucieka: w tej samej chwili nieznajomy pchnięty śmiertelnie pada martwy na ziemię. Pan Kubusia wskakuje żwawo na siodło i zmyka co koń wyskoczy. Człowiek zabity był to kawaler de Saint-Ouin, którego przypadek sprowadził właśnie tego dnia z Agatą do żywicielki ich dziecka. Agata wydziera sobie włosy nad trupem kochanka. Pan Kubusia jest już tak daleko, że zupełnie stracono go z oczu. Kubuś idąc z mieszkania sędziego do więzienia, mówi: „Musiało się tak stać, tak było napisane w górze...”.

Co do mnie, zatrzymuję się tutaj, powiedziałem bowiem wam o moich bohaterach wszystko, co wiedziałem. — A amory Kubusia? Kubuś rzekł po sto razy, iż napisane jest w górze, że nie dokończy ich historii; okazuje się, że miał słusność. Widzę, czytelniku, że cię to gniewa; podejmijże tedy opowiadanie tam, gdzie on przerwał, i prowadź je wedle ochoty albo też złóż wizytę pannie Agacie, dowiedz się nazwiska wsi, gdzie Kubuś odsiaduje karę; zobacz się z Kubusiem, popytaj go. Sądzę, iż nie da się ciągnąć za język, aby cię zadowolić; to go rozerwie nieco w tej opresji. Na podstawie pamiętników, które mam słuszną przyczynę uważać za podejrzane, mógłbym może uzupełnić tę lukę; ale na co? zajęcie może budzić tylko to, co się uważa za prawdziwe. Wszelako ponieważ byłoby lekomyślnością wydawać bez dojrzałego zbadania sąd o rozmowach Kubusia Fatalisty i jego pana, najwybitniejszym dziele, jakie pojawiło się od czasu *Pantagruela* mistrza Franciszka Rabelais'go i od *Życia i przygód Kuma Mateusza*<sup>89</sup>, odczytam te pamiętniki z całym wytężeniem umysłu i całą bezstronnością, do jakiej jestem zdolny; za tydzień obwieszczę wam ostateczny sąd, gotów jednakże do wszelkich ustępstw, o ile ktoś bystrzejszy ode mnie dowiedzie, że byłem w błędzie.

Wydawca dodaje: Tydzień minął. Odczytałem rzeczzone pamiętniki; z trzech paragrafów znalezionych tamże, a brakujących w rękopisie, którego jestem posiadaczem, pierwszy i ostatni zdają mi się oryginalne, środkowy zaś wyraźnie podrobiony. Oto pierwszy, który każe się domyślać drugiej przerwy w rozmowie Kubusia i jego pana.

Pewnego świątecznego dnia, gdy pan zamku był na polowaniu, reszta zaś domowników udała się na mszę do kościoła parafialnego oddalonego o dobre ćwierć mili, Kubuś, prawie zupełnie zdrow, siedział na fotelu, Dyzia zaś koło niego. Oboje milczeli: zdawali się dąsać na siebie i w istocie się dąsali. Kubuś poruszył niebo i ziemię, aby nakłonić Dyzię, by uczyniła go szczęśliwym, ale panna Dyzia była niewzruszona. Po długim milczeniu Kubuś płacząc gorącymi łzami, rzekł twardo i z goryczą: „Bo ty mnie nie kochasz...”. Dziewczyna, rozżalona, wstaje, bierze go za ramię, popycha gwałtownie na kraj łóżka, siada na nim i mówi: „Tak pan myśli, panie Kubusiu, nie kocham pana? Więc dobrze, panie Kubusiu, czyni pan z nieszczęśliwą Dyzią wszystko, co się panu podoba...”. To mówiąc, wybucha płaczem i aż dławi się od łkania.

Powiedz mi, czytelniku, co byłbyś uczynił na miejscu Kubusia? Nic. Otóż to samo uczynił i on. Posadził Dyzię z powrotem na krzesło, rzucił się jej do nóg, otarł łzy płynące z oczu, ucałował ręce, pocieszył, upewnił, uwierzył, iż jest czule kochanym, i zdał na wolę jej miłości wybór chwili, w której spodoba się Dyzi nagrodzić jego uczucia. Postąpienie to nad wyraz rozczuliło Dyzię.

Zarzuci mi ktoś, iż Kubuś będąc u stóp Dyzi, nie mógł w żaden sposób obetrzeć jej oczu, chyba że krzesło było bardzo niskie. Rękopis nie powiada tego, ale można to przypuszczać.

Oto drugi paragraf skopiowany z życia *Tristrama Shandy*, o ile zresztą rozmowa Kubusia Fatalisty i jego pana nie jest wcześniejsza od tego dzieła i o ile pastor Sterne<sup>90</sup> nie

<sup>89</sup>*Życie i przygody Kuma Mateusza* — *Le Compère Mathieu, ou les Bigarrures de l'Esprit humain*, zachwały utwór długo przypisywany Wolterowi lub Diderotowi. Autorem książki był *Abbé Delaurens* (ur. 1719). Zmuszony uciekać pieszo do Holandii, krył się potem jakiś czas w Niemczech; w końcu pojmano go i skazano na dożywotnie więzienie w r. 1767. Zmarł w więzieniu w r. 1797. [przypis tłumacza]

<sup>90</sup>*Wawrzyniec Sterne* (1713–1768) — znakomity pisarz angielski, żył przez długi czas jako skromny pastor wiejski, dopiero powodzenie pierwszej jego powieści (*Życie i mniemanie Tristrama Shandy*) sprowadziło go w r. 1760 do Londynu. Styl jego, mieszanina erudycji i żartobliwej powagi, był dla swej nowości i wdzięku

jest plagiatorem, czego wszelako nie przypuszczam. Mam szacunek bardzo osobliwy dla pana Sterne, zasługującego na wyróżnienie spośród większości jego współziomków-  
-autorów, których zwyczajem dość powszechnym jest okradać nas, mówiąc nam obelgi.

Innym razem (było to rano) Dyzia przysła zmienić opatrunek Kubusiowi. Wszystko spało jeszcze w zamku, Dyzia zbliżyła się cała drżąca. Znalazłszy się pod drzwiami, zatrzymała się, niepewna czy wejść, czy nie. Weszła wreszcie, stała dobrą chwilę koło łóżka Kubusia, nie śmiać rozchylić firanek. Rozchyliła je ostrożnie, powiedziała z drżeniem dzień dobry, z drżeniem zapytała go, jak spędził noc i jak się miewa; Kubuś odparł, że nie zmrużył oka, że cierpiał i teraz jeszcze cierpi okrutne swędzenie w kolanie. Dyzia ofiarowała się mu ulżyć, wzięła kawałek flaneli; Kubuś wystawił nogę, Dyzia zaczęła ją rozcierać flanelą poniżej rany, najpierw jednym palcem, potem dwoma, potem trzema, czterema, całą ręką. Kubuś patrzył tymczasem na nią upojony miłością. Następnie Dyzia zaczęła pocierać flanelą bliźnię, jeszcze zacerwienioną, najpierw jednym palcem, potem dwoma, trzema, czterema, w końcu całą ręką. Ale nie dosyć było usmierzyć swędzenie poniżej kolana i w kolanie, trzeba było usmierzyć je także ponad kolaniem, gdzie dokuczalo mu tym żywiej. Dyzia przyłożyła flanelkę powyżej kolana i zaczęła nacierać dość mocno, najpierw jednym palcem, potem dwoma, trzema, czterema, całą ręką. Namiętność Kubusia, który przez cały czas nie przestał się w nią wpatrywać, wzrosła do tego stopnia, iż nie mogąc się dłużej powstrzymać, chwyta Dionizę za rękę, kładzie ją...<sup>91</sup>

Otóż to, co następuje dalej nie pozostawia żadnej wątpliwości co do plagiatu. Plagiator dodaje: „Jeśli nie jesteś zadowolony z tego obrotu miłości Kubusia, czytelniku, zrób lepiej, zgadzam się. W jakikolwiek sposób weźmiesz się do rzeczy, pewien jestem, że skończysz jak ja. — Mylisz się, niegodziwy potwarco, nie skończę jak ty. Dioniza była uczciwa. — A któż powiada co innego? Kubuś chwyta ją za rękę i kładzie ją (niby tę rękę) sobie na ustach. To ty jesteś zepsuty do szpiku kości i domyślasz się tego, czego się nie mówi. — Jakże? zatem skończyło się tylko na ręce... — Oczywiście: Kubuś za wiele miał rozsądku, aby pokalać tę, z której chciał uczynić swoją żonę i zatruwać sobie nieufnością resztę życia. — Toć przecie wyraźnie czytaliśmy w poprzedzającym paragrafie, iż poruszył niebo i ziemię, aby skłonić Dyzię do ostatecznych ustępstw. — Widocznie nie miał jeszcze zamiaru poślubienia jej.

Trzeci paragraf ukazuje nam Kubusia, biednego Fatalistę, jak z żelazem na nogach i rękach, w głębi ciemnego więzienia, leży wyciągnięty na słomie, przyzywając na pomoc całą filozofię swego kapitana i skłonny już mniemać, iż niebawem przyjdzie mu może żałować tego wilgotnego, cuchnącego, ciemnego pomieszkania, gdzie żywność jego stanowił czarny chleb i woda i gdzie rękami i nogami musiał się bronić od napaści szczurów i myszy. Otóż dowiadujemy się, iż wśród tych jego dumań, wyważono bramy więzienia i jego celi, dobyto go na wolność wraz z tuzinem opryszków i zaciągnięto do armii Mandryna<sup>92</sup>. Tymczasem żandarmeria, która puściła się w tropy pana, dopadła go, ujęła i osadziła w innym znowuż więzieniu. Wydobywszy się stamtąd dzięki pomocy owego komisarza, który tak dzielnie przysłużył mu się w pierwszej przygodzie, wiódł od kilku miesięcy zaciszny żywot w zamku Desglands'a, kiedy szczęśliwy przypadek wrócił mu służbę, równie nieodzownego do szczęścia pana jak zegarek lub tabakierka. Ilekroć zdarzyło mu się zażyć niuch tabaki lub też spojrzeć na godzinę, za każdym razem rzekł z westchnieniem: „Co się z tobą stało, biedny Kubusiu!”... Jednej nocy, Mandryni napadają na zamek Desglands'a; Kubuś, który poznaje siedzibę swego dobroczyńcy i swej ukochanej, wstrzymuje zgraję opryszków i ratuje zamek od spustoszenia. Czytamy następnie patetyczny opis niespodzianego spotkania Kubusia, jego pana, Desglands'a, Dyzi i Joanny.

— To ty, chłopcze!

---

podstawą zachwyty, jaki wzbudziło u współczesnych to dzieło. Wpływ powieści Sterna na *Kubusia Fatalistę* niejednokrotnie podnoszono i przeceniano: powinowactwa między tymi książkami trzeba szukać raczej na tej drodze, iż obie, a zwłaszcza Sterne'a, zawdzięczają wiele Rabelais'mu. Trzeba też dodać, iż książka Diderota pozostała do dziś dnia o wiele świeższa i czytelniejsza. [przypis tłumacza]

<sup>91</sup>*chwyta Dionizę za rękę, kładzie ją...* — w oryginale słowne *qui pro quo* w tym miejscu wypada znacznie grubiej. Bardzo podobna, ale o wiele swobodniejsza scena znajduje się w *Tristramie Shandy* (Rozdz. CCLXXII). [przypis tłumacza]

<sup>92</sup>*Mandrin* — głośny kontrabandzista w XVIII w. we Francji, którego romantyczne przygody stworzył legendę w typie naszego Janosika. [przypis tłumacza]

- To pan, drogi panie!
- Skądże się wziąłeś między tymi ludźmi?
- A pan, jakimże cudem pana tu spotykam?
- To ty, Dyziu?
- To pan, panie Kubusiu? Och, ileż łez przez pana wylałam!...

Tymczasem Desglands woła: „Niechaj przyniosą szklenice i wina; prędko, prędko; wypijemy zdrowie naszego zbawcy”...

W kilka dni potem umiera stary odźwierny zamkowy; Kubuś otrzymuje jego miejsce i żeni się z Dyzią, z którą stara się pilnie o przysporzenie uczniów Zenonowi i Spinozie, kochany przez Desglands'a, psuty przez pana i ubóstwiany przez żonę; tak było napisane w górze.

Chciano wmówić we mnie, że pan Kubusia i Desglands zakochali się w jego żonie. Nie wiem, co w tym jest prawdy, ale jestem pewien, iż Kubuś powtarzał co wieczór sam do siebie: „Jeśli jest napisane w górze, że będziesz nosił rogi, Kubusiu, daremnie byś się mordował, będziesz je nosił; jeśli jest napisane przeciwnie, daremnie oni będą się mordować, nie będziesz nosił; śpij tedy, przyjacielu...” i zasypiał.

Mąż, Żona, Kochanek, Los

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kubus-fatalista-i-jego-pan>

Tekst opracowany na podstawie: Denis Diderot, Kubuś Fatalista i jego pan, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. drugie, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1920

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Portret mężczyzny, Denner, Balthasar (1685-1749), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0184-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).